

Czytając tę książkę,  
zanurzyłam się w świecie,  
który od zawsze pobudzał  
moje zmysły. Polecam.

ADA FIJAŁ  
aktorka



# TYLKO DZIĘKI MIŁOŚCI

❧ Bogna Ziembicka ❧



**TYLKO  
DZIĘKI MIŁOŚCI**  
Bogna Ziembicka

WYDAWNICTWO  
**otwarte**

Kraków 2014

*„Żyjemy tylko dzięki miłości.  
Miłość osładza każde cierpienie [...],  
dodaje smaku każdej chwili”.*

fragment libretta opery *Czarodziejski flet*

***Różany, 16 lipca 1935, wtorek***

Szłam między łanem żyta a polem kwitnących ziemniaków. Przesuwałam ręką po kłosach

Niczego nie da się zacząć na nowo, a to, co minęło, nigdy nie wraca.





Justyna lubiła lato i zapach kwitnących ziemniaków.

Szłam między łąnem żyta a polem kwitnących ziemniaków. Przesuwałam ręką po ciężkich kłosach i nagle poczułam, jakie są szorstkie. Wąsy żyta czepiały się mego rękawa. Maki były takie czerwone. Grały koniki polne, brzęczały pszczoły. Poczułam suchy zapach żytniej słomy i gorzką woń ziemniaków. Ziemniaczane kwiatki wlepiały we mnie żółte oczy. Odwróciłam wzrok. Mak rosnący na skraju pola uniósł nabrzmiąły pąk i spomiędzy kosmatej okrywy wysunął się rąbek jaskrawoczerwonego płatką. Usiadłam na miedzy. Patrzyłam, aż oczy zaszyły mi łzami. Wytarłam je wierzchem dłoni. Gdy znowu spojrzałam, cud już się stał: okrywa pękła i teraz mak suszył wilgotne

płatki na wietrze. Falowały jedwabście, bez śladu zgniecenia, bez jednej fałdki. Przeświecało przez nie słońce, jak przez porcelanę.

### **19 lipca, piątek**

Gdzie mam szukać moich zmarłych? Wiosną, gdy nagle wezbrała rzeka w Różanach, utonęła w niej kilkuletnia dziewczynka. Długo szukano ciała, w końcu ojciec przyszedł na miejsce, w którym rzeka zabrała brzeg razem z jego córeczką, i puścił na wodę okrągły bochen chleba z wetkniętą weń zapaloną świeczką. Bochen popłynął z prądem i zatrzymał się kilkaset metrów dalej, w miejscu gdzie pod korzeniami drzew były zwłoki dziewczynki.

### **20 lipca, sobota**

Poszłam do stajni i poprosiłam stajennego, by mi osiodłał Farysa. Po godzinie wróciłam, sama go rozsiodłałam i na oklep, boso i bez pończoch, pojechałam nad rzekę. Nie było tam żywego ducha. Zdjęłam spódnicę przez głowę i razem z rękawiczkami i kapeluszem rzuciłam na łąkę. Farys zszedł do wody po trawiastym brzegu. W zakolu rzeki, na głębiny, zsunęłam się z jego grzbietu i płynęłam, trzymając się grzywy. Zamknęłam oczy i wdychałam zapach wikliny, łopianów, mokrych kamieni, gliny. Drobną falą głaskała mi ciało pod bluzką.

*DZIENNIK JOACHIMA. Granatowy notes z kartkami o złoconych brzegach. Kartki się rozsypały, gdy zaczęłam czytać. Widać, że Joachim wiele wyrwał i naruszył tym kruche spojenie. Żeby je uporządkować, zaczęłam je wkładać do moich zeszytów, pod odpowiednimi datami. I niech tak zostanie.*

---

### **20.07.1935, SCHÖNWALDE**

Trzeba być wariatem, żeby się zgłosić do służby na okręcie podwodnym. Ciasnota, żadnej prywatności, nie ma się nawet własnego łóżka. Zapytałem Paula, jak to jest codziennie kłaść się do koi, z której ktoś przed chwilą wstał. „Po czterech godzinach wachty na deku albo w torpedowni to naprawdę nie ma żadnego znaczenia – powiedział. – Zasypiam, zanim przyłożę głowę do poduszki”.

Przypuszczam, że ojciec nacisnął kilka sprężyn, by odroczone mi służbę. Utrata dłoni na wojnie światowej raz na zawsze zgasła w nim żołnierski zapach. Wcale zresztą nie marzę o granatowym mundurze ze złotymi guzikami, w którym tak chętnie paraduje Paul. W wojsku przeraża mnie brak wolności osobistej. Nie potrafiłbym zrzec się jej dla najbardziej upojnych zwycięstw.

---

## **21 lipca, niedziela**

Msza w intencji Rodziców i Justyny. Babcia znów w czarnej sukni i żałobnym welonie na kapeluszu, choć miesiąc temu zdecydowała, że nie nosimy już grubej żałoby. ~~Rozbeczałam się w kościele jak dziecko.~~ Babcia przytuliła mnie i szepnęła: „Życie jest wieczne, zmienia tylko formę”. Co właściwie miała na myśli?

---

21.07

Przyjechała Renate ze swoją szkocką przyjaciółką Emily Wallace-Stewart, u której spędziła pierwszy miesiąc wakacji. Paul i Michael nie odstępują ich na krok. Szaroniebieskie oczy i krótkie, sięgające za ucho, niemal granatowe włosy Emily zrobiły na nich piorunujące wrażenie. Studzę ich zapał, powtarzając, że ona ma piętnaście lat. To prawda, wygląda na osiemnaście.

Renate usta się nie zamykały. Opowiadała o Szkocji, o wizycie u babci Gail, o pensji, zakonnicach, koleżankach. Ani słowem jednak nie wspomniała o Z. Gdy się zastanawiałem, jak skierować rozmowę na jej temat, mama spytała: „A jak się czuje Zuzia Hulewicz? Dawno nie miałam listu od Hedwig, to znaczy od jej babci”.

Renate zamilkła stropiona. „Siostra Agatha powiedziała nam, że Zuzanna już nie wróci na pensję”.

Mama wygłosiła długą mowę o tym, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie i że Z., której rodzice i siostra pół roku temu zginęli w katastrofie lotniczej, wymaga szczególnego wsparcia.

Moja siostrzyczka słuchała ze spuszczoną głową. Jednak godzinę później usłyszałem z salonu melodię tanga i głośny śmiech. Szybko zapomniała o kazaniu. Wyjąłem z portfela zdjęcie, które – sam nie wiem czemu – w zeszłe wakacje ukradłem z jej toaletki. Dotknąłem palcem twarzy Z. „Moje biedactwo. Trzymaj się, skarbie”.

---

## **23 lipca, wtorek**

„A życie toczy się dalej”, powiedziała dziś w kuchni pani Leonia. Jakie to okrutne.

---

23.07

Gdy zszedłem na śniadanie, mama siedziała przy stole. W jednej ręce trzymała filiżankę herbaty,

w drugiej list.

„Przepraszam cię, mój drogi, to od Hedwig. Już kończę”.

Po chwili odłożyła list i westchnęła: „Biedna kobieta”.

„Biedna? Na waszym wspólnym zdjęciu ma wspaniałą biżuterię i piękne futro”, zażartowałem, żeby ją rozchmurzyć.

„Straciła córkę, zięcia i wnuczkę”. Mama spojrzała na mnie surowo.

Poczułem się jak ostatni głupiec.

„Wiem, przepraszam. – Skruszony pocałowałem ją w rękę. – A właściwie skąd wy się znacie?”

Mama rozpoczęła długą i zawiłą opowieść o ludziach, o których nigdy nie słyszałem. Szybko się w tym pogubiłem. Zrozumiałem tylko tyle, że Hedwig, z domu hrabianka zu Lobenstein Lauda, zakochała się z wzajemnością w ponad dwadzieścia lat od niej starszym profesorze i wziętym berlińskim lekarzu – Polaku. Rodzina zgodziła się na to małżeństwo dopiero wtedy, gdy Hedwig oznajmiła, że i tak wyjdzie za niego za mąż, nawet bez błogosławieństwa rodziców. Stosunki nie zostały zerwane, jednak zdecydowanie się ochłodziły. Gorycz mezaliansu i „wynarodowienia” nieco osłodził majątek pana młodego, którego ojciec był fabrykantem i gdzieś w Prowincji Poznańskiej produkował maszyny rolnicze.

Żyli razem szczęśliwie, lecz krótko, gdyż profesor von Chojnovsky umarł kilka miesięcy po osiemnastych urodzinach swojej jedynej córki.

„Nie byłam na jego pogrzebie, bo akurat ty się urodziłeś i nie mogłam pojechać do Berlina. Dopiero rok później, wiosną czternastego roku, zobaczyłam się z Hedwig. Zaprosiła mnie na operę, w której śpiewała jej córka”.

A więc matka Z. była śpiewaczką. I tak jak Hedwig dla Polaka zrezygnowała z rodzinnej willi przy Friedrichstrasse, tak jej córka porzuciła scenę dla innego polskiego lekarza – Kazimierza Hulewicza. Kobiety są zdolne do wielkich poświęceń.

---

### **24 lipca, środa**

Leżę w szeleszczącej pościeli, pod pierzynką lekką jak puch. Poszwy pachną różami, których suszone płatki Hanka trzyma w bieliźniarce. Przez niedosunięte zasłony zaglądamy gwiazdy. Są jak złote gwoźdźniki przybite do granatowego nieba. Słyszę dalekie ujadanie psów. Wiem, że gdybym zawołała albo zaczęła płakać, ktoś przyszedłby, żeby mnie pocieszyć. Czy więc mam prawo czuć się nieszczęśliwa? A gdybym nie miała nikogo bliskiego? Musiała iść na służbę albo do sierocińca? Czy to piekło ma niższe kręgi?



## **26 lipca, piątek**

Imieniny Hanki. W tym roku nie ma balu, Hanka nie czuje się dobrze. ~~Będzie miała dziecko.~~ Będą mieli dziecko.

Już dawno zauważyłam, że Hanka inaczej chodzi, a czasem, gdy myśli, że nikt nie widzi, pieszczotliwym gestem dotyka brzucha. Nie chciałam rozumieć, co to znaczy.

## **29 lipca, poniedziałek**

Piotr od świtu przy żniwach. Na polu dymi lokomobila. W południe pojechałam z Hanką do żniwiarzy z drugim śniadaniem. Hanka powoziła. Piotr zobaczył nas z daleka, zbiegł do drogi, wziął Hankę w ramiona, okręcił ją w powietrzu i pocałował na oczach wszystkich. Wydawała się taka krucha w jego objęciach. Jej czarny warkocz oplątał mu szyję.

Straciłam apetyt na śniadanie i poszłam do lasu. Położyłam się na mchu i ~~plakałam~~. Tylko ptaki przysiadające na chwilę na leszczynie wiedziały, gdzie jestem.

---

31.07

Plecaki spakowane. Jutro wyruszamy na bałtycką wędrówkę. Mam wrażenie, że Paul i Michael mniej się na nią cieszą, odkąd jest u nas Emily.

1.08

Paul zajrzał mi przez ramię i fałszując, zaśpiewał: „Czy to jest miłość? Czy to miłość? Tak, tak, to właśnie miłość”.

Sam nie wiem, kiedy nabrałem zwyczaju wpatrywania się w zdjęcie Renate i jej koleżanek, Carli i Z. Przez cały poprzedni rok spojrzałem na nie może trzy razy, teraz codziennie wyjmuję je z portfela.

„To zdjęcie mojej siostry, nie poznałeś, kretynie?”

Siedzący naprzeciwko Michael zaśmiał się drwiąco. „Robisz takie maślane oczy do siostry? Stary, to nienormalne!”

Byliśmy w przedziale sami i moi przyjaciele głośno się zastanawiali: „Ciekawe, która zawróciła w głowie Joachimowi? Brunetka czy blondynka?”.

Idioci! Przecież nie można się zakochać w dziewczynie, której na oczy się nie widziało.

---

### **3 sierpnia, sobota**

Nadal upały. Rano zrywałam fasolkę szparagową na przetwory. Pani Leonia smaży ostatnie dzemy z borówek.

---

#### **4.08, HAMBURG**

Wieczór w kabarecie. Ilona, starsza siostra Paula, przyprowadziła dwie koleżanki. Paul odwiózł je potem do domu. Wrócił dopiero na śniadanie, z triumfującą miną i zagadkowym uśmiechem. Obaj z Michaeliem pękamy z ciekawości i z zazdrości.

Ilona jest ładna i dobrze tańczy, ale za dużo pije. Po drugim piwie drzemiała oparta o moje ramię.

#### **5.08**

Nasza trasa: Hamburg – Lubeka – wyspa Fehmarn – Kilonia – Flensburg – Hamburg. Paul żegna się z rodzicami i siostrą, bo w drodze powrotnej zostaje w bazie Kriegsmarine w Eckernförde.

#### **6.08, LUBEKA, WOLNE MIASTO**

##### **ŚWIĘTEGO CESARSTWA RZYMSKIEGO I STOLICA HANZY**

Morze przeplata się tu z lądem.

Michael nie wypuszcza z ręki Buddenbrooków. Dom Mannów na Mengstrasse 4 jest dla niego ważniejszy niż stojąca naprzeciwko gotycka katedra. Z trudem zaciągnęliśmy go na obiad i nawet wtedy uraczył nas odpowiednim fragmentem: „Siedzieli na ciężkich krzesłach z wysokimi oparciami, za pomocą ciężkich srebrnych sztućców jedli dobre, ciężkie potrawy, popijali dobre, ciężkie wina”. Żartem przypominamy mu, że według Manna praktyczność życiowa, która musi cechować inżyniera, wyklucza duchową wrażliwość.

---

### **8 sierpnia, czwartek**

Po obiedzie padało i Piotr został w domu. Siedział z Hanką w salonie. Trzymał ją za rękę. Rozmawiali o młynkowaniu owsa z łubinu.

Ukradkiem im się przyglądałam. Hanka teraz nie upina włosów, bo mówi, że od tego głowa ją boli. Gruby, przerzucony przez ramię czarny warkocz sprawia, że wygląda jak uczennica, choć ma już dwadzieścia dwa lata. Jest bledsza niż zwykle i na białej twarzy wyraźnie się odznaczają proste czarne brwi, błyszczące czarne oczy i trochę za duże ciemnoróżowe usta. To dziwne, lecz sukienka z szarego dżerseju od Chanel pasuje do jej nienowoczesnej twarzy. Kilka razy próbowałam narysować jej

portret, ale mi się nie udało.

Hanka nie poszła na uniwersytet, tak jak Justyna, tylko pojechała pod Lwów, do Snopkowa, do szkoły gospodarczej. A przecież była drugą – po Justynie – uczennicą w szkole! Jest piękna i mądra. Pewnie o tym wie, ale zachowuje się tak, jakby nie wiedziała. Jest damą.

### **9 sierpnia, piątek**

W spiżarni stoi maszynka do palenia kawy. Przypomina miniaturowy parowozik z dużym lejkiem zamiast komina. Hanka kupuje zieloną arabicę z Kolumbii i z Abisynii.

Pani Leonia pokazała mi dziś, jak się pali kawę, by miała różny smak: na kolor cynamonowy, jasnobrązowy i prawie czarny.

---

### **10.08, TRAVEMÜNDE**

Z latarni morskiej patrzyłem na bezmiar Bałtyku. Woda jest granatowa na głębinach, ciemnozielona tam, gdzie dno porasta trawa morska, i turkusowa na mieliznach. A co jest tam, daleko, za horyzontem? Wkrótce zobaczę na własne oczy.

### **11.08, NIENDORF**

Kilkugodzinną wędrówką brzegiem. Dwa przystanki na dzikiej plaży i kąpiel nago. Upał. Biały piasek. Poczucie wolności.

### **12.08**

Dzień pod żaglami. Paul w swoim żywiole. Jak on wytrzyma w łodzi podwodnej?

Michael filozofuje o wyższości działania zespołowego nad siłą.

Wiatr, słońce, fale, turkot kabestanów. Bezkres morza. Gra chmur na niebie.

### **13.08, FEHMARN**

Nasz gospodarz pożyczył nam rowery i objechaliśmy całą wyspę. To jakieś 70 kilometrów. Z północnego brzegu widać Danię – do najbliższej duńskiej wyspy jest zaledwie 10 mil morskich.

Fehmarn: z jednej strony królestwo ptaków, z drugiej – białe plaże z tłumami letników. Środek wyspy należy do rolników. Urodzajne ziemie, olbrzymie stodoły, białe domy kryte trzcina, obrośnięte słodko pachnącymi angielskimi różami. Eden.

---

### **15 sierpnia, czwartek, Matki Boskiej Zielnej**

„Każdy kwiatek dzisiaj woła, weź mnie z sobą do kościoła”.

Zerwałam się rano. Wszyscy jeszcze spali. Tylko Troj wyszedł ze mną do ogrodu, a potem na pole. Nazbierałam snop georginii, mięty, podrózników, dziewanny, nawłoci, krwawników, jarzębiny, słoneczników, kłosów owsa i żyta. Zniosłam do altany i zrobiłam cztery bukiety.

Gdy jechaliśmy bryczką na mszę, najpierw było widać bukiety, a dopiero potem nas. Piotr powiedział, że nasze były najładniejsze w całym kościele. Powiesił je w stodole. Gdy wyschną, przyniesie je do domu, by sprowadzały dostatek i chroniły przed gradobiciem.

Wieczorem, po audycji o wojnie dwudziestego roku, pan Podoski opowiadał Piotrowi, co wtedy przeżył. Przysłuchiwałam się ukradkiem, udając, że czytam.

### ***później***

Nie mogę zasnąć. Wciąż mam w uszach opowieść pana Podoskiego. Urwane zdania, pauzy, zduszony głos:

Nieznośnie gorące lato roku dwudziestego. Stratowane pola, wyrąbane parki i sady. Rozorane aleje. Splądrowane wsie, dwory, kościoły, synagogi. Hordy wygłodniałych ludzi w spiczastych czapach z czerwoną gwiazdą. Worki z łupami przewieszane przez siodła. Połatana uprząż. Taczanki zaprzęzione w zaniedbane mierzynki. Chaos, przekleństwa. Spocone, rozchełstane żołnierki. Lepkie od brudu ręce. Siodła okryte aksamitnymi i jedwabnymi pokrowcami na Torę. Postrzępiona czerwona flaga z lichego płótna jako symbol nowego, sowieckiego świata.

Zabierali siano, kosili niedojrzały owies, łapali kury i ćwiartowali je szablami. Tłoczyli się w kuchni całą noc. Jedli wszystko: zielone jabłka, niedogotowaną wieprzowinę.

Okryci płaszczami, z kopącymi szmatami w rękach wpadli do pasieki. Rozsadzali ule prochem, wrywali plastry, potem podpalili resztki uli razem z pszczołami. Strzelali na wiwat, gdy ogień przerzucił się na stóg siana, a później na zabudowania gospodarcze. Rżały umierające w płomieniach konie. Krowa wyrwała się z obory. Z jej popękanej od ognia skóry płynęła krew.

Mordy, gwałty, rabunek, bezsensowne okrucieństwo. Trupy w zbożu. Szlochające, udręczone chłopki. Mdlący odór krwi.

Za nami Heiligenhafen z piaszczystą laguną i rzędem pięknych domów krytych trzcina, stojących na plaży, oraz prawie 60-kilometrowy marsz wzdłuż wybrzeża. Odpoczywamy w Szwajcarii Holsztyńskiej, w majątku Panker. Jest tu zamek landgrafów Hesji otoczony parkiem angielskim ze stadami jeleni i wieża widokowa Hessenstein, z której widać Danię. Ośmioboczna wieża

z witrażowymi oknami i zębatymi blankami skojarzyła mi się z architekturą angielską. Nie wiem czemu, ale od razu pomyślałem o Z.

### **23.08, KILONIA**

Paul przez cały wieczór tańczył tango argentyńskie ze śliczną fordanserką. Potem zniknął z nią bez słowa. Miejmy nadzieję, że nie wda się w bójkę z marynarzami i że dziewczyna jest zdrowa.

### **24.08**

Paul bez skrępowania opowiada o upojnej nocy. Upojenie za pieniądze? Niemożliwe.

---

### **24 sierpnia, sobota**

Niebo jest blade, jakby wypłowieło od upałów. Jutro po obiedzie wracamy do Krakowa.

#### ***wieczorem***

Stajenny osiodłał dla mnie Faladę Hanki i objechałam łąki nad rzeką, stawy, pola na górcze, na których żółcą się łubiny i słoneczniki. Peluszka wyciąga do słońca błękitne żagielki i długimi wąsami oplata sztywne łodygi bobiku. Pod lasem ostrężnice błyszczą jak wielkie czarne onyksy na szyjach dam, otoczone białym tiulem pajęczyn. Schyliłam się i zerwałam kilka jagód. Bukową ścieżką dojechałam na polanę, gdzie w imieniny Hanki był piknik, i nad rzekę. Chmury odbijały się w wodzie.

---

### **25.08**

Pojechałem do Holtenau, zobaczyć służę na kanale łączącym Morze Północne z Bałtykiem. Moi koledzy, świeżo upieczeni inżynierowie, uznali to za nudziarstwo i poszli na szprotki kilońskie. Oczywiście nie mieli na myśli miejscowego specjału.

Kanał Cesarza Wilhelma: w płaskim jak stół krajobrazie dominują zielone łąki i z daleka wydaje się, że ogromne statki suną po trawie.

Przez chwilę miałem ochotę zmienić swój bilet, tak by do Afryki płynąć właśnie tędy, a nie przez Cieśniny Duńskie. Potem sobie przypomniałem, że obiecałem dostarczyć Renate do Plymouth. Spokojnie, zobaczę i to, i to. Mam czas.

### **26.08, ECKERNFÖRDE**

Już wiem, skąd Paul tak dobrze zna Kilonię – bazę Kriegsmarine w Eckernförde dzieli od niej niecała godzina jazdy pociągiem. Paul się przechwala, że samochodem pokonuje tę trasę w pół

godziny i że mundur działa na kobiety jak magnes. Budowany w Laboe pod Kilonią 85-metrowy pomnik ku czci niemieckich marynarzy poległych w czasie wojny światowej nie budzi w nim żadnych skojarzeń.

---

### ***Kraków, 26 sierpnia, poniedziałek***

Obudził mnie zgrzyt tramwaju. Otworzyłam oczy i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że jestem w domu, na Stradomiu. Rozsuwane drzwi do pokoju Justyny były otwarte. Ścisnęło mnie w gardle na widok pustego łóżka, tylko z materacem przykrytym jej ulubioną kapą w rdzawe i zielone tulipany. Naciągnęłam kołdrę na głowę, ale nie mogłam zasnąć. Słyszałam, jak Marcysia trzaska kuchennymi drzwiami, jak babcia chodzi po mieszkaniu.

Babcia się przenosi. Zaproponowała, żebym zajęła sypialnię Rodziców, bo jest większa od mojej i wychodzi na ogród przy klasztorze Ojców Misjonarzy. Dziwnie bym się tam czuła. Wolę, żeby babcia ją zajęła, ja zostanę u siebie.

---

### **27.08**

Jestem cywilem z krwi i kości. W głębi ducha współczuję Paulowi, że za kilka dni zamknie się za nim brama bazy. Nie wierzę, że dobrze tam się bawi. Kantyna jest elegancka, koniak wyborny, ale życie w systemie cztery godziny służby, cztery godziny odpoczynku to przecież nie dla ludzi. Błogosławię moment, w którym zdecydowałem się pojechać do Tanganiki i podpisałem kontrakt z Neil Mackay Trading Co. Błogosławię ojca, bo dzięki jego protekcji moment włożenia munduru przesunięto mi na jesień czterdziestego roku.

### **28.08, GLÜCKSBURG**

Kanał Kiloński, most zwodzony w Kappeln i zbudowany na sztucznym jeziorze zamek Glücksburg potwierdzają moje głębokie przekonanie, że dobrze wybrałem zawód. Technika może nie zbawi świata, ale ułatwia życie, uwalnia ludzkie ręce i pozwala kwitnąć sztukom.

### **29.08, FLENSBURG, GŁÓWNY SKŁAD RUMU W EUROPIE**

Jutro Paul jedzie do Eckernförde, Michael – do Bremy, a ja wracam do domu. Michael jest dalekim krewnym Johannsenów, którzy we Flensburgu przy Marienstrasse mają skład z rumem. Nie tylko u nich mieszkamy, także obficie korzystamy z „płynnego złota Indii Zachodnich”, które w Niemczech przez kilkanaście lat dojrzewało w dębowych beczkach, a potem zostało poddane

alchemicznym zabiegom będącym tajemnicą firmy. Nie miałem pojęcia, że istnieje tyle gatunków rumu i że może on mieć tak wyrafinowany smak, z nutą kakao czy ananasa.

Żegnamy Mare Balticum. Niebieskie fiordy, lesiste wyspy, białe plaże, domy kryte trzcina, żurawie, mewy i dzikie gęsi. Polując na lwy, będę za nim tęsknił.

### 31 sierpnia, sobota

W poniedziałek do mieszkania babci wprowadzi się jakiś profesor z gimnazjum Świętego Jacka, a w gabinecie Ojca będzie ordynował doktor Tański. Jest już nowa tabliczka na drzwiach. Rzeczy babci przeniesione, meble poprzesztawiane.

### 2 września, poniedziałek

Szkoła na Świętego Jana prawie w niczym nie przypomina szkoły w Penzance. ~~Nigdy jej nie poślubię.~~

### 3 września, wtorek

Zginęła królowa Belgów Astrid – w wypadku w Szwajcarii. Król Leopold, który prowadził samochód i uderzył nim w drzewo, jest lekko ranny.

Wypadki! Czemu Pan Bóg na nie pozwala?

## Kobieta, która przywołała księdza do królowej Astrid.

(z) Pewna prosta kobiecina, mieszkająca w domu oddalonym zaledwie o 300 m od miejsca katastrofy i śmierci królowej Astrid była pierwszą, która pospieszyła na to miejsce. Ona też zdawszy sobie sprawę, że ofiara katastrofy kona, przywołała do niej księdza, proboszcza z Kuessnacht.

Kobieta ta opowiada co następuje: „Kiedy przybyłam na miejsce nieszczęścia, panowie z drugiego samochodu ułożyli królową na trawie i przykryli ją płaszczem. Królowa była już śmiertelnie blada. Ze skroni jej płynęła krew i tworzyła kałużę czerwoną na trawie. Nigdy w życiu nie widziałam tak potwornego, rozdzierającego obrazu. Obok leżącej na ziemi królowej stał król z osłupiałymi oczyma, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, niezdolny do wypowiedzenia słowa, niezdolny nawet do płaczu.

Uświadomiłam sobie, że ludzie nie tu już pomóc nie mogą. Wobec tego pobiegłam do Kuessnacht i sprowadziłam księdza, który dobrej, pobożnej królowej udzielił Ostatniego Namaszczenia. Gdy ciało królowej już sztywnało, obok ludzi dworskich, którzy jechali w drugim aucie i obok króla, klęczeli dookoła wieśniacy i robotnicy z Kuessnacht“.

### „Dwoje zwyczajnych ludzi“.

(z) Pewien robotnik rolny, który jako jeden z pierwszych znalazł się na miejscu katastrofy samochodowej króla Belgów, Leopolda III opowiada co następuje:

„Na chwilę przedtem, zanim wydarzyło się nieszczęście, słyszałem na drodze od drugiego robotnika, że przejechało tamte dy właśnie auto króla. Prawie nie mogłem w to uwierzyć, gdyż auto, które jechało drogą, a w którym bynajmniej nie podejrzewałem, aby mogło być królewskim, wyglądało zupełnie zwyczajnie i nie różniło się od innych, pospolitych samochodów. A także i wóz który jechał za pierwszym autem nie wskazywał w niczem, aby mógł należeć do króla. Kiedy przyszedłem na miejsce, gdzie rozegrała się tragiczna katastrofa, usłyszałem od zebranych tam osób, że król i królowa ulegli nieszczęściu. Ani ja ani żaden z ludzi z Kuessnacht nie chcieliśmy jednak wierzyć, aby osobami, które dotknęła ta straszna katastrofa był król i królowa belgijscy. Oboje bowiem mieli na sobie zwyczajne proste szaty. Nie było także żadnych specjalnych odznak czy wspaniałości. Król belgijski i jego żona byli poprostu dwojgiem zwyczajnych ludzi.“

Szkoła. Ja nie jestem w radosnym nastroju. Jestem nowa.

## Witaj sztubo!

Onegdajszy ranek, chłodny i dżdżysty, był pierwszym dzwonkiem, przypominającym, że *czasy słonecznych wywczasów się skończyły*. Drogi polne i trakty, szerokie ulice stolicy i wąskie uliczki miast prowincjonalnych zaroiły się wesołym ludkiem szkolnym.

Po dwu miesiącach wywczasów idzie się rażno na spotkanie nowego roku.

Pierwszy dzień szkoły, to właściwie „święto” *czapki szkolnej i mundurka*. Dla czegożbyśmy go tak nazwać nie mieli? Cóż z tego, że na bramach domów nie powiewają chorągwie; czyż nowe znaczki na czapkach, świeże tarcze u ramion, biel bluzek i biel zębów na ogorzałych twarzyczkach nie starczy za wszystkie uroczyste emblematy?

Zresztą „święto mundurka” jest zarazem świętem uroczystych ślubowań; w tym dniu wszystko jest jeszcze do zdobycia:

dobre oceny, uznanie nauczycieli, przyjaźń kolegów. I rodzice pełni są rozczuleniami i optymizmem... To też zarówno mały nowicjusz, jak i ośmioklasista, przyrzekają sobie *uczyć się pilnie*, na lekcjach uważać, nie podpowiadać, porządnie utrzymywać zeszyty...

Każdy, kto kocha młodzież, wyczuwa znakomicie ów *nastój świąteczny w powietrzu*...

Pierwszy dzień szkoły nie jest przymusem, lecz *radosną atrakcją*; ileż niespodzianek kryją nowe ławki, nowe podręczniki, nowi koledzy, a choćby świeżo za-temperowany ołówek. Z jakim nabożeństwem przystępuje się do obkładania książek i porządkowania szuflady.

Gremjalny zjazd młodzieży nastąpił w *sobotę i niedzielę*. Obozy i kolonje zakończyły się w połowie miesiąca, teraz wracali ostatni maruderzy z letnisk podmiej-

skich, wlokąc za sobą długie furgony letniskowego dobytku.

Młodzian, który jeszcze w sobotę siedział na furze, eskortując garnki rodzicielskie, wczoraj stanął *wyszorowany „na glans”* pod sztandarem szkolnym w kościele. Wiele szkół wysłuchało nabożeństw we własnych kaplicach.

Po nabożeństwie młodzież przywitała się z przełożonymi i nauczycielami, otrzymując *rozkład godzin i spis książek*.

Teraz na widownie wstępuje *matka*: niezmordowanie krąży z dzieckiem po *księgarniach, antykwarniach*, targuje się, *mierzy mundurki i fartuszki*, godzi się o *stancję*. Na ulicy mnóstwo tych parok: chłopiec z tornistrem i pani czytająca się w kartkę; dziewczynka w nowym polyskliwym fartuszkach z czarnego kamlotu i znowu pani obwieszona paczkami i paczuszkami.

Na każdym sklepie z ubraniami nawołują ogłoszenia:

„Przepisowe mundurki, fartuszki, kurtki”.

Praktyczne są bardzo te fartuszki, zasłaniające wytarte łokcie i sfatygowane suknie, często matczyne. Ale szkoda tych dawnych alpagowych fartuszków, skrzyżowa-

nych na plecach, ze skrzydełkami z plisowanej falbany. Zato sztubacy wyglądają solidnie w *uniformach z niebieskimi wypustkami*.

W antykwarniach jeszcze pustki, mimo, że wystawy ponętne zastawione najnowszymi podręcznikami. Dużą im konkurencję robi dobrze zorganizowana *wymiana podręczników w szkołach i w punktach Ligi opieki nad młodzieżą szkolną*.

Cale szczęście, że *podręczniki takie*, po złotemu, po dwa. Rekord taniości wziął *elementarz pierwszego oddziału szkoły powszechnej*, kosztuje tylko 70 gr.

Dzieci naogół zdają sobie sprawę z trudności rodzicielskich. Przechodząc koło drewnianego parterowego domku widziałam malca, jak *możolnie zeszycwał kartki starych zeszytów*.

Poco? — rzucam pytanie w otwarte okno.

Będzie z tego *nowy bruljon*, zaoszczędzi się 50 groszy — odpowiada poważnie.

M. S. S.

9.09

Ojciec kupił dwa nowe trakeny. To dziwna rasa. Na pierwszy rzut oka nie olśniewa: krótki kłęb jest pamiątką po schweiken – kucach rycerzy zakonu niemieckiego, krzyżowanych potem z końmi pełnej krwi angielskiej i czystej arabskiej. Mimo drobnej budowy są wytrzymałe, szybkie i zwinne. Świetne do polowania, znakomicie biorą przeszkody.

Stałem obok ojca i patrzyłem, jak chodzą na lonży. Spodobał mi się Gimpel (po Arabesce i Selimie), kasztan o lśniącej, w słońcu niemal czerwonej sierści. Ma piękne nogi z wyraźnie zarysowanymi ścięgnami. Jego oczy błyszczą inteligencją. Ten koń ma charakter.

11.09



Ostatnie dni w Schönwalde. Patrzę na jezioro, na niezmierny przestwór nieba nad koronami pruskich sosen. Nigdy bym tego nie powiedział na głos, tu jednak mogę to napisać: Kocham to miejsce.

#### 14.09

Pożegnanie z rodzicami inne, niż gdy po wakacjach wyjeżdżałem do Berlina. To prawda, że nie przyjadę na Boże Narodzenie ani na Wielkanoc i zobaczymy się dopiero za rok, jednak mama żegnała mnie tak, jakbym szedł na wojnę. Ojciec, nieskory do pochwał, powiedział: „Wiem, że sobie poradzisz. Jestem z Ciebie dumny”. Nie wierzyłem własnym uszom. Gdy w czerwcu wróciłem z dyplomem berlińskiej Wyższej Szkoły Technicznej, ograniczył się do: „Gratuluję, synu”.

#### 16.09

Renate udaje dorosłą. Zapytałem, skąd ma wieczorową suknię z tak dużym dekoltem. Powiedziała, że to prezent od Emily. Musiała ją trzymać na dnie szafy, by mama jej nie znalazła i nie skonfiskowała.

Jutro wysadzam moją siostrzyczkę na ląd w Plymouth. Ma tam na nią czekać któraś z nauczycielek-zakonnicek. Z ulgą oddam Renate pod opiekę kogoś bardziej kompetentnego. Ja się nie nadaję na wychowawcę dorastających pańienek.

Gdy po kolacji spacerowaliśmy po pokładzie, zapytałem Renate o Carlę, mając nadzieję, że to skieruje jej myśli na Z. Nie pomyliłem się.

„Carla już rok temu zrezygnowała ze szkoły. Najbardziej niepokieszona była Zuzanna, bo mieszkały w jednym pokoju i były bardzo zaprzyjaźnione. Wiesz, że uratowała Carli życie?”

Nie wiedziałem.

Okazuje się, że Z. jest nie tylko ładna, ale i dzielna. Opatrzyła koleżankę ukąszoną przez żmiję i znalazła sposób, by przetransportować ją do klasztoru. Renate zaprzyjaźniła się z Z., bo z początku słabo sobie radziła z angielskim, a z Z. mogła mówić po niemiecku. Z. jest aniołem, skoro cierpliwie znosiła gadulstwo mojej siostrzyczki. Dom państwa Hulewiczów w Krakowie podobno jest uroczy. Renate kiedyś spędziła u nich Nowy Rok, a potem była z nimi w Zakopanem. Z. uczyła ją jeździć na nartach. Ta dziewczyna ma same zalety!

#### 17.09

Przeczytałem to, co napisałem wczoraj. To jakieś szaleństwo. Przecież nie znam tej dziewczyny.

Renate się rozplakała, gdy się żegnaliśmy. Pewnie już dojechała do klasztoru. Rodzice w Schönwalde siadają do kolacji, a ja... Ja jestem wolny.

#### 18.09

Czytam relację Antonia Pigafetty z podróży Magellana dookoła świata, w angielskim przekładzie.

„Mieszkańcy tej krainy za małe lusterko przynoszą więcej ryb, niż potrzeba do nakarmienia dziesięciu ludzi”. „W zamian za siekiere oddawali nam jedną lub dwie ze swoich córek na niewolnice”. Szkoda, że nie mam w bagażu ani lusterek, ani siekier.

Wieczorem będziemy w Lizbonie.

#### 19.09, LIZBONA

Zapamiętać Lizbonę. Kolory, kolory, kolory. Zapach smażonych ryb. Sunące ze zgrzytem po stromych uliczkach tramwaje. Melancholijne *fadistas* w czarnych szalach, śpiewające przy akompaniamencie gitary. Znakomita kawa. Babeczki z jeszcze ciepłym kremem śmietankowym. Rozwieszane na sznurach pranie, trzepoczące na wietrze nad głowami przechodniów. Labirynt uliczek, zaułków, schodów. Drzewka pomarańczowe i bugenwille w donicach. Ulica Szewców z kramami szewskimi i ulica Złota ze sklepami jubilerskimi. Czerwone dachy. Wszechobecne *azulejos*. Koty wygrzewające się na słońcu i ludzie szukający cienia w chłodnym patio.

#### 20.09

Młodych kobiet w pierwszej klasie jest więcej niż mężczyzn i nie wypadało zignorować zaproszenia na bal. Futra, pióra, jedwabie, wspaniała biżuteria. Gołym okiem widać, że kryzys gospodarczy już za nami. Tańczyłem z Angielką, która miała naszyjnik z olbrzymich rubinów. Widziałem kiedyś takie kamienie (pięciokaratowe) u Boucheron w Paryżu. Te pochodzą z Birmy, gdzie jej mąż jest wysokim urzędnikiem. Większość tych eleganckich kobiet jedzie do mężów lub narzeczonych w Indiach albo na wakacje do Egiptu.

W nocy minęliśmy Gibraltar.

#### 21.09

Choć na liście załogi byli święty Antoni z Lizbony, Czarna Madonna z Montserrat i święta Barbara, którym w zamian za ochronę zagwarantowano udział w zyskach z wyprawy (!), z trwającego trzy lata rejsu flotyli Magellana wrócił tylko jeden statek – Victoria – i osiemnastu marynarzy.

---

#### 21 września, sobota

Śniła mi się Justyna. Weszła do mojego pokoju i obracając się na palcach, pokazała mi nową sukienkę. Wiedziałam, że nie żyje, a jednocześnie tak bardzo się ucieszyłam, że nie umarła.

Czasem jestem pewna, że oni nadal tu są i że gdybym w odpowiednim momencie się odwróciła, to zobaczyłabym Mamę, Tatę, Justynę. A raczej nie zobaczyła, tylko... Nie wiem. Trudno wytłumaczyć bezcielesną obecność. Kiedyś nie myślałam o takich rzeczach. Śmierć nie istniała.

---

22.09

Jutro zawijamy do Aleksandrii.

Wziąłem z sobą kieszonkowe wydanie *Dziejów* Herodota, który w Egipcie dotarł aż do Elefantyny, a dalej „tylko ze słuchu rzecz badał”. Według niego Egipt „zawiera bardzo wiele osobliwości i dzieła większe, niż da się to wyrazić”, a obyczaje Egipcjan są odmienne od obyczajów innych ludów. Kobiety egipskie handlują na rynku, a mężczyźni siedzą w domu i przędą. Ciasto ugniatają nogami, a glinę rękami. Na znak żałoby po śmierci kota domownicy gołą sobie brwi, a po śmierci psa – całe ciało i głowę. „A kto by zabił ibisa albo sokoła, ten musi umrzeć”. Przy pierwszej okazji pojedę do Egiptu.

---

### **22 września, niedziela**

Dziś na obiedzie byli u nas pan Podoski i doktor Pomian-Lackowski. Wypytywali o szkołę. Pan Podoski zapłacił chesne za cały rok i byłoby mu przykro, gdybym powiedziała, że czuję się tam obco, bo jestem NOWA, a szkoła jest inna niż w Anglii. Jedyne, w czym celuję, to angielski i niemiecki, lecz żadna w tym moja zasługa, no i prace ręczne, rysunki i pływanie, ale to znów nie są najważniejsze przedmioty.

Babcia mnie pociesza, że dziewczęta są w tej klasie już trzy lata i trudno, by się nie zżyły, i że na pewno znajdę bliskie koleżanki.

W naszej kamienicy mieszkają cztery dziewczynki, wszystkie mniej więcej w moim wieku: Wiera Bach, Marynia i Kazia Fischerówny i Iza Morawska. Właściwie żadnej nie znam, bo mało byłam w domu – cały rok w Penzance, a w wakacje gdzieś wyjeżdżaliśmy. Gdy panowie poszli, babcia zaproponowała, żebym zaprosiła którąś dziewczynkę na herbatę. Wykręcałam się, jak mogłam, ale nie ustąpiła. Nie czułam się na siłach zaprzyjaźnić od razu z dwiema, dlatego poszłam do państwa Bachów. Byli zdziwieni, ale pozwolili Wierze przyjść do mnie. Siedziałyśmy sztywno przy stole, mówiła tylko babcia. Wiera wypiła łyk herbaty i nawet nie spróbowała makowca. Zastanawiałam się, czy Żydom wolno jeść takie rzeczy. Zapytałam wprost: „Nie lubisz ciasta? Może wolisz kanapki?”.

Uśmiechnęła się. „Nie lubię makowca. W ogóle nie lubię ciastek z makiem”.

„Jest jeszcze placek ze śliwkami. Sama upiekłam”.

„Placek? Pycha!”

Pobiegłam do kuchni i przyniosłam ciasto. Wiera zjadła trzy duże kawałki – nie liczyłam jej, tylko się cieszyłam, że jej smakuje. Potem zainteresowała się moją robótką. Sama nie bardzo umie szyć. Pokazałam jej kilka prostych ściągów i bez pomocy wyszyła szafirka ścięciem węzełkowym

i prostym.

### **23 września, poniedziałek**

Babcia jak zwykle miała rację. Dziś Irka Tatarówna, z którą posadziła mnie siostra Klara, dała mi granatową wstążkę do włosów. Wracaliśmy razem ze szkoły – Irka mieszka na Grodzkiej.

Gdy weszłam do bramy, otworzyły się drzwi mieszkania Wiery. Czekwała na mnie, bo jej rodzice dostali zaproszenie na premierę filmu *Dwie Joasie w Atlanticu* i chcą nas wziąć! Pobiegłam na górę, zapytać babcię, czy mogę pójść. Pozwoliła!!!

---

### **23.09, ALEKSANDRIA**

Krzyki tragarzy, długi rząd dorożek, tłok na trapie. Śliczna T.C., z którą kilka razy tańczyłem i czasem spacerowałem po pokładzie, dała mi na pożegnanie książkę o Kairze. Znalazłem w niej karteczkę z nazwą hotelu, w którym ma się zatrzymać z rodzicami, i zdaniem: „Zawsze będzie Pan mile widziany”. Myślę o tym, że historia mogłaby się powtórzyć: to na tej trasie, na luksusowym parowcu dziadek poznał babcię Gail.

### **24.09**

Wypływamy. Przed nami Kanał Sueski, który chętnie bym obejrzał dokładniej, z brzegu, a dalej kraina Etiopów Długowiecznych. Herodot pisze, że żyli sto dwadzieścia lat. „Gdzie słońce od południa skłania się ku zachodowi, tam rozciąga się Etiopia, ostatni kraj zamieszkaney ziemi. Wydaje ona złoto w wielkiej ilości, olbrzymie słonie, heban i ludzi bardzo rosłych, bardzo pięknych i najdłużej żyjących”.

---

### **25 września, środa**

Pierwszy raz w życiu byłam na premierze. Trochę żałowałam, że to Atlantic, po drugiej stronie ulicy, a nie jakieś inne kino, do którego trzeba jechać dorożką, tak by wszyscy widzieli, że idziemy na premierę.

Najpierw był film, potem bankiet. Jadłyśmy pyszne tartinki z łososiem i serem szwajcarskim, słone ciasteczka, bezy i winogrona. Gdy rodzice Wiery byli zajęci rozmową, szybko wzięliśmy po kieliszku szampana i wypiliśmy go od niechcienia w drugim końcu sali, tak jakbyśmy były dorosłe i robiły to co wieczór.

Z KARYKATURY FILMOWEJ.



J. Smosarska w filmie „Dwie Joaste”.

Wiera pięknie wyglądała w srebrnoszarej sukience i opasce z błyszczącymi kamykami na krótko obciętych włosach.

O filmie napiszę kiedy indziej, bo babcia puka, żebym gasiła światło i szła spać, bo nie wstanę do szkoły.

**27 września, piątek**

### PRZEPIS PANI MORBITZER NA KUGEL

Najważniejszy dzień żydowski to jest Roszaszana. Dlatego robi się słodkie na Nowy Rok, kugle i cimes. Kugle robi się z makaron, karamel, jajka, trochę rodzyнки, trochę orzechy. Do duży garnek leją wodę. Musi się zagotować. To jest ważny czas, mamy miesiąc święto. Mamy modlitwy na zdrowie, na dzieci, na pieniądze, na co chcesz. Modlitwy w domu i w synagodze. Teraz robimy karamel. Do garnek, zobacz, Zuziu, takie grube dno musi być, sypimy kilo cukier, bez olej, bez nic. Do wrzącej wody sypię sól i wrzucam makaron. Taki szeroki makaron musi być, jak wstążeczka. Ile? W tej torbie z kilo jest makaronu. Mieszymy. Gotuję, aż będzie miękki. Mamy wąska foremka, wykładamy pergaminem. Na dno wrzucam garść orzechy, świeże, posiekane grubo, bez żółtej skórki. Trochę

rodzyнки też można. Kiedyś całe święto siedziało się w *sukkot*, to jest po polsku szałas. Ostatni dzień na ten miesiąc jest post. Zaczyna się w synagodze wieczorem do wieczorem następny dzień. Bez woda, bez jedzenia, bez nic. Taki dzień nazywa się Jom Kippur. Cedzimy makaron i wrzucamy z powrotem do ciepły garnek. Dwa świeże jajka dają do makaron i mieszymy. Mieszymy karamel, żeby nie było grudek. Gdy karamel gotowy, o taki, brązowy, wlewamy do makaron i jajka. Szybko mieszam, szybko, cały czas. Teraz makaron z karamel dajemy na orzechy do foremki. Wyrównam wierzch, tak. Foremka idzie na trzy kwadransy do gorący piec. Mamy święto Roszaszana. Kiedyś mieliśmy *sukkot* – cały czas na polu, śniadanie na polu, obiad i kolacja. Kugel wyjmujemy z piec, teraz dziesięć minut na zimno, a potem chwytny pergamin i odwracamy do góry nogami. Tak. Teraz orzechy i rodzyнки są na wierzchu. No i mamy kugle na święto Roszaszana. I następny rok będzie słodki. *Szana towa!* To znaczy: żebyśmy zostali zapisani na następny dobry rok.

Jutro zaczyna się żydowski nowy rok. Pani Morbitzer, babcia Wiery, pokazała mi, jak się robi kugel. Zapisałam wszystko, tak jak mówiła, bo to takie ładne (w żydowskich słowach pewnie zrobiłam milion błędów).

Pan Bach, tata Wiery, ma trzy sklepy kolonialne: na Krakowskiej, na Kolejowej i na Grodzkiej, i ciągle się skarży na horrendalne cła, jakie musi płacić od sprowadzanych towarów. Olek, brat Wiery, studiuje prawo, a Wiera, choć jest w moim wieku, już w zeszłym roku zdała małą maturę i teraz jest w liceum Królowej Wandy na Oleandrach. Jest bardzo, ale to bardzo zdolna, a najbardziej lubi biologię i matematykę.

Gdy jedziemy autem do Różan, mijamy biedne żydowskie wsie i miasteczka z nędznymi domami i umorusanymi dziećmi bawiącymi się w kurzu na drodze. Mieszkają tam brodaci Żydzi w czarnych wyświeconych chałatach i hałaśliwe Żydówki w skołtunionych rudych perukach. Jednak w domu Wiery mówi się po polsku, nikt nie nosi chałatu ani peruki. Mają choinkę i sylwestra tak jak my,

a oprócz tego Roszaszana. Czyli mają lepiej.

28.09

Uroczysta kolacja – przekroczyliśmy równik.

Przed nami Dar es Salaam. Ma tam na mnie czekać przedstawiciel Neil Mackay Trading Co.

Na niebie miliony obcych gwiazd. Niebo wygląda zupełnie inaczej niż w Schönwalde.

**30 września, poniedziałek**

Lato minęło. Znowu pada.

## Czyżby zmiana klimatu na naszej ziemi?

(m) Niezwykłe zjawiska meteorologiczne na naszej ziemi wywołują w świecie uczonych przypuszczenie, że glob ziemski przechodzi fazę tajemniczych zmian klimatu. Podczas gdy w Stanach Zjednoczonych panuje klęska niespotykanych dotychczas upałów, powodujących zgon kilkuset osób, a trąby powietrzne i katastrofalne huragany wywołują żywiołowe klęski w środkowo-zachodniej Ameryce, równocześnie nawiedza Chiną fala strasznych powodzi, a w innych okolicach Azji panuje długotrwała posucha. Także Europa cierpi wskutek uporeczywego zima i deszczów, a równocześnie w tym samym pasie klimatycznym panują upały i posucha.

Z Melbourne w Australii nadchodzi sensacyjna wiadomość, że w Alpach australskich spadł kolorowy śnieg już trzeci raz w roku bieżącym. Zamiast bieli panował

kolor brązowy w nizinach, natomiast w górach lśnił śnieg rubinową czerwienią. Najjaśniejszą czerwienią odznaczał się śnieg na szczycie Mount Buller, oraz w pobliżu schroniska na górze św. Bernarda, gdzie ciemniejsza, rdzawo-czerwona warstwa miała 2 i pół centymetra grubości, druga nieco jaśniejsza 1 cm. Te śnieżno-czerwone powłoki przerywały białe pasy śniegu, o szerokości 12 cm.

Pewien rzeczoznawca w zakresie meteorologii w Anglii, oświadczył, że dziwne to zjawisko przypisać należy zmianie ustosunkowania się ziemi do innej planety. Pojawiała się również teza innego meteorologa, a mianowicie że klimat uległ na całym świecie zmianie i naogół temperatura podnosi się, jak wskazuje na to porównanie z połową ubiegłego stulecia.

30.09, DAR ES SALAAM

Oślepiający blask słońca. Błękitny ocean. Palmy kołyszące się na wietrze. Smak egzotyki: świeżo wyciśnięty sok z trzciny cukrowej z owocem limy i imbirem.

Spodziewałem się sztywnego Anglika, tymczasem zobaczyłem opalonego na brąz czterdziestolatka w hełmie korkowym, luźnej białej koszuli i płóciennych spodniach. Jens Vetter jest Holendrem i z miejsca zaproponował, byśmy sobie mówili na ty. Do Afryki przyjechał dziesięć lat temu. Najpierw był w Kraju Przylądkowym, potem w belgijskim Kongo. Jego pierwsze pytanie brzmiało: „Polujesz?”. Kiwnąłem głową. „To dobrze, bo to tutaj jedyna rozrywka”.

## 1.10, DODOMA

Neil Mackay Trading Co. ma siedzibę w luksusowej willi otoczonej ogrodem, w którym stoją domki dla gości. Firma zatrudnia ponad stu Europejczyków i prawie dwieście tysięcy czarnych. Ma plantacje goździków, kawy, herbaty i trzciny cukrowej, kopalnię szafirów, tartaki oraz sieć faktorii, które skupują przede wszystkim kość słoniową i futra dzikich zwierząt. Moim głównym zadaniem będzie nadzorowanie wyrębu lasu i pracy w tartaku. Dostałem książkę z instrukcjami („Nie wolno się spoufalać z czarnymi, ale warto zaskarbić sobie ich sympatię”, „Prywatne polowania i wycieczki nie mogą zakłócać normalnej pracy”) oraz opiekuna – Jensa Vettera, pod którego okiem przez trzy miesiące będę się wdrażał do obowiązków.

---

### **4 października, piątek**

Nucę sobie piosenki z filmu *Dwie Joasie*: „Od miłości nikt się nie wykreśli” i „Dlaczego właśnie dziś ma być ten wielki dzień, gdy wyznam ci mą miłość bez wahań i drzeń”. Jutro zaraz po szkole jedziemy do Różan, bo jest pięknie jak w lecie!

---

## 5.10

Kolej zbudowali tu Niemcy.

Siedzę w przedziale jak dziecko – z nosem przyklejonym do szyby. Zebry i żyrafy biegną niemal równo z pociągiem. W dali parasolowate akacje, samotny baobab.

## 6.10, VICTORIA NYANZA

Takie nazwy jak Shinyanga, Mwanza, Nzera działają na wyobraźnię. Równie mocno jak opis objawów malarii i żółtej febry.

Na pokładzie małego parowca w ramach terapii antymalarycznej popijamy tonik (wodę sodową z chininą) z kilkoma kroplami dzinu. Jens przeplata opowieści o Afryce historiami o Holandii i Nijmegen. Nazwa jego rodzinnego miasta (które leży tuż przy granicy niemieckiej, a prawa miejskie dostało od cesarza Trajana) brzmi w moich uszach równie egzotycznie jak Ngorongoro.

Woda jest turkusowa, mijamy wysepki z rajskimi plażami, na których wygrzewają się krokodyle. Roi się tu od ptaków – rozpoznaję pelikany, marabuty, bociany i żurawie. Dziesiątków innych gatunków nie znam. Jens mówi, że wystarczy zarzucić wędkę, by złowić rybę. Na moje westchnienie, że chętnie bym popływał, uśmiecha się. „Zapomnij o takich przyjemnościach. W jeziorach i rzekach, prócz cicho i sprawnie polujących krokodyli oraz hipopotamów, które są groźniejsze od lwa,

mieszkają przywry: pasożyty wwiercające się w skórę i przenikające do naczyń krwionośnych, a potem do płuc, wątroby, mózgu”.

Ochota na kąpiel mija jak ręką odjął. A Jens mówi dalej: „Nowych zawsze sprowadzają w sierpniu albo we wrześniu, bo to najlepszy czas, żeby zobaczyć Jezioro Wiktorii. Nie jest za gorąco i nie pada. Każdy patrzy na błękitną wodę i biały piasek. Tymczasem trzeba patrzeć na takie rzeczy jak gęste trawy na tamtych mokradłach. Widzisz? Tam gdzie ta ścieżka. To wymarzone miejsce dla much tse-tse. Witaj w Afryce, *mzungu!*”.

---

### **7 października, poniedziałek**

W sobotę siedziałam w stodole, patrzyłam na Piotra rozmawiającego z rządcą i szkicowałam. Potem wyjęłam farby i starałam się oddać jego uśmiech, kolor warg, błękit oczu, gest, jakim odsuwa z czoła kosmyk włosów. Po kolacji zapukałam do jego gabinetu. Obejrzał akwarełę i powiedział: „Świetnie oddałaś kolory. Mało kto zauważa, że słoma owsiana jest zielonkawożółta, żytnia ma ciepły żółty kolor, a pszeniczna jest prawie pomarańczowa”. Podarłam obrazek.

---

### **9.10, NGARA**

Na przebycie stu kilometrów od bezimiennej przystani nad Jezioro Wiktorii do Ngary potrzebowaliśmy niemal całego dnia. Moje bagaże, które jechały pociągiem do Shinyangi, a potem ciężarówką przez Nyabugombe, wyprzedziły mnie o jeden dzień i czekały w domu Jensa.

Po drodze zahaczyliśmy o Biharangwe – małą osadę na skraju dżungli, z tartakiem i przystanią nad jeziorem. Za trzy miesiące to będzie mój dom i miejsce pracy. Kierujący nim Belg został zwolniony, bo się rozpił, i teraz Jens dogląda dwóch placówek.

### **13.10**

Dom Jensa jest drewniany, rozłożysty, z dużą werandą. Ja mam dla siebie nowoczesny, murowany, kryty blachą dom w ogrodzie: z dwoma pokojami, dobrze wyposażoną łazienką i kuchnią z europejskimi meblami i angielską porcelaną. Obiecuję sobie, że gdy się przeniosę do Biharangwe, urządzę się tak jak Jens: palisandrowy stół, kanapy przykryte miejscowymi tkaninami, czerwono-brunatna mahoniowa podłoga, cienista weranda.

### **14.10**

Dzień i noc trwają tu po dwanaście godzin, a wschód i zachód słońca wyznaczają rytm życia.



Zegarki nie są potrzebne. Wstajemy o świcie, pracujemy od siódmej do dwunastej i od trzeciej po południu do piątej. Po szóstej zachodzi słońce i zaraz robi się ciemno, tak jakby ktoś zgasił światło.

Afrykańska noc jest pełna głosów. Cykanie świerszczy, gwizd ptaków, pohukiwanie małąp. Wielka ćma tłucze o szkło lampy naftowej.

Po zmroku najlepiej jest wejść pod moskitierę, sprawdziwszy wcześniej siatki w oknach. Noc to pora komarów roznoszących malarię i żółtą febrę.

---

### **14 października, poniedziałek**

Pachną tuberozy, które pan Podoski przyniósł wczoraj babci. Noc jest bardzo jasna, można marzyć i pisać przy księżycu.

---

#### **15.10**

Zawróciłem od swoich drzwi, bo na werandzie dużego domu zostawiłem książkę. Okiennice od frontu jeszcze nie były zamknięte i zobaczyłem Jensa w objęciach Mutombo, która oficjalnie jest jego praczką. Smukłe czarne ramiona na białych, piegowatych plecach. Tęsknota za kobietą.

---

### **15 października, wtorek**

Byłam z Irką na *Czy Lucyna to dziewczyna?* Najbardziej podobała mi się scena, gdy Smosarska staje przed lustrem w jedwabnym szlafroku i mówi do siebie: „Jestem kobietą i zdobędę go, choćby miał serce z lodu”.

Dziś na przerwie przed angielskim śpiewaliśmy z Irką:

Jeśli znajdę taką żonę, że się kochać będę w niej,  
okej, okej, będę zawsze wierny jej.  
Nie przyczynię takiej żonie ani smutków, ani łez,  
o yes, o yes, będę zawsze wierny jej jak pies.  
Obnosić będę ją na rękach,  
rzucę jej pod nogi cały świat,  
ze słońca będę przez okienko  
promienie złote dla niej kraść.

---

16.10

Złapałem się na tym, że śledzę każdy ruch Mutombo. Patrzyłem, jak z koszem bielizny na głowie idzie nad strumień. Ukradkiem poszedłem za nią. Nim zaczęła pracować, rozwiązała kangę i owinęła nią tylko biodra. Okrągłe piersi podskakiwały, gdy energicznie namydlała bieliznę.

---

### **18 października, piątek**

„Z kapitału żyją tylko głupcy i utracjusze”. Przypomniałam sobie te słowa babci, gdy za resztkę kieszonkowego kupowałam w Uciesze bilety dla siebie i dla Wiery na *Kocham wszystkie kobiety* z Janem Kiepurą (którego babcia nie znosi).

### **19 października, sobota**

Wiera jest jedyną Żydówką w klasie. Zapytałam, czy z wszystkimi odmawia modlitwę na początku lekcji i przed wyjściem do domu. Odrzekła, że nie, że „stoi i milczy, pełna szacunku”. Nie miałam odwagi zapytać o lekcje religii, choć bardzo mnie to ciekawiło. Jakimś sposobem się domyśliła i powiedziała: „Przez cały wrzesień podczas religii siedziałam na korytarzu i czytałam książkę. Każdy przechodzący nauczyciel, tercjan, sekretarka pytali, co tutaj robię, i każdemu musiałam się tłumaczyć. W końcu nie wytrzymałam i poprosiłam księdza, żeby mi pozwolił zostawać w klasie. Zgodził się od razu. No i teraz mam spokój”.

---

20.10

Wypytyuję Jensa o obyczaje, mając nadzieję, że powie coś o związkach białych z Murzynkami. Na pewno wie, o co mi chodzi, mimo to mówi tylko, że większość obowiązków spada tu na kobiety. Rodzą dzieci, pracują w polu, zbierają chrust, gotują, piorą, sprzątają. Mężczyźni doglądają stad bydła, polują, najchętniej jednak siedzą przed chatą i piją wino palmowe lub piwo z bananów.

Pytam, dlaczego afrykańska kobieta nie wnosi mężowi posagu, tylko mężczyzna płaci za żonę. „Rodzina traci ręce do pracy, więc należy się jej rekompensata, a poza tym mężczyzna udowadnia w ten sposób, że ma jakiś majątek i będzie mógł utrzymać żonę i dzieci. No i kobieta dwa razy się zastanowi, zanim opuści męża, bo wtedy rodzina musi zwrócić to, co za nią dostała”.

Wspominam o królu Mutesie, który miał osiemdziesiąt cztery żony. „Był królem i było go stać. Poza tym im więcej żon, tym większy szacunek. A tak w ogóle, poligamia to świetny wynalazek, nie

sądziysz?”, mówi Jens i wraca do pracy.

## 22.10

Faktoria jest ośrodkiem rolniczym, przemysłowym i handlowym. W zależności od położenia obejmuje plantacje (i odpowiednie fabryczki, takie jak wyciskarnia oleju palmowego), tartaki, kopalnie, a także składy i sklepy z towarami dla robotników i ich rodzin. Kluczowa jest sprawa transportu – Tanganika to kraj bezdroży, więc trzeba wymyślić, jak zgromadzone towary dostarczyć do stacji kolejowej, spławnej rzeki albo jeziora, skąd są transportowane do Tangi, Mtwary albo Dar es Salaam.

## 23.10

Jens powiedział dziś nagle: „Kobiety umilają człowiekowi życie. Radzę ci, gdy już przeniesiesz się do siebie, znajdź sobie jakąś dziewczynę. Dasz jej rodzinie kilka krów, trochę pieniędzy, od czasu do czasu jakiś prezent i wszyscy będą zadowoleni. Anglikowi bym tego nie powiedział, bo oni mają o sobie niezwykle wysokie mniemanie. Zarządowi naszej Kompanii też by się to nie spodobało, więc bądź dyskretny”.

---

## **23 października, środa**

Po koncercie f-moll Chopina słuchamy z babcią przez radio żydowskich pieśni religijnych. Przejmujące!

Dokąd po śmierci pójdzie rodzina Wiery? Nie wierzę, że do piekła. Piekło jest dla złych ludzi.

## **24 października, czwartek**

Pan Bach wyjmował chustkę z kieszeni i wypadło mu pięć groszy. Schylił się jednocześnie z Wierą i stuknęli się głowami. „Prawdziwa Żydówka – powiedział. – Kiedy Żydzi z Judei przybyli do Rzymu, by złożyć hołd cesarzowi, stojący na ich czele stary rabbi zastanawiał się, jak ich nakłonić do popełnienia grzechu i ukłęknięcia, co było wymagane podczas hołdu. Gdy cesarz wszedł do sali, rabbi upuścił monetę, która z brzękiem upadła na marmurową posadzkę. Całe żydowskie poselstwo runęło na kolana”.

Babcia Wiery poczęstowała mnie gefilte fisz. Pyszna! Wzięłam od niej przepis.

### PRZEPIS NA GEFILTE FISZ

2 karpie skrobiemy, patroszymy i myjemy. Oddzielamy mięso od ości i skóry.

Głowy, skórę i ości zalewamy zimną wodą i zagotowujemy na wolnym ogniu.

Osobno gotujemy 2 duże ziemniaki w mundurkach.

Dużą cebulę kroimy na ósemki i podsmażamy na oleju.

Mięso karpia, obrane ziemniaki i cebulę przepuszczamy przez maszynkę do mięsa. Dodajemy jajko, sól, pieprz, trochę cukru i wyrabiamy.

Z tej masy można zrobić małe pulpety albo roladę. Babcia Wiery robi roladę.

Wykładamy masę na arkusz pergaminu, formujemy w wałek i zawijamy, a potem skręcamy brzegi pergaminu tak jak papierek od cukierka. Wkładamy do wrzącego rybnego wywaru razem z trzema obranymi marchewkami. Wywar lekko solimy i dodajemy kilka ziaren pieprzu. Gotujemy na wolnym ogniu, tak żeby wywar tylko mrugał, przez półtorej godziny.

Wyjmujemy roladę, rozwijamy z pergaminu i kroimy na plastry. Na każdy kładziemy plasterek ugotowanej marchewki. Do gefilte fisz podaje się ćwikłę z chrzanem albo sam chrzan.

### ***25 października, piątek***

Babcia szykuje dom do zimy. Dziś na kuchennym ganku wietrzyła z Marcysią zimowe ubrania. Po południu pomogłam przynieść je z powrotem do szaf. Przytuliłam twarz do miękkiego jak puch futra z oposów. Pachnie jeszcze perfumami mamy. Mamusiu, tak bardzo za tobą tęsknię!

---

27.10

Zaczyna się mała pora deszczowa. W południe przeszedł ulewny deszcz.

28.10

Śniła mi się Z. Ale nie jako dziewczynka z fotografii, lecz dorosła kobieta. Tańczyła na tarasie w Schönwalde ubrana tylko w afrykańską kangę owiniętą wokół bioder.

---

### ***31 października, czwartek***

Cała szkoła poszła do krypty marszałka Piłsudskiego. Pochowano go w kryształowej trumnie. Na samą myśl o tym robi mi się słabo. Babcia jest taka kochana! Od razu mnie zrozumiała i zwolniła z wyjścia na Wawel. Przytuliła mnie i powiedziała: „Nie wszystko trzeba widzieć”.

### ***2 listopada, sobota, Zaduszki***

Łuna świąteł nad Rakowicami. Nie lubię listopada, nie lubię grudnia.

### ***4 listopada, poniedziałek***

Irka opowiada, że na Wawelu były tłumy. Długi szereg ludzi przesuwiał się w milczeniu, żeby spojrzeć na Marszałka. Podobno wygląda tak, jakby spał.

### ***6 listopada, środa***

Kupiłyśmy sobie z Wierą na pół torebkę pieczonych kasztanów. Na Plantach przez żółte liście

przeświecało słońce, piecyk dymił, szurały kasztany przesuwane na patelni. Nagle poczułam ukłucie w sercu: Justyna lubiła kasztany. Już nigdy ich nie spróbuje, bo w niebie pewnie ich nie ma.

---

## 6.11

O świcie ruszyłem z dwoma tropicielami do dżungli. Marzyło mi się spotkanie z grubym zwierzem. Jestem tu już miesiąc, a upolowałem zaledwie kilkanaście kaczek i dzikich kuropatw. Jens mówi, żebym poczekał do pory suchej. Wtedy zwierzęta zbliżają się do rzek i nie trzeba ich szukać w gąszczu.

Posuwaliśmy się dość szybko wąską ścieżką. Rozglądałem się pilnie, a jednocześnie patrzyłem to pod nogi, to na gałęzie na wysokości twarzy. Raczej mało prawdopodobne, by czał się w nich polujący na ptaki jadowity wąż drzewny, widziałem jednak Murzyna, który w dżungli stracił oko, uderzony w twarz kolczastą gałęzią.

Tropiciele zatrzymali się przed gęstwiną mangombe. Nie zdziwiło mnie to, bo przez mangombe trudno przejść, nawet z maczetą. Te rośliny mają jakieś cztery metry wysokości, półmetrowe ciemnozielone liście i twardą, węzlastą łodygę o średnicy mniej więcej dwóch centymetrów. Rosną blisko siebie, ciasno zbite, tak że można się wdrapać na ich korony i leżeć na twardych liściach jak na materacu.

Jeden z tropicieli pokazał na widoczne na ścieżce odciski stóp z wielkim palcem dużo dłuższym i grubszym niż pozostałe i silnie odchylonym w bok. „Gorilla”, szepnął.

Ruszyłem z bronią gotową do strzału. Trop ginął w gąszczu mangombe. Ziemia była zryta, gałęzie połamane.

Nagle za plecami usłyszałem wrzask. Jeden z tropicieli z krzykiem biegł w moim kierunku, drugi bez celowania wystrzelił z kapiszonówki do wielkiej brązowoczarnej małpy i też rzucił się do ucieczki. Małpa, choć ranna, była szybsza. Po dwóch krokach zrównała się z nim, wyprostowała i wbiła mu pazury w ramiona. Tropiciel wrzasnął z bólu i upadł.

Wymierzyłem i wtedy małpa podniosła głowę. Spojrzała mi prosto w oczy. Poczułem się tak, jakbym miał strzelić do człowieka. Ale nie było wyjścia. Zraniony goryl jest śmiertelnie niebezpieczny. Położyłem go jednym strzałem.

Na czarnej skórze słabo widać krew, rany tropiciela były jednak głębokie. Opatrzyliśmy je prowizorycznie i zostawiając cielsko goryla na ścieżce, wróciliśmy do Ngary.

Pocziwy Jens powstrzymał się od „a nie mówiłem?”. Powiedział tylko, że czerwone kielki mangombe są przysmakiem goryli i że tutejsi Murzyni nie polują na nie. Polowanie na goryle jest bardzo niebezpieczne, a przede wszystkim ich mięso jest niesmaczne. Tylko skóra ma zastosowanie –

czarni robią z niej tam-tamy.

---

### **10 listopada, niedziela**

Babcia uczyła mnie piec gęś. Na obiedzie byli pan Podoski i doktor Lackowski. Dostałam od doktora wielkie pudełko czekoladek. Do gęsi zrobiłam marchewkę według przepisu mamy Wiery. Pyszna!

### **PRZEPIS NA DUSZONĄ MARCHEWKĘ**

Obraną marchewkę pokroić w słupki lub w grubsze plasterki (ja pokroiłam w słupki) i wrzucić na łyżkę smalcu z gęsi (ja użyłam klarowanego masła). Dodać szczyptę soli i szczyptę cukru. Lekko poddusić. Dolać sok wyciśnięty z pomarańczy (jedna na pół kilo marchwi) i dusić do miękkości.

### **11 listopada, poniedziałek**

Dziś nie było lekcji, tylko uroczysta msza i akademia z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Siostry zaprosiły rodziców. Babcia też przyszła, choć ja nie występowałam. Jestem w żałobie, poza tym nie lubię publicznych występów.

### **12 listopada, wtorek**

Dostałam list z Penzance. Patrząc na podpisy: siostra Agatha, siostra Madeleine, Emily, Renate, Martha, Eliza, Dorothy. Widzę je wszystkie, tak jakby stały przede mną. ~~Żałuję, że już nie jestem jedną z nich.~~

---

12.11

Mała pora deszczowa. Ciemne chmury pojawiają się znikąd, zasłaniają słońce i spuszczają na ziemię strugi deszczu. Po godzinie niebo znów jest błękitne, a jedynym śladem po ulewie są wezbrane strumienie. Ścieżki rozmiękają, buty okleja szara maź.

---

### **14 listopada, czwartek**

Wróciło lato. Jest dwadzieścia stopni ciepła.

# Wielka rozbudowa Krakowa.

## Rosną nowe gmachy, powstają nowe dzielnice.

(ef) Sprawa rozbudowy naszego miasta jest niewątpliwie kwestją najbardziej żywotną, interesującą ogół Krakowian. W naszych oczach dzięki ogromnemu ruchowi budowlanemu powstają w różnych partiach Krakowa już nie tylko nowe ulice, ale

### poprostu nowe dzielnice.

Najbliższą i największą budzącą zaciekawienie, jest dzielnica reprezentacyjna, zamykająca się między początkiem Al. 3-go Maja, Al. Mickiewicza i ul. Reymonta. Na gruntach tych wzniesiono już w surowym stanie budynek Biblioteki Jagiellońskiej. Wspaniały ten gmach reprezentacyjny wyposażony w przyszłości w najnowsze urządzenia, będzie miał fasadę z naturalnego kamienia. Już z wiosną przyszłego roku przystąpi się do jej budowy. Przewiduje się, że budynek ten oddany zostanie do użytku za dwa lata.

Na rogu Al. 3 Maja i Al. Mickiewicza rozpoczęto w br. budować nowy gmach Muzeum Narodowego. Budynek ten, o ile pogoda na to pozwoli, doprowadzamy będzie w br. pod dach. Według projektu, jest to gmach o dwóch kondygnacjach, ale bardzo wysokich, ze względu na ogromne płótna, które muszą znaleźć tam pomieszczenie. Co do wysokości, odpowiada on 5-piętrowej czynszówce.

Nieopodal gmachu Muzeum Narodowego znajduje się Dom Akademicki im. Prez. Mościckiego, obecnie kończony. Obok niego, według projektu, stanie prawdopodobnie nowy budynek gimnazjum męskiego. Istniejący Miejski Dom Wycieczkowy ma być w przyszłości rozbudowany, przyczem stanie nowe skrzydło. Toż samo dotyczy Domu im. Marszałka J. Piłsudskiego. Narazie stoi tylko jedno skrzydło, ma być jednak wybudowany główny maszyn gmachu i drugie skrzydło boczne.

Z chwilą wybudowania tych wszystkich gmachów, i urzędowania do nich, dzielnica ta w połączeniu z przekształconym, a rozszerzonym parkiem dra Jordana i budującym się wielkim stadionem sportowym, stanie się naprawdę dzielnicą reprezentacyjną.

Naprzeciwko budującego się gmachu Muzeum Narodowego znajduje się duża przestrzeń zatrawiona między Al. Krasieńskiego, przedłużeniem ul. Smoleńsk i placem sportowym Klubu Cracovia. Jak słychać, przestrzeń ta posłuży dla wzniesienia monumentalnego gmachu, będącego odpowiednikiem budynku Muzeum Narodowego. Będzie to nowy gmach DOK V. Urządzą tam także na reszcie istniejącego placu — skwer

W naszych oczach powstaje

### drugi pierścień plant

wzdłuż Al. Trzech Wieszczów. Roboty rozpoczęto w ub. roku od ul. Długiej, przyczem prowadzone są one, dochodząc już do ul. Karmelickiej. Partja od ul. Długiej obsadzona będzie jeszcze jesienią br. drzewami i krzewami, które już w przyszłym roku zazielenią się, tworząc barwne plamy zieleni, na tle szarych nowoczesnych bloków kamienia.

W związku z urządzeniem drugiego pierścienia plant, wylania się kwestja uregulowania zaniedbanego bardzo Parku Krakowskiego. Musi on być obcięty o szerokość potrzebną na założenie skwerów i po drugiej jego stronie biegnącej ulicy. Zakończy to żywot dotychczasowej pływalni, na miejscu której biec będą skwery i ulica.

Były pogłoski o zniesieniu zupełnie tego parku. Mówiono, że znajdujący się tam staw jest siedliskiem malarzli i że wreszcie park ten nie jest potrzebny ze względu na powstawanie skwerów wzdłuż Al. Trzech Wieszczów. Obecnie, jak słychać, park ten jednak całkowicie nie będzie zniesiony, co zresztą podyktowane było względami zdrowotności mieszkańców tamtej dzielnicy, nadmiar bowiem zieleni nigdy nie zaszkodzi. Przy obcinaniu parku na skwer i ulicę biegnącą po drugiej stronie, powinno się pamiętać o urządzeniu jakiegoś ogrodzenia bardziej estetycznego, niż obecne.

### 15 listopada, piątek

Na rysunkach siostra Zenobia zadała temat jak w pierwszej klasie: „Jak sobie wyobrażasz Kraków za dziesięć lat”. Dziewczynki rysowały szklane domy albo szerokie ulice z mnóstwem samochodów, a ja narysowałam plan zachodniej części miasta, z drugimi Plantami, Biblioteką Jagiellońską i nowym muzeum, które się buduje.

### 17 listopada, niedziela

Piotr opowiadał wczoraj, że koło Łowicza spadł deszcz meteorytów. Patrzyłam na niego i myślałam o życzeniu, które bym wypowiedziała bez końca, gdybym zobaczyła dziesiątki spadających gwiazd.

### 18 listopada, poniedziałek

Babcia każe mi pić mleko. Mleko jest dobre w lecie — zsiadłe. Nie znoszę gorącego mleka z kozuchami. Pokazałam babci reklamę w „Ikacu”. Tylko się roześmiała.

**25 listopada, poniedziałek**



Posłaniec z księgarni Goldmana przyniósł pakę książek, które zamówiła babcia. Wyjmowała je po kolei, gładziła oprawy, niektóre przeglądała od niechcienia, a nawet wahała. Potem wybrała *End of the Chapter* Johna Galsworthy'ego, kazała Marcysi podać sobie herbatę i teraz czyta. A ja się biedzę nad zadaniem z matematyki. Wiera pojechała z rodzicami na kilka dni do

Warszawy i nie ma mi kto pomóc.

---

27.11

Ogrodnik Jensa zabił dziś małego węża boa, który się wślizgnął do klatki z królikami, udusił dwa i pożarł, a potem był za gruby, żeby się wydostać przez pręty.

Afryka zawsze mi się kojarzyła z jadowitymi węzami. Tymczasem węże mają tu takie same zwyczaje jak w Europie: uciekają przed człowiekiem i ukąszenia zdarzają się rzadko – zazwyczaj wtedy, gdy ktoś nadeptnie na węża lub zbyt blisko podejdzie do jego gniazda.

---

**1 grudnia, niedziela**

Za trzy tygodnie będziemy już w Różanach! Nie mogę się doczekać!

Byłyśmy z babcią na imieninowym obiedzie u pana Podoskiego. Hanka i Piotr nie przyjechali. Hanka niedługo urodzi dziecko i nie rusza się z Różan. Wyhaftowałam dla pana Podoskiego poduszkę na fotel z jego inicjałami. Bardzo mu się podobała.

Wiera wróciła z Warszawy. Zachwyca się wielkomiejskim ruchem, eleganckimi strojami przechodniów, ciastkami u Bliklego i lodami u Lardellego. ~~Đawno nie bylam w Warszawie. Jeszcze z Rodzicami~~ Mnie wielkomiejski pęd oszałamia. Szybka jazda autem to też nie dla mnie. Żołądek podchodzi mi do gardła. Nie jestem nowoczesna. Lubię dorożki.

---

1.12

Zrobiłem wieniec adwentowy – z liści palmy zamiast jodły – i powiesiłem na swoich drzwiach. Do najbliższej misji protestanckiej są cztery dni drogi, do katolickiej – dwa. Nie jestem zbyt religijny,



trochę jednak mi żal, że w Boże Narodzenie nie będę mógł pójść do kościoła.

---

### **3 grudnia, wtorek**

Byłam z Wierą w Adrii na *Rapsodii Bałtyku*. Film taki sobie, ale ta Gdynia! Od razu poznałam Oksywie i figurę Matki Boskiej Stella Maris, plażę, port jachtowy. Bałtyk jest taki piękny!

### **5 grudnia, czwartek**

Marzę przed snem i staram się zasnąć jakby w połowie, tak żeby mi się to dalej śniło. Czasem mi się udaje.

Wczoraj wieczorem myślałam o plaży nad Bałtykiem, o Gdyni i Juracie. I o Piotrze. Wyobrażałam sobie, jak razem spacerujemy brzegiem, płyniemy jachtem. Przyśniło mi się Penzance. Długi korytarz do kaplicy. Dziwnie pusty refektarz. Potem wysokie kamienne nabrzeże, które niespodziewanie zmieniło się w stromy klif. Wiedziona jakąś dziwną siłą, podeszłam nad samą krawędź. Okropnie się bałam. W dole kipiło morze. Czułam, jak coraz bardziej się przechyłam i zaczynam spadać. Obudziłam się, zanim wpadłam do wody.

Tęsknię za Penzance.

### **6 grudnia, piątek**

Idzie zima. Babcia każe mi pić tran.

### **7 grudnia, sobota**

Dostałam od Świętego Mikołaja przepiękną sukienkę balową z białej organdy, dorosłą – z dopasowanym stanikiem i dużym dekoltem! Gdy ją przymierzyłam, nie miałam ochoty zdejmować.

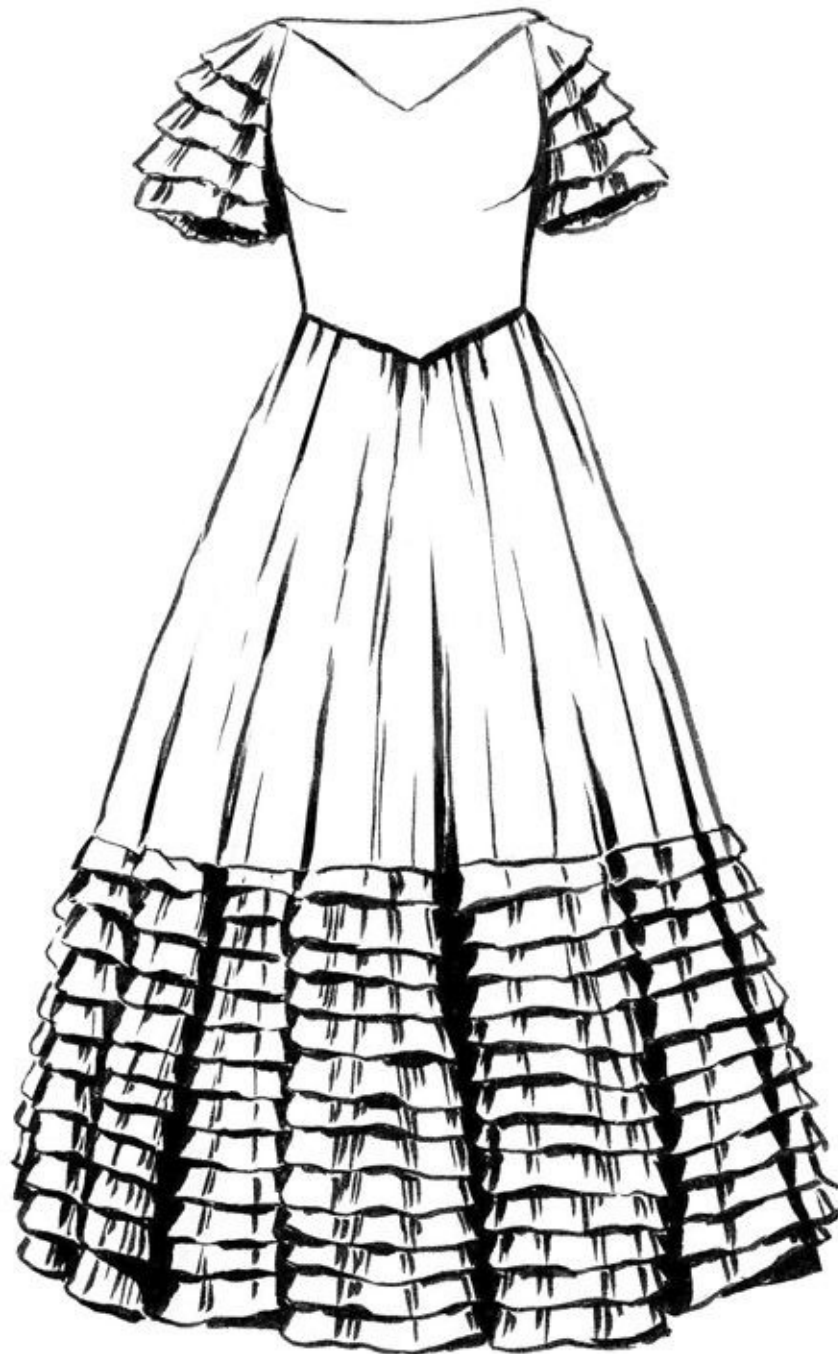
Za niecałe dwa tygodnie pierwsza rocznica śmierci Rodziców i Justyny. Czy nowa sukienka powinna mnie tak cieszyć? Babcia jak zwykle czytała w moich myślach i powiedziała: „Trzeba przeżyć żałobę, ale nie zasklepiać się w niej. Niedługo skończysz szesnaście lat. To pora na zabawę”.



**Od najmłodszych lat**

należy uodparniać organizm dziecka, chroniąc je szczególnie przed krzywicą i chorobami zakaźnymi. Norweski Tran Leczniczy stosuje się po 3 łyżeczki dziennie. Produkcja Norweskiego Tranu Leczniczego kontrolowana jest przez władze państwowe w Norwegii – gwarantowana jest zatem czystość i jakość produktu.

**NORWESKI TRAN LECZNICZY**  
słynny jest na całym świecie.



---

## 8.12

Jens wziął mnie w „objazd”. Sprawdzaliśmy drzewostan, Jens uczył mnie, jak się planuje wycinkę lasu i wyznacza miejsca pod nowe plantacje.

Poziom wód w rzekach podniósł się na tyle, że mogliśmy popłynąć pirogami. Rzeka Burigi jest bystra i kręta. W porze deszczowej wpada do niej mnóstwo strumieni. Płynęliśmy wśród dżungli. Konary niektórych drzew zwisały nisko nad wodą. Na jednym wypatrzyłem ogromnego zielono-brązowego węża, jednak zanim zdążyłem sięgnąć po broń, prąd uniósł pirogę i drzewo znikło za zakrętem. Po dwóch godzinach krajobraz się zmienił: dżungla była jaśniejsza, brzegi wyższe. Nad

jarem przerzucono wiszący most sklecony z lian.

Jens dał znak i pirogi przybiły do brzegu. Pierwszy raz widziałem osadę w głębi dżungli. Wyglądała jak murzyńska wioska z dziewiętnastowiecznych litografii w książkach, którymi zaczytywałem się w dzieciństwie: okrągłe gliniane chaty kryte liśćmi palmowymi, kury grzebiące w piasku i chmara dzieci, które z wrzaskiem wyległy na brzeg, by zobaczyć *mzungu*.

Po powitaniu wódz wioski – potężny Murzyn w czapce ze skóry lamparta i naszyjniku z kłów lwa – wręczył Jensowi kurę i kilka jajek (tutejszy zwyczajowy prezent), Jens zaś odwzajemnił się zwitkiem banknotów. Dla żon wodza miał kangie, dla wioskowej starszyny – tytoń i siekiery.

Dom wodza stoi w środku wsi, za niskim płotem. Ten sam płot otacza pięć mniejszych chat, w których mieszkają żony wodza – każda oddzielnie, ze swymi dziećmi.

Wódz zaprosił nas do swojego domu. Usiedliśmy na niskich taboretach. Młoda Murzynka w spódniczce z traw podała tykwy z winem palmowym – lekko musującym, o truskawkowym smaku. Gdy Jens prowadził grzecznościową konwersację, zerkałem na ściany obwieszane łukami, tarczami, dzidami, amuletami i pękami ziół. Potem przyszła kolej na przedstawienie mnie. Pouczony wcześniej przez Jensa, na pytanie o żony odpowiedziałem, że w Europie mam trzy żony i pięcioro dzieci. Wódz z uznaniem pokiwał głową. Pewnie wziął poprawkę na mój młody wiek – sam, starszy o jakieś dziesięć lat, ma siedemnaścioro dzieci.

---

### ***16 grudnia, poniedziałek***

W sobotę zaczyna się Chanuka – żydowskie święto świąteł. Pani Morbitzer już jesienią obiecała, że zaprosi mnie wtedy na latkes. Gdy się dowiedziała, że wyjeżdżamy do Różan, zaprosiła babcię i mnie na kolację. Były naleśniki z serem i placki ziemniaczane – inne niż nasze, chyba nawet lepsze, bo bardziej chrupiące.

### **PRZEPIS NA LATKES**

Obrać ziemniaki i zetrzeć na tarce: połowę na małych oczkach, połowę na większych. Dodać cebulę pokrojoną w drobną kostkę, sól i pieprz. Wymieszać i smażyć placki na złoto na gorącym oleju.

### ***Różany, 19 grudnia, czwartek***

Przedwczoraj była msza za Rodziców i Justynę. Już rok, jak ich nie ma. Co to właściwie znaczy „rok”? W kościele chwilami wydawało mi się, że to ich pogrzeb, a potem, że umarli już dawno temu. Tęsknię za nimi. Czasem łzy znienacka ciekną mi po policzkach albo tak mnie ścisną w gardle, że nie mogę oddychać. Ale czasem śmieję się jak kiedyś. Czy to jest w porządku?

### ***20 grudnia, piątek***

Cały dzień spędziłam w wędzarni i w kuchni. Paliłam ziarna kawy, zbierałam jajka, widziałam, jak się wędzi szynki, oddziela śmietanę od mleka na centryfudze i ubija masło. Ledwie żyję. Idę spać. Aha, spadł pierwszy śnieg.

### **23 grudnia, poniedziałek**

Wczoraj urodził się Staś! Wczesnie rano obudziła mnie jakaś krzątająca, ale byłam taka zmęczona po całym dniu spędzonym w kuchni, że zaraz znowu zasnąłam. Kiedy o dziewiątej zeszłam na śniadanie, w jadalni była tylko babcia, która oznajmiła mi tę nowinę. Nic nie poczułam. Myślałam, że gdy się słyszy o takiej rzeczy, to czuje się uniesienie, nieziemską radość... Gdy kończyliśmy śniadanie, przyszedł Piotr. Oczy mu błyszczały i cały czas się uśmiechał. Zapytał, czy chcemy zobaczyć nowego przybysza.

Hanka leżała w dużym łóżku, oparta o poduszki ozdobione koronkami. Włosy miała splecione w dwa warkocze. Była blada, prawie taka biała jak poszewki. Lewą ręką przytulała białe zawiniątko. Pierwszy raz widziałam takie małe dziecko. Staś ma pomarszczoną buzię, spłaszczony nosek, jakby opuchnięte powieki i małe, łuszczące się, sinawoczerwone piąstki. Ładne ma tylko ciemnoróżowe usteczka. Od czasu do czasu poruszał nimi, tak jakby ssał. Hanka nieskończenie delikatnym gestem musnęła jego czółko i spod batystowego czepeczka wysunął się czarny loczek. Nie wiedziałam, że dzieci rodzą się takie gotowe, nawet z włoskami.

---

### **23.12**

Kilka dni temu zawitał do nas urzędnik z Dodomy i prócz świątecznych prezentów od Neil Mackay Trading Co. (kilka skrzynek wina, czekolada, sery szwajcarskie) przywiózł pocztę. Zachłannie czytałem listy od rodziców, Antona, Renate, od babci Gail, Paula, Michaela i nagle szaleńczo zatęskniłem za przykrytym śniegiem Schönwalde. Mama przysłała mi paczkę z bielizną, ojciec – kilka książek, najbardziej jednak się ucieszyłem z pierników, torby suszonych owoców i świeczek choinkowych.

### **24.12**

Wigilia w Schönwalde: skrzypiący śnieg, jazda sankami na popołudniowe nabożeństwo, świeczki na choince, kolędy, a potem kolacja. Ryby i pieczona gęś jako połączenie dwóch tradycji: katolickiej – mamy i Renate, oraz ewangelickiej – ojca, Antona i mojej.

Gęsi nie udało mi się upolować. Zastrzeliłem kilka kaczek, a boy Jensa nałowił ryb. Najlepiej jak umiałem, wytłumaczyłem kucharzowi, jak nadziać kaczkę suszonymi – z konieczności – jabłkami. Rezultat był niezły, choć kaczce daleko było do gęsi przyrządzanej przez naszą kucharkę.

Mała akacja o drobnych pierzastych liściach ubrana piernikami i świeczkami udawała choinkę. Za to prezenty były prawdziwe. Miałem drobiazgi dla całej służby, a dla Jensa – złoty zegarek i butelkę szampana. Jens się wzruszył, gdy mu dziękowałem za opiekę.

---

### **26 grudnia, czwartek**

Cieszę się, że święta się skończyły. Ile razy spojrzałam na nakrycie zostawione dla wędrowca na wigilijnym stole, tyle razy chciało mi się płakać. W ferworze przygotowań nie myślałam o Rodzicach ani o Justynie. Ale gdy nie miałam nic do roboty, wróciły wspomnienia zeszłorocznych okropnych świąt.

### **27 grudnia, piątek**

Staś ma ciemnoniebieskie oczy, podobne do oczu Piotra. Babcia mówi, że wszystkie noworodki mają takie oczy i że to się potem zmienia. Może jednak takie mu zostaną?

### **28 grudnia, sobota**

Był kulig! Jechałam w sankach tylko z Piotrem, bo Hanka nie odstępuje Stasia. Gdy sanki przechyliły się na zakręcie, objął mnie ramieniem i już go nie cofnął. Wcześniej cieszyłam się na ognisko w lesie, potem modliłam się w duchu, by jazda w jego objęciu nigdy się nie skończyła.

---

30.12

Z portfela wypadło mi zdjęcie. Schyliłem się, ale Jens był szybszy. Podając mi je, spytał: „Kto to?”.

„Moja siostra”.

„To wiem. Pytam o te dwie ślicznotki”.

„Jej szkolne koleżanki”.

„Podoba ci się ta blondynka?”

„Skąd wiesz?”

„Zdjęcie jest w jednym miejscu wytarte. Często dotykasz jej twarzy, prawda?”

3.01.1936

Biharangwe. Mój nowy dom.

Murzyni mają takie powiedzenie: „Pan Bóg białym dał zegarki, a nam dał czas”. Ja jednak jestem *mzungu* i nie jest mi obojętne, czy coś będzie zrobione dziś czy za tydzień.

---

### ***6 stycznia 1936, poniedziałek, Trzech Króli***

Dziś na mszy o dwunastej będzie chrzest Stasia, a wieczorem bal! Suknia już przygotowana, wisi na drzwiach szafy. Od Aniołka pod choinkę dostałam atłasowe pantofelki do tańca, długie rękawiczki i wachlarz z białych strusich piór. Hanka obiecała, że mnie uczesze. Na bal przyjedzie mnóstwo osób z okolicy i z Krakowa, ja jednak myślę tylko o tańcu z Piotrem.

### ***9 stycznia, czwartek***

Kraków. Szkoła. Zamiast pisać wypracowanie na nudny temat „Przysłowia polskie, niemieckie i łacińskie mówiące o wartości ранней pracy”, myślę o balu w Trzech Króli. Hanka miała suknię z mieniającej się pawio tafty. Wyglądała jak zjawisko. Zatańczyła tylko raz, z Piotrem. Krążyli w powolnym bostonie, patrząc sobie w oczy, tak jakby świat wokół przestał istnieć.

Wyszłam do jadalni i udawałam, że coś poprawiam na stole. „Tu pani jest!”, usłyszałam. W drzwiach stał doktor Lackowski. Szybko otarłam oczy. „Zamawiam u pani trzy tańce z rzędu i bardzo proszę mi nie odmawiać”. Doktor dobrze tańczy. Potem siedział obok mnie przy kolacji i naprawdę ciekawie opowiadał o Kresach. Nigdy tam nie byłam, teraz chciałabym pojechać.

### ***12 stycznia, niedziela***

Babcia odprawia coroczny rytuał: w południe przychodzi nasz stróż, pan Alojzy Korniałowicz, w swoim najlepszym garniturze i lśniących butach, a babcia daje mu noworoczny prezent (w tym roku białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i perłowymi guzikami oraz kopertę z pieniędzmi) i wypija z nim setkę wódki. Wszystko to odbywa się przy małym stoliku w przedpokoju, „żeby go nie krępować”. Pan Korniałowicz uwielbia babcie.

### ***19 stycznia, niedziela***

Poszłam z Wierą na sanki nad Wisłę. Niby już jesteśmy na to za duże, ale świetnie się bawiliśmy. Świeciło słońce i był lekki mroziak.

---

Odwiedził mnie Jens. Oprowadziłem go po gospodarstwie. Pytał, jak się sprawują kucharz, ogrodnik, boy i kuchcik, których pomógł mi zaangażować. Wieczorem wypiliśmy kilka butelek wina. W nagłym przypływie odwagi poprosiłem, by pomógł mi znaleźć praczkę.

21.01

Inspekcja terenu wycinki z Jensem. Zamówionego chwytaka do drugiego żurawia jeszcze nie dostałem, udało mi się jednak prowizorycznie naprawić stary i praca idzie dwa razy szybciej. Kilka dni temu zacząłem rysować mapę mojego fragmentu dżungli. Heban, mahoń, palisander, amarant, zingana i paduk występują tu w niezwyklej obfitości. Jens uzupełnił kilka białych plam na mapie i dopisał charakterystyki dwóch miejscowych wodzów.

---

### ***21 stycznia, wtorek***

Słuchamy z babcią Londynu. Wczoraj zmarł król Jerzy V, teraz królem będzie jego najstarszy syn Edward VIII. Jakie to dziwne, smutno-wesołe słowa: „Zmarł król, niech żyje król!”.

### ***25 stycznia, sobota***

Prosto po szkole poszłam na ślizgawkę do parku Krakowskiego. Dwa lata nie jeździłam i z początku słabo mi szło. Na szczęście jazdy na łyżwach się nie zapomina i już po półgodzinie jeździłam tyłem i zrobiłam pistolet. Spotkałam Marynię i Kazię Fischerówny. Razem wróciłyśmy tramwajem do domu.

31.01

Wizyta-wizytacja. Z pocztą, chwytakiem do żurawia, towarami do sklepu, flancami i nasionami do ogródka oraz innymi zamówionymi rzeczami pofatygował się z Dodomy jeden z dyrektorów Kompanii. Przywiózł też wiadomość o śmierci Jerzego V.

---

# Król angielski umarł

London, 20 stycznia. (B). Jerzy V, król Wielkiej Brytanji i Irlandji cesarz Indji, łagodnie wyzionął ducha w poniedziałek o godzinie 23.58 angielskiego czasu (według czasu środkowo-europejskiego godz. 0.58) w zamku Sandringham, w 71 roku życia, po 25 latach i 8 miesiącach panowania.

London, 20 stycznia (PAT). Ogłoszone urzędowo o zgonie króla. Zgon nastąpił na parę minut przed północą (według czasu angielskiego). Ostatniego błogosławieństwa umierającemu udzielił arcybiskup Canterbury.

Anglja w żałobie czekała na tę tragiczną wieść. — Oto co mówią depesze o ostatnich chwilach króla:

## Anglja odmawia „Ojcie Nasz“

London, 20 stycznia (B). W poniedziałek o godzinie 21.25 angielskiego czasu (22.25 środkowo-europejskiego czasu) wydano następujący komunikat:

„Życie króla zbliża się spokojnie do końca“.

Komunikat podpisało trzech lekarzy.  
London, 20 stycznia (B). O godzinie 23 środkowo-europejskiego czasu

powtórzyło radio angielskie ostatni komunikat o zbliżającym się zgonie króla.

Następnie wszystkie rozgłośnie nadaly „Ojcie Nasz“, poczem przystąpiono do uroczystego śpiewania psalmów.

Ostatni komunikat z Sandringham wywieszono o godzinie 23.15 na kratach pałacu Buckingham. W ciągu kilku minut zgromadził się przed pałacem tłum około 2500 osób, które w uroczystym milczeniu i w skupieniu czekały na ciszszą wiadomość.

Wiadomość o zbliżającym się zgonie króla zakomunikowano natychmiast wszystkim ministrom i wyższym urzędnikom. Także do siostry króla, norweskiej królowej Maud, wysłano telegram do Sarawju, w Norwegji.

Wiadomość o bliźszej śmierci króla obiegła lotem błyskawicy miasto; wszędzie tworzyły się grupy ludzi, omawiających tę żalobną wiadomość.

U smertelnego łoża króla czuwa królowa i arcybiskup Canterbury.

London, 20 stycznia (PAT). Nastrój smutku ogarnął całą stolicę. Przerwano przedstawienia w teatrach i zamknięto dancingi. W mieszkaniach ludność nie udaje się na spacerunek, czekając przy otwartych głosnikach na żalobną wieść.

## Król umiera.

London, 20 stycznia (PAT). O godz. 23 min. 15 lekarze stwierdzili, że król znajduje się w agonji.

Wiadomość tę zakomunikowano natychmiast królowej i innym członkom rodziny królewskiej, znajdującym się w pałacu w Sandringham.

Przez telefon zakomunikowano o agonji króla premierowi Baldwinowi i siostrze króla królowej norweskiej Maud.

Na mieście ukazały się samochody wydawnictw, rozwożące nadawczynie wydania pism. — Na wozach tych widnieją plakaty z napisem wielkimi literami, donoszącymi, że król umiera.

Koło samochodów tych gromadzi się we wszystkich dzielnicach ludność, odczytując ze łzami w oczach krótką tragiczną wiadomość, która rozchodzi się w mgnieniu oka po całym mieście.

W kinematografach przerwano przedstawienia, wyświetlając na ekranie ten sam tragiczny komunikat.

Lord-mer Londynu, do którego obowiązków należy witanie zwłok monarchy po przewiezieniu z Sandringham do Londynu i wydania rozkazów o uderzeniu w dzwony katedrów, Pawła, czuwa, oczekując tragicznej wieści.

Na bramie pałacu w Buckingham wywieszono białetytu o agonji króla.

Był to ostatni komunikat urzędowy przed stwierdzeniem zgonu. Dokola tego białetytu gromadził się coraz większy tłum, który w ciągu kwadransa liczył już około dwóch tysięcy ludzi.

Królowa została wezwana po stwierdzeniu agonji do sypialni króla, gdzie pozostaje wraz z trzema lekarzami i pielęgniarkami przy łożu konającego monarchy.

(Patrz depesze wewnątrz nr.)

# Dotychczasowy ks. Walji, Edward VIII. królem angielskim.

London, 20 stycznia. (B). Jako następca króla Jerzego V wstąpi na tron angielski dotychczasowy książę Walji, mający 42 lata. Otrzyma on imię Edwarda VIII.

London, 20 stycznia. (B) Konstytucja angielska postanawia, że dotychczasowy książę Walji po śmierci swego ojca bezpośrednio zostaje królem.

Od czasów Henryka VIII, stosownie do postanowienia konstytucji, dziedzic korony bezpośrednio po zgonie króla zostaje jego następca.

Dotychczasowy książę Walji będzie jako król, nosił imię Edwarda VIII.

Uroczysta koronacja odbywa się dopiero po roku po zakończeniu żaloby dworskiej.

## 6-tygodniowa żałoba.

London, 20 stycznia. (PAT) Dwór królewski będzie zapewne w pełnej żałobie przez okres 6-tu miesięcy i w półżałobie przez dalszych 6 miesięcy. Tak było po śmierci króla Edwarda VII. Specjalna żałoba obowiązuje floty i wojsko.

Wiadomość o zgonie króla przyjmowana jest w wojsku salwami armatnimi, przyczem każdy rok życia króla uroczyste odpowiadają jest jednym wystrzałem armatnim.

W Londynie żalobną salwą armatnią daje wojsko w Hyde Parku, gdzie specjalnie ustawił się 78 armat.

Pozwala się 78 armat w Wielkiej Brytanji, w których wojsko salwami ar-

matnimi żegna zmarłego króla, w ten sam sposób zgon króla obwieszają brytyjskie oddziały wojskowe w Gibraltarze, na Malcie, w Adenie, na Cejlonie, w Indjach, Hongkongu, na Jamajce i t. d.

## Dziś Edward VIII. zostanie obwołany królem.

London, 20 stycznia. (B). Po zgonie króla wydano natychmiast zarządzenia dla członków tej samej rady królewskiej, przewidując do pałacu St. James w Londynie. — Członkowie rady złożą przysięgę wierności nowemu królowi.

Stosownie do starej tradycji, Edward VIII zostanie we wtorek ze słonecznej giełdy królewskiej w Londynie publicznie obwołany królem. Hieroklowie królewscy powtórzą tutaj historyczne zdanie: „Król zmarł, niech żyje król“ Giełda pozostanie we wtorek zamknięta.

1 lutego, sobota

Odwilż, pada deszcz i nie pojechałyśmy do Różan. Czy Staś nadal ma takie oczy jak Piotr?

2.02

Upolowałem hipopotama.

Mieszkańcy pobliskiej wioski przychodzili do mnie ze skargami, że hipopotamy nocą niszczą im pola. Wiem od Jensa, że polowanie z łodzi jest niebezpieczne, bo hipopotam potrafi podpłynąć pod łódź i ją przewrócić albo wyłamać zębami burtę (a zwykle tam, gdzie są hipopotamy, są również



krokodyle), więc postanowiłem zapolować z brzegu. Moi tropiciele doprowadzili mnie do siedzącego w wodzie stada. Widać było tylko nozdrza, oczy i uszy hipopotamów, a od czasu do czasu czubek głowy i fontannę wyrzucanej przez nie wody. Z łatwością mogłem któregoś zastrzelić, tylko którego? I jak potem wydobyć go na brzeg? „Woda sama go wyniesie – szepnął jeden z tropicieli. – A to jest samiec”. I pokazał na wystające z wody oczy, niczym według mnie nieróżniące się od innych. Strzeliłem, gdy zwierz pokazał czubek łba. Hipopotam wynurzył się z wody i zaraz w niej zniknął, a razem z nim reszta stada.

Mój tropiciel miał jednak rację. Prąd wyrzucił zabitego hipopotama na niski brzeg, jakieś pół kilometra w dół rzeki.

#### 4.02

Otwarcie sklepu. Święto. Afrykański telegraf bez drutu działa i zeszło się mnóstwo ludzi z bliższej i dalszej okolicy. Ogniska, śpiewy, pieczony hipopotam, placki z manioku, wino palmowe na koszt Kompanii. Mięso hipopotama podobne jest w smaku do cielęciny.

Dwóch ekspedientów znalazło się w centrum zainteresowania – wszyscy podziwiali ich białe koszule i spodnie na szelkach.

Murzynki z grubymi łańcuchami blizn na ramionach i dekolcie. Żeby uzyskać tę pożądaną ozdobę, nacinają sobie skórę i wcierają w rany popiół albo glinę.

Jedna z pępkiem mającym kształt warg. Wiele z nagimi piersiami.

---

#### **9 lutego, niedziela**

Rano była taka zawieja, że świata nie było widać, teraz, w południe, wyszło słońce i jest pięć stopni ciepła. Przez tę okropną pogodę znów nie pojechałyśmy do Rózan. Piotrze, czy czasem o mnie myślisz? Czy choć troszkę za mną tęsknisz?

---

#### 10.02

Był Jens. Poświęcił niedzielę, by mi powiedzieć, że dyrektor jest bardzo zadowolony z wyników wizytacji u mnie.

Zapytał, czy nadal mam kłopoty z praniem. Kiwnąłem głową.

---

## **12 lutego, środa**

W radiu *Symfonia szkocka* Mendelssohna. Przypomniały mi się szkockie pustkowia, świszczący wiatr, rzeki o brązowych wodach, kudłate rude krowy. Pełen przeciągów dom koło Camelon w hrabstwie Falkirk. Owsianka na każde śniadanie. Bread and butter pudding. Emily Wallace-Stewart, moja śliczna koleżanka z Penzance.

Czasem żałuję, że tam nie wróciłam.

Odwilż, ciemno, ponuro, świat zasnuty mgłą.

---

### 24.02

Pierwsza kontrola w Gisansere, które również mi podlega. Dzień marszu – jakieś trzydzieści kilometrów – przez dżunglę. Długa karawana: ośmiu tragarzy na zmianę niosących moją lektykę, sześćdziesięciu trzech ludzi z towarem (worki soli, bele bawełny, skrzynie z narzędziami, garnkami, siekierami, tytoniem), jedenastu niosących prowiant, wodę i moje osobiste rzeczy (bez składanego łóżka z moskitierą żaden biały nie rusza w drogę).

Obejrzałem wszystko. Ustaliłem z czarnym kierownikiem, co ma być zrobione do mojej następnej wizyty. Wypłaciłem pensje robotnikom. Nigdy się tak nie cieszyłem z zarobionych pieniędzy jak oni i nigdy ich tak szybko nie wydawałem.

Skup kości słoniowej nie idzie najlepiej – zaledwie siedem trzydziesto-czterdziestokilogramowych kłów. Lepiej rzecz się ma z orzechami palmowymi, skórami i futrami.

### 6.03

Zaczęła się duża pora deszczowa. Wilgoć, coraz większe błoto.

---

## **12 marca, czwartek**

Imieniny Justyny, tydzień temu imieniny Taty. Świeci słońce, ciepły wiatr pachnie wiosną, ale w moim sercu panuje zima.

## **Różany, 28 marca, sobota**

Znowu w Różanach! Nareszcie w Różanach! Na świecie dzieją się okropne rzeczy, a tu kwitną krokusy i podbiały. Wcześniejsze ferie to fantastyczna rzecz. To znaczy wcale się nie cieszę, że w Krakowie zginęli ludzie, jednak tak tęskniłam za Różanami, że nie mogę się nie cieszyć, że znów tu jestem, choć powód przedłużenia ferii nie jest radosny. Brzmi to okropnie skomplikowanie, ale

oczywiście jest bardzo proste.

Piotr jest na jakimś zjeździe rolniczym. Wraca dopiero we wtorek.

Dzisiejszy numer zawiera 44 strony i kosztuje 35 groszy, gdyż obejmuje: a) KURYER LITERACKO-NAUKOWY b) SPECJALNY DODATEK TYGODNIOWY ilustr. fotograficznie oraz c) KURYER SPORTOWY

Mał. poczt. opt. gotówką

W Francji 1 Fr. 50 c. PRINTED IN POLAND. W Niemczech 35 fen.

Cena numeru w Krakowie: **35 gr.**

**ILUSTROWANA WKRACZAŁA**

**KURYER LUDZIENNY**

**Wojska niemieckie wkroczyły do zdemilitaryzowanej Nadrenii**

Redaktor naczelny i Naczelny Redaktor Marjan Dąbrowski

Kraków, Wielopole L. 1.

Skonto 400.200.

ODZIAŁY:

WARZĄDA, Krak. Prezydentura 8, tel. 551 05, 551 04, 551 03.  
GOSPODARSTWA, ul. Świerzyńska 44, telefon 12 25.  
BYDGOSZCZ, ul. Dworkowa 26, telefon 18 09.  
TORUŃ, ul. Prądkińska 25, tel. 1233 (dop. F. Rary).  
LÓDŹ, ul. Żeromska 4, tel. redakcyj. 507 00, tel. redakcyj. 173 45.

LIMÓW, ul. Kopernika 9, telefon redakcyj. 219 55, telefon administracyj. 311 05.  
KONOWICE, ul. Tatarska 8, tel. 31 00.  
KATOWICE, ul. Marjańska 13, tel. 306 53 i 325 55.

POENAN, ul. Marcini 48, telefon 17 05.  
WILNO, Wileńska 26, tel. 14 83 i 4 05.  
NOWY SĄCZ, Jagiellońska 20, tel. 16.  
ZAKOPANE, Krasińskiego, telefon 327.

Rok XXVII. Kraków, poniedziałek 9 marca 1936. Nr. 69.

SYLVIA SIDNEY  
mówi:

"Najważniejszą rzeczą dla gwiazdy filmowej jest piękna cera. Ja używam do pielęgnacji cery codziennie Mydła Toaletowego Lux."



**LUX**  
MYDŁO TOALETOWE

UŻYWANE PRZEZ 9 NA 10 GWIAZD FILMOWYCH

Rok XXVII. Kraków, środa 25 marca 1936. Nr. 85.

Co mówi komunikat oficjalny?

# Krwawe zajścia w Krakowie

Urzędowo komunikują:  
Na dzień 23 b. m. został proklamowany przez O. K. R. P. P. S. i Związki Zawodowe strajk powszechny na terenie m. Krakowa. Strajk objął tylko część robotników w niektórych fabrykach. Robotnicy w Zakładach użyteczności publ. pracowali normalnie.  
O. K. R. PPS. zwrócił się do starostwa grodzkiego o pozwolenie odbycia zgromadzenia w ogrodzie ZSK. Starosta udzielił zezwolenia z tym warunkiem, że przynódcy O. K. R. wezmą zebranych po skończonym zgromadzeniu do opuszczenia zebrania, bez formowania jakichkolwiek pochodów.  
Gdy po skończonym zgromadzeniu tłum począł opuszczać zabudowania ZSK - czynnik odpowiedzialne, które wymknęły się zupełnie z pod kierownictwa OKR-u zaatakowały karabinami i strzałami z rowolwerów oddział policyjny, stojący na rogu ul. Basztowej i plant. Gdy kilku policjantów zostało rannych, oddział policyjny zmuszony został użyć broni. Tłum chwycił się rozbiegł, lecz następnie podniecony przez nieodpowiedzialne żywioły, począł się zbierać w innych miejscach, gdzie został przez policję rozproszony.  
W ulicy Florjańskiej, Sławkowskiej i ul. Długiej większe grupy demonstrantów powybiły szyby w sklepach, rabując równocześnie z wystaw niektóre przedmioty. Znaczniejsza grupa demonstrantów zgromadziła się w ul. Sławkowskiej u wylotu plant, robiąc przeszkody z ławek, celem niedopuszczenia policji na ul. Sławkowską. Gdy zaś oddział policyjny chciał rozprószyć demonstrantów w tym miejscu, posypały się znów kamienie w stronę oddziału policyjnego, do którego oddano kilka strzałów rowolwerowych. Policja zaatakowana, zmuszona była użyć broni, poczem tłum rozbiegł się. Według dotychczasowych danych, ogółem rannych demonstrantów było dwudziestu kilku, 6-ciu z nich skutkiem ran zmarło, z północ policki jest kilkunastu rannych lub kontuzjowanych.  
Kilkudziesięciu najbardziej agresywnych przywódców tłumy natychmiast aresztowano. Obecnie w Krakowie panuje zupełny spokój.

*Komunikat wrznięty o wypadkach w „Scypiorze” zamieszczony na str. 15-tej „Kresko krakowskie”.*

### **30 marca, poniedziałek**

Staś ma już trzy miesiące i tak rozkosznie grucha! Guu, guu, aguu. Z początku trochę się bał, teraz uśmiecha się do mnie. Ma ogromne niebieskie oczy, wałeczki na rączkach oraz nóżkach i czarną czuprynkę, którą Hanka czesze w czubek.

### **31 marca, wtorek**

Wyszłam na spacer tylko po to, żeby wcześniej zobaczyć Piotra. Szłam drogą i szłam, zbliżało się południe, a jego auta nie było widać. Gdy w końcu wyjechało z za zakrętu, zrobiło mi się słabo i musiałam się oprzeć o drzewo. Zaraz jednak z powrotem wyskoczyłam na drogę, bo się przeraziłam na myśl, że Piotr może mnie nie zauważyć i minąć.

Zatrzymał auto, wysiadł i chwycił mnie w ramiona. Czas stanął w miejscu, świat gdzieś odpłynął. Był tylko jego zapach, dotyk wielbłądziej wełny jego płaszcza, jego usta na moim policzku, jego ręce na moich plecach.

„Słyszałem, że południce ukazują się czasem jako stare baby o żelaznych zębach, a czasem jako piękne dziewczyny – powiedział. – Te drugie są bardziej niebezpieczne, bo mieszają ludziom rozum i kradną im dzieci”.

„Południce chodzą po polach tylko w lecie. Poza tym nie mam worka na dzieci”.

„Uff! Więc nie muszę się bać, że mi rozum pomieszasz?”

---

#### **1.04**

Paul pisze – w entuzjastycznym tonie – o wkroczeniu naszych wojsk do Nadrenii. Zawsze szybko się podniecał. „O świcie nasze bataliony przekroczyły granice”. Tak jakby atakowały jakieś mocarstwo, a nie wchodziły po prostu na niemiecką ziemię. Hitler jednak zerwał w ten sposób traktaty z Locarno i z Wersalu. Co na to Belgowie, Francuzi i Anglicy? Nic.

---

### **3 kwietnia, piątek**

Nacięłam naręcze bazi i całe popołudnie robiłam z nich palmy ozdobione suszonymi kocankami (nie lubię nazwy „nieśmiertelniki”). Jutro przyjeżdża babcia. Tęsknię za nią.

### **6 kwietnia, Wielki Poniedziałek**

Rano babcia przyniosła mi do łóżka kakao.



Dziś wędziliśmy szynki i kiełbasy i kisiliśmy żur. We wtorek marynujemy śledzie, w środę mam upiec tort krakowski, w czwartek robimy z Hanką pisanki, pieczemy chleb, baby i mazurki. Pani Leonia na samym końcu upiecze prosię w piecu chlebowym.

### MARYNOWANE ŚLEDZIE

Solone śledzie mlecza moczyć w zimnej wodzie przez 24 godziny. Wodę trzeba kilka razy zmieniać. Wymoczone śledzie sprawić: odciąć głowy i ogony, ściągnąć skórę, wyjąć mlecza, usunąć kręgosłup z ościami i podzielić tuszki na filety.

Teraz robimy zalewę (proporcje na 1/2 kg śledzi): przecieramy przez gęste sito mlecza, dodajemy szklankę słodkiej śmietanki, sok z 3 cytryn i szczyptę cukru, mieszamy.

W szklanym słoju układamy na dnie cienkie krążki cebuli, na to warstwę filetów, 4 ziarenka pieprzu i 2 ziela angielskiego, kilka nasion gorczycy, liść laurowy i plasterk obranej ze skórki cytryny (bez pestek), znów warstwę cebuli, filety itd. Na wierzchu ma być cebula. Wlewamy zalewę, tak by przykryła filety, słoje obwiązujemy papierem i wstawiamy do chłodnej spiżarni przynajmniej na 24 godziny.

### PRZEPIS BABCI NA TORT KRAKOWSKI

Krucze ciasto:

25 dkg zimnego masła

25 dkg przesianej mąki

12 dkg cukru

12 dkg obranych i zmielonych migdałów

4 jajka

pół laski wanilii

Oddzielić białka od żółtek. Białka zachować do kremu, a całe żółtka ostrożnie wyłożyć na lekko zakwaszony wrzątek i ugotować na twardo (4–5 minut), można na sicie zanurzonym we wrzątku. Ostudzić i przetrzeć warząchwią przez gęste sito. W moździerzu ubić cukier z wanilią na puder, przesiać przez gęste sito. Z wszystkich składników szybko zagnieść kruche ciasto. Podzielić ciasto na 4 kawałki, uformować 4 krążki, ponakłuwać widelcem i po kolei upiec w tortownicy na jasnożółty kolor.

Ciasto dobrze jest upiec 2–3 dni wcześniej, żeby doszło i stało się bardziej kruche. Trzeba je schować w suchym miejscu i starannie zawinąć, bo chłonie zapachy.

Krem:

4 białka (zostawione przy robieniu ciasta)

10 dkg cukru pudru

20 dkg domowej marmolady morelowej (od jej jakości zależy smak tortu)

szczypta soli

Białka ubić na sztywną pianę ze szczyptą soli (ułatwia ubijanie) i dalej ubijać, dodając cukier. Do piany przetrzeć przez gęste sito marmoladę i wymieszać na puszysty krem.

Posmarować 1/3 kremu upieczony krążek kruchego ciasta, nałożyć drugi krążek, posmarować, potem trzeci, posmarować

resztą kremu, przykryć czwartym krążkiem.

Lukier:

20 dkg cukru pudru

1 łyżka soku z cytryny

10 dkg przetartej przez sito marmolady morelowej

migdały do ozdoby

Utrzeć lukier, polukrować tort i ozdobić obranymi ze skórki całymi lub posiekanymi migdałami.

---

#### 6.04

Posłaniec z Ngary. Jens zaprasza mnie na obiad wielkanocny.

#### 10.04

*Stiller Freitag.* Siedem lat temu byłem z rodzicami, Antonem i Renate w Oberammergau. Odgrywane przez mieszkańców miasteczka misterium pasyjne zrobiło na małej Renate takie wrażenie, że dostała gorączki. Przypomniałem to sobie, gdy poszedłem po orchidee, które już kilka dni temu wypatrzyłem w okolicy, i nad jeziorem usłyszałem dziwną pieśń. Miała w sobie pierwotną moc i piękno, i tęsknotę. Poszedłem w tamtą stronę. Kilka starych kobiet, tylko w przepaskach biodrowych, tańczyło wokół ognia. Może o coś prosiły swoje bóstwa, a może w ten sposób się modliły. W moich oczach niewiele się to różniło od odgrywanego od trzystu lat u stóp Alp misterium będącego wyrazem wdzięczności za to, że czarna śmierć ominęła miasto.

---

#### **11 kwietnia, Wielka Sobota**

Po śniadaniu wzięłam wiklinowy koszyk i sekator i poszłam nazbierać kwiatków. Nad rzeką kwitną leszczyny, tarnina, pierwiosnki i kaczeńce. Rozwijają się zielone pędzelki modrzewi. W ogrodzie ścięłam kilka wczesnych tulipanów, pęk barwinków i żonkili, i oczywiście bukszpan. Aż do samego obiadu układałam bukiety w wazonach. Warto było, bo Piotr powiedział: „Zuziu, jesteś małą czarodziejką”.

#### **12 kwietnia, Wielkanoc**

„Wesoły nam dziś dzień nastał!”

W Różanach nie chodzi się do święcenia, tylko po rezurekcji zaprasza księdza proboszcza na wielkanocne śniadanie i on święci stół.

Z Krakowa przyjechał pan Podoski i doktor Lackowski ze swoją mamą. Dzieliliśmy się jajkiem



i było bardzo wesoło. Piotr żartował, że spokojnie możemy oddać się obżarstwu, bo ksiądz proboszcz od razu nas rozgrzeszy, a doktor Lackowski zaordynuje coś w razie niestrawności.

Menu śniadania wielkanocnego: jajka, szynki, kiełbasy, pieczone prosię nadziane kaszką krakowską, chrzan, ćwikła i sos tatarski, baba szafranowa i baba muślinowa, mazurek królewski, mazurek bezowy z orzechami i tort krakowski.

### PRZEPIS HANKI NA MAZUREK KRÓLEWSKI

Kruche ciasto:

35 dkg utartego masła

12 dkg cukru pudru

35 dkg mąki tortowej

12 dkg obranych i drobno posiekanych migdałów (to najtrudniejsza rzecz w tym przepisie, bo jak się okazało, posiekanie migdałów na kaszkę wcale nie jest takie łatwe)

4 ugotowane i przetarte przez sito żółtka

skórka otarta z połówki cytryny

szczypta soli

Na blachę:

1 surowe żółtko

masło i mąka

Do ubrania:

rozmaite małe, ładne owoce z konfitury (dokładnie odsączone), obrane migdały, połówki orzechów włoskich, masa kajmakowa i inne

lukier z 10 dkg cukru pudru, łyżki gorącej wody i łyżki soku z cytryny

Z podanych składników szybko zagniatamy ciasto i na kilka godzin (najlepiej na całą noc) odstawiamy w chłodne miejsce.

Prostokątną blachę natłuszczamy masłem i lekko oprószamy mąką. 2/3 ciasta rozwałkowujemy na grubość ok. 1 cm, wykładamy na blachę. Pozostałe ciasto lekko podsypujemy mąką, robimy z niego wałeczek grubości ołówka i na wywałkowanym płacie układamy z niego ukośną kratkę. Ubijamy widelcem 1 surowe żółtko i za pomocą pórka smarujemy żółtkiem całe ciasto. Pieczemy na jasnozłoty kolor w gorącym piekarniku.

Gdy ciasto wystygnie, ubieramy je: do kratek wkładamy całe owoce z konfitury (na przykład truskawki, wiśnie, porzeczki, agrest, maliny), migdały, orzechy, do niektórych można wlać masę kajmakową. Potem ozdobnie polewamy mazurek lukrem (jeśli użyliśmy do ozdoby migdałów czy orzechów, to lukier ma je przykleić do ciasta).

### **13 kwietnia, Poniedziałek Wielkanocny**

Piotr w tajemnicy sprowadził ze wsi strażacką sikawkę i przed śniadaniem podstępem wywabił mnie i Hankę do ogrodu, gdzie przywitały nas strumienie wody. Pani Leonia przybiegła na nasze krzyki i od razu też była mokra od stóp do głów. Ale nie pozostałyśmy mu dłużne. Nie bacząc na to, że wyglądamy jak zmokłe kury, zaczęłyśmy się we trzy w sieni i gdy wracał do domu, wyskoczyłyśmy na schody, każda z wiadrem. Pokazałyśmy mu, gdzie raki zimują!

---

#### 13.04

Żał mi będzie żegnać Jensa i ten dom dla gości w jego ogrodzie. Dopiero teraz widzę, jaki samotny jestem w Biharangwe. Pracując od świtu do zmroku, zupełnie o tym nie myślałem.

W Europie, mówiąc „Holender”, widziałbym różnice. Tu widzę podobieństwa. Nie tylko to, że obaj jesteśmy biali. Na świąteczny lunch Jens kazał przygotować jajka, pasztet i paasstol. W Schönwalde jedliśmy to samo, tylko paasstol nazywa się u nas Zwieback. W Wielką Niedzielę paliliśmy paasvuur. Płomień z wielkiego stosu gałęzi pewnie było widać do Nyabugombe. Wszystkie złe duchy uciekły w popłochu. Takie samo ognisko, oznaczające początek wiosny i koniec zimy, paliliśmy z Antonem w Prusach. Nawet drzewko wielkanocne mamy podobne. Trudno by mi było dowieźć do Ngary cięte kwiaty i jako ozdobę na stół przywiozłem koszyk z orchideami i gałązkami trochę przypominającymi wierzbę, na których powiesiłem wydmuszki. Jens zaś ustawił na werandzie małe drzewko ubrane jajkami z czekolady.

#### 14.04

Obudził mnie gwar podnieconych głosów. W pierwszej chwili pomyślałem, że coś się stało w tartaku. Zaraz jednak zdałem sobie sprawę, że jestem w Ngarze. Gdy przyszedłem na śniadanie, Jens uśmiechał się do siebie i podśpiewywał jak chłopiec, który coś ukrywa. Boy podał kawę. Nowy kucharz Jensa, uciekinier z ogarniętej wojną Abisynii, parzy najlepszą kawę na świecie: świeżo upalone, jeszcze ciepłe ziarna ubija w móżdżerzu, wrzuca do glinianego dzbanka z gorącą wodą i powoli zagotowuje. Jens, zamiast pić, z tajemniczą miną zaczął układać na ławce chustki na głowę, kangi, woreczki z solą, łyżki.

W końcu nie wytrzymałem: „Co robisz?”.

„Przygotowuję nagrody pocieszenia”.

„Pocieszenia?”

„Tak, bo nagrodą główną jesteś ty”.

Tylko Jens mógł wymyślić coś takiego: ogłosił zawody dla panien powyżej piętnastego roku życia, znających suahili, w robieniu prania. Sędziami mieliśmy być obaj. On miał oceniać pranie, a ja – praczki.

„Zgłosiło się osiem młodych kobiet. Niektóre warte grzechu”.

Wyobraziłem sobie, że oglądam jedną po drugiej. Co miałbym oceniać? Bez ogródek wyraziłem swoje wątpliwości: „Przypomina mi to targ niewolników”.

„Nie do końca, bo ona też będzie musiała się zgodzić”.

Im dłużej o tym myślałem, tym mniej mi się podobało.

„Zrobimy inaczej – odezwał się Jens. – Sędzią będzie Mutombo. W końcu najlepiej zna się na



praniu. Idę z nią porozmawiać”.

Zostałem sam na werandzie. Podniosłem filiżankę z kawą i dopiero wtedy zobaczyłem, że trzęsą mi się ręce.

O dziesiątej znad rzeki przyszły kobiety ze świeżo zrobionym praniem. Mutombo z pełną wyższości miną oglądała pod światło mokre kawałki materiału. Nie szczędziła przy tym uwag, a dziewczęta odgryzały się jej zrecznie. Jedna od razu zwróciła moją uwagę. Miała ładny profil i wyszukaną fryzurę: włosy upięte na czubku głowy, a nad uszami oplecione cienkimi warkoczykami.

Jens wręczał nagrody, dziewczęta głośno się cieszyły, potem Mutombo wzięła je do kuchni na śniadanie.

„Która?”, zapytał Jens.

Nie było sensu grać na zwłokę. „Ta z warkoczykami”.

„Znam ją. Ma na imię Pili. Chyba najbardziej rozgarnięta z nich wszystkich. Ale zobaczymy, co powie Mutombo”.

Mutombo przyszła po dwudziestu minutach. „Do Biharangwe najbardziej chce iść Pili”.

---

### **14 kwietnia, wtorek**

Jutro po obiedzie wracamy do Krakowa. Chciałabym nie musieć chodzić do szkoły, przenieść się z babcią do Różan i pomagać w gospodarstwie. Tęskniłabym za Wierą i Irką, jednak przecież mogłyby tu do mnie przyjeżdżać. Ach, ta szkoła!

### **15 kwietnia, środa**

Po śniadaniu pojechałam z Piotrem na spacer. W lesie konie szły tak blisko siebie, że niemal dotykaliśmy się strzemionami. W pewnej chwili przez ścieżkę przebiegł lis. „Szkoda, że sezon polowań się skończył”, powiedziałam głupio.

Piotr się uśmiechnął. „A ja nie żałuję. Lis jest u siebie. On też jest właścicielem tego lasu”.

### **17 kwietnia, piątek**

Babcia przeczytała w „Ikacu”, że nowy polski statek Batory w najbliższy wtorek wypływa w pierwszy rejs, z Wenecji do Gdyni. „Może w wakacje wybrałybyśmy się na taki rejs? Co ty na to, *mein Schatz?*”

Przestraszyłam się. Całe wakacje bez Różan? Bez Piotra? „Carla pisała, że w tym roku chciałyby mi pokazać Wenecję – powiedziałam i słyszałam, jak głos mi drży. – Mamy także pojechać na Sycylię. A ty, babciu, przecież je widziałaś. Nudziłybyśmy się obie”.

„Nudzić się w Wenecji? To niemożliwe. Poza tym nuda jest w nas, nie w miejscach. Byłaś sto razy

w Różanach – dodała, jakby czytała w moich myślach – i nie zauważyłam, żebyś się tam nudziła”.

Na szczęście weszła Marcysia z herbatą i babcia już nie wróciła do tematu.

---

**19.04**

Jest Pili. Przyszła z ciotką. Poprosiłem, by ciotka na razie została w Biharangwe. Zamieszkały w jednej z chatek dla służby.

**21.04**

Kompania – która i tak doskonale płaci – daje każdemu kierownikowi faktorii dodatkowe pieniądze na pensje dla służby: kucharza, kuchcika, ogrodnika i boya. Nie ma obowiązku zatrudniania akurat czterech osób. Słyszałem nawet, że niektórzy oszczędzają i na przykład rezygnują z ogrodnika, a wtedy jego pensja zasila ich własny budżet. Niewiele zyskują, bo wynagrodzenia służby – przy naszych – są symboliczne.

---

**22 kwietnia, środa**

Byłam z Irką na *Złotowłosym brzdącu*. Shirley Temple jest urocza! Jak to się dzieje, że w amerykańskich filmach dzieci grają tak dobrze, a w polskich tak okropnie?

**23 kwietnia, czwartek**

Zimno. Rano do szkoły musiałam włożyć zimowe palto. Teraz siedzę i powtarzam historię. Matura za dziesięć dni.

---

**25.04**

Poszedłem nad jezioro, gdzie Pili prała. Przez chwilę obserwowałem ją zza drzew. Ma niezwykle harmonijne ruchy. W jej wykonaniu nawet tak prozaiczna czynność jak pranie przypomina układ taneczny.

Pili należy do plemienia Sukuma, ale trochę zna suahili. Zamieniliśmy kilka zdań. W pewnej chwili pokazała na niebo. Zbliżała się ulewa. Wrzuciła mokrą bieliznę do kosza, postawiła go sobie na głowie i podtrzymując kosz tylko jedną ręką, niemal biegiem ruszyła do osady. Ruch jej bioder pod

kangą był hipnotyzujący.

### 30.04

Jens wpadł na jeden dzień. Za kilka tygodni zamierzał jechać do Europy, a ja miałem go zastępować, jednak dyrekcja Kompanii poprosiła, by ze względu na wojnę włosko-abisyńską wszyscy kierownicy zostali w swoich faktoriach. Ci, którzy w tym roku zrezygnują z urlopu, w przyszłym i jeszcze w następnym będą mieć po dwa miesiące wakacji. Obaj zdecydowaliśmy się na te dodatkowe wakacje.

Po drugiej butelce wina Jens spytał, jak się sprawuje Pili.

„To miła dziewczyna”.

Jens przyjrzał mi się uważnie. „Nie śpisz z nią?”

„Nie”.

„Dlaczego?”

Milczałem.

„Czego ty właściwie chcesz, człowieku?”

Kochać. Czy tak trudno to zrozumieć?

---

### **3 maja, niedziela**

Zamiast w naszym kościele parafialnym byliśmy dziś z babcią na uroczystej mszy w kościele św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty przy klasztorze Sióstr Prezentelek. Były wszystkie siostry – w czarnych habitach i czarnych welonach, a nie w codziennych niebieskich. Po mszy Matka Przełożona wygłosiła mowę do tegorocznych maturzystek. Mówiła o polskich tradycjach, o Konstytucji 3 maja, o pracy dla Ojczyzny. Życzyła nam wszystkim – zdającym małą i dużą maturę – natchnienia i opieki Ducha Świętego. Babcia szepnęła mi do ucha: „Mam nadzieję, że zdasz się nie tylko na jego opiekę, lecz także na swoją wiedzę”.

### **4 maja, poniedziałek**

Pisałam na trzeci temat: „Przeanalizuj *Wesele* pod kątem sądów nad polską rzeczywistością”, a Irka na pierwszy: „Uzasadnij myśl Marszałka Józefa Piłsudskiego: »Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi«”.

Chyba nieźle mi poszło. Myślałam, że pięć godzin to bardzo dużo czasu, a zleciało tak szybko! Irka też zadowolona ze swego wypracowania.

Pojutrze egzamin z historii. Trochę się boję. Nie jestem zbyt mocna z tego przedmiotu.

### **7 maja, czwartek**

Pisemne egzaminy za nami! W poniedziałek będą wyniki.

Historia na szczęście była dość łatwa. Pisałam na temat: „Polska w dobie reform publicznych wieku XVIII”.

### **11 maja, poniedziałek**

Zdałam! Dostałam „bardzo dobrze” z polskiego i „dobrze” z historii. Irka z obu „bardzo dobrze”.

Po obiedzie zadzwoniła z Różan Hanka. Opowiedziałam jej o egzaminach. Pogratulowała mi, a potem słuchawkę wziął Piotr. Powiedział: „Serdeczne gratulacje, malutka. Jestem z ciebie dumny. Kiedy do nas przyjedziesz? Farys i Falada tęsknią za spacerami”. Na naszym ostatnim spacerze Piotr jechał na Farysie, a ja na Faladzie.

---

12.05

Napisałem długi list do domu, usprawiedliwiając się, czemu w tym roku nie przyjadę. Żeby mama się nie martwiła, wspomniałem, że od Addis Abeby dzielą mnie trzy tysiące kilometrów.

Za tydzień ma być u mnie urzędnik z Kompanii i weźmie moją pocztę.

---

### **Różany, 14 maja, czwartek**

Już prawie zapomniałam, jaka piękna jest wiosna w Różanach. Kwitną bzy i tulipany, narcyzy, hiacynty i konwalie, brzoskwinie i grusze.

Mamy tydzień przerwy w szkole. W następny poniedziałek zaczynają się egzaminy ustne. Zdaję polski, niemiecki, angielski i przyrodę. Babcia nie pozwoliła mi zabrać podręczników. „Jeśli nie nauczyłaś się przez cały rok, to przez tydzień tym bardziej się nie nauczysz”.

Nie byłyśmy na pierwszych imieninach Stasia i dopiero teraz go ucałowałyśmy. Ja kupiłam mu kaftanik i czapkę, a babcia śliczną srebrną grzechotkę. Staś umie już głośno się śmiać. Tak jak przewidywała babcia, kolor jego oczu się zmienia – teraz są zielonobrazowe. Ładne, jednak żal mi, że będzie miał oczy Hanki, a nie Piotra. Bo Piotr ma najpiękniejsze oczy na świecie.

---

Pili wyróżnia się na tle mieszkańek osady. Jest ładniejsza, to pewne, ale też nosi piękniejsze kangie. Nie ma takich w naszym sklepie, a chętnie posłałbym kilka mamie i Renate jako ciekawostkę. Kanga to jeden z najlepszych afrykańskich wynalazków: kolorowy płat materiału, mniej więcej metr na półtora, który może być suknią, spódnicą, bluzką, chustą na głowę, nosidłem na dziecko, pledem, tobołkiem.

Dziś, gdy Pili prasowała w kuchni (przedpotopowym żelazkiem na węgiel drzewny), zapytałem o jej kangie. Okazuje się, że sama je utkała. Przed wieczorem przyniosła zwoje tkanin. Jest prawdziwą artystką. Poprosiłem, by mi kilka sprzedała. Rdzawo-zielony kilim tkany w pasy przedstawiające słonie i lwy powiesiłem na ścianie w mojej sypialni.

Gdy pokazywała mi swoje dzieła, przypadkiem, a może celowo, otarła się o mnie i ręką dotknęła mojej dłoni. Poczulem nagłe podniecenie, ale nic więcej.

---

### ***Kraków, 24 maja, niedziela***

To był wspaniały tydzień! W sobotę, w wigilię moich imienin, Hanka i Piotr urządzili bal. Przyjechali różni ich znajomi z okolicy, a z Krakowa pan Podoski i doktor Lackowski. Doktor przy powitaniu długo nie puszczał mojej ręki, jakby ukradkiem badał mi puls. A tymczasem moje rumieńce wywołała nie gorączka, tylko myśl o balu!

Dostałam mnóstwo kwiatów i prezentów. Cztery razy tańczyłam z Piotrem.

### ***26 maja, wtorek***

Skończyłam szesnaście lat. Zawsze myślałam o tej dacie – to już prawie dorosłość. Tymczasem nic się nie stało. Jestem taka jak wcześniej. Nawet warkoczy nie wolno mi obciąć.

Babcia przygotowała podwieczorek i kazała mi zaprosić całą klasę na spóźnione z powodu przerwy w nauce imieniny połączone z urodzinami. Mnie żadna dziewczynka nie zaprosiła. „Trudno, dopóki ktoś nie dojdzie do waszej klasy, a po wakacjach na pewno tak się stanie, będziesz »nowa«. Miej trochę cierpliwości. Ani się obejrzyysz, jak będziesz zaprzyjaźniona z całą klasą”, mówi babcia. Czy można się zaprzyjaźnić z jedenastoma osobami? Myślę, że nie. Zresztą wystarczy mi Irka. No i Wiera.

Na podwieczorek przyszła Irka i jeszcze cztery dziewczynki. Zaprosiłam też Wierę. Siedziałyśmy w milczeniu przy stole nakrytym na czternaście osób. Moje koleżanki z klasy usiadły tak daleko od Wiery, jak się dało. Babcia starała się nas rozruszać. Co chwila dzwonił telefon i kolejne koleżanki usprawiedliwiały swoją nieobecność egzaminami. Było okropnie.

---

26.05

W osadzie nic się nie ukryje, więc nawet nie próbowałem zachować tajemnicy. Okazuje się jednak, że Pili się nie domyśliła, dla kogo sprowadzony przeze mnie rzemieślnik buduje warsztat tkacki. Afrykańskie kobiety niewiele spodziewają się od losu i nie mają żadnych wymagań.

Pili, zanim przyszła do Biharangwe, spytała: „A nie będzie mnie pan bił?”.

„Nie, nigdy”, odrzekłem.

„Nawet jeśli zasłużę?”

30.05

Odwiedził mnie Jens i przywiózł wiadomość o końcu wojny w Abisynii. Włosi wzięli odwet za klęskę pod Aduą, gdzie cesarz Menelik tak im przetrzepał skórę, że przez czterdzieści lat trzymali się z daleka.

Przez Ngarę przewędrowało już kilka fal wojennych uciekinierów. Jeśli dotarli aż tu, to ilu ich musiało zbiec do Kenii, Ugandy czy Sudanu, a ilu umrzeć po drodze. Po całej wschodniej Afryce krążą mrozące krew w żyłach opowieści o włoskich okrucieństwach.

Nadzieje Anglii na rozszerzenie granic własnych kolonii spełzły na niczym. Włosi nie chcą się dzielić.

---

### ***3 czerwca, środa***

Jestem już licealistką! Wszystkie egzaminy ustne zdałam na „bardzo dobrze”. Nie powinnam się pysznić, bo nie były trudne, a siostry w komisji uśmiechały się i pomagały, jeśli któraś z dziewcząt była zdenerwowana.

Irka świetnie zdała i spotkamy się po wakacjach w jednej klasie. Znów będziemy siedzieć razem.

Wakacje! Jakie to śliczne słowo!

Bałam się, że nie będę mogła pojechać do Carli. Babcia ostatnio stale pisała do jej mamy i co kilka dni miała list z Rzymu. Na szczęście ta włoska wojna w Afryce się skończyła. Wyjeżdżam pojutrze nocnym pociągiem z Krakowa do Wiednia, tam zjem śniadanie z przyjaciółką babci, która będzie na mnie czekała na dworcu, a potem wsiadam do pociągu do Wenecji. Boże, jaka jestem szczęśliwa!

---

4.06

Pili dała mi w prezencie błękitny kilim tkany w wodne ptaki i rośliny. Powiesiłem go w salonie, co wyraźnie napawa ją dumą. Skąd miałyby wiedzieć, że skłoniło mnie do tego nie tylko jego piękno, lecz także to, że przypomina mi o Prusach. Wody jezior w mojej małej ojczyźnie w słoneczny dzień mają właśnie ten odcień błękitu, a kaczki są równie kolorowe.

#### 7.06

Skończyła się pora deszczowa. Jadę do Gisansere. Za trzy tygodnie spodziewam się inspekcji z Kompanii i wszystko musi chodzić jak w zegarku. Niemcy przez tyle lat dobrze tu gospodarowali, ja nie chcę być gorszy.

---

### ***Roma, 13 czerwca, sobota***

Piszę przy otwartym oknie. Księżyc świeci tak jasno, że nie muszę zapalać lampy. Słyszę szmer fontanny w ogrodzie. Aż tutaj dochodzi zapach jaśminu, róż, kapryfolium, cyprysów.

Ale od początku. Pociąg wjechał na wenecki dworzec o dziesiątej wieczorem. Na peronie czekała na mnie moja kochana Carla ze swoją starszą siostrą. Wyglądała tak dorośle w lnianej garsonce, berecie i długich rękawiczkach. Po przywitaniach wsiadłyśmy do gondoli i popłynęłyśmy do domu Laury Mavino-Landi, dalekiej kuzynki Margherity di Savoia, matki Wiktora Emanuela, króla Włoch. Okrągły złoty księżyc odbijał się w wodzie. Carla pokazywała mi różne domy i pałace, a ja zaniemówiłam z zachwytu. Gondolier przybił do brzegu, zeskoczył na wąskie nabrzeże i przywiązał gondolę do pali. Potem pomógł nam zejść na schodki prowadzące do domu.

Dom jest przepiękny. Ma kształt litery D, której nieco kanciasty brzusek tworzą dwa boczne skrzydła i wewnętrzny ogród oddzielony murem od ulicy. Mieszkałyśmy na piętrze, w pokojach wychodzących na ogród z fontanną, drzewkami pomarańczowymi, azaliami i niskim żywopłotem z bukszpanu.

W National Gallery w Londynie widziałam obraz Belliniego *Madonna na łące* i podświadomie tak właśnie wyobrażałam sobie wenecki krajobraz: sucha brązowa ziemia, masywne krowy, mizerna roślinność, białe kamienne miasta na niewielkich wzgórzach. Być może na początku szesnastego wieku tak właśnie wyglądała wenecka prowincja, a może to są symbole, a nie prawdziwy krajobraz, w każdym razie przeżyłam miłe zaskoczenie: Wenecja nie jest kamienną pustynią, lecz cudem świata. Canale Grande, płatanina wąziutkich uliczek i kanałów, kamienne mostki i to wspaniałe uczucie, gdy z wilgotnego, ciemnego zaułka wychodzi się na zalany słońcem plac. Gondolierzy naprawdę śpiewają *O sole mio* i kilka razy słyszałam mandolinę. Wenecjanki są inne niż rzymianki – wyższe, szczuplejsze, często mają niebieskie oczy i włosy w kolorze starego złota.

Tycjan i Santa Maria della Salute, i Santa Maria Gloriosa dei Frari. Oszłamiający plac Świętego

Marka, bazylika, Pałac Dożów i dzwonnica. Gołębie jak w Krakowie. Pyszne lody. Nie potrafię tego opisać, lecz nigdy nie zapomnę tego tygodnia spędzonego w Wenecji.

Sleeping do Florencji. Tylko jeden – dlaczego tylko jeden!?! – dzień we Florencji. Arno, bajkowe mosty, Cattedrale di Santa Maria del Fiore z czerwoną kopułą i nieprawdopodobnie ozdobną fasadą. Galleria degli Uffizi. Widziałam z tysiąc obrazów. *Wenus z Urbino* i *Floreę* Tycjana, przerażającą *Głowę Meduzy* Caravaggia, *Narodziny Wenus* Botticellego. Botticelli nigdy nie był moim ulubionym malarzem, ale dopiero kiedy zobaczyłam oryginały, mogę docenić jego sztukę. Nie miałam pojęcia, że jego obrazy są dziełami także złotniczymi: w *Narodzinach Wenus* złotem jest obwiedziony każdy listek i każda żyłka na nim, różyczki mają złote środki, a muszla złote brzegi. Na reprodukcji nie zauważyłam, jak pięknie jest haftowana szata nimfy i suknia, którą nimfa podaje Wenus. Ani że Wenus jest taka smutna. Muszę jeszcze raz przyjechać do Florencji!!!

Rzym. Wielki. Jednocześnie bliski i daleki. Harmonijny i zaskakujący. Wieczne Miasto. Wieczny zachwyt.

---

### 13.06

Gdy wracałem z Gisansere, karawana nagle się zatrzymała. Wychyliłem się z lektyki, pytając, co się dzieje. Okazało się, że na ścieżce leży kobieta, a kawałek dalej kilkuletnia dziewczynka.

Kobieta leżała na wznak. Jej suknia była niemal w strzępach. Chude ramiona miały kolor kawy z mlekiem. Stopy nosiły ślady długiej wędrówki. Twarz miała zakrytą brudną – kiedyś białą – chustą, z zaschłymi plamami krwi. Myślałem, że nie żyje, jednak gdy podniosłem chustę, zobaczyłem wyraźne drgnienie powiek. Ująłem ją za przegub i po chwili znalazłem słabe tętno. Nie umiałem ocenić, czy jest skrajnie wyczerpana, czy umiera.

Dziewczynka nie żyła.

Kazałem zrobić prowizoryczne nosze i zabrać kobietę i jej nieżywe dziecko do faktorii. Jednocześnie posłałem dwóch gońców do najbliższej wsi, której wodza znałem, z prośbą, by czarownik przyszedł do faktorii obejrzeć chorą.

Jak dotąd nie odzyskała przytomności. Czarownik, który zgodził się zostać przy niej na noc, zaręcza jednak, że jest tylko wyczerpana i że nie umrze.

### 14.06

Poprosiłem Pili i jej ciotkę, by się zajęły chorą kobietą, która po południu odzyskała przytomność. Czarownik zainkasował honorarium w postaci worka soli i dwóch kóz. Słono, ale się nie targowałem. Choć czary nie imają się białych, lepiej uważać.



15.06

Mój kucharz twierdzi, że chora kobieta należy do ludu Amhara z Abisynii. Jego członkowie podobno są przyjaciółmi abisyńskiego cesarza. Jeśli tak, to czemu, uciekając przed Włochami, nie wziął ich z sobą do Anglii?

---

### **15 czerwca, poniedziałek**

Wczoraj niemal do świtu tańczyłam w wielkim salonie Carli, który spokojnie można nazwać salą balową, i na tarasie, pod cienkim sierpem księżycy i milionem gwiazd. Włosi są tacy uprzejmi i mówią takie ładne komplementy!

---

16.06

Nakazałem Pili, by nie mówiła chorej o śmierci dziecka, bo to by mogło pogorszyć jej stan. Pili odrzekła, że kobieta ani raz o nim nie wspomniała, choć pytała na przykład, gdzie jest i jak się tu znalazła.

W Afryce nikt nie liczy dzieci. Jedne się rodzą, inne umierają. Słyszałem, że na przykład Masajowie uznają dziecko dopiero wtedy, gdy przeżyje trzy dni, jednak taki brak uczuć macierzyńskich mną wstrząsnął.

---

### **16 czerwca, wtorek**

~~Pod pozorem zakupów pojechałam sama do bazyliki Sant'Agostino. Jest tam fresk Rafaela i cudny obraz Caravaggia, ten, na którym na pierwszym planie widać brudne nogi pasterza składającego hołd Dzieciątku. Mnie jednak interesowała Madonna del Parto. Podobno jest to rzeźba Agrypiny trzymającej na kolanach małego Nerona, przerobiona na Matkę Boską z Dzieciątkiem. W każdym razie rzymianki wierzą, że to ostatnia ucieczka w sprawach kobiecych (rodzenie dzieci!) i w kłopotach sercowych. Liczne wota — naszyjniki, bransoletki i pierścionki skrzące się od drogich kamieni świadczą o tym, że nie odmawia proszącym. Ukłękłam i położyłam u Jej stóp bukiet z lilii i róż. Brakło mi odwagi, by wypowiedzieć swoją prośbę. Jak miałam ją poprosić o odebranie żonie męża i danie go mnie? W końcu wyszeptałam makiawelicznie: „Matko Boża, błagam, spraw, by oczy Piotra spojrzały na mnie z miłością”. Madonna na pewno wymyśli jakiś sposób, żeby spełnić moją prośbę,~~

~~a przy tym nie skrzywdzić Hanki, Piotra ani Stasia.~~

### **17 czerwca, środa**

Na Piazza di Spagna w eleganckim sklepie z dziecięcą bielizną kupiłam prześliczne marynarskie ubranko dla Stasia. Dla babci i Hanki mam weneckie koronki, a dla Piotra lazurowy kałamarz z Murano.

---

### **17.06**

Pili wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru odstąpić ani jednej swojej kangii „przybłądzie”. Zaproponowałam, że odkupię od niej kilka. Po długim namyśle zgodziła się wymienić dwie na lampę naftową z zapasem nafty. Ta dziewczyna ma głowę do interesów.

### **18.06**

Po skończonym załadunku orzechów palmowych na mały parowiec, który dostarcza je do Mwanzy, wróciłem do domu wcześniej niż zwykle i zastałem ogrodnika raczącego się kawą w moim fotelu na werandzie. Byłem zmęczony, a do tego zły, bo zależy mi, żeby poczęstować wizytatorów z Kompanii świeżymi warzywami, a ten obibok, zamiast przykrywać grządki liśćmi palmowymi, by nie spaliło ich słońce, pije sobie kawę. Wrzasnąłem na niego po angielsku. Angielskie przekleństwa robią na nim największe wrażenie.

Siadałem do obiadu, gdy przybiegła Pili. „Przybłąda” koniecznie chciała się ze mną zobaczyć, a nie jest jeszcze na tyle silna, żeby tu przyjść.

„Najpierw zjem obiad”, odrzekłem stanowczo.

„Ale ona kazała powiedzieć, że zna angielski”.

Zerwałem się od stołu. „Angielski? Nie pokręciłaś czegoś?”

„Usłyszała, jak pan krzyczy, i kazała mi tu przyjść”.

Zdziwiłem się, że Pili tak posłusznie wykonała polecenie „przybłądy”, bo uważa, że nikt prócz mnie nie ma prawa jej rozkazywać.

Stałem w drzwiach chaty. „*How do you do, Miss...*”

„*Mistress, Sir. My name is Almaz, Almaz Kebbede*”.

Almaz ma dwadzieścia cztery lata. Jej mąż był oficerem Abisyńskiej Gwardii Cesarskiej. Poległ w listopadzie w bitwie o Mek'ele. Almaz z synem znalazła się w Tembien. Między grudniem a lutym miasto kilka razy przechodziło z rąk do rąk. Podczas jednego z bombardowań zginął synek Almaz. Gdy pod koniec lutego Włosi ostatecznie zdobyli Tembien, w mieście działy się rzeczy straszne.

Almaz udało się uciec. Kierowała się na południe, do Bale nad jeziorem Shala, gdzie mieszkali jej rodzice.

„Byłoby lepiej, gdyby nie udało mi się tam dojść”, powiedziała. Miasteczko zostało doszczętnie spalone. W wystygłych już popiołach wały się resztki kości. „Położyłam się pod osmoloną palmą, która rosła na naszym podwórzu, przykryłam twarz chustą. Chciałam umrzeć. Obudził mnie nocny chłód. Nagle poczułam, że ktoś leży obok mnie. Pięcio-, może sześcioletnia dziewczynka. Nie mówiła. Nie wiem, czy od urodzenia, czy na skutek szoku. Musiałam wstać i zdobyć coś do jedzenia”.

„Na dziś wystarczy – przerwałem jej, widząc, jaka jest wyczerpana. – Przyjdę jutro, by zobaczyć, jak się czujesz, Almaz. Teraz odpoczywaj”.

Skinęła głową i spojrzała mi prosto w oczy. Dopiero w tym momencie zauważyłem, że jest piękna.

---

### **18 czerwca, czwartek**

Na zakończenie sezonu do Rzymu przyjechali śpiewacy z Wiednia. W operze był cały rzymski świat, przede wszystkim król Wiktor Emanuel, królowa Helena, następca tronu Humbert z piękną żoną oraz hrabina Yolanda Bergolo i księżna Mafalda von Hessen-Kassel – córki króla. W antrakcie mama Carli zaprowadziła mnie do łoża królewskiej i przedstawiła całej rodzinie, mówiąc, że to właśnie ja uratowałam Carli życie. Dygnęłam, schylając głowę, by ukryć rumieniec.

Wiedziałam, że król jest niski, ale nie że aż taki malutki. Królowa, gdy usłyszała, że jestem Polką, uprzejmie powiedziała, że kilkanaście lat temu w La Scali widzieli *Czarodziejski flet*, w którym partię Królowej Nocy śpiewała Ada Sari, „śpiewaczka doskonała”.

W operze był też Benito Mussolini. Zerkałyśmy z Carlą na jego łożę i trącałyśmy się łokciami, gdy komicznie odrzucał głowę do tyłu, wysuwał żuchwę i rzucał groźne spojrzenia, prawie jak operowy Maur.

Carla oczywiście zna libretto *Czarodziejskiego fletu*, jednak czasem szeptem tłumaczyłam jej niektóre arie na włoski. Tak miło było powiedzieć: „Żyjemy tylko dzięki miłości, miłość osładza każde cierpienie, dodaje smaku każdej chwili”. Patrzyłam na scenę, na łożę pełne kobiet w pięknych sukniach i mężczyzn w wieczorowych strojach, ale myślałam o Różanach. O Piotrze.

---

Tak jak ja, Almaz pochodzi z krainy jezior. To uratowało jej życie. Wędrowała na południe, byle dalej od bomb i hord okrutnych białych żołnierzy. Ukradła pirogę i przepłynęła jeziora Abaya

i Chamo, potem Chew Bahir i Jezioro Rudolfa. Na starej drodze koło Lodwar spotkała karawanę. Arabscy kupcy jechali do Jinji. Właściwie było jej wszystko jedno, czy kierują się na zachód czy na południe. Wiedziała tylko, że nie chce wracać na północ i że jazda na koniu to nie to samo co wędrówka przez pustkowia. Pracowała jak niewolnica: zbierała chrust, ścinała kolczaste gałęzie na bomę, nosiła wodę, rozpaliała ogień, gotowała i prała. Zaczęła planować, co zrobi, gdy z niemą dziewczynką dojedzie do Jinji. Tymczasem decyzja o jej losie już dawno została podjęta: kupcy zamierzali ją sprzedać. Przypadkiem usłyszała ich rozmowę. Nawet nie ściszyli głosu, bo nie przyszło im do głowy, że zna arabski.

Pewnej nocy, gdy byli już blisko Jeziora Wiktorii, obudziła niemą dziewczynkę. Wyczołgały się z przedsionka namiotu, gdzie zawsze spały. Almaz odnalazła przejście w chroniącej obóz bomie, które wieczorem sama zrobiła, i niezauważone przez nikogo pobiegły ścieżką prowadzącą do dżungli. Dwa dni spędziły w konarach potężnego drzewa, bo Almaz bała się pościgu. Nikt jednak ich nie gonił. Po raz czwarty ukradła pirogę. Nie odważyła się przeciąć ogromnego jeziora i płynęły blisko brzegu, między wyspami, kierując się na południowy zachód, by ominąć skupisko osad wokół Jinji i Kampali. Po dziewięciu dniach dziewczynka zachorowała na gorączkę bagienną, więc Almaz zdecydowała się przybić do brzegu i poszukać pomocy w jakiejś osadzie. Dwa dni szła przez dżunglę, niosąc dziecko w chuście na plecach. Trzeciego dnia dziewczynka umarła. Almaz ułożyła ją na ścieżce, mając nadzieję, że ktoś ją tam znajdzie, a sama położyła się obok, żeby też umrzeć.

Świat jest głuchy na takie historie. Ludzie słyszą tylko, jak Mussolini krzyczy: „*Vittoria!*”, i bezrefleksyjnie przyjmują do wiadomości, że król Wiktor Emanuel do długiej listy swoich tytułów dodał tytuł cesarza Abisynii.

---

### ***20 czerwca, sobota***

Ostatni bal w sezonie! Wszyscy wyjeżdżają, my też za kilka dni opuszczamy Rzym. Po balu siostra Carli i jej mąż odwieźli nas do domu. Wcale nie chciało nam się spać. Tańczyłyśmy we dwie na tarasie, potem Carla zaciągnęła mnie do kuchni i kazała sobie coś ugotować. Zrobiłam spaghetti alla carbonara i jadłyśmy je prosto z patelni, popijając czerwonym winem.

### ***Sorrento, 30 czerwca, wtorek***

Ostatnie dni w tym raju. Jutro wieczorem mam pociąg do Bari, potem Ragusa, Triest i Kraków.

Tutaj jest tak pięknie, że nawet moja tęsknota za babcią i Piotrem osłabła. Rodzina Carli – cóż to za uroczy ludzie! A moja Carla jest cudowna. Gdybym miała siostrę, chciałabym, żeby była właśnie taka.

Zrobiło mi się wstyd. Przecież nie zapominam i nigdy nie zapomnę o Justynie. Oddałabym

wszystko, by tu być z nią i z Rodzicami. Czy to źle, że chwilami jestem bardzo szczęśliwa?

---

30.06

Dwóch dyrektorów z Neil Mackay Trading Co. zajrzało w każdy kąt. Byliśmy także w Gisansere. Obiecałem służbie premię, a pracownikom święto, jeśli dadzą z siebie wszystko. I naprawdę się starali. Kucharz przeszedł samego siebie: potrawka z kury była niemal angielska, sałata, jarmuż i ogórki wzbudziły podziw, a szampan ze świeżymi truskawkami – zachwył.

Nie na wiele by się to zdało, gdyby w tartaku był bałagan, plantacje były zaniedbane, magazyny puste, a sklepy brudne. Na pewno jednak zdobyłem w ten sposób dodatkowe punkty. Jeden z dyrektorów powiedział, że „faktoria jest prowadzona wzorowo”. Drugi wyraził nadzieję, że po wygaśnięciu obecnego kontraktu podpiszę następny. „Oczywiście postaramy się wtedy przydzielić panu większą faktorię”.

---

### ***W pociągu do Bari, już po północy, a więc 2 lipca, czwartek***

Regina, kuzynka Carli, zasnęła, a ja nie mogę spać. Chciałabym choć w skrócie opisać ostatnie dni.

Z Rzymu pojechałyśmy do Neapolu (Pompeje, Wezuwiusza i Neapol opiszę innym razem, bo zabrakłoby mi zeszytu), a stamtąd statkiem do Sorrento. Podróż morska to mój żywioł. Nigdy nie choruję, nawet gdy huśta tak jak na kanale La Manche. Tu morze było spokojne i lazuruwobłękitne, jak oczy Piotra.

Mieszkaliśmy przy via Cocumella w przerobionym na hotel szesnastowiecznym klasztorze. Gdyby z okien było widać ogród i stawy, a nie morze i Wezuwiusza, czułabym się tak jak w Rózanach. Komoda w naszym pokoju przypominała tę stojącą w pokoju gościnnym w Rózanach, w którym zawsze śpię, na ścianach była jedwabna tapeta w bukieciki fiołków, a w łazience biała porcelanowa wanna, w której Carla wyglądała jak Wenus w muszli. Czułam się trochę jak w Penzance: wspólny pokój z Carłą, widok na morze i wszędzie język angielski (gośćmi są głównie Brytyjczycy, a w pokoju bibliotecznym nie ma ani jednej włoskiej książki – same angielskie).

Co rano kelner w białej marynarce przynosił nam śniadanie do łóżka. Carla marudziła, że taki stary, a mnie podobało się wszystko, nawet on. Popłynęłyśmy na Capri i widziałam Lazuruwą Grotę. Najpiękniejsza jednak była przejażdżka z Sorrento do Amalfi. Siedziałam w odkrytym samochodzie i przez całą drogę nie powiedziałam ani słowa, bo zaniemówiłam z zachwytu.

Zielononiebieskogranatowe morze, pinie, kaktusy, wioski i miasteczka w dole, przyklejone do białoszarych skał. Divina Costiera. Żałowałam, że nie umiem fotografować, bo zrobiłabym milion zdjęć. Staralam się jak najwięcej zapamiętać i kiedyś to namaluję.

---

## 2.07

Upolowałem trzy antylopy i dwa guźce. Zostawiłem sobie polędwicę z antylopy i 40-centymetrowe kły guźców, resztę oddałem na dzisiejsze święto. Będą też ryby, bo woda w rzekach opadła i ryby można wybierać choćby rękami. I oczywiście wino palmowe, na mój koszt.

Od jutra pracownicy mają dwumiesięczne wakacje – za jeden miesiąc dostają całą pensję, za drugi połowę, a jeśli zgłoszą się na tydzień do pilnowania magazynów, sprzątanania i tym podobnych prac, to całą. Brygada specjalistów (konserwatorzy sprzętu, ekspedienci) dostaje za te miesiące podwójne pensje, ale też ma mniej wolnego – pracuje w systemie: dwa tygodnie urlopu, dwa tygodnie pracy. Wszyscy są zadowoleni, a faktoria w czasie wakacji ma pod dostatkiem rąk do pracy.

---

## *2/3 lipca, noc, gdzieś między Bari a Raguzą*

Morze jest czarne jak atrament. Lekko kołysze statkiem. Siedzę na pokładzie na leżaku, przed chwilą skończyłam pisać list do Carli. Dołączyłam do niego list do jej rodziców. Jestem im taka wdzięczna, że zaprosili mnie tutaj i że mogłam zobaczyć te wszystkie cudowne miejsca!

Gdy wysiadłyśmy z pociągu w Bari, zaprosiłam Reginę na śniadanie. Jadłyśmy pyszny omlet i figi z ricottą. Regina mieszka w Trieście i dlatego rodzice Carli poprosili, by opiekowała się mną podczas drogi powrotnej. Jestem pewna, że poradziłabym sobie sama, nie chciałam jednak być niewdzięczna – okazali mi tyle troski! Regina ma trzydzieści lat i kazała mi mówić sobie po imieniu. Z początku trochę mnie to krępowało. Ma masę bagażu, w tym walizkę książek. Czyta cały czas i wie wszystko. Gdy zwiedzałyśmy Castel del Monte, surowy i kanciasty zamek Fryderyka II Jednookiego, cały czas poprawiała przewodnika albo coś dodawała. Ja, mimo że z historii na maturze dostałam „dobrze”, nie umiałam powiedzieć nic mądrego. Udało mi się błysnąć dopiero przy grobie królowej Bony w bazylice Świętego Mikołaja. Reginie szczególnie spodobała się ulubiona maksyma królowej: „Przekupstwo nie zostało wymyślone dla przyjaciół”.

Ciekawe, jak się czuła Bona, gdy po prawie czterdziestu latach w Polsce wróciła do Bari. Tęskniła za Krakowem i życiem pełnym wielkich czynów czy była szczęśliwa, że znów słyszy szum morza i może jeść pomarańcze i figi prosto z drzewa? Czy ktoś, kto królował, może przestać być królem?

## FIGI Z RICOTTĄ

Dostałam ten przepis od właścicielki trattorii Da Lucia.

Czarne figi skrapiamy octem balsamicznym i przez sitko posypujemy cukrem pudrem. Odstawiamy. Na patelni z grubym dnem karmelizujemy cukier, dodajemy masło, odrobinę octu balsamicznego i wody, mieszamy. Gdy się zagotuje, w karmelu kładziemy figi, polewamy resztą marynaty i karmelem. Wkładamy do gorącego piekarnika na 10 minut. Na talerzyku kładziemy figę, polewamy ją karmelem, obok dajemy łyżkę ricotty, posypujemy wszystko świeżo utartą skórką z cytryny i siekanymi migdałami.

### ***Raguza, 3 lipca, piątek***

Kupiłam sobie niebieskie szarawary i drugie, cyklamenowe, dla Hanki. Ciekawe, co na to powie. A Piotr, gdy zobaczy mnie w spodniach? Dostałam od Carli szerokie płócienne spodnie, a właściwie spódnicospodnie. Są niezwykle wygodne, jednak nie odważyłam się ich włożyć na spacer po Raguzie. A teraz mam dwie pary!

Za godzinę odpływamy. Światła portu odbijają się w czarnej wodzie. Będziemy na morzu przez dwie noce i jeden dzień. W niedzielę rano mam pociąg z Triestu do Krakowa, w poniedziałek o ósmej babcia będzie czekała na dworcu, a wieczorem będziemy już w Rózanach!

### ***ciągle piątek, gdzieś na morzu***

Światła Raguzy dawno znikły za rufą. Płyniemy na północ, w stronę Gwiazdy Polarnej. Świeci wielki złoty księżyc – za dwa dni pełnia. Wargi mam słone od morskiego powietrza, a policzki słone od łez. Żegnajcie, winnice, gaje oliwne, palmy i cyprysy! Gdy dziś z murów miejskich patrzyłam na czerwone dachy Raguzy, serce mi się ścisnęło. Czy jeszcze kiedyś tu wrócę? A potem skarciłam się w duchu: „Jeszcze tu jestem! Trzeba się cieszyć tą chwilą. Na tęsknotę przyjdzie czas w listopadowy dżdżysty dzień”. Tata Wiery ma takie powiedzonko, które niezmiernie podoba się babci: „Jak siedzisz, to siedź, jak jesz, to jedz”.

### ***Na Adriatyku, 4 lipca, sobota***

Jakie piękne to dalmatyńskie wybrzeże! Mijamy niebieskie od lawendy albo porośnięte makią lub lasem kamieniste wyspy. Na niektórych są latarnie morskie, czasem jakiś zamek czy może klasztor. Czubki gór na dalekim lądzie toną w chmurach. Chwilami płyniemy tak blisko wysp, że czuję zapach roślin. Kupiłam w Raguzie kilka flakoników olejku lawendowego i lawendowy miód.

Dwaj marynarze stoją przy burcie i półgłosem śpiewają melancholijne pieśni – najpierw włoską, o dziewczynie czekającej na swojego chłopca marynarza, potem chorwacką:

*Lipo mi je, lipo mi je  
na razini suvoj ležat,  
na osami blizu mora  
na pučinu tebe gledat,  
moj galebe.*

Poprosiłam, żeby mi ją przetłumaczyli: „Tak mi błogo, tak mi błogo, na wysokim brzegu leżeć, na odludziu blisko morza, w fal bezkresie widzieć ciebie, moja mewo”.

*Lipo mi je, lipo mi je!*

---

4.07

Jadę z Jensem na polowanie na sawannie. Almaz wraca do zdrowia i bez obawy mogę ją zostawić.

---

### ***Granica włosko-austriacka, 5 lipca, niedziela***

Stoimy na granicy. Celnicy, sprawdzanie dokumentów. W moim przedziale jest jeszcze Chorwatko-Włoszka. Ma włoski paszport, jednak mieszka w Raguzie. Jedzie do Wiednia, więc w nocy w przedziale będę sama.

### ***później***

Nie mogłam się oderwać od okna. Od Udine do Villach widoki zapierają dech w piersiach. Przyjemnie się patrzy na groźne skaliste szczyty, wygodnie siedząc w pociągu. Chciałabym kiedyś tu przyjechać i przejść jakimiś niezbyt trudnymi szlakami. Szłam kiedyś z Tatą i Justyną czerwonym szlakiem Za Reglami, z Kalatówek do Doliny Kościeliskiej. Był ciepły wrześniowy dzień, po błękitnym niebie płynęły pojedyncze chmurki. W solidnych sznurowanych trzewikach czułam się jak taterniczka i byłam urażona, gdy Tatuś użył słowa „spacer”. Pamiętam potok w wąskiej Dolinie Białego, wartko płynący po brązowych kamykach. Szczelnie otoczony lasem Smreczyński Staw o brunatnej wodzie, który, jak wierzą górale, nie ma dna. Lodowe Źródło w Dolinie Kościeliskiej i strach, że połknęłam studniczka – ślepego skorupiaka, który, jak mówił Tatuś, żyje w podziemnych tatrzańskich wodach od stworzenia świata.

### ***jeszcze później***

Obiad w wagonie restauracyjnym nadspodziewanie dobry: szynka parmeńska z melonem i mediolańskie salami, spinaci all'Assunta, fettuccine al ragu i na deser lody. Niestety, nie mieli neapolitańskiej pizzy. Będę za nią tęsknić. Jaka szkoda, że w Krakowie jest to danie nikomu nieznanie! Kelner bez pytania nalał mi wina, więc wypiałam. W końcu mam już szesnaście lat!

Objedzona jak bąk wróciłam do przedziału. Moja towarzyszka podróży gdzieś wyszła, więc wyciągnęłam się na obu fotelach i czytałam listy od babci i od Hanki. Hanka pisze o Stasiu i o suszy, która panuje w Polsce. Piotr dopisał w jednym liście: „Zuziu moja kochana, uważaj na siebie i wracaj



do nas szybko”.

Lubię kołysanie i stukot pociągu.

---

### 6.07

Opowiedziałem Jensowi o Almaz. Nie zdziwił się, że wykazała się takim hartem ducha. „Amharowie to wspaniali wojownicy. Ich wytrzymałość na głód, pragnienie i ból jest niemal legendarna. W Abisynii sprawowali najwyższe urzędy, nie tylko w wojsku. Są dumni, niezależni i mają świętą głowę do interesów, a ich kobiety są podobno najpiękniejsze w całej Afryce”.

### 9.07

Upolowałem lwa!

Lubię polować z ambony: można spokojnie wycelować do wybranej sztuki, bo zwierzynie trudniej zwietrzyć myśliwego. Wiele jesiennych świtów i księżycowych zimowych nocy spędziłem na ambonie, czekając na dziki lub wilki. Jednak nigdy wcześniej nie czułem takich emocji. Już sam gardłowy, chrapliwy ryk lwa, który zwietrzył ofiarę, przyprawia o ciarki.

Nasi tropiciele zbudowali ambonę na baobabie, którego pierwsze, bezlistne o tej porze roku gałęzie wyrastały na wysokości jakichś sześciu metrów. My tymczasem upolowaliśmy zebra i antylopa. Jens kazał je przywiązać do stojącej opodal uschniętej akacji, z której został tylko pień, a wcześniej pokropił okolicę ich krwią. Ambona była umieszczona bardzo wysoko i prowadziła do niej drabinka sznurowa. „Może lepiej byłoby się zasadzić na tej akacji. – Wskazałem pobliskie drzewo. – Łatwiej byłoby się tam dostać”. „Racja, łatwiej – przytaknął Jens. – Także lampartowi, który nawet trzymając w pysku zdobycz, potrafi wskoczyć na gałąź sterczącą pięć metrów nad ziemią”.

Nie robiłem już żadnych uwag.

O piątej po południu wdrapaliśmy się na ambonę i wciągnęliśmy drabinkę. Słońce zaszło pół godziny później i zrobiło się tak ciemno, że nie widziałem siedzącego naprzeciwko mnie Jensa. Słyszałem dalekie krzyki pawianów i pisk nietoperzy polujących nad naszymi głowami. Na niebie było coraz więcej gwiazd. Po dziewiątej wzeszedł księżyc w pełni. Z mroku wyłoniły się czarne parasole akacji, błysnęły jakieś oczy w trawie. Nocny ptak usiadł obok nas na gałęzi, zaskrzeczał spłoszony i odleciał. Podniosłem lornetkę do oczu. Wpatrywałem się w miejsce, gdzie leżała przynęta. Nagle usłyszałem daleki ryk lwa. Nerwowo kręciłem się na ławce, tak jakbym pierwszy raz w życiu czatował na ambonie.

Jens się nachylił i szepnął mi do ucha: „Siedź spokojnie. Nocą głos na sawannie niesie się

kilometrami”.

Rzeczywiście, słyszałem daleki tętent spłoszonych antylop, nawet szelest traw.

Minęła północ. Lew odzywał się coraz bliżej. Księżyc przesłoniła chmura. W ciemności usłyszałem chrapliwy oddech, a potem mlaskanie. Wiatr przywiał ostry odór dzikiego zwierzęcia.

Chmura odpłynęła. Zobaczyłem czarny cień. Lew! Widziałem go coraz wyraźniej. Jens dotknął mojego ramienia i skinął głową. Uspokoilem oddech, wycelowałem i strzeliłem. Zwierz skoczył w górę, a potem znieruchomiał.

Czekaliśmy jeszcze prawie dwie godziny i dopiero o brzasku zeszliśmy z drzewa. Kilkanaście metrów dalej leżał martwy lew.

---

### ***Różany, 14 lipca, wtorek***

Dawno nie pisałam, jednak nie dlatego, że nic się nie działo, lecz dlatego, że stało się coś bardzo dziwnego. Okropnego. Przerazającego. ~~Widziałam ducha. Kobieta o oczach kobry.~~

### ***16 lipca, czwartek***

Gdy wchodziłam do salonu, usłyszałam, jak Hanka mówi do babci: „Gdy się ma szesnaście lat, łatwo pomylić zadurzenie z miłością”. Od razu pomyślałam, że mówi o mnie, jednak gdy spytałam: „O czym rozmawiacie?”, Hanka swobodnie, bez śladu zmieszania odrzekła: „Wspominam swoje pensjonarskie czasy”. Jestem przeczulona.

### ***17 lipca, piątek***

Byłam na przejażdżce z Hanką. Ona w cyklamenowych szarawarach, ja w błękitnych. Gdy je kupowałam, wyobrażałam sobie, jak przyjemnie będzie tak właśnie w nich galopować. Nie było przyjemnie. ~~Syczały mi w uszach słowa zjawy: „On nigdy nie będzie twój”.~~ Nie mogłam swobodnie rozmawiać z Hanką.

Jutro wracamy do Krakowa. Babcia nagle uznała, że musi jechać do Hiszpanii, do jakiejś swojej przyjaciółki. A ja mam jechać razem z nią.

Po kolacji usiadłam na progu w drzwiach prowadzących do ogrodu. Niektóre lipy już przekwitły, ale ciągle jeszcze kwitnie lipa krymska między warzywnikiem a sadem. Czułam jej słodki, miodowy zapach. Czy lipy naprawdę chronią przed piorunami i złymi duchami?

---

Wszystko idzie wolniej, prawdziwie po afrykańsku, bo wakacje robotników, do tego niedziela. Almaz już całkiem wyzdrowiała.

---

### **Kraków, 20 lipca, poniedziałek**

Nie jedziemy do Hiszpanii. Nie zobaczę obrazów El Greca ani Pirenejów. W Hiszpanii wybuchła wojna. Gdy babcia mi to powiedziała, w pierwszej chwili się ucieszyłam. Nie umiałam tego ukryć i surowo mnie skarciła.

Wojna domowa. Co to właściwie znaczy?

Co mnie jednak obchodzi El Greco i Pireneje! Ach, Piotrze, tak bym chciała być teraz w Rózanach, gdy za chwilę odezwie się gong na podwieczorek i usiądziesz w jadalni, a może w altanie... Patrzyć na ciebie, widzieć, jak błyszczą ci oczy, gdy opowiadasz, co dziś robiłeś... Sto razy bardziej wolałabym jechać z tobą drogą pod lasem trzęsącą się na piaszczystych koleinach linijką niż do Hiszpanii. Patrzyć, jak na polu dymi i turkocze lokomobila, jak przesuwa się pas na wielkich czarnych kołach, jak snopki żyta giną w czeluściach młockarni... Pamiętam, jak w zeszłym roku opowiadałeś mi, że tych czterech ludzi młóci tysiąc snopów na dzień, a gdyby robili to cepami, musieliby pracować dwa tygodnie. Pamiętam zapach gniecionej słomy i świeżego ziarna, swąd palonego drewna z komina lokomobili, kurz unoszący się z młockarni... Pamiętam wszystko.

El Greco. Babcia nie może przestać o nim mówić. *Widok Toledo* znam lepiej, niż gdybym godzinę patrzyła na ten obraz: rzekę z kamiennym mostem i zwały granatowych chmur nad oświetlonym nieziemskim światłem miastem. Wieczorem w Rózanach widziałam balet tysięcy światełek tańczących wśród leszczyn. Czy w Hiszpanii mają coś równie zachwycającego?

### **22 lipca, środa**

„Wiem, jak wyglądają gaje oliwne i jakie niebieskie jest Morze Śródziemne”, myślę buntowniczo, gdy przy obiedzie babcia ciągle ubolewa nad naszym niedoszłym wyjazdem. Mówię: „To może wrócmy do Rózan, babuniu, upały w mieście są dla ciebie bardzo męczące”. Babcia patrzy na mnie dziwnie. Nie wiem, co znaczy to spojrzenie.

---

Uciekając przed włoskimi żołnierzami, Almaz przebyła prawie trzy tysiące kilometrów. Pamięta

każdy dzień, każdą przeszkodę na drodze. Opowiada mi o tym, a ja słucham z przerażeniem i współczuciem.

---

### ***23 lipca, czwartek***

Babcia dostała spadek. Miesiąc temu w Berlinie umarła żona jej szwagra (czyli brata mojego dziadka), która zapisała jej dużo pieniędzy. Nigdy nie poznałam tej części rodziny. Mój pradziadek zapisał prawie cały majątek młodszemu synowi, gdy starszy ożenił się z Niemką, to znaczy z babcią. Podobno dziadek przeprowadził ze swoim bratem zasadniczą rozmowę, po której stosunki zostały zerwane. Babcia powiedziała dziś do adwokata, że była dumna z męża, który nie chciał się procesować z bratem o majątek. „Zresztą niczego nam nie brakowało”, dodała zaraz.

Babcia musi pojechać do Berlina załatwić formalności. Myślałam, że przy okazji poznam tamtą gałąź rodziny, okazuje się jednak, że brat mojego dziadka nie miał dzieci i że my jesteśmy ostatnie. „Kiedyś będziesz mieć syna albo córkę i nasz ród nie wygaśnie”, powiedziała babcia.

### ***25 lipca, sobota***

Nie wiem, jak babcia to robi. Mamy już wizy i bilety. Jutro wyjeżdżamy. Babci tak śpieszno, bo skoro już musi pojechać do Berlina, chce zobaczyć olimpiadę.

---

26.07

Almaz przyszła do mnie w nocy.

---

### ***Berlin, 26 lipca, niedziela, dochodzi północ***

Niemal prosto z dworca przyjaciółka babci, pani Dora Breuer, zabrała nas na wieczór z Lindberghami. Ja nie bardzo chciałam iść, teraz jednak nie żałuję. Myślałam, że już nigdy nie będę chciała słuchać ani myśleć o lataniu. Tymczasem stało się inaczej. Tylko przez chwilę ścisnęło mnie w gardle, gdy Lindbergh (jaki on wysoki!) zaczął opowiadać o „cudzie latania”, i potem, kiedy powiedział, że „samolot stał się morderczym narzędziem zniszczenia”.

Charles Lindbergh zdobył sławę (i dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody), gdy jako pierwszy człowiek na świecie przeleciał bez międzylądowań z Nowego Jorku do Paryża. Potem od pierwszego

wejrzenia zakochał się w córce amerykańskiego ambasadora w Meksyku i ożenił się z nią. A później przeżył wielką tragedię: jego malutki synek został porwany i kilka miesięcy później znaleziony martwy. Policja złapała porywacza, który jednak nie przyznał się do winy. Niedawno został stracony na krześle elektrycznym. (Jakie to okropne słowa „krzesło elektryczne”! A dopiero taka śmierć!) Gazety przypominają o tych tragicznych wydarzeniach, Lindberghowie o nich milczą.

Charles Lindbergh będzie gościem honorowym na otwarciu olimpiady.

# Dziecko Lindbergha padło ofiarą zbrodniarzy.

## Potworne odkrycie murzyna w przydrożnym lesie nieopodal domu Lindbergha

W części nakładu wczorajszego donieśliśmy, że dn. 12 km. o godz. 15.15 po poł. (czas amerykański) dwaj murzyni, jadący samochodem ciężarowym, zatrzymali się na zabłoconym pagórku Mount Rose około miejscowości Hopewell (całkowicie 6 1/2 km. od domu płk. Lindbergha), celem naprawy defektu silnika. Jeden z nich zapuścił

się nieco głębiej w zarośla i tu w dołku odkrył zwłoki dziecka. W czasie szkieletu na czole widział otwór o średnicy około 1 1/4 centymetra.

Zaalarmowana policja na podstawie szczątków ubrania i bielizny stwierdziła, że szkielet należy niewątpliwie do małego Lindbergha.

Depece, które nadeszły dzisiaj,

# Dziecko zabito w noc porwana

Nowy Jork, 13 maja (ch). Według stwierdzenia sądowno-lekarskiego

syn Lindbergha zmarł wskutek skomplikowanego rozbitcia czaszki.

Wbrew pierwotnym domysłom odwiadcza, że nie dotarł do żadnego śladu kuli lub narzędzia, którym miało zostać śmiertelny cios. Zdaniem doświadczonych lekarzy zwłoki mogły leżeć w miejscu odnalezienia od dwu miesięcy. Jest przeto zupełnie możliwe, że

dziecko zabito tej samej nocy, kiedy je porwano.

Policja podejrzewa o mord pewną grupę zbrodniarzy, którą będzie bezwzględnie ścigała.

Szef policji nowojorskiej oświadczył, że policja ma wkrótce aresztować różnych ludzi, podejrzanych o zamordowanie małego Lindbergha. W czasie, gdy odnaleziono jego zwłoki, płk. Lindbergh znajdował się w Norfolkku na pokładzie jachtu, który miał nawiązać kontakt ze zbrodniarzami. Żona Lindbergha oczekuje rozwizania w najbliższych dniach.

**Cynizm zbrodniarzy obudził oburzenie całego kraju.**

Nowy Jork, 13 maja (ch). W sprawie wypadku

wywarł tak wstrząsającego wrażenia statkach dziesięciu lat, jak odnalezienie jego Lindbergha, zwłaszcza kiedy

zbrodniarze ludzili rodziców odryskania dziecka, chociaż dawno nie żyło.


Coraz bardziej szczy się plomieniami powodem cynizmu, z jakim zbrodni od Lindbergha otrzymano sumy pieniędzy, że nie chodzi tutaj o jeden ostatnich latkach smrodu się wypadła, by wymuszać na rodzinach w Kongres ma niebawem rozpocząć ustawę, przewidującą

karę śmierci na tych, którzy ludzi z jednego stanu do

Intencją ustawy jest, by ściganie było sprawą związkową oraz, by tożaki mógł zwalczać przy pomocy szych środków ten specjalny rodzaj niezależnie od władz regionalnych

## WANTED

INFORMATION AS TO THE WHEREABOUTS OF



**CHAS. A. LINDBERGH, JR.**  
OF HOPEWELL, N. J.  
**SON OF COL. CHAS. A. LINDBERGH**  
World-Famous Aviator

This child was kidnaped from his home in Hopewell, N. J., between 8 and 10 p. m. on Tuesday, March 1, 1932.

DESCRIPTION:  
Age, 20 months      Hair, blond, curly  
Weight, 27 to 30 lbs.      Eyes, dark blue  
Height, 29 inches      Complexion, light  
Deep dimple in center of chin  
Dressed in one-piece coverall night suit

ADDRESS ALL COMMUNICATIONS TO  
COL. H. N. SCHWARZKOPF, TRENTON, N. J., or  
COL. CHAS. A. LINDBERGH, HOPEWELL, N. J.

ALL COMMUNICATIONS WILL BE TREATED IN CONFIDENCE  
COL. H. NORMAN SCHWARZKOPF  
Capt. New Jersey State Police, Trenton, N. J.

March 13, 1932

## 29 lipca, środa

Wczoraj babcia okropnie się pokłóciła z panią Breuer. Kazała spakować nasze rzeczy i teraz mieszkamy u innej jej przyjaciółki, *Gräfin* Margarety van Aalderink-Grünberg.

Poszło o poglądy naszej gospodyni, a konkretnie o zjazd partii kanclerza Hitlera dwa lata temu. Jadłyśmy we trzy późne śniadanie. Pani Breuer zaczęła opowiadać, jak we wrześniu trzydziestego czwartego roku, wracając z Baden, specjalnie zatrzymała się w Norymberdze. „Miasto było udekorowane tysiącami flag. Ogromne tłumy witały Führera, który odkrytym mercedesem wjechał do Norymbergi o zachodzie słońca. Jakie to było romantyczne! Jakie piękne! Stałam pod Deutscher Hof, jego ulubionym hotelem, i razem z innymi krzyczałam: »Chcemy naszego Führera!«. I wyobraźcie sobie, moje drogie, że Führer pokazał się w oknie. O mało nie zemdlałam z wrażenia! Nie rozumiem większości z tego, co on mówi, ani nie interesuję się polityką, ale całym sercem jestem z nim. To wielki człowiek. I pod jego rządami Niemcy znów będą wielkie. Obiecał nam to”.

Kiedy skończyłyśmy jeść, babcia kazała mi iść do swego pokoju. Gdy zamykałam drzwi jadalni, usłyszałam, jak mówi lodowatym głosem: „Doro, nigdy nie byłaś zbyt mądra, ale teraz przeszłaś samą siebie”.

W taksówce babcia cały czas mruczała coś pod nosem. Gdy dojeżdżałyśmy do domu hrabiny van Aalderink, spojrzała na mnie: „Jestem stara i muszę mieć z tego jakąś korzyść. Mianowicie mogę mówić, co myślę. Ty na ten luksus musisz trochę poczekać”.

Siedziałam jak myszka i starałam się nie zaczerwienić. Nie miałam czystego sumienia. Doskonale rozumiałam panią Breuer, bo w Rzymie byłam na *Triumph des Willens* Leni Riefenstahl i widziałam to, o czym opowiadała.

Musiałam zobaczyć ten film, po prostu musiałam. W zeszłym roku dostał pierwszą nagrodę na Esposizione Internazionale d'Arte Cinematografica w Wenecji.

To niezwykły film. Nie ma w nim żadnego komentarza, jest tylko muzyka: Wagner pomieszany z marszami wojskowymi i pieśnią *Die Fahne hoch!* Podobno kanclerz po premierze podziękował Leni Riefenstahl i wręczył jej bukiet białego bzu, a ona zemdląła z wrażenia. Tym bardziej nie dziwię się pani Breuer.

Czytałam, że Riefenstahl kazała operatorom jeździć na wrotkach i na rowerze, filmować z trzydziestoośmiometrowego masztu. Jak jednak zrobiono zdjęcia, dzięki którym mamy wrażenie, że płynie nad maszerującą kolumną, lecimy z gołębiami tuż nad rynkiem w Norymberdze albo powoli unosimy się nad tłumem? No i te fantastyczne zbliżenia: twarze albo kot siedzący na parapecie koło zatkniętej flagi?

Film – jako nowatorskie dzieło – mnie zachwycił, ale nie napisałam ani nie opowiedziałam o nim babci. Właściwie dlaczego? Bo nie lubię, gdy mówcy zaczynają krzyczeć i przesadnie gestykulować? Bo marsze wojskowe nie są moją ulubioną muzyką? Bo na widok maszerującego wojska (niemieckiego, polskiego, chińskiego) nie rośnie mi serce? Bo, jak kiedyś powiedział Piotr, „oni za dobrze maszerują jak na kraj, który od zakończenia wojny światowej właściwie nie ma armii”?

### **30 lipca, czwartek**

Hrabina van Aalderink jest pogodna i bardzo gościnna. Dobiega siedemdziesiątki, lecz ma znakomitą figurę, a srebrne nitki w jasnych włosach i drobne zmarszczki dodają jej dostojności. Ma piękne rysy i niezwykle, kocie oczy: wąskie, lekko skośne i niemal szmaragdowe. „Najładniejsza dziewczyna na pensji”, jak wspomina babcia. Jej dom jest jasny, nowoczesny, pięknie umeblowany. Oddycham po natłoku bibelotów, frędzli, pluszu i koronek u pani Breuer. Wiem, to nieładnie krytykować gospodarzy. Tam jednak bez przerwy się bałam, że strącę jakąś porcelanową figurkę.

### **2 sierpnia, niedziela**

Po raz pierwszy w życiu widziałam taki wielki stadion. Po raz pierwszy doświadczyłam przyływu

niezwykłego uniesienia w wielkim tłumie podobnie reagujących ludzi. Po raz pierwszy tańczyłam rumbę. Z Murzynem. Ale po kolei.

XI Letnie Igrzyska Olimpijskie wczoraj zostały otwarte. O dziesiątej byliśmy na uroczystej mszy – nabożeństwa odbyły się w różnych kościołach, wszystkich wyznań. Potem widziałyśmy sztafetę z ogniem olimpijskim. Tłumy ludzi stały na chodnikach, wiwatowały, klaskały.

Miasto łopocze od flag, czerwieni się i złoci. Wszędzie pełno ludzi. Na trybunach stadionu głowa przy głowie, w dole zielony trawnik otoczony ceglasczerwoną bieżnią. Wokół stadionu powiewają flagi wszystkich uczestników olimpiady. Biało-czerwona jest w świetnym miejscu: tuż obok flag olimpijskich, naprzeciwko trybuny honorowej.

O czwartej przyjechał kanclerz Adolf Hitler. Mała blondyneczka w niebieskiej sukience wręczyła mu bukiet róż. Ludzie szaleli, klaskali, krzyczeli, niektóre kobiety były bliskie omdlenia, rozbrzmiał hymn niemiecki, a potem pieśń *Die Fahne hoch!* Odezwał się dzwon olimpijski, później zagrano skoczny marsz i na bieżnię weszli zawodnicy: najpierw Grecy, ze Spirydionem Louistem, zwycięzcą maratonu na olimpiadzie w Atenach w 1896 roku, potem kolejne państwa w porządku alfabetycznym. Chorąży szwajcarski w marszu podrzucał flagę wysoko do góry i zręcznie ją łapał. Polki i Polacy szli w czerwonych kurtkach, mężczyźni w kremowych spodniach, a kobiety – spódnicach, i w białych rogatywkach, kilku zaś oficerów – w mundurach. Przed trybuną honorową Polacy zdjęli czapki, a oficerowie salutowali po polsku, do daszków. Publiczność, która najgoręcej oklaskiwała grupy salutujące wyciągniętą prawą ręką, okazała umiarkowany entuzjizm. Za to my z babcią byłyśmy brawo jak szalone. Amerykanie także nie salutowali po niemiecku, tylko ściągnęli okrągłe słomkowe kapelusze i przycisnęli je do serca, za to Francuzi podnieśli prawe ręce. Publiczność po prostu oszalała. W końcu na bieżni pokazali się Niemcy i widownię ogarnęła histeria. Cisza zapadła dopiero wtedy, gdy sportowcy ustawili się na murawie. Na zielonym tle czerwone kurtki naszej reprezentacji wyglądały świetnie. Bardzo chciałam zobaczyć biegacza z ogniem olimpijskim, tymczasem przemówili baron Coubertin (z płyty gramofonowej, bo jest chory i nie mógł przyjechać do Berlina) i hrabia de Latour. W końcu głos zabrał niemiecki kanclerz i ogłosił otwarcie igrzysk. Biły wszystkie dzwony w mieście, grzmiały armaty, w niebo wzleciały tysiące gołębi. Potem wykonano niezwykle patetyczny hymn olimpijski na ogromny chór i orkiestrę. Dyrygował jego kompozytor Richard Strauss. Gdy chór zaśpiewał: „Narody, bądźcie gośćmi narodu” i „radośnie niech zwyciężają mistrzowie”, babcia, nie bacząc na powagę chwili, szepnęła mi do ucha: „No, ani *Salome*, ani *Morgen* to to nie jest. Biedny Strauss. Cóż za upadek”. Trzej marynarze wciągnęli na maszt flagę olimpijską przywiezioną z Los Angeles i wreszcie na stadion wbiegł zawodnik z pochodnią i zapalił znicz olimpijski. Rozległy się fanfary, Spirydion Louis powoli wszedł po schodach do loży Adolfa Hitlera i wręczył mu gałązkę oliwną. Nie odrywałam lornetki od oczu. Do trybuny podeszli chorążowie, flagi pochyliły się w ciszy, a niemiecki zawodnik w imieniu wszystkich złożył przysięgę olimpijską, obiecując, że wszyscy będą walczyli po rycersku. Chór zaczął śpiewać *Alleluja!* i zaraz dołączył do

niego cały stadion. Ja też śpiewałam, choć miałam ściśnięte gardło. Drużyny kolejno wymaszerowały ze stadionu i to już był koniec.

Stadion w Charlottenburgu przypomina antyczne amfiteatry, tylko że ma ze sto tysięcy miejsc. Jest po prostu gigantyczny. Siedziałyśmy z babcią niedaleko grupy Hindusek. Nie mogłam od nich oderwać oczu. W kolorowych, zdobionych złotem sari przypominały stadko egzotycznych ptaków.

Wypatruję Leni Riefenstahl, która kręci film o olimpiadzie.

### **3 sierpnia, poniedziałek**

Wczoraj zapomniałam napisać o rumbie. To nowy taniec, którego nauczył mnie Joe, Murzyn ze Stanów Zjednoczonych. Rumbę tańczy się na trzy (wolny, szybki, szybki), niemal w miejscu, przede wszystkim biodrami, ramiona i głowa są nieruchome, a ruchy nóg mają być takie jak przy rozgniataniu karalucha (!!!). Byłyśmy z babcią, z hrabiną van Aalderink, jej mężem i parą ich przyjaciół z Anglii na kolacji. Grała niezła orkiestra i parkiet był pełny. W pewnej chwili do naszego stolika podszedł Murzyn i poprosił mnie od tańca. Spojrzałam na babcię, która – trochę zaskoczona – kiwnęła głową. Joe jest masażystą, przyjechał na olimpiadę z amerykańskimi zawodnikami. Powiedziałam, że nie umiem tego tańczyć, więc pokazał mi kroki rumby, a potem tak prowadził, że samo mi się tańczyło. Napisałam o Joem do Carli, Wiery i Irki, żeby się pochwalić.

Do Berlina zjechali ludzie z całego świata. Po mieście spacerują Japończycy, Hindusi, Turcy, Chińczycy. W kawiarniach trudno znaleźć wolne miejsce, w restauracjach wszystkie stoliki są zajęte, w kabaretach podobno tłok. Bardzo chciałabym pójść do kabaretu, ale babcia się nie zgadza. Tam dopiero musi być zabawa!

A na olimpiadzie panna Maria Kwaśniewska zajęła trzecie miejsce w rzucie oszczepem. Mamy pierwszy medal! Zawodniczki dostały wianuszki olimpijskie z liści dębu, a zwyciężczynie jeszcze sadzonkę dębu w doniczce. Na maszty wciągnięto dwie flagi niemieckie i polską i odegrano niemiecki hymn. Szkoda, że nie polski, ale i tak była to wzruszająca chwila. Kanclerz zaprosił zawodniczki do swojej loży i chwilę z nimi rozmawiał. Uśmiechał się i poklepał naszą reprezentantkę po ramieniu.

Bardzo mi się podobały przedbiegi na trzy kilometry z przeszkodami. Było jak w kinie na komedii: pod koniec, gdy zawodnicy byli już zmęczeni, prawie każdy wpadał do szerokiego rowu z wodą. Publiczność doskonale się bawiła.

Chciałabym zobaczyć wioskę olimpijską, to jednak w Döberitz, daleko od Berlina. Podobno zawodnicy mają tam wszelkie udogodnienia, nawet kuchnię narodową. Ponieważ Piotr prosił mnie o dokładne sprawozdanie z wszystkich wydarzeń, postanowiłam zebrać trochę zakulisowych wiadomości i zapytałam pewnego miłego młodego człowieka, wolontariusza Młodzieżowej Służby Honorowej, co jedzą polscy zawodnicy. Nie minęło pół godziny, gdy przyniósł mi jadłospis z piątku. Jedno jest pewne: nie poszczą.



*Śniadanie: kawa, herbata, mleko, chleb i bułki, masło, wędliny, jajka na miękko, miód, marmolada*

*Obiad: zupa jarzynowa, schab pieczony, kapusta duszona, ziemniaki z masłem, pieczywo, napoleonki, kruche ciasto, owoce, herbata*

*Kolacja: omlet z kalafiozem, herbata, pieczywo, miód, marmolada, masło, owoce*

#### **4 sierpnia, wtorek**

W następny czwartek jest *garden party* u dowódcy Luftwaffe Hermanna Göringa, o którym hrabia Grünberg mówi „nasz as lotnictwa”. Myślałam, że tak sobie żartuje, tymczasem wyjaśnił mi, że pan Göring był w czasie wojny światowej pilotem i stracił dwadzieścia dwa nieprzyjacielskie samoloty. Państwo Grünbergowie od dawna mają zaproszenie i jak się okazało, teraz chcieli uzyskać je również dla babci i dla mnie. Nie udało się, sami więc zaprosili gości i w niedzielę wydają *garden party* na naszą cześć. Babcia podziękowała, a potem powiedziała: „Jesteś taka troskliwa, Margareto. Szczerze mówiąc, sto razy bardziej wolę zabawę w mniejszym gronie i innym towarzystwie”.

„Pan Göring jest uroczym gospodarzem i wydaje wspaniałe przyjęcia, a jego rezydencja jest bajeczna. Poza tym przecież przyjaźni się z prezydentem Mościckim”.

„Myślisz o tym wspólnym polowaniu w Białowieży? Przyjaźni po strzelbie? – spytała babcia. – Ja nie poluję i nie potrafię tego zrozumieć”.

A gdy wieczorem przysłała do mojego pokoju powiedzieć mi dobranoc, dodała jeszcze, tylko do mnie: „Najpierw polował na samoloty, teraz na wilki i rysie. Kto będzie następny?”.

---

4.08

Sen o Z. Erotyczny.

---

#### **5 sierpnia, środa**

Patrzyłam, jak Jesse Owens wypluwa gumę do zucia, jak razem z innymi zawodnikami łopatką kopie dołki w bieżni i w nich przyklęka. Na stadionie panowała kompletna cisza. Starter w białym płaszczu zawołał: „*Fertig!*”, zawodnicy się unieśli, potem wystrzelił i ruszyli po bieżni. Owens prowadził od początku do końca. Kanclerz Hitler tradycyjnie zaprosił zwycięzców do swojej łoży

i rozmawiał z nimi dłuższą chwilę. Angielskie gazety piszą, że to pierwszy Murzyn, któremu Führer uściskał dłoń.

Z tymi angielskimi gazetami to dziwna sprawa. Berlińczycy czytają obce gazety, jeśli chcą się dowiedzieć, co się dzieje za granicą albo nawet u nich – bo podobno niemiecka prasa o wielu rzeczach nie pisze albo pisze kłamliwie.

W berlińskich gazetach na pierwszych stronach zdjęcia dwóch niemieckich oszczepniczek i Marii Kwaśniewskiej w towarzystwie kanclerza Hitlera. Zdradzają też, co powiedział naszej mistrzyni: „Gratuluję sukcesu małej Polsce”. Panna Kwaśniewska patrzyła na niego z uśmiechem i z góry – jest od niego wyższa.

Jesse Owens zdobył już trzeci złoty medal – w skoku w dal. Jest ulubieńcem wszystkich. Łowcy autografów oblegają go na każdym kroku. Ja też stale kieruję na niego lornetkę i dzięki temu widziałam Leni Riefenstahl! Kilkanaście minut po zwycięstwie Owensa w skoku w dal podeszła do niego krótko ostrzyżona szczupła brunetka w szerokich białych spodniach (!). W pierwszej chwili jej nie poznałam – zorientowałam się, że to ona, dopiero gdy zobaczyłam operatora z kamerą. Owens rozmawiał z nią przez chwilę, kiwnął głową, poszedł na tor, znieruchomiał i skoczył jeszcze raz, przepięknie i równie daleko jak wcześniej. Zobaczyłam skok, który został uwieczniony na taśmie! W jakiś dziwny sposób sama poczułam się nieśmiertelna.

Babcia ogromnie się wczoraj denerwowała przed ostatnim biegiem Stanisławy Walasiewiczówny, która w przedbiegach nie wypadła najlepiej, a gdy chodziła po murawie, chwilami wyraźnie kuląła. Po strzale startera Walasiewiczówna została z tyłu. Cały czas prowadziła Amerykanka Helen Stephens, za nią biegły dwie Niemki. W połowie toru Walasiewiczówna zrównała się z Niemkami, a potem je wyprzedziła. Przegrała jedynie ze Stephens.

Dziś znowu padał deszcz, na szczęście tylko podczas przerwy obiadowej, która jest od dwunastej do piętnastej.

### ***6 sierpnia, czwartek***

Mam następną ciekawostkę dla Piotra. Nie wiedziałam, że gołębie trzymane w klatce, a potem wypuszczone, wzbijają się i od razu robią kupki. Moment wypuszczania gołębi na zawodach podobno zawsze jest krytyczny. Tym razem najbardziej ucierpieli przedstawiciele Filipin i także niektórzy stojący tuż obok Polacy.

### ***7 sierpnia, piątek***

Po pochmurnych, wietrznych dniach dziś jest bardzo ciepło i świeci słońce. I po raz pierwszy na stadionie nie było kanclerza: pojechał na mecz piłki nożnej Niemcy – Norwegia.

W czasie przerwy obiadowej byliśmy w winiarni Habla na Unter den Linden. Babcia piła riesling deidesheimer. Zachwycała się jego smakiem: słodką nutą gruszki i kwaskową limy. W końcu

zauważyła moje błagalne spojrzenie i pozwoliła mi spróbować. Pyszny!

Wysłałam długi list do Irki, kartkę z życzeniami imieninowymi i prezent. Kupiłam jej kostium kąpielowy, podobny do mojego, bo na Ymce zawsze mówi, jaki mój jest ładny, a jej staromodny.

### **8 sierpnia, sobota**

Znowu medal! Kapitan Władysław Karaś zajął trzecie miejsce w zawodach strzeleckich. Powiedział potem dziennikarzom, że mógł strzelać lepiej, ale był niewypoczęty: przed zawodami spał tylko cztery i pół godziny, bo zawodnik, z którym mieszka, do późna w nocy czytał gazetę i mimo próśb nie chciał zgasić światła.

Znajomy babci, pan Mark Brockmann, wziął nas dziś do Taverne, włoskiej restauracji, w której – przy stoliku w rogu – spotykają się co wieczór korespondenci zagraniczni. Pokazał nam Marthę Dodd, córkę amerykańskiego ambasadora w Berlinie, bardzo ładną, krótko ostrzyżoną blondynkę (gdy powiedział, że ona „zmienia kochanków jak rękawiczki”, babcia zabawnie chrząknęła i spojrzała na mnie, tak jakbym była malutkim dzieckiem), starszego pana w krzykliwym garniturze (nie zapamiętałam nazwiska), który jest dziennikarzem „New York Timesa”, i pana Ebbutta z „Timesa”. Przy stoliku dziennikarzy było wesoło i coraz gwarniej. Wyszliśmy przed jedenastą, gdy zabawa dopiero się rozkręcała. Chciałabym być dziennikarką i spędzać wieczory w towarzystwie błyskotliwych i uroczych mężczyzn. Takich jak Piotr.

---

### **9.08**

Mama, która bynajmniej nie jest pruderyjna, mówi o kobietach niemających doświadczeń seksualnych „zapięczętowany dzban”. Ta niemal biblijna fraza zawsze mnie śmieszyła. Nigdy nie miałem do czynienia z dziewicą i nigdy za tym nie tęskniłem. Teraz jednak rozumiem, co w tym pociągającego. Gdy Almaz umiejętnie napina mięśnie albo odgaduje moje niewypowiedziane życzenia, najpierw jestem uszczęśliwiony, a potem myślę: „Kto ją tego nauczył? Co jeszcze z nim robiła?”.

---

### **10 sierpnia, poniedziałek**

*Garden party* było cudowne! Tańczyłam każdy taniec, usłyszałam mnóstwo komplementów, a moja organdykowa biała sukienka bardzo się podobała. Hrabina van Aalderink była tak uprzejma, że przysłała nam swoją osobistą pokojówkę Bertę. Babcia od kilku lat ma krótkie włosy, mnie jednak nie

pozwała ściąć warkoczy. Berta nie tylko pomogła nam się ubrać, ale też nas uczesała. W Berlinie najmodniejsze są loki, więc babci ułożyła włosy w drobne fale, a mnie specjalną maszynką zakreśliła włosy w anglezy.

### **11 sierpnia, wtorek**

Byłam dziś na torze regatowym z pewnym bardzo miłym Austriakiem i jego dwiema siostrami. Poznałam ich na *garden party*, a ponieważ są krewnymi naszych gospodarzy, babcia pozwoliła mi pojechać. Tobiasz właśnie skończył prawo, od września będzie pracował w kancelarii swego ojca. Ma pięknego zielonego mercedesa. Razem ze mną kibicował Polakom. Mieliśmy świetne miejsce na trybunie, z którego było widać całe jezioro. Przedbiegi dwójek były pasjonujące – Polacy prowadzili od startu do mety! A potem Roger Verey (z Krakowa!), który jest chorążym naszej drużyny, wygrał swoje przedbiegi w jedynkach, i to o kilka długości!

### **12 sierpnia, środa**

Unieważniono mecz piłki nożnej między Austrią i Peru. Austria do przerwy prowadziła 2:0, później Peruwiańczycy zdobyli dwie bramki i musiano przedłużyć mecz. W tym dodatkowym czasie Peru strzeliło dwa gole. Potem jednak Austriacy złożyli protest: przegrali, bo podczas przerwy widzowie z Peru pobili kilku austriackich zawodników. Sędziowie uznali protest i kazali powtórzyć mecz. Peruwiańczycy jednak obrazili się śmiertelnie i nie przyszli na boisko. Wczoraj więc Polacy grali z Austrią i choć wcześniej wygraliśmy z Anglikami, tym razem przegraliśmy 1:3. Tobiasz, który dziś zaprosił babcię i mnie na kolację, był na tym meczu. Mnie futbol nudzi, więc nie poszłam z nim, choć bardzo prosił. Teraz powiedział, że dobrze zrobiłam, bo nie wiedziałby, komu kibicować: Polakom czy swoim. Po kolacji wracaliśmy spacerem brzegiem Szprewy za Reichstagiem. Babcia szła z mamą Tobiasza, my przodem. Noc była ciepła, Tobiasz pokazywał mi różne gwiazdy. Po Szprewie płynęły motorówki z turystami, ludzie się śmiali, grała muzyka. Berlin jest jednym wielkim miejscem zabawy. Umówiłam się z Tobiaszem na tenisa.

### **13 sierpnia, czwartek**

Dawno nie grałam, jednak z Gizelą, starszą siostrą Tobiasza, pokonałyśmy Ulrike i Tobiasza w trzech setach: 4:6, 6:3, 7:5. Gizela świetnie gra. Potem Tobiasz zaprosił nas na piwo. Gdy powiedziałam o tym babci, tylko się uśmiechnęła: „Być w Berlinie i nie napić się piwa, to jak być w Rzymie i nie zobaczyć papieża”. Poczulałam się dorosła.



### **14 sierpnia, piątek**

Dostałam właśnie długi list do Hanki. Staś raczkuje i mówi już „mama”. Zateśniłam za Różanami.

### **15 sierpnia, sobota**

Wczoraj w Grünau zdobyliśmy brązowy medal. Trybuny po obu stronach jeziora były pełne, przybył też kanclerz.

Dziś siedzę w domu, bo babcia źle się czuje. Przeziębila się w Grünau – dość mocno wiało nad jeziorem. Tobiasz już kilka dni temu zaprosił nas obie na zawody jeździeckie. Wtedy miałam ogromną ochotę pojechać, dziś jednak nie mogłam zostawić babci samej. Tobiasz obiecał wpaść wieczorem i wszystko opowiedzieć.

### **16 sierpnia, niedziela**

Olimpiada się skończyła. Następną za cztery lata w Tokio. Rodzice ani Justyna nie interesowali się sportem, rzadko chodziliśmy na jakieś zawody i dopiero teraz widzę, jakie to niezwykle przeżycie. W tłumie reaguje się zupełnie inaczej. Nigdy bym nie pomyślała, że babcia potrafi krzyczeć, podskakiwać jak mała dziewczynka, a nawet wymachiwać flagą, którą sobie kupiła.

Dobrze, że nie pojechałyśmy na zawody hipiczne. Eliminacje w terenie były, jak mówił Tobiasz, mordercze. Prawie każdy zawodnik przynajmniej raz spadł z konia. Dwóch złamało rękę, rotmistrz Kawecki nadwerężył żebra, a co najgorsze – dwa konie trzeba było zastrzelić, bo złamały nogę. Nie mogłam o tym słuchać. Ludzie się wyścigują dla własnej przyjemności, ale te biedne konie? Polacy zdobyli srebrny medal. Powinnam raczej napisać: to ich konie, Arlekin, Bambino i Tośka, zdobyły medal.

### **17 sierpnia, poniedziałek**

Kupowałam widokówki. Obok był wielki stojak wypełniony kartkami z portretem kanclerza Hitlera w różnych pozach. Mocno retuszowanym. Przyjrzałam się kanclerzowi na stadionie – przez lornetkę, a raz stałam tak, że przechodził o kilka kroków ode mnie. Jest niski i dziwnie sztywny. Nie ma ani grama żołnierskiego szyku. Mundur wisi na nim jak na wieszaku, buty mają pomięte cholewy. Wcale nie jest brunetem – włosy ma ciemnokasztanowe, a ten okropny teatralny wąsik – miedzianorudy. Ma dziwnie niemęską twarz: białą skórę rudzielca z rumieńcami, gładką jak u chłopca, bez śladu zarostu. Małe, świdrujące oczy, jasne, niebieskie albo może szare. I dziwny uśmiech. Nawet jeśli wargi ma wygięte do góry, to zawsze trochę nierówno, jakby ironicznie, i uśmiecha się tylko połową twarzy: oczy i czoło nie biorą w tym udziału.

### **18 sierpnia, wtorek**

Babcia czuje się lepiej, zeszła nawet na obiad. Po południu naszym gospodarzom złożyła wizytę

rodzina Tobiasa. Przyszli się pożegnać, bo pojutrze wyjeżdżają do Wiednia.

Berlin wyraźnie się wyludnił. Nadal jest bogato udekorowany, jednak ludzi na ulicach znacznie mniej. Byłam w Muzeum Egipskim. Nefretete jest piękna.

### **19 sierpnia, środa**

Babcia zadała mi dziwne pytanie: co myślę o Tobiasie. Odpowiedziałam, że jest bardzo miły. Westchnęła i tylko dlatego nie dodałam, że w ogóle o nim nie myślę. Chciałabym móc wykrzyknąć całemu światu, że myślę jedynie o Piotrze.

---

24.08

Kawowomleczone ciało Almaz. Jego zapach. Jego ciepło w chłodny ranek. Jego zarys, gdy o brzasku unosi ręce, by poprawić włosy. Uległość.

---

### **Drezno, 27 sierpnia, czwartek**

Od kilku dni jesteśmy w Dreźnie i robimy wycieczki po mieście i okolicach. Widziałam Zwinger i *Madonnę Sykstyńską*, kolekcję klejnotów w Grünes Gewölbe, Frauenkirche i Hofkirche. Babcia zaprowadziła mnie też do domu Kraszewskiego, uroczej willi z drewnianym gankiem, otoczonej brzoźami, które rzadko widuje się w Dreźnie. Kraszewski mieszkał w tym domu sześć lat i tutaj napisał *Hrabinę Cosel*, *Brühla* i *Starą baśń*. Gdy wróciłyśmy do hotelu, babcia wyjęła z walizki *Hrabinę Cosel*, zadzwoniła po herbatę, a mnie poprosiła, bym głośno czytała. Historia tak mnie zajęła, że potem długo w nocy czytałam w łóżku. Oczywiście na drugi dzień rano popłynęłyśmy stateczkiem do pałacu Pillnitz, który August Mocny podarował hrabinie Cosel. Nie dziwię się, że zrobiła z niego swoją letnią siedzibę: Pałac Wodny jest uroczy, w stylu japońskim, otoczony pięknym parkiem z fontannami, oranżerią, posągami, palmami, kameliami, laurami i drzewkami pomarańczowymi w donicach. Są tam także swojskie stare dęby i lipy, grabowe szpalery, floksy, cynie. Wszystko ma pozory swobody, jednak jest wyrafinowanym dziełem sztuki ogrodniczej.

Podobno po zmroku po tych ogrodach biega wielki czarny pies i wyje do księżyca. Jest to pokutujący duch okrutnego rycerza Joachima von Lossa, który gnębił swoich poddanych, wyciskając z nich ostatni grosz, by zbudować tę piękną siedzibę.

---

27.08

Od poniedziałku faktoria rusza pełną parą. Mam mnóstwo planów i nowych pomysłów. Jeśli usprawnię niektóre działania, osiągnę tak dobre wyniki, że w Boże Narodzenie będę mógł wyjechać na tydzień, może dwa. Na Zanzibar. Chciałbym zobaczyć rafę koralową. Wezmę z sobą Almaz.

---

### ***28 sierpnia, piątek***

Babcia zamówiła samochód i po śniadaniu pojechałyśmy do zamku Stolpen. Ten zamek budzi dreszcz grozy. To tutaj w Wieży Jana August Mocny przez prawie pięćdziesiąt lat więził hrabinę Cosel i tutaj umarła. Czy to nie była zbyt wielka kara za dziesięć lat szczęścia? Gdyby wiedziała, co ją czeka, czy zdecydowałaby się zostać metresą króla i go pokochać? O czym myślała, gdy starzała się w samotności i rok po roku przez wąskie okna patrzyła na miasteczko u stóp zamku i dalekie wzgórza?

„Grzeszna miłość”. Dlaczego w tym wyrażeniu, które powinno źle się kojarzyć, jest tyle uroku? Czy dlatego, że jeśli „grzeszna”, to taka wielka, że odważyła się złamać boskie i ludzkie prawa?

---

28.08

Przyjechał Jens. Jego odwiedziny zawsze są dla mnie świętem. Ledwie wysiadł z samochodu, spytał: „Jednak Pili? Widzę tu kobiecą rękę”.

Rzeczywiście, nigdy wcześniej na werandzie nie było kwiatów. Almaz kocha kwiaty.

---

### ***29 sierpnia, sobota***

Niedaleko naszego hotelu jest mała kawiarnia z pięknym widokiem na skwer z fontanną w formie nimfy wylewającej wodę do misy. Byłam tu z babcią i zauroczyło mnie to miejsce. Dziś, gdy wracałam z ogrodu botanicznego, skręciłam na placyk i siedzę sobie na otwartej werandzie, patrzę na zielone włosy nimfy, piję lemoniadę i cieszę się tą chwilą.

---

## 5.09

Zawsze lubiłem zmierzch. O szarej godzinie świat wygląda zupełnie inaczej, tak jakby była to pora, gdy nieznane zbliża się na wyciągnięcie ręki. To, co w świetle dnia jest niemożliwe, może się stać o zmierzchu.

W Afryce po jasnym dniu zaraz zapada czarna noc. Nie ma tu zmierzchu. Jest tylko czas między kieliszkiem koniaku po kolacji a położeniem się do łóżka. Ta godzina należy do Almaz. Siedzę na kanapie, a ona stoi w najciemniejszym kącie salonu. Widzę poruszające się ręce, gdy opowiada, jak umierało obłąkane Tembien. Widzę górskie ścieżki: trudne, którymi szła, i te łatwiejsze, które zauważyła dopiero ze szczytu. Razem z nią kradnę pirogę, smaruję się błotem, żeby odstraszyć moskity, wypatruję hipopotamów i krokodyli. Idę przez dżunglę. Jem liście baobabu i małpi chleb.

## 12.09

„Chcesz mieć dzieci?”, spytała dziś Almaz.

Tak, bardzo. Najlepiej troje albo czworo. Sam mam siostrę i brata i wiem, że prawdziwe oparcie daje tylko rodzina.

Wyobraziłem sobie dzieci, które mógłbym mieć z Almaz: córki należałyby do niej, synów wychowałbym tak, jak mnie wychowano.

Nagle przypomniałem sobie Emanuela. Nigdy nie poznałem jego prawdziwego, afrykańskiego imienia, choć przez te dwa lata, gdy uczył mnie suahili i arabskiego, prawie się zaprzyjaźniliśmy. Miał dziecko z białą kobietą, która przyjechała na służbę do Berlina z meklemburskiej wsi. Tylko raz widział tę wieś. Pojechali tam razem, bo chciał się żenić. Nikt im nie otworzył, a gdy wracali na stację kolejową, z krzaków posypały się kamienie. Kobieta spakowała rzeczy i nigdy więcej jej nie widział. Sam wychował córkę ze skromnej pensji, którą dostawał za kampanię odbytą w Afryce Wschodniej pod generałem von Vorbeckiem. Jego córka była zdolna, skończyła niezłą szkołę, lecz mogła być tylko sprzątaczką.

Chyba za długo milczałem, bo Almaz powiedziała:

„Ja na razie nie chcę. Jeśli jednak za jakiś czas poprosisz, urodzę ci”.

---

## **27 września, niedziela**

Jak zobaczyłam, ile pisałam w Berlinie, nie chciało mi się wierzyć. Tam jednak tyle się działo. A tu mgły, deszcz, szkoła i dopiero za tydzień po raz pierwszy po wakacjach jedziemy do Różan. Babcia uznała, że musi odpocząć we własnym domu „po wycieraniu cudzych kątów”.

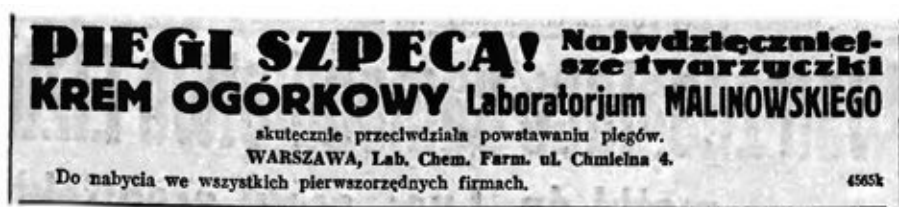


**30 września, środa**

Byłam na *Trędowatej*. Właściwie to mi się nie podobała. Lubię filmy Juliusza Gardana i tu też z prostej historii wycisnął, ile się dało, jednak to „ile się dało” to mało. (Rymy częstochowskie są tu jak najbardziej na miejscu).

Bardzo lubiłam Elżbietę Barszczewską – jest śliczna i dobrze gra, dopóki babcia nie zwróciła mi uwagi na to, jak ona mówi: „Dlaczego? Dlaczego?” i „Jestem starą panną”. Teraz ta jej maniera i nienaturalna, zbyt teatralna dykcja rażał mnie i śmieszał.

W kinie byłam z Wierą. Wygląda ślicznie – jest opalona (bez piegów, które ja mam po każdym wakacjach) i ma modną fryzurę. A ja muszę nosić te nudne warkocze, jak małe dziecko. Błagałam babcie, żeby mi pozwoliła je obciąć, ale jest nieugięta.



Opowiadałam Wierze o olimpiadzie i Berlinie. Zapytała, czy w Berlinie na drzwiach sklepów naprawdę wiszą tabliczki: „Żydzi są niepożądani”. Zrobiło mi się tak przykro, jak wtedy gdy zobaczyłam taką w Dreźnie. „W Berlinie nie ma ani jednej – powiedziałam. – Widziałam kilka w Dreźnie”. Wiera popatrzyła na mnie tak, że musiałam dodać: „Babcia twierdzi, że zdjęli je na czas olimpiady. Może nie powieszają ich z powrotem?”

Wiera na to: „Jesteś więc turystką. Podróżnik by się nie nabrał”. Ale nie chciała mi wyjaśnić różnicy między turystą a podróżnikiem. Trochę zadziera nosa, bo w tym roku zdaje maturę. Bardzo jednak podobały się jej albumy o Berlinie i Dreźnie, które jej przywiozłam.

---

**30.09**

Już rok jestem w Afryce. Czasem tęsknię za Schönwalde, za rodzicami, Renate, Antonem, końmi, pruskimi sosnami. Na szczęście mam tyle zajęć, że rzadko myślę o tamtym życiu.

**1.10**

Almaz nie może przestać mówić o swojej ucieczce z Abisynii. Pozwalam jej na to, choć znam już na pamięć każdy zakręt drogi, którą przeszła, bo przypomina mi Renate, która też radzi sobie ze swoimi problemami w ten sposób, że bez przerwy i wszystkim o nich mówi.

---

## **2 października, piątek**

Jutro zaraz po szkole jedziemy do Różan! Nie mogę się doczekać!

## **5 października, poniedziałek**

Deszcz lał przez prawie całą sobotę i całą niedzielę. Mimo wszystko pojechałam na spacer NA SWOIM KONIU! To dwuletni gniady wałach o imieniu Ganges (Piotr, jako były kawalerzysta, nazywa konie na literę obowiązującą w danym roku). Mam konia! W dodatku to prezent od Piotra!

Ganges jest cudowny: ma śliczną głowę, melancholijne oczy, jedwabistą brązową sierść, czarną grzywę i czarny ogon, jest łagodny, nie reaguje nerwowo na wędzidło i uwielbia galopować przez łąki. Piotr ułożył go dla mnie. Całe popołudnie w sobotę i większą część niedzieli spędziłam w stajni. Czyszczenie i pojenie Gangesa to zupełnie co innego niż czyszczenie i pojenie konia.

## **6 października, wtorek**

Zapomniałam napisać o Stasiu. Jest rozkoszny. Ma czarne loczki i czarne oczy, jak Hanka. Ale jest w nim wiele z Piotra: uśmiech, sposób, w jaki odwraca głowę, gdy się go zawoła.

## **11 października, niedziela**

Piotr powiedział mi dzisiaj: „Jeździć konno każdy może się nauczyć, ale po kilku dniach jeździć w takiej harmonii z koniem potrafisz tylko ty”.

---

11.10

Dopiero dziś uderzyło mnie w opowieści Almaz to, jak bardzo przeżyła kradzież łodzi. „Jak myślisz, czy właściciele je odnaleźli?”, pyta w kółko.

„Nawet jeśli nie, to przecież nie miałaś wyjścia”, mówię bez namysłu.

Twarz Almaz się ściąga.

„Mimo wszystko nie wolno brać cudzego. Naprawdę się starałam, żeby je znaleźli. Wyjmowałam paciorki z włosów i układałam z nich strzałkę pokazującą kierunek, w którym miałam płynąć. Odpruwałam długi pasek z mojej kemis i przywiązywałam do drzewa albo trzciny. A po drugiej stronie jeziora znaczyłam drogę paciorkami i skrawkami materiału od brzegu aż do ścieżki i tu też przywiązywałam pasek oddarty z kemis. Jak myślisz, czy oni odnaleźli swoje pirogi?”

---

## **12 października, poniedziałek**

Ostatnie pięć minut lekcji historii to często zabawa we „wstań i odpowiedz”. Za każdą dobrą odpowiedź siostra Kornelia daje plus, a pięć plusów równa się „bardzo dobrze”. Dziś zapytała: „Który z książąt śląskich został podstępem schwytany w łaźni i przez prawie pół roku był trzymany w zakratowanej skrzyni, aż zgodził się zapłacić wielki okup?”. Nie było o tym mowy na lekcjach, jednak babcia niedawno czytała *Kronikę książąt polskich* i opowiadała mi historię „najbardziej bezmyślnego Piasta” Henryka Rogatki i jego syna. Zerwałam się z ławki i powiedziałam: „Książę legnicki Henryk V Gruby”.

„Brawo!” Siostra Kornelia klasnęła w ręce i zapisała mi plus w dzienniku.

Odeta rzuciła mi złe spojrzenie. Być może też znała odpowiedź, bo jest dobra z historii, jednak to ja wstałam pierwsza. Nie mogłam się opanować i pokazałam jej zyg-zyg marchewka. Na szczęście siostra tego nie zauważyła.

„Matką którego władcy była święta Jadwiga Śląska?”

„Henryka Pobożnego!”, zawołała Odeta.

Chyba wszystkie znałyśmy odpowiedź, ale ona była najszybsza.

„Który z książąt krakowskich był truty przez swego medyka i w końcu umarł we Wrocławiu, gdy zjadł chleb pokrojony zatrutym nożem?”

„Henryk Probus”. Znow najszybsza była Odeta.

Wydawało mi się, że klasa w napięciu śledzi nasz pojedynek i nikt nie chce się do niego mieszać.

„W jakim zamku święta Jadwiga, jadąc z Budy do Krakowa, spędziła ostatnią noc na węgierskiej ziemi?”

Wiedziałam! W Niedzicy! Zerwałam się z miejsca, ale zaraz opadłam na ławkę.

„Przepraszam”, szepnęła siedząca za mną Pola, jedna z dam dworu Odety, i uniosła łokieć z podręcznika do historii, pod który jakimś sposobem dostał się koniec mojego warkocza.

Odeta wygrała 3:1.

## **13 października, wtorek**

Zajęłam pierwsze miejsce w pływaniu na sto metrów motylkiem. Cała szkoła biła mi brawo. Oczywiście z wyjątkiem księżniczki Odety i kilku jej dam dworu.

## **15 października, czwartek, imieniny babci Jadwigi**

Na obiedzie było dziś u nas dziesięć osób: przyjaciółka babci pani Debora Klein, Amerykanka, która od kilkunastu lat mieszka w Krakowie, Hanka i Piotr, pan Podoski, doktor Lackowski ze swoją mamą i Wiera z rodzicami i babcią. Bardzo się cieszę, że babcia zaprosiła Wierę, choć nie przyszło mi do głowy, żeby ją o to poprosić.

Całą środę i czwartek we cztery krzątałyśmy się w kuchni: babcia, Marcysia, jej zawołana do pomocy kuzynka i ja (po lekcjach). Na obiad były babeczki ze szpinakiem i śledzie marynowane, zupa grzybowa z łazankami, zrazy wołowe z kaszą gryczaną, mizeria, sałata zielona i buraki z kminkiem, a na deser malutkie ptysie z bitą śmietaną i tort czekoladowy z masą prowansalską, który sama upiekłam, bo to ulubiony tort Piotra. Był też szampan i babcia kazała Marcysi podać go także mnie oraz Wierze.

Na szczęście nikt nie pytał o szkołę, tylko o Berlin i olimpiadę. Babcia, która tak dobrze się bawiła, dopingując zawodników i odwiedzając stare przyjaciółki, powiedziała coś, co mnie zaskoczyło: „Widziałam tego pana kanclerza z bożej łaski. Tym razem wyjątkowo nie miał na sobie znoszonego trencza z najtańszej gabardyny. Jednak te jego bryczesy... Za duże, fatalnie skrojone, proszące się o szelki. I te gesty... Unosił prawą rękę w tym swoim karykaturalnym pozdrowieniu, kpnie z Rzymian, a lewą miętosił czapkę albo mundur. Na pewno pocą mu się ręce. I ten jego brutalny wrzask: »Niemcy chcą pokoju!«”.

---

#### 15.10

Listy z domu. Mama pisze, że Z. była ze swoją babcią na olimpiadzie w Berlinie. Czy Z. interesuje się sportem? Tak mało o niej wiem.

---

#### **16 października, piątek**

Zapomniałam napisać, że Piotr poprosił, żebym mu zapakowała kawałek tortu na drogę. „Delicje”, tak powiedział.

#### PRZEPIS NA TORT CZEKOLADOWY Z MASĄ PROWANSALSKĄ

Ciasto:

8 jajek

25 dkg cukru pudru

15 dkg migdałów zmielonych z łupinką

10 dkg drobno utartej gorzkiej czekolady

5 dkg biszkoptów – przesuszonych, zmiądzdzonych wałkiem i przesianych przez niezbyt gęste sito

laska wanilii (trzeba ją rozkroić, zebrać nożem czarne pesteczki i tylko je dodać do ciasta)

szczypta soli do piany

masło i bułka tarta do tortownicy

Oddzielić żółtka od białek. Żółtka utrzeć z cukrem na pulchną masę, a białka ubić na sztywną pianę ze szczyptą soli. Wyłożyć

pianę na utarte z cukrem żółtka, dodać pozostałe składniki, delikatnie wymieszać i wyłożyć do wysmarowanej masłem i obsypanej bułką tartą tortownicy. Piec ok. 40 min w 160–170°C. Spróbować patyczkiem, czy biszkopt jest upieczony.

Wysokość biszkoptu zależy od jakości jajek. Dobre świeże jajka mają sprężyste, ścisłe białka. Jeśli białko rozlewa się jak woda, to trudno je ubić na pianę, a jeżeli nawet się uda, to biszkopt zrobiony z takiej piany opada podczas pieczenia.

Biszkopt można upiec dzień wcześniej, bo łatwiej go wtedy pokroić.

Masa:

3 jajka

20 dkg cukru kryształu

25 dkg spienionego masła

10 dkg zrumienionych na suchej patelni i zmielonych migdałów (ze skórką)

pół kieliszka rumu, likieru maraschino, koniaku lub spirytusu

Jajka z cukrem ubić na parze (to znaczy włożyć garnek z jajkami do drugiego, w którym wrze woda i para ogrzewa garnek z jajkami) na pulchną masę, przełożyć garnek do garnka z zimną wodą i dalej ubijać, a gdy masa przestygnie, dodawać po łyżce masło, cały czas ubijając. Wsypać zmielone migdały i mieszając, cienkim strumyczkiem wlać alkohol.

Poncz:

1/3 szklanki przegotowanej i ostudzonej wody

3 łyżki cukru

1–2 kieliszki dobrego alkoholu

Do ubrania:

migdały pokrojone w paski, grube wiórki czekolady

ewentualnie lukier czekoladowy

Przekroić biszkopt na trzy plastry. Nasączyć dolny 1/3 ponczu zrobionego z podanych składników, posmarować 1/3 masy, nałożyć drugi krążek, nasączyć, posmarować, potem trzeci nasączyć i posmarować. Posmarować masą boki tortu. Wierzch przybrać czekoladą i migdałami.

Można też posmarować tylko pierwszy i drugi krążek, a wierzch tortu i boki pokryć lukrem czekoladowym (ubić 2 białka z 1 i 1/4 szklanki cukru pudru, dodać kilka kropli soku z cytryny i łyżkę czekolady w proszku. Ubity lukier powinien mieć konsystencję gęstej śmietany – jeśli jest za gęsty, dodać soku z cytryny, jeśli za rzadki – cukru).

---

## 19.10

Weekend u Jensa. Zbliża się pora deszczowa i trudniej będzie się odwiedzać. Zastanawiam się, czy nie kupić sobie motocykla.

---

### **19 października, poniedziałek**

Ganges jest najcudowniejszym koniem na świecie. Gdy go poję albo czyszczę, czasem odwraca głowę i patrzy na mnie, i wiem, że on wie, że go kocham, i że czuje to samo.

### **20 października, wtorek**

Czytam książkę o Indiach, którą znalazłam w bibliotece Taty. Gdy trafiam na słowo „Ganges”, od razu się uśmiecham. Podobno bogowie podczas kłótni upuścili dzban z amrytą, napojem dającym im wieczną młodość i nieśmiertelność, dzban wpadł do Gangesu i do dziś jego wody mają moc oczyszczania i uzdrawiania.

Gdy Piotr dawał mi Gangesa, zapytał, czy podoba mi się to imię, bo zmiana imienia przynosi pecha. W Gangesie podoba mi się wszystko.

---

22.10

Awaria żurawia. Znowu chwytak.

Kupiłem krowę watussi i dałem ją Pili. Pili nadal pierze moją bieliznę i płacę jej pensję. Staram się dać jej do zrozumienia, że jeśli chce wrócić do rodzinnej wsi, to ja nie mam nic przeciwko temu i obdaruję ją na drogę.

---

### ***2 listopada, poniedziałek, Zaduszki***

Łuna świateł nad Rakowicami. Ławeczka przy naszym grobie, obstalowana przez babcię, wygodna. Siedziałyśmy dwie godziny, trzymając się za ręce. Powoli zapadał zmierzch. Prawie nie rozmawiałyśmy.

Szukałam szalika przed wyjściem na cmentarz i otworzyłam szafę Mamy. Zapach jej perfum wciąż jeszcze tam trwa. Przytuliłam policzek do jej sukni i zamknęłam oczy. Mamusiu, tak bardzo za tobą tęsknię!

### ***9 listopada, poniedziałek***

Kocham Gangesa także dlatego, że dzięki niemu co tydzień jestem w Rózanach i widzę Piotra. Czasem wieczorem wyobrażam sobie, że mieszkam w Rózanach i jestem żoną Piotra, a Staś jest naszym synkiem. Potem szybko zasypiam, żeby mi się to przyśniło. Ale ta sztuczka nigdy mi się nie udała, choć udaje się z innymi marzeniami.

---

9.11

Przyjemnie się wraca do domu, w którym jest kobieta. Skończyły się utarczki z kucharzem i ciągle

poganianie ogrodnika. Wszystko idzie gładko. Wiem, że to zasługa Almaz. Ma naturalne poczucie swojej wartości, co u czarnej kobiety jest ewenementem. Tak mi się przynajmniej wydaje. W każdym razie brak uniżoności w stosunku do mnie, bez grama arogancji, na pewno jest wyjątkowy.

---

### **10 listopada, wtorek**

Siedzimy z babcią w jadalni. Ja odrabiam lekcje, babcia pisze listy. Koresponduje z pięćdziesięcioma swoimi przyjaciółkami rozszanymi po całym świecie, z mamą Carli, z mamą Renate von Ebert, mojej koleżanki z Penzance, z panią profesorową Brooks z Londynu. Pani Brooks napisała w ostatnim liście, że pani Ernestowa Simpson, „o której wszyscy wiedzą, że jest kochanką króla Edwarda i trzyma go pod pantoflem”, rozwiodła się ze swoim drugim mężem i teraz zamierza wyjść za mąż po raz trzeci – za króla. Pani Brooks jest wstrząśnięta tym, że „osoba o takiej reputacji” może zostać królową Anglii.

---

11.11

Zastanawiam się, jak zaproponować Almaz pensję. W końcu wykonuje pracę gospodyni. To, że z nią śpię, komplikuje jednak sytuację.

---

### **11 listopada, środa**

Babcia słucha powtórzenia transmisji z wręczenia buławy marszałkowskiej Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. A ja udaję, że rysuję, i podsłuchuję, co mówi do siebie.

„Poświęcenie buławy! Dobre sobie. Niedługo będą przynosić do kościoła karabiny i je święcić”.

„Słusznie Dziadek napisał o tobie: »kapryśny i wygodny«. Dobrze jest się otoczyć potakiewiczami”.

„»Nie tylko nie damy całej sukni, ale i guzika od niej«. »Albo ktoś stoi w naszych szeregach jak nasz brat, albo nie jest naszym bratem«. Łatwo jest mówić frazesy. Szkoda, że ważne sprawy przerastają twoją inteligencję. Ale czego można wymagać od syna kowala”.

A gdy kardynał August Hlond powiedział w kazaniu, że krzyż i miecz są symbolem Polski, babcia mruknęła: „Pomyliło mu się z Krzyżakami”.

### **17 listopada, wtorek**

Jest zimno i pada deszcz. Nie byliśmy w Różanach. To w ogóle był okropny tydzień. Boli mnie głowa i nie mogę spać.

Księżniczka Odeta cały czas się mści.

Wszystko zaczęło się od tego, że w połowie września siostra Klara z tajemniczą miną powiedziała, że będziemy mieć nową koleżankę. Ucieszyłam się, że będzie nowa „nowa”. Po wakacjach nie wróciły do szkoły dwie dziewczynki, ale wbrew przepowiedniom babci nie przybyła ani jedna.

Po dwóch dniach pod szkołę zajechał mercedes z opuszczoną budą. Wysiadła z niego starsza pani z bardzo modnie ubraną panienką. Akurat była przerwa i cała szkoła cisnęła się do okien. Przyjechała „nowa”! Weszła ze swoją – jak się potem okazało – ciotką do gabinetu siostry dyrektorki. A na korytarzu z ust do ust biegła wiadomość, że „nowa” jest bardzo bogata i że nazywa się Odeta.

Nie wiem czemu, ale od początku mnie nie lubi. Zresztą ja jej też. Dokucza mi na każdym kroku. Jest pierwszą uczennicą w klasie i nie może znieść, że jestem lepsza w niemieckim, w rysunkach i na pływalni.

Niektóre siostry podlizują się jej. Odeta wcześniej była w szkole urszulanek w Londynie, jednak nie podobało się jej tam i rodzice ją przenieśli. Gdy się dowiedziała, że ja byłam w szkole w Penzance, powiedziała na cały głos: „Prowincjonalna szkółka na końcu świata”.

Nie pozostaję jej dłużna. Kiedy opowiadała o wakacjach na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie była z rodzicami i starszą siostrą, która wyszła za księcia, i bez przerwy mówiła o siostrze „księżna Maria”, zauważyłam od niechcienia: „Konstytucja zniosła tytuły”.

### **3 grudnia, czwartek**

Po źle przespanej nocy obudziłam się w bajkowym świecie. Spadł śnieg i wszystko jest białe i ciche. Liczę dni do świąt.

---

4.12

Zaprosiłem Jensa na święta i Nowy Rok.

---

### **7 grudnia, poniedziałek**

Święty Mikołaj tym razem znalazł mnie w Różanach i dostałam mnóstwo prezentów, przede wszystkim nowe oficerki, rękawiczki do kompletu i toczek jeździecki. Gangesowi bardzo się podobały



moje nowe buty do jazdy. Choć nie jestem już dzieckiem i dawno przestałam wierzyć w Świętego Mikołaja, lubię dostawać prezenty.

---

8.12

Powiedziałem Almaz, że w moim kraju jest zwyczaj obdarowywania się na Boże Narodzenie prezentami. Co to jest Boże Narodzenie, nie muszę jej tłumaczyć, bo jest chrześcijanką. Zapytałam, co chciałaby dostać. Rzuciła mi dziwne spojrzenie. „A ty?“, spytała.

---

### **9 grudnia, środa**

Grudzień wlecze się i wlecze. Nie lubię grudnia. Żeby już jak najszybciej były święta i Nowy Rok.

### **11 grudnia, piątek**

W Londynie spalił się Kryształowy Pałac, zbudowany prawie sto lat temu na wystawę światową. Byłam w nim kiedyś i widziałam olbrzymie prehistoryczne gady – dinozaury. Niektóre przerażające. Potem nawet kilka razy mi się śniły.

### **12 grudnia, sobota**

Byłam z Wierą na *Wiernej rzece*. Popłakałyśmy się obie. Mieczysław Cybulski w tym filmie trochę przypomina Piotra. Oczywiście Piotr jest jeszcze przystojniejszy. Jutro idziemy na *Ada, to nie wypada*. Zaprosiłam też Irkę, ona jednak idzie wtedy na podwieczorek do Odety.

### **14 grudnia, poniedziałek**

Wracałam ze szkoły z Irką. Mówi, że u Odety nie bawiła się zbyt dobrze. Chyba chce mnie w ten sposób pocieszyć.

Na Rynku skręciłyśmy między stragany z bańkami, włosami anielskimi, łańcuchami, kolorową cynfolią, świeczkami na choinkę i gasidlami. Zapach choinek aż kręcił w nosie. Starsza pani zawzięcie targowała się o drzewko – sprzedający chciał dwa pięćdziesiąt, ona dawała dwa złote.

Kupiłam dwa zimne ognie. Sprzedawca nam je zapalił i stałyśmy w lesie choinek, trzymając w rękach druciki tryskające złotymi iskrami.



# Nowy król, skromna królowa i najślawniejsza dziewczynka Anglii

Kraków, 12 grudnia.

(2) Mało słyszano dotąd i pisano o obecnym królu Anglii. Wiadomo tylko, że księżę Albert Fryderyk Artur Jerzy — od zaślubienia lady Elisabeth Bowes-Lyon, księżę Yorku, baron Killarney i Earl of Inverness — jest jednym z najsympatyczniejszych oficerów armii, że podobnie jak jego starszy brat, a dotychczasowy król, znany jest ze swej demokratyczności, jak również ze swej jowialności.

Nowy król Anglii jest zapalonym marynarzem. Swoje okres szkolny rozpoczął w akademii marynarki w Dartmouth, z rozpoczęciem zaś wojny musiał ze względu na stan swego zdrowia porzucić służbę wojskową. I dopiero w późniejszych latach wojennych na własne życzenie został wysłany na front i odznaczył się szczególnie męstwem na polu bitwy, gdzie walczył w randze podporucznika. Później przydzielony został do armii powietrznej. Zdał na froncie zachodnim egzamin na pilota, w końcu zaś w 1920 roku wycofał się z czynnej służby wojskowej.

Gdy księżę Yorku przed 13-tu laty zaślubił szkocką hrabiankę Elżbietę Bowes-Lyon, córkę wybitnego arystokraty, cały naród dał wymowny wyraz swej radości z tego powodu. Ze Szkocji dziesiątki tysięcy osób przybyły wówczas do Londynu, aby uczestniczyć w uroczystościach zaślubin angielskiego syna królewskiego ze szkocką arystokratką.

Duża też prostota panuje w jej domu. Rzadko kiedy dotychczasowa księżna Yorku wydawała przyjęcia w swym mieszkaniu londyńskim przy Picadilly, tudzież w swej siedzibie w Windsor Lodge. Wszystkie wolne chwile spędza ona najchętniej w pokoju dziecięcym ze swymi córeczkami, bawiąc się z nimi lalkami, grając w różne gry i t. d. Gdy pojawia się na jakichś uroczystościach, czy recepcjach publicznych, na ustach jej widnieje zawsze miły uśmiech. Tak samo uśmiechnięta widzi się ją na wszystkich zdjęciach fotograficznych. Stąd też popularnym stało się powiedzonko „happy as the duchess” (szczęśliwa jak księżna).

## Księżniczka Elżbieta,

która niedawno ukończyła 10-ty rok życia, jest bez wątpienia najślawniejszą dziewczynką w Anglii. Wszędzie, na wystawach

Młoda księżna Yorku zyskała sobie wkrótce sympatię całej Anglii jako wzorowa żona i pani domu, a później matka. Stała się ona na czele różnych charytatywnych i społecznych instytucyj, pomagała często królowej Mary w jej pracach dla dobra ubogich itp.

Nowy król Anglii włada wieloma językami. Wykorzystuje też chętnie okazje wizyt różnych zagranicznych mężów stanu, aby podczas dyplomatycznych przyjęć wykazać swoje zdolności lingwistyczne. Od czasu swego ślubu księżę Yorku rzadko już wyjeżdżał z kraju. Przedtem, jak wiadomo, reprezentował swego ojca, króla Jerzego V, przy różnych uroczystych okazjach w Rumunii, Jugosławii i t. d. Nowy władca Anglii jest doskonałym strzelcem, chętnie poluje, jeździ dobrze konno i jest namiętym footballistą. Opery, koncerty i wogóle teatr interesują go mniej, aniżeli kino. Bywa częstym gościem na premierach filmowych, każe też sobie często prywatnie wyświetlać różne nowości filmowe.

## Młoda królowa Elżbieta,

która swoim miłym uśmiechem zdobyła sobie wśród Anglików popularne miano „smiling duchess”, jest niesłychanie gorliwą matką. Zajmuje się osobiście wychowaniem swoich obu córeczek, odbywa lekcje ze starszą księżniczką Elżbietą, która stała się, jak wiadomo, obecnie następczynią tronu angielskiego. Młoda królowa jest niezwykle skromna i pełna prostoty w obyczajach.

magazynów, na tytułowych stronicach dzienników, na plakatach w kolei podziemnej i t. d. można oglądać jej podobiznę. Jest ona tą osobą z rodziny królewskiej, która pod względem popularności rywalizować mogła z jednym tylko „Prince Charming”, królem Edwardem VIII, którego koronę będzie kiedyś nosiła.

O małej 5-letniej księżniczce Małgorzacie Róży opowiadają sobie w Anglii rozmaite zabawne historie. Jest ona typowym wisusem, pełna temperamentu, nie może usiedzieć na miejscu, skacze, tańczy, napełnia cały dom miłym gwarem. Dziewczynka ma być podobno fenomenalnie muzykalna. Każdą melodię, którą raz usłyszy, puci potem z łatwością, a raz wprowadziła swych rodziców w niebywałe zdumienie, gdy zasłyszanego przez radio walcę odgwizdała następnie najdokładniej, nie fałszując ani jednej nuty.

## 17 grudnia, czwartek

Dziś druga rocznica śmierci Rodziców i Justyny. Babcia zamówiła mszę w naszym kościele parafialnym. Było dużo ludzi. Z Różan przyjechali Hanka z Piotrem.

Śniła mi się Mama.

## Różany, 20 grudnia, niedziela

Objechaliśmy z Gangesem wszystkie pola i łąki. Śnieg błyszczał w słońcu. Zatrzymałam się przy bocznej furtce w ogrodzie, gdzie rośnie oczar i spod śniegu wysuwa żółte sznurkowate płatki. Żółte ukwiały na białym morzu.



### ***22 grudnia, wtorek***

Staś skończył rok. Stawia już pierwsze kroki. „Przydeptał roczek”, mówi babcia. Częściej jednak – i szybciej! – biega na czworakach. Włożyłam swoje szarawary i goniliśmy się na czworakach po salonie. Staś tak się śmiał, że aż dostał czkawki. Mówi już „mama”, „tata”, „da”, „baba” i „Zaza”.

# Zwyczaj Bożego Narodzenia.

(ki) Boże Narodzenie, zwane w dawnej Polsce świętem wesela, lub godami, wyróżnia się z powodu innych świąt specjalnym bogactwem obrzędów i zwyczajów, które po dzień dzisiejszy zachowały się nie tylko na wsi, najchętniej kulturowej, tradycje, ale też i wszędzie po miastach.

Jeśli mowa o świętach, to nlema drugich takich, dla których słowa tradycja i zwyczaj byłoby bardziej uzasadnione, jak — gdy mowa o Bożem Narodzeniu, przyczem trzeba dodać, iż tu tradycja i zwyczaj są chyba najpowszechniejsze.

Począwszy od pierwszej gwiazdki — o ile niebo nie jest chmurne — to ileż par oczu równocześnie wypatruje jej na niebie? A czyż setki tysięcy drzewek, które w całym kraju na wigilię zalsnią milionami świeczek, nie stanowią wyrazu olbrzymiej siły tradycji Godów?

Za święta poniekąd można już uważać

## dzień wigilijny.

Już od wczesnego ranka baczyc należy, „by pierwsza babska noga progą domu nie przekroczyła” — bowiem nie szczęściłoby się temu domowi aż do przyszłego Bożego Narodzenia. Zle też jest wyrzucać w dzień wigilijny jakiegokolwiek odpadki czy śmieci z domu. Z tem należy przeczekać aż do św. Szczepana — bowiem wedle starych wierzeń wraz z śmieciem, szczęście z domu by się wyrzuciło.

Wigilia świąt Bożego Narodzenia jest odrębnym dla siebie obchodem i ze wszystkich świąt ma najbardziej charakter rodzinny i serdeczny. Snop zboża w kącie izby, wonne siano pod obrusem, obok bogato przystrojona i oświetlona choinka — oto zwyczaj i tradycyjna dekoracja stołu wigilijnego. Przy stole tym jednoczą się rodziny, której członkowie poszczególni przybywają z dalekich stron, by wieczór ten spędzić wspólnie, by móc się złać oplatkiem i życzyć sobie nawzajem wszelakiego dobra.

Kiedy wszyscy sobie wzajemnie złożyli życzenia następuje

## uczta wigilijna.

Po tradycyjnym barszczu z uszkami wszyscy wstają i śpiewają chórem kolendę „Chrystus się wam narodził”. W domach, gdzie tradycja szczególnie jest kultywowana odśpiewane muszą być aż wszystkie zwrotki i dopiero potem można przystąpić do dalszej uczy.

Potrawy mączne, ryby, suszone owoce gotowane, potem struście, makowniki, piernik i inne słodkie pieczywa, to potrawy, z których składa się wigilia. We wschodniej Małopolsce zachowuje

się do tej pory zwyczaj sporządzania t. zw. kutli. Jest to ziarno pszeniczne gotowane, mieszane z uciętym makiem, miodem, rodzynkami i orzechami laskowymi. Po wigilii znowu należy baczyc, by ostatnich potraw, które zostają na stole nie zbierać, jak też nie strząsać z obrusa krużyn, by podzielić się nimi z tymi, których w czasie wigilii wspominamy, a których dziś już niema przy wspólnym stole. Przyjdą nocą i pożywią się u stołu wigilijnego.

Zwyczaj wigilijny jest również

## wzajemne obdarowywanie się.

Podarki składa się pod drzewkiem i tam wzajemnie wręcza sobie podarunki. — A potem następuje wspólne wyśpiewywanie kolend, we wschodniej Małopolsce przytem posługują się z reguły kantyczkami, które w dniu przedświąteczne masowo są sprzedawane we wsiach pod kościołami, a w mieście także na ulicach i w miejscach sprzedaży drzewek i szopek.

Wyraz — kolenda — wedle notatek Glogera, jest pochodzenia bardzo dawnego. Dawni Rzymianie pierwszy dzień każdego miesiąca, a więc i pierwszy roku, nazywali *calendae*. Nowy Rok obchodzili hucznie i wesolo uroczystością nazywaną *festum calendarum*. Ponieważ w średnich wiekach początek Nowego Roku liczył się od Bożego Narodzenia, a kościół naznaczył dzień 1-go stycznia w jego oktawę, ze starego łacińskiego wyrazu *calendae*, związanego ściśle z obchodem Bożego Narodzenia i zwyczajem podarków noworocznych — powstał w języku polskim wyraz kolenda, oznaczający zarówno pieśń o Narodzeniu Chrystusa, jak i podarki noworoczne.

## Kolendowaniem i

## chodzeniem „po kolendzie“

nazwano wędrowki parobków poprzebieranych za zwierzęta i za cudzoziemców (żydów i cyganów), którzy obchodząc domy śpiewali kolendy, goszczeni wzajemnie przez gospodarzy i obdarowywani.

Ongiś w niektórych okolicach Polski wprowadzono przytem żywego tura. Pamiętka tego została dziś tylko w pieśniach, a tura zastępuje chłop, przybrany futrami za to zwierzę.

Po miastach zwyczaju tego już niema, lecz Gloger przypomina, że i w samej Warszawie jeszcze w pierwszej połowie XIX stulecia obchodzili domy chłopcy wiejscy, poprzebierani w skóry, jako dzikie zwierzęta. Najrzęczniejszy pokazywał ucieznie sztuki.

Te momenty są pewnem pomieszanem zwy-

czajów pogańskich. Chcąc je przełamać, a wszczepić chrześcijańskie — duchowieństwo katolickie ułożyło w XVI i XVII wieku wiele pastorałek-kolend i wprowadziło obchody z szopkami, gwiazdą i Herodem.

O północy po wigilii lub wczesnym rankiem w Boże Narodzenie

### wszyscy spieszą na Pasterkę.

Tylko w czasie srogich zim, kiedy po wsiach drogi są zawiane śniegiem i nie można nawet końmi dojechać do najbliższego kościoła, a zwłaszcza o nocnej porze, wszyscy wspólnie wraz z czeladzią gromadzą się w jednej izbie, wyśpiewując w późną noc kolendy.

Neodłącznym rekwizytem świąt Bożego Narodzenia jest szopka. Początków jej szukać należy w legendzie, z której również wywodzić się ma i Pasterka. Oto wedle żywotu św. Franciszka Seraffickiego, opisanego przez św. Bonawenturę, św. Franciszek na trzy lata przed śmiercią chcąc odświeżyć wspomnienie o narodzinach Chrystusa, by wzbudzić ducha pobożności — za zezwoleniem Ojca św. kazał porobić jasełka, nanieść siano do groty i przyprowadzić tam wołu i osła.

Przed grocie tę, znajdującą się w lesie zwołał św. Franciszek bractwisków i ludność, poczem wspólnie odśpiewano pieśni nabożne, a w jasełkach odprawiono Mszę św. Św. Franciszek śpiewał św. Ewangelię, wygłaszając do ludu kazanie o narodzeniu się ubożuchnego Króla, a lekroć chciał nazwać Go imieniem, mówił o nim pieszczotliwie betleemskie Dzieciątko. Taki jest początek i szopek i pasterek.

Z wigilją związane są też rozmaite

### przepowiednie i wróżby.

Młodzię dawniej podobnie jak w wigilję św. Katarzyny lub św. Andrzeja wróżyła sobie przyszłość z wyciąganych z pod obrusa i siana słomek, kwiatów i traw. Pisywano również kartki z dowcipnymi wierszykami dla panien i młodzieńców, które wyciągane z pod obrusa również stanowiły pewne przepowiednie. Lud zamiast kartek kładzie czasami przedmioty symbolizujące, np. laleczka uwita z galganków przepowiada dziewczynie zamążpójście. Pod obrus chowano też dawniej podarunki gwiazdkowe, kiedy nieznaną jeszcze była u nas choinka, rozpowszechniona dopiero na początku XIX wieku.

W niektórych okolicach w czasie wigilii spożywają także groch. Grochem tym rzuca się do góry, aby mnożył się dobytek bydła tak zdrowy, by mógł jak groch rzucany wysoko do góry, brykać.

Liczba osób przy wigilii musi być parzysta, gdyż nieparzysta wróżyłaby, iż w przyszłym roku kogoś od stołu wigilijnego ubędzie. Gdyby w rodzinie zdarzyła się liczba uczestników wigilii nie do pary, to wtedy zaprasza się do stołu kogoś

z czeladzi, chłopci chętnie zapraszają żebraków, a to na pamiątkę tego, iż Chrystus jadł pospół z ubogimi. Tu i ówdzie zachowuje się także zwyczaj śladania przy stole od pierwszego młosa wedle wieku, aby — jak mawiano — w takim porządku umierać.

Zwyczaj wigilijny dotyczy nie tylko ludzi, lecz

### po wsiach także i zwierząt.

Po skończonej wilji, gospodarz wiejski zbiera siano ze stołu, rozdzielając je między bydło, a ziarno wykruszone ze snopa daje drobiu. Ze słomy wigilijnej kręczone są powrósla, któremi przepasuje się następnie w sadach grusze i jabłonie, aby w roku następnym obficie obrodziły.

W noc cudowną, kiedy ku niebu płyną słowa hymnu „Chwała na wysokościach“, wedle wierzeń ludu bydła otrzymują raz do roku od Boga dar przemawiania mową ludzką.

Od Bożego Narodzenia rozpoczynają się również wedle zwyczaju ludowego t. zw.

### „święte wieczory“.

Trwają one do Trzech Króli. W wieczory te przestrzegane jest, by nikt po zachodzie słońca nie przadł, nie motał przedziwa, nie szyl i wogóle nie pracował ostrymi narzędziami. Wieczory te przepędzono przy ognisku na śpiewaniu kolend, a z dni tych 12-tu ze stanu pogody czyniono wróżby dla 12-tu miesięcy Nowego Roku.

Do świąt Bożego Narodzenia przywiązane są też rozmaite przysłowia. Ze w Dzień Wigilijny jest zazwyczaj chłód i duży śnieg — przypomina przysłowie:

Koło św. Ewy, noś długie cholewy.

O zbiorach wróżą sobie następująco:

Wigilja piękna i jutrznia jasna, będzie stodoła ciasna.

albo:

Jeśli pola zielone, gdy się Chrystus rodzi  
Gdy zmartwychwstaje, śnieg z mrozem  
kolaczom przeszkodzi.

O tem, iż w czasie świąt Bożego Narodzenia przybywa już dnia przypomina przysłowie:

Na Boże Narodzenie przybyło dnia na kurze stąpienie.

W drugi dzień świąt na św. Szczepana odnawiano w dawnych czasach umowy z czeladzią. Z tym dniem związane są następujące gadki:

Na św. Szczepana, kto co rok odmienia pana, zła na nim sukmana.

albo:

Na św. Szczepan każdy sobie pan.

W każdym regionie polskim są różne zwyczaje, różne tradycje i różne wierzenia.



22.12

Urządziłem święto dla factorii i dałem robotnikom cztery dni wolnego. Ja mam święta, niech i oni mają.

23.12

Zabawa trwała całą noc. Robotnicy siedzieli przy ogniskach, piekli mięso antylop i guźców, które upolowałem, placki z manioku, banany. Były też śpiewy i tańce.

Gdy po śniadaniu wyszedłem z domu, majdan był uprzątnięty, chaty robotników, którzy o świcie wyruszyli do swoich wsi, puste i tylko sklep otwarty jak co dzień. Ekspedienci wyprężyli się na mój widok. Odkąd jest tu Almaz, zawsze mają czyste koszule.

---

### **30 grudnia, środa**

Święta minęły jak zwykle za szybko. W Wigilię, łamiąc się ze mną opłatkiem, Hanka powiedziała: „To nie sztuka kochać Różany, sztuką jest sprawić, by Różany pokochały ciebie. Tobie, Zuziu, to się udało”.

### **31 grudnia, czwartek**

Jedziemy na bal do sąsiedniego majątku, do państwa Gorzkowskich. Piotr poprosił, bym zarezerwowała dla niego walca.

---

2.01.1937

A więc mamy nowy, 1937 rok. Jeśli cały będzie taki jak jego początek, to nie mogę sobie życzyć niczego lepszego.

3.01

Przez cały pobyt Jensa w Biharangwe Almaz była niemal niewidzialna. We wszystkim jednak – od przybrania stołu wigilijnego do codziennie świeżej pościeli w gościnnej sypialni – widać było jej rękę.

W ostatni wieczór starego roku siedzieliśmy z Jensem w salonie. Kucharz podał nam kawę i powiedziałem mu, że może już iść spać. Jakąś godzinę później do salonu zajrzała Almaz, pytając, czy nam czegoś nie potrzeba. Jens, mający już trochę w czubie, odrzekł, że tak – towarzystwa pięknych kobiet. Niezmieszana tą obcesową uwagą Almaz weszła do pokoju. Wyglądała pięknie. Czarne włosy uczesane w dziesiątki cienkich warkoczyków przypominały miękkie runo owcy. Skóra koloru kawy z mlekiem lśniła w blasku lampy. Śmiało zarysowane brwi, migdałowe oczy, nieduży nos i wydatne usta były doskonałe w każdym szczególe. W prezencie świątecznym dałem jej kilka sznurów koralu – czerwonych, niebieskich, białych i fioletowych, które sprowadziłem z Dar es Salaam. Pięknie kontrastowały z białą suknią oblamowaną purpurowym szlakiem i z białą chustą. Ten strój – kemis i szamma – były prezentem od Pili, którą Almaz, nie wiem jakim sposobem, już dawno owinęła sobie wokół palca.

„Mister von Ebert powiedział mi, że dzisiejsza noc jest ważna dla każdego *mzungu*. My, Amharzy, inaczej liczymy czas, ale także wierzymy we wróżby i czary chroniące przed złym okiem”.

Uniosła ręce i zaczęła tańczyć. Jej bose stopy prawie się nie poruszały, za to ręce krzyżowały się i falowały. Rytmicznie potrząsając ramionami, zaczęła śpiewać. Nie rozumiałem słów, oczarowała

mnie jednak tęskna melodia.

Kilkoma drobnymi krokami zbliżyła się do nas, zdjęła chustę z ramion i otoczyła nas nią jak wiry. Zmrużyła oczy i szeptała coś, może zaklęcia. Trwało to pół minuty, nie dłużej. Wydała z siebie przenikliwy, jakby ptasi krzyk, zarzuciła chustę na ramiona i nie patrząc na nas, wyszła z pokoju.

#### 4.01

Spóźnione – z powodu nieprzejezdnych dróg – prezenty świąteczne od Neil Mackay Trading Co. Wino, koniak i czekolada zawsze się przydadzą. Dostałem dużą premię i list pochwalny od zarządu. Urzędnik przywiózł także pocztę i gazety. Król Edward VIII abdykował, żeby poślubić dwukrotną rozwódkę. Niewiarygodne! O co tak naprawdę w tym chodzi?

---

#### *4 stycznia 1937, poniedziałek*

Tyle się dzieje, że nie mam czasu pisać.

1. Nigdy więcej nie wezmę do ust pasztetu z zająca. Wczoraj na polowaniu wyznaczono mi stanowisko z synem właściciela Zalesia, gdzie byliśmy na balu w sylwestra. Ten patałach nie umie strzelać: zranił zająca, który szedł czysto na sztych. Zając zaczął przeraźliwie piszczeć. Dobiłam biedaka. Miałam ochotę wygarnąć z dubeltówki do tego niezdary w zielonym kapeluszu z bażancim piórem. Pióro chyba znalazł na łące, bo z takim okiem w życiu nie ustrzelił żadnego bażanta.

2. W sylwestra Piotr zatańczył ze mną walca i polkę. W jego ramionach czuję się jak w niebie. Gdyby jeszcze choć raz popatrzył na mnie tak, jak patrzy na Hankę!

3. Z panem Józefem Sierawskim odtańczyliśmy rumbę. Wszyscy bili nam brawo.

4. Nauczyłam Stasia mówić „Zuzia”. Powtarza to teraz bez przerwy. Mogłabym go schrupać.

5. Ganges pięknie wygląda w derce z wyhaftowanym imieniem, którą dostał ode mnie pod choinkę.

6. Podczas obiadu w święta, gdy rozmowa zeszła na pasze, orkę i kredyty, Piotr powiedział: „Podstawą gospodarowania jest wiedza oraz miłość gospodarza do ziemi i zwierząt”.

#### 10.01

Byłem w Gisansere. Jestem zadowolony z tego, co tam zastałem.

Gdy mijalem miejsce, w którym pół roku temu znalazłem Almaz, zmówiłem modlitwę, dziękując



Bogu, że ją ocalił.

---

### **20 stycznia, środa**

Miałam grypę. Doktor Lackowski mnie wyleczył – przychodził do nas dwa razy dziennie. Babcia nie odstępowała mnie na krok. Robiła mi kompresy, podawała lekarstwa, poila mlekiem z miodem i herbatą z malinami. Gdy nie miałam już gorączki, czytała mi *Wierną rzekę*. Książka podoba mi się bardziej niż film. Zresztą tak to jest z książkami – film zawsze jest tylko jakimś wyobrażeniem scenarzysty i reżysera na jej temat. Kocham kino, ale bez książek trudno byłoby mi żyć. Obiecałyśmy sobie z Wierą, że będziemy czytać wszystkie powieści, które zostały sfilmowane. Wiera przyszła do mnie wczoraj po szkole. Przyniosła mi *Annę Kareninę*. Dziś od rana ją czytam. Za oknem śnieżyca.

### **24 stycznia, niedziela**

Na obiedzie byli pan Podoski i doktor Lackowski, który na chwilę pozwolił mi wstać. Dostałam od doktora bukiet czerwonych tulipanów przybranych mimozą, z bilecikiem: „Dla najmilszej pacjentki”. Jaki on uprzejmy!

### **25 stycznia, poniedziałek**

Nie muszę już cały dzień leżeć w łóżku, nie kaszlę, nic mnie nie boli. Babcia i Marcysia co chwila pytają: „Może chcesz kakao albo pomarańczę, albo kogel-mogel?”. I nie muszę chodzić do szkoły. Gdybym jeszcze mogła pojechać do Różan, niczego by mi nie brakowało do szczęścia.

### **26 stycznia, wtorek**

Odwiedziła mnie Irka. W szkole spokojnie, bo Odeta jeszcze nie przyjechała z Truskawca, gdzie mieszkają jej rodzice. Ojciec Odety jest właścicielem szybów naftowych w Borysławiu i podobno zrobił majątek na ropie naftowej.

Nigdy nie byłam na Kresach. Nazwy „Wilno”, „Lwów”, „Borysław”, „Truskawiec” są dla mnie tylko słowami. Wiem, jakie zabytki są w Wilnie i we Lwowie, znam ich historię, wiem, że po Warszawie i Łodzi Borysław jest trzecim największym miastem w Polsce, nic jednak nie widzę, gdy wymawiam te nazwy.

### **27 stycznia, środa**

Skończyłam czytać *Annę Kareninę*. Opuszczałam opisy i rozmyślenia (szczególnie Lewina), bo mnie nużyły.

Jakie to wielkie nieszczęście – niedobre małżeństwo. I jaki świat jest niesprawiedliwy – zupełnie inną miarą mierzy kobiety, a inną mężczyzn. Babcia powtarza, że kobieta musi być

samodzielna, to znaczy powinna mieć swój majątek albo zawód, tak by nie zależała we wszystkim od męża. Żeby nie mógł jej powiedzieć tak jak Karenin Annie, że „je mężowski chleb”. Wcześniej widziałam film z fantastyczną Gretą Garbo, więc wiedziałam, jak to się skończy, ale i tak chciało mi się płakać.

---

#### 27.01

Pod koniec lutego Jens jedzie na dwa miesiące do Europy i mam go zastępować. Zrewanżuje mi się, gdy latem ja pojedę. Skrytykował mój wybór terminu, bo akurat w lipcu i w sierpniu w Tanganice jest najlepsza pogoda. Ja jednak chciałbym zobaczyć Renate, gdy przyjedzie ze szkoły do domu. I jeszcze kogoś.

---

#### **28 stycznia, czwartek**

Moja kochana babcia zrobiła mi niespodziankę i kupiła bilety na *Papa się żeni*. Dawno tak się nie śmiałyśmy. Mira Zimińska tańczy w tym filmie, śpiewa i gra z komediowym zacięciem. Antoni Fertner jako zakochany w niej baron jest przezabawny. Świetnie gra także Jadwiga Andrzejewska – Jadzia z Radomska, powtarzająca bez przerwy: „Jakie to dziwne”. Aż do wieczora też tak z babcią mówiłyśmy: „U nas w Radomsku...” i „Jakie to dziwne”.

#### **1 lutego, poniedziałek**

Nie chciało mi się rano wstać do szkoły. Nie jestem pracusiem-prymuską, trudno.

#### **3 lutego, środa**

Kompromitacja na klasówce z historii. Siostra Kornelia rozdała ślepe mapy i na tablicy napisała kilka zadań. Trzeba było znaleźć na mapie Aleksandrię, Edfu, Memfis, Tanis i Teby, a potem podkreślić nazwy tych miast, które w różnym czasie były stolicą Egiptu. Potem jeszcze zaznaczyć Dolinę Królów oraz miejsce, gdzie stoją kolosy Memnona, sfinks i piramida Cheopsa.

Mogłabym narysować kolosy Memnona, wiem, że stolicą były Teby, Memfis i Tanis, a Dolina Królów jest koło Teb, ale gdzie leżą Teby, nie mam zielonego pojęcia. Siostra Kornelia na każdą lekcję przynosi mapę i wiesza ją na stojaku. Patrzyłam, jak pokazywała różne miejsca, lecz tak naprawdę ich nie widziałam. Oczami wyobraźni widziałam za to błękitny Nil, płowe piaski pustyni, nieprzeniknioną twarz sfinksa, wielbłądy idące długim sznurem, Stasia Tarkowskiego polującego na szakale nad Kanałem Sueskim, nie wiem, co jeszcze. Obrazy przesuujące się jak w fotoplastykonie,

bez przywiązania do konkretnego miejsca, a nawet czasu.

Oddałam czystą mapę. Honor nie pozwalał mi podglądać, co zaznacza Irka. Poza tym siostra Kornelia ma sokoli wzrok i nie znosi ściągania.

---

#### 4.02

Szykując się na wyjazd do Jensa, wyjąłem mojego mauzera i nagle sobie uświadomiłem, że za trzy lata w wojsku dostanę karabin tej samej marki, tylko mniejszego kalibru. I będę strzelał do tarczy, a nie do afrykańskich bawołów.

---

### **4 lutego, tłusty czwartek**

Lubię wtorki i czwartki, bo wtedy mamy gimnastykę. Dziś były tylko trzy lekcje, potem obie klasy liceum, XI i XII, miały zawody na torze łyżwiarskim w parku Krakowskim. Babcia nie pozwoliła mi startować, bo niedawno miałam grypę.

Gdy wróciłam do domu, Marcysia kończyła smażyć pączki, a babcia zagniała ciasto na chrust. Wygoniły mnie z kuchni. Babcia, po wczorajszej klasówce z historii, kazała mi się więcej uczyć. Poszłam do salonu, do którego babcia przeniosła książki z gabinetu Taty, otworzyłam szafę i wyciągnęłam atlas. Z półki spadła nieduża książeczka: *Podróż do Turcji i Egiptu* Jana Potockiego. Chciałam ją odłożyć na półkę, gdy sama mi się otworzyła na stronie założonej cienkim arkuszem papieru.

Najpierwszy raz spostrzegłem piramidy, kiedy płynąc z Rosetty do Kairu stanąłem u brzegu Delt. O dziesięć mil byłem od nich odległy, gdy mi się zdawały jak góry, których białość oznacza wielką bardzo wyniosłość. Straciłem je z oczu przybliżając się do Kairu i odkryłem znowu dopiero przy Gizeh. O trzysta kroków od piramid widać kolosalny posąg sfinksa, czyli raczej głowę tego posągu, gdyż reszta zasypana jest piaskiem. Głowa ta tak jest ogromna, że cała nasza mała karawana wygodnie pod jej schroniła się brodę. Życzyłem sobie bardzo wniść na wierzchołek najwyższej z tych piramid, skąd jak na mapie geograficznej mógłbym być widzieć cały Egipt roztoczony pod nogami moimi.

Czy ta mapa Egiptu nigdy nie przestanie mnie prześladować? Już miałam zamknąć książkę, gdy zobaczyłam, że przez cienki arkusz złożonego we czworo papieru prześwitują litery. Rozłożyłam go.

*Mamusiu Najdroższa,*

*nasza podróż ma się ku końcowi. Za trzy tygodnie odpływamy z Aleksandrii i w Trieście wsiadamy do pociągu, by wrócić do Krakowa, do Ciebie i Justynki. Jak się czujesz, Mamusiu? Jak się ma moja córeczka? Tęsknię za Wami, choć Heluan jest piękny. U was jesienne szarugi, a tu słońce świeci na bezchmurnym niebie. W dzień jest dwadzieścia parę stopni ciepła i piętnaście–szesnaście w nocy. Kazimierz bał się dla mnie złego wiatru chamsinu, który niesie wciskający się wszędzie piasek. Burze piaskowe jednak nas omijają.*

*Willa, w której mieszkamy, jest otoczona ogrodem, nieustannie podlewanym przez arabskiego ogrodnika. Trawnik jest prawdziwie angielski, róże także odmian europejskich. Jedynie poinsecja, którą u nas widuje się w doniczkach, tu jest niemal drzewem. Na dachu willi urządzono taras, z którego widzimy odległą o dwa kilometry dolinę Nilu, piramidy w Gizie i zupełnie inne, schodkowe piramidy w Sakkarze. Gdy spojrzeć w drugą stronę, wzrok ginie w bezkresnych piaskach pustyni. A wokół minarety, kobiety w czarczafach, mężczyźni w fezach. Wiezorami chodzimy na spacer nad Nil i tam, patrząc w gwiazdy, rozmawiamy o przyszłości.*

*Mateńko Droga, nie tylko ustąpiły moje płucne dolegliwości, lecz także stało się coś, na co nie śmiałam już mieć nadziei. Dziś był u mnie miejscowy angielski lekarz i potwierdził diagnozę Kazimierza: spodziewam się dziecka. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. Kazimierz chce, by jeśli to będzie chłopiec, miał na imię Józef, a jeśli dziewczynka, to Zuzanna. Patrząc na róże w ogrodzie i podśpiewuję arię Susanny z Wesela Figara, wiesz, tę: „Deh, vieni, non tardar, o gioia bella, vieni ove amore*

---

## 7.02

Cudem uniknąłem śmierci. Gdyby nie Jens...

O polowaniu na bawoły marzyłem od dawna. Jens jednak stanowczo mi odradzał wybieranie się na nie tylko z czarnymi tropicielami, uzbrojonymi w dzidy i maczety, a w najlepszym razie – w kapiszonówki. Teraz, gdy razem objeżdżaliśmy podległy mu teren, była świetna okazja do zapolowania we dwóch.

O brzasku wyruszyliśmy nad rzekę, gdzie na rozległych łąkach nasi tropiciele odkryli ścieżki bawołów. Mieliśmy szczęście – po jakiejś godzinie marszu w oddali zobaczyliśmy trzy masywne sylwetki. Na grzbietach bawołów siedziały duże białe ptaki, trochę podobne do czapli. Bawoły spokojnie się pasły, a my przemykaliśmy od drzewa do drzewa, od termitiery do termitiery, by podejść na odległość strzału. Wiatr nam sprzyjał. Kierowałem się w stronę największego zwierza, prawie czarnego, z ogromnymi, zakrzywionymi na końcach rogami. Widziałem akację rosnącą jakieś 50–60 metrów od Czarnego (jak go w myślach nazwałem) i wiedziałem, że jeśli tam dotrę, to będzie mój. Ostatni odcinek pokonałem, czołgając się w niskich trawach. Chyba jednak zbyt gwałtownym ruchem przywarłem do pnia, bo usłyszałem łopot skrzydeł. Dwa ptaki zerwały się z grzbietu Czarnego, a za ich przykładem poszły inne. Bawoły rzuciły się do ucieczki. Wziąłem Czarnego na cel i wystrzeliłem. Bawół się zachwiał, potem przyspieszył i zniknął w dżungli.

Znalezienie postrzelonego zwierzęcia bez pomocy psa to niełatwa sprawa. Najlepiej jest usiąść, ochłonąć i spokojnie się zastanowić, jak szukać postrzałka. Jak mawia ojciec: „Nie ma co się spieszyć,

bo może postrzałek zalegnie i dojdzie”.

Weszliśmy do dżungli, jednak nawet tropiciele niczego nie znaleźli. Jens zdecydował, że przyjdziemy tu zapolować jeszcze raz jutro. Idąc przez łąkę, opowiadałem mu, jak kiedyś mój brat szukał postrzelonego młodego odyńca. Godzinę szedł tropem i w końcu zgubił go w gęstym młodniku. Nagle z gąszczu wypadł dzik i zaatakował. Anton blizny na nogach ma do tej pory.

Ścieżka w lesie nad rzeką była wąska i szliśmy gęsiego: najpierw dwaj tropiciele, potem ja, cztery następni tropiciele i Jens. Zbliżyliśmy się do zakrętu, za którym był most z desek i lian. Pierwszy tropiciel wchodził na most, gdy ja byłem jeszcze na zakręcie. Nagle zatrzeszczały gałęzie i z lasu wypadł czarny bawół. Był tuż. Usłyszałem gromkie: „Padnij!”. Rzuciłem się w bok na ścieżkę. Zagrzmiął wystrzał, bawół zrobił jeszcze krok i padł martwy.

Leżałem na ścieżce z koszulą przyklejoną do pleców, a Jens opuścił strzelbę i powiedział jak mądry Baloo z *Księgi dżungli*: „Cętki są dumą lamparta, a bawołu – rogi, bawół ubóstwo może, wiadomo, mój drogi”.

---

### **8 lutego, poniedziałek**

Siostra Kornelia wezwała mnie dziś przed lekcją historii. Spytała, czemu oddałam czystą mapkę. Szczerze powiedziałam, jak było.

„Mam nadzieję, że to nadrobiłaś. Z klasówki muszę ci postawić niedostateczny, będziesz jednak mogła poprawić tę ocenę”. I rzeczywiście, wezwała mnie do tablicy. Nie mogła wiedzieć, że przez ostatnie dni codziennie podróżowałam palcem po mapie. Z zamkniętymi oczami pokazuję Memphis i Teby. I Heluan.

Gdyby nie ta feralna klasówka, nigdy bym nie znalazła niedokończonego listu. Pokazałam go babci. Powiedziała: „Dostałam bardzo podobny. Widocznie ten gdzieś się twojej mamie zapodział. Włożyła go do książki i zapomniała”.

Spytałam, czemu Mama nigdy nie opowiadała o tej podróży.

„Jej powód był niewesoły. Lekarze bali się o płuca twojej mamy i Kazimierz, to znaczy twój ojciec, uznał, że konieczna jest zmiana klimatu. Najpierw popłynęli na Maderę, a potem do Egiptu. Nie było ich prawie pół roku, ale gdy wrócili, twoja mama była zdrowa i do tego w błogosławionym stanie”.

I pomyśleć, że niedawno, tak jak Rodzice, jechałam pociągiem z Triestu do Krakowa. Chciałabym kiedyś popłynąć w taką podróż jak oni.

### **9 lutego, wtorek**

Z tego wszystkiego nie napisałam o ostatnich w Różanach. W sobotę pomagałam smażyć pączki i chrust, w niedzielę był bal. Piotr nie tańczył, bo nadwreżył nogę – spadł z konia podczas polowania. Hanka okropnie się przestraszyła, gdy gajowy przywiózł go z lasu bryczką. Piotr cały czas żartuje, choć gdy myśli, że nikt nie widzi, poprawia nogę z wykrzywioną bólem twarzą. Był u niego doktor Lackowski i jeszcze jeden lekarz – chirurg. Piotr kiedyś złamał tę nogę, gdy był w wojsku. Długo leżał w szpitalu i już nie wrócił do pułku. Żeby rozbawić Hanke, powtarza: „Pod Solferino i Komarowem ciężiej było”, i śpiewa żurawiejki:

Lampas z gaci, płaszcz z gałganów:  
To jest Drugi Pułk Ułanów.

refren:  
Lance do boju, szable w dłoń,  
Bolszewika goń, goń, goń!  
Żuraw, żuraw, żurawla,  
Żurawiejka ty moja.

O Dziesiątym nic nie wiemy,  
Więc go chwalić nie będziemy.

Czy to świta, czy to dnieje,  
Siedemnasty zawsze wieje.

Dziewiętnasty to hołota,  
Bo na konie siada z płota.

Dawniej był to pułk bojowy,  
Dziś nim rządzą białogłowy.

I na końcu o swoim 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa:

Krzywa buzia, krzywa nóżia,  
To ułani księcia Józia.

### **10 lutego, Popielec**

Kiedyś gdy ksiądz posypywał mi głowę popiołem, nie zastanawiałam się, co to właściwie znaczy. Teraz gdy słyszę: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”, widzę trzy urny na katafalku i wiem, że moje prochy też kiedyś na nim staną.

### **16 lutego, wtorek**

Nie lubię algebry. Cały wieczór ćwiczyłam z Wierą rozkładanie wielomianu na czynniki za pomocą wzorów na skrócone mnożenie i dzielenie. Wreszcie to umiem. Wiera jasno tłumaczy i ma świętą cierpliwość.

### **18 lutego, czwartek**

Babcia była nad Wisłą i widziała, jak rusza zator lodowy. Ogromne kry łamały się z hukiem i spływały w dół rzeki.

## Różany, 20 lutego, sobota

Piotr czuje się lepiej. Nadal jednak ma usztywnioną nogę i mało się rusza, a jeśli już, to o kuli. Hanka, z pomocą rządcy, zajmuje się całym gospodarstwem. Śmieje się, że tylko w polowaniu nie może Piotra zastąpić. Hanka nie lubi polowań.

Gangesik, kochany, tak się ucieszył na mój widok! Gdy jechaliśmy stępą przez las, patrzył na ośnieżone drzewa i jestem pewna, że mu się podobały.

## Uroczystość łowiecka w Białowieży.

Białowieża, 18 lutego. (So) Pierwszy dzień reprezentacyjnego polowania P. Prezydenta R. P. w Białowieży w dniu 17 b. m., mimo bardzo niedogodnych warunków atmosferycznych, miał bardzo dobre wyniki. Ogółem ubito 3 wilki, 3 rysie i 10 dzików, w tem — jak już donosiliśmy — 3 wilki i 2 dziki ubił premier Goering z jednego młotu. Jest to — jak oświadczył Waszemu wysłannikowi dyrektor łowiectwa, p. Knothe, nader rzadki sukces myśliwski. Wilki, położone przez премьера Goeringa, są duże, stanowią piękny okaz fauny Puszczy Białowiezkiej.

Pierwszego dnia polowania zdarzył się także inny, ciekawy i bardzo rzadki wypadek. Mianowicie 5 rysłów wyszło w jednym młocie jednocześnie na jednego myśliwego.

Wieczorem, po powrocie P. Prezydenta i Jego gości z polowania, rozpoczęły się przygotowania do uroczystego rozkładu zwierzyny, czyli t. zw. sztreki. Zazwyczaj sztreka odbywa się po zakończeniu całego turnusu polowania. Ponieważ jednak pre-

mjer Goering miał opuścić Białowieżę po jednym dniu polowania, zdecydowano odbyć sztrekę już we środę wieczorem.

### Uroczysty rozkład zwierzyny.

Na ogromnym pomoście przed pałacem Prezydenta ułożono wszystkie trofea myśliwskie tego dnia. Uroczystość rozpoczęła się około godz. 10, po spożyciu przez P. Prezydenta R. P. oraz jego gości i otoczenia obiadu.

Dokoła pomostu ustawiono 8 olbrzymich kagańców. Karpina, nasycona obficie benzyną, rzuciła w wilgotne powietrze wielkie smugi światła i rozpałała nad Białowieżą ogromną lunę.

O godz. 10 rozległa się fanfara trębaczy na powitanie P. Prezydenta. Warta honorowa przed pałacem sprezentowała broń. P. Prezydent wyszedł w otoczeniu swych gości z pałacu i skierował się ku pomostowi, gdzie leżała ubita zwierzyna. Kierownik polowania, inspektor do spraw łowiec-

stwa białowiezkiej dyrekcji lasów państwowych, p. Doubrawski, złożył P. Prezydentowi raport z wyniku polowania. P. Prezydent tłumaczył swojemu gościowi, премьерowi Goeringowi, ten meldunek po niemiecku. Trebacz z łowczym dyrektorem białowiezkiej Richtererem na czele odegrali w dalszym ciągu na waltornlach francuskiej marsza „Rozkład”, tradycyjną pieśń patrona myśliwych św. Huberta i stare polskie melodie łowieckie o śmierci dzika i wilka, pieśń „Przyjemność polowania” i wreszcie na zakończenie „Pożegnanie panów myśliwych”. Przy jaskrawym świetle zapalonych w międzyczasie kagańców magnetyjowych P. Prezydent R. P. wraz z gośćmi i otoczeniem zaczął oglądać poszczególne sztuki zwierzyny, omawiając z otoczeniem różne szczegóły łowów. Następnie P. Prezydent wrócił do pałacu.

Natomiast gen. Goering wraz z swoim łowczym Scherpingiem i sekretarzem stanu Koernerem oraz adjutantem kpt. Menthe i ambasadorem von Moltke pozostał nadal na miejscu, prowadząc dłuższy czas po niemiecku ożywioną rozmowę, wyłącznie na tematy myśliwskie.

Jak wiadomo,

**gen. Goering jest pełen podziwu dla Puszczy Białowiezkiej,**

którą poznał przed dwoma laty. Polowanie w tych prawie dziewiczych kniejach zaspokaja jego ambicje myśliwskie. Oglad-

ając ubite sztuki zwierzyny, gen. Goering czynił porównania z innymi polowaniami, przyczem porównania te wypadły stanowczo na korzyść Puszczy Białowiezkiej.

Ze szczególnem zainteresowaniem oglądał gen. Goering upolowane 3 rysie. Jak w swoim czasie podawaliśmy, niespełnionem dotychczas marzeniem премьера Goeringa jest upolowanie rysia w Puszczy Białowiezkiej. Obecne polowanie jest trzecim z rzędu, w którym gen. Goering bierze udział. I tym razem jednak nie poszczęśliło mu się, jeżeli idzie o rysie. Natomiast łowczy gen. Goeringa, Scherping, wraca do Niemiec z upolowanym rysiem, jednym z trzech, jakie padły pierwszego dnia.

Po powrocie do pałacu, gen. Goering pożegnał się z P. Prezydentem R. P. i podziękował za gościnę i o 12.40 wyjechał z dworca Białowieża-Palac specjalnym pociągiem wraz ze swem otoczeniem.

Gen. Goering nie wraca jeszcze do Niemiec, gdyż na zaproszenie Towarzystwa Łowieckiego będzie polował w okolicach Iwaszewicz na Polesiu. Gen. Goering udał się z Białowieży bezpośrednio na Polesie do Kosowa. Towarzyszy mu w tej podróży gen. Fabrycy. Polowanie reprezentacyjne w Białowieży trwa nadal. 18 b. m. polowanie odbywa się w gronie najbliższego otoczenia P. Prezydenta. Przyjazd dalszych gości nastąpi 19 b. m. Pierwszy turnus polowania zakończy się — jak donosiliśmy — w sobotę 20 b. m.

## Kraków, 21 lutego, niedziela

Babcia zaczęła słuchać koncertu Kiepury i Marty Eggerth transmitowanego przez radio ze Starego Teatru. Arię ze *Straszego dworu* jakoś zniosła, gdy jednak Kiepura zaczął — jak to określiła — znęcać

się nad *Aidą*, nie wytrzymała i zgasiła radio. „Mistrz Kiepora! – prychnęła. – Nie znoszę tej jego manieri, tych wzdychań i łkań. Eggerth jest dziesięć razy lepszą śpiewaczką niż on. I to jego tremolo! Mój Boże!”

## 22 lutego, poniedziałek

Zaprosiłam Irkę na *Ogród Allacha*, ale nie chciała iść. Mówi, że w Wielkim Poście nie chodzi się do kina. Trudno, poszłam sama, bo Wiera się uczyła do klasówki z greki.



Film jest KOLOROWY! Marlena Dietrich przypadkiem poznaje w pociągu na Saharze Charlesa Boyera, zakochują się w sobie, pobierają się, a potem wychodzi na jaw jego sekret – potajemnie uciekł z zakonu trapistów, łamiąc śluby. Wolę Gretę Garbo, jednak i Dietrich jest znakomitą aktorką. I jaka jest piękna! Ma niezwykle wyraziste oczy. Miłość, wierność Bogu, przeznaczenie, piękna i niebezpieczna Sahara... I jeszcze takie drobiazgi, jak niezwyklej urody wachlarz w kształcie liścia, kawa nalewana z miedzianych tygielków na długich rączkach, jedwabne płaszcze z kapturem i arabskie tiulowe zawoje... A w Krakowie mgła i pada mokry śnieg.

---

### 5.03

Odwiozłem Jensa do Shinyangi, do pociągu. Wróci dopiero na początku maja. Teraz mam pod opieką i Ngarę, i Biharangwe.

### 6.03

Ulewy i burze uwięziły mnie w Ngarze. Brakuje mi Almaz.

### 15.03

Problem wynagrodzenia dla Almaz rozwiązała ona sama. Pod moją nieobecność rządziła się tu trochę. Wszyscy słuchają jej bez szemrania. Po pierwsze, jest kobietą białego wodza, po drugie, umie wydawać i egzekwować polecenia. Gdy zapytałem, gdzie się tego nauczyła, powiedziała, że w sklepie ojca. Jej brat, który miał przejąć interes, utonął, gdy miał siedemnaście lat, i od tamtej pory Almaz starała się go we wszystkim zastąpić rodzicom.

Kiedy wróciłem z Ngary, wieczorem, zamiast jak zwykle opowiadać o swojej upiornej wędrówce,



Almaz powiedziała, że sklep dla robotników jest źle zorganizowany i że ona zrobiłaby to lepiej.

„Jak?”, zapytałem.

Opowiedziała, co chciałaby zmienić, i po namyśle uznałem, że to dobry pomysł. Kompania nie wtrąca się do sposobu zarządzania faktorią, pod warunkiem że wszystko dobrze idzie. Własna inicjatywa jest bardzo ceniona. Mianowałem więc Almaz kierownikiem sklepu. Choć jest kobietą, zaproponowałem jej pensję dwa razy większą, niż mają ekspedienci, bo chciałbym, by nadal kierowała także moim domem.

„Plus pięć procent od zysku, który będzie przewyższał obecny zysk ze sklepu”, powiedziała.

Na to nie mogłem się zgodzić, bo i tak połowę pensji będę jej wypłacał z własnej kieszeni. „Jeden procent”.

„Trzy”.

„Dwa”.

„Dobrze – zgodziła się. – Ale gdy zacznie się mała pora deszczowa, od nowa ustalimy warunki”.

A potem twarda handlarka znikła i przede mną znów stała łagodna i delikatna Almaz.

### 20.03

Podziwiam zmysł organizacyjny Almaz. Moje gospodarstwo jest zadbane jak wcześniej, a jednocześnie sklep przechodzi kompletną metamorfozę. Trochę się bałem, że zechce się ode mnie wyprowadzić. Domyśliła się, o co mi chodzi, i uspokoiła mnie: „Nadal będę tu mieszkać. Straciłabym twarz, gdybym się przeniosła do osady. Ludzie by myśleli, że mnie wyгнаł. Poza tym tylko tu jest łazienka”.

---

### *Różany, 27 marca, Wielka Sobota*

Szkoła i Odeta zostały daleko. Tu kwitną fiołki, zawilce, sasanki i pierwiosnki. Świeci słońce. Byłam na przejażdżce w towarzystwie Piotra i Hanki. Skowronek dzwonił na srebrnobłękitnym niebie. Niczego nie brakuje mi do szczęścia.

Staś na mój widok powiedział: „Zuzia”. Mówi też „tatu-ś” – „ś” dodaje po krótkim namyśle. Chodzi, trzymając się spódnicy Hanki, albo biega na czworakach. Jest bardzo szybki. Umie ściągnąć obrus ze stołu i przewrócić wazon z kwiatami. Zrobił się uparty i gdy czegoś chce, domaga się tego krzykiem. Julka, jego piastunka, pokazała mi, jak odwrócić jego uwagę. Najlepsza jest huśtawka, która wisi w drzwiach dzieciennego pokoju.

Nauczyłam się piec tort orzechowo-migdałowy. Hanka nazywa go tortem na cztery ręce, bo najlepiej robić go we dwójkę – jedna osoba robi warstwę orzechową, a druga migdałową.

# PRZEPIS NA TORT ORZECHOWO-MIGDAŁOWY

Masa orzechowa:

10 żółtek

25 dkg przesianego cukru pudru

2 płaskie łyżki dobrego kakao

1/2 łyżki mleka

25 dkg zmielonych orzechów włoskich

czarne pesteczki wybrane z 1 przekrojonej laski wanilii

tortownica wysmarowana masłem i oprószona mąką ziemniaczaną

Kakao trzeba przesiać przez gęste sitko i wymieszać z mlekiem – ma powstać gęsta papka. Teraz ubijamy żółtka z cukrem, dodając w połowie ubijania papkę z kakao. Do ubitej masy dodajemy orzechy i pesteczki z wanilii, mieszamy delikatnie i wykładamy do tortownicy.

Masa migdałowa:

10 białek

25 dkg przesianego cukru pudru

sok wyciśnięty z pół cytryny

3 łyżki utłuczonych i przetartych przez sito biszkoptów

25 dkg obranych z łupinek i zmielonych migdałów

czarne pesteczki wybrane z 1 przekrojonej laski wanilii

szczypta soli

Białka ubijamy na sztywno ze szczyptą soli. Potem stopniowo dodajemy cukier, cały czas ubijając. Do ubitej piany dodajemy pozostałe składniki, delikatnie mieszamy i wykładamy pianę do tortownicy na masę orzechową. Pieczemy 50–60 minut w 160–170°C.

Do ubrania:

marmolada pomarańczowa

lukier kakaowy (utarty z 20 dkg cukru pudru, 1 łyżki soku z cytryny i łyżeczki kakao rozmieszanego z mlekiem na gęstą papkę)

migdały i orzechy do ozdoby

Tort najlepiej jest ozdabiać na drugi dzień po upieczeniu.

Marmoladę przetrzeć przez sito i lekko podgrzać. Posmarować nią dość grubo wierzch i boki tortu. Gdy marmolada całkowicie zaschnie, polukrować tort i ozdobić połówkami orzechów i obranymi ze skórki migdałami.

---

## 29.03

Nie wydałem żadnych poleceń, tymczasem Almaz sama zrobiła bukiet wielkanocny z liści palmowych i kwiatów i kazała boyowi przygotować gałęzie na ognisko. Jak się okazuje, nie mam daru obrazowego opowiadania, bo Zwieback, który pod jej kierunkiem zrobił kucharz, przypominał naleśnik nadziany daktylami.

Po raz pierwszy zaparzyła dla mnie kawę. Takiej dobrej nie piłem nawet u Jensa.

---

# Zgon śp. Karola Szymanowskiego.

Łozanna, 29 marca (PAT). Dziś w nocy zmarł w sanatorjum znany kompozytor Karol Szymanowski. Przebywał on w tem sanatorjum od tygodnia. Przy łożu śmierci obecną była siostra, słynna śpiewaczka Korwin-Szymanowska.

(1) Polska kultura poniosła głęboką i bolesną stratę przez śmierć świetnego kompozytora, którego nazwisko błyszczy jako jedno z najznakomitszych w plejadzie współczesnych kompozytorów świata.

Szymanowski wniósł do polskiej muzyki nowoczesność, nie przestając być równocześnie nieodrodnym dzieckiem polskiej rasy, tradycji i kultury, jednym z tych, którzy poezję dźwięków, zaklętą przez Szopena w klejnoty pieśni polskich — potrafili ukazać światu w najpiękniejszej formie: jej wdzięk, jej urok, jej temperament i ogień oraz jej słowiańska rozlewność i muzykalność.

Urodził się mistrz Szymanowski w r. 1883, a więc śmierć zabrała go w sile wieku, w 54 roku życia, w tym wieku, w którym wielcy ludzie zwykli dawać narodowi swoje największe dzieła. W tych warunkach możemy powiedzieć z żalem, iż Szymanowski umarł przedwcześnie.

Śp. Karol Szymanowski oprócz kilku dzieł symfonicznych (Uwertura Koncertowa, Symfonia F-moll, B-dur) napisał wiele utworów fortepianowych, jak: preludja, etiudy, sonaty, oraz liczne pieśni (Pieśń Hafisa, Muezin Szalony, Słopiewnie). Był także autorem oper „Król Roger”, „Harnak”. Wielkie wrażenie wzbudziło wykonanie jego potężnego w wyrazie i nastroju dzieła „Stabat Mater”.

Ostatnio świat artystyczny z podziwem oglądał zrealizowany w Paryżu balet Szymanowskiego „Harnasie” z udziałem znakomitego tancerza Sergiusza Lifara w roli głównej. Było to wielkie święto polskiej kultury, polskiej muzyki, polskiej

sztuki dekoracyjnej — potężny zastrzyk góralskiego folkloru z Tatr, który olśnił swą oryginalnością i urokiem „miasto światła” — Paryż. Szymanowski niestety nie



Śp. Karol Szymanowski.

mógł doczekać się wystawienia „Harnasiów” w Polsce.

Bezlitosna śmierć dosięgła świetnego kompozytora w pełni jego twórczości, zamykając tę piękną, a tak boleśnie przetrwaną kartę polskiej kultury.

Umarł Karol Szymanowski. Widziałam go kiedyś w czasie wakacji w Zakopanem, na werandzie Morskiego Oka. Mama pokazywała mi po kolei: starszą damę, dużą i wyniosłą — Zofię Nałkowską, wysokiego mężczyznę o szerokich, krzaczastych brwiach — Karola Szymanowskiego i idącego w stronę ich stolika pana opierającego się na lasce z kościaną gałką — Leona Chwistka. Pamiętam to jak przez mgłę. Za to dobrze pamiętam pieśni Szymanowskiego, które Mama lubiła śpiewać, a szczególnie jedną, bo długo się zastanawiałam, co to znaczy „pouboczyć”:

Daleko został cały świat,  
wiatr, tylko wiatr po uboczy  
nagiej, poźółkłej, po szarych mchach  
jęczące skrzydła włoczy.

# Droga Karola Szymanowskiego na Skałkę.

Kraków, 8 kwietnia.

(K) Kraków przyjął we środę jeden ze swych wspaniałych momentów jako miasto, które nie tylko kupiła w sobie dawną świetność dziejową i najdroższe pamiątki, lecz w dalszym ciągu spełnia rolę pomnika wielkiej duszy i kultury polskiej. Z tego miasta promieniuje wszelka wielkość, stąd wychodzą kadry największych ludzi, tu też z powrotem po swej wędrówce ziemskiej, rozslawiający imię Polski w świecie, wracają na wieki do odroczenia.

We środę przybył do Krakowa swą najcenniejszą wspaniałą kompozycją polską, Karol Szymanowski, by spocząć w krypcie kościoła św. Michała na Skałce, miejscu, do którego przywarły wspomnienia i troski dziejowa, wiążące z każdego zakamarka, z każdej ulicy, gdzie ślona szem wieczerzą poet, artyst, władz, zastutej Polacy.

W chmurny ranek, jakby zestrojony z kimś, przybierającym mury Krakowa na żalobną uroczystość, na dworcu krakowskim zebrał się zastęp powalny, oczekujący przyjazdu wagonu-kaplicy

z Warszawy. Mimo wczesnej pory, grupa jest liczna. Grupa górali, sławna orkiestra podziemia Oboczek, ulubiona orkiestra zmarłego, przybra, by tu od tej chwili leżąc, w ostatniej jego wędrówce. Wraz z góralami przyjechał pociąg ze zastandem Żyłański górali z Zakopanego.

Przybyła ręką na dworzec krakowski cepeka przesyłkom komitetu obywatelskiego z przewodniczącym, dziekanem dr. Jachimeckim, delegatem zarządu miejskiego dyr. Witkiewiczem, prezesem Gwarńskim z Tow. Muzycznego, dyr. Piotrowskim i sekretarzem Marszałkiem na czele. Przy było też grono profesorskie z Konserwatorium, delegacja studentów i uczniów krakowskich szkół muzycznych.

Przed samymi uroczystościami przybył do Krakowa specjalny pociąg z Katowic, wiozący około

500 delegatów związków i stowarzyszeń muzycznych ze Śląska,

który przybył ze zastandami i wiekami. Minato, a zwłaszcza trasa pochodu żalobnego, ulica Grodzka, Stradom, Krakowska

i Skałeczna oraz plico przyjeźle, udekorowane za czesną królowych chorągwi,

kirami obliczone są lampy uliczne, Kuznierni, przez który kondukt żalobny ma przechodzić, też zmienił swój wygląd. Wiele sklepów jest na czas uroczystości zamkniętych, a wewnątrzmi zarządzeniami tamtejszych mieszkańców sklepy i witrny sklepowe odeszczoszone.

## Uroczystość żalobna w kościele Marjackim.

Od goda 10-tej poczła się swolna wypelnienie świątyni Marjacks. Zarządzenia porządkowe ochroniły przed nieporozumieniami i zamieszaniem, tak że wszyscy biorący udział w pogrzebie wiedzieli w którym miejscu miała się znaleźć. W prezbiterjum odcietem od nawy głównej poczłi się zbierać przedstawiciele świata oficjalnego, rodzina Karola Szymanowskiego, duchowieństwo, korpus oficerski. Podnóża katedrałki zakryte zostały wiekami, wokół rozłożyły się świece i światła lamp. Wiednie ulosona na katedrałku pochodziły od P. Prezydenta Rapiłty, ministerstwa oświaty, wojewody krakowskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydenta stoł. z Krakowa i z czesropemni szarfami osobowości dwoma swastykami wieście z napisem „Dem gressen Künstler — der Präsident der Reichsmusikkammer, Berlert“, wreszcie od kompozytorów polskich.

Po chwili przybył do kościoła celebrans ks. biskup Rospond,

z chórów odezwały się pierwsze dźwięki „Requiem“ Berliozu wykonane przez Filharmonię krakowską i połączone chóry mieszane pod dyrykcją Wallek-Walewskiego.

W kościele zapanował szczególnie podniosły nastrój. Po przez rozpięty między nawą a prezbiterjum krzyż „Na łozy“ padają blaski światła, drżące plomienie świec ofiarujących z przed katedrałki ołtarz Wła Strzema i mżolowe dźwięki „Requiem“ spłatają się razem w głęboką, żalobną ciszę.

Skłodyło się naboleństwo, przed katedrałkiem odprawiono egzekwie, w czasie których chór alumnów odśpiewał „Libera nos“. Ks. biskup Rospond pokropił trumnę i na barkach strażaków

## wyniesiono śmiertelne szczątki ś. p. Karola Szymanowskiego z kościoła,

ustawiając je na 3 metry wysokim rydwanie, ujętym w formę artystycznego rydwanu ściełej piramidy, wykonanym pod art. kier. konserwatora śm. Trzera, dyr. Witkiewicza i inż. Krzyżanowskiego.

Równocześnie bocznymi wyjściami opuszczają kościół Marjacksi delegacja, z głównego wyjścia snują się długie szeregi duchowieństwa zakonnego i świeckiego. Na czele orszaku żalobnego stają delegacje ze zastandami, na niemi długi grono delegacji z wiekami, wreszcie duchowieństwo z prowadzącym ekspozycję ks. infultem Kulisowskim na czele.

Sześć rumaków przykrytych kirem, prowadzonych przez żalobników w powolnych odroczeniach, ciągnie górujący nad tłum rydwan.

Do szczególnie nastrojowych momentów należała muzyka hejnalów krakowskich. Kiedy swolki wielkiego kompozytora składano na rydwanie, wśród niesamowitej miano wieloletnich (tymczasem) ciszy odezwały się trąbki marjackskiej wjeł, zgłaszające na drogę wieczności ulistraz i w pogodnym akompaniamencie zmieszaly się z jękiem drzwonów.

Zwolna posuwał się kondukt, kierując się z Ryńku w ulicę Grodzka, Stradom, Krakowska i Skałeczna. Ze wszystkich wieki mieszanych kościołów starożytnego Krakowa

i Kazimierza zrywwały się dźwięki dawnoś: Marjackskiego, św. Barbary, św. Wojciecha, zmieszaly się z sobą dźwięki kościoła Franciszkanów i Dominikanów, św. Józefa, Piotra i św. Andrzeja, św. Idziego, OO. Bernardynów, XX. Misjonarzy, Bolego Ciała, św. Katarzyny.

Najbardziej podniosłym momentem było odezwanie się drzwon Zygmunt, kiedy orszak sznalsz się u stołu Wawelu na ul. Grodzkiej. Stary drzwon, który na sen wiecany zgłaszał królów polskich i wiele wielkich Polaków, dziś w ten sam sposób zgłaszał wielkiego artystę i kompozytora.

Pochód otwierali poczty zastandowe młodzieży szkół powaszcanych i średnich, P. W. i W. F., Towarzystwo i Związków muzycznych, następnie postępowały poczty zastandowe delegacji, karawan z wiekami, za którym cześć wieców niesiono.

Ze rydwanem postępowała Rodzina ś. p. Zmarłego, przedstawiciele rządu i przedstawiciele władz, poslowie i senatorowie, przesyłkom P. A. U., Senat U. J. i rektoraty wyższych uczelni, konsulowie państw zagranicznych, przesyłkom miasta Krakowa i delegaci innych miast, Bractwo Kurkowe, Kongregacja kupiecka, starszyzna echowa z insygnjami i zastandami, reprezentanci samorządu gospodarczego, towarzystwa, organizacje i związki.

## W grobowcu zasłużonych — na Skałce.

(zg) Przez ulicę Skałeczna — aż do bram Skałki ogniste się czarny spaler masażów żalobnych. Słychać już z oddali śpiew. To pięćset dzieci krakowskich, zgromadzonych koło kościoła św. Katarzyny, śęgna wielkiego kompozytora.

Biją drzwon — znaczące posuwanie się żalobnego pochodu. Z bramy klasztornej wysuwają się

białe postacie OO. Paulinów. Posuwają się ku bramie — na przyjeźle tego, co już na zawsze pod ich opieką tu pozostanie.

Na czele konduktu pogrzebowego postępuje OO. Kapucyn. W bramie, prowadzonej na dziedzińcu — spotykają się dwa pochody — tych, którzy Zmarłego na wiecny spoczynek prowadzą — i ci, którym narodził pieczę nad grobowcami swych najlepszych synów powierzył.

Na kręganiku kościelnym stanął chór, który pod batutą Wallek-Walewskiego śpiewa pieśń Noskowskiego „Nad mogiła“.

Powoli trumna posuwa się wśród gęstych spalerów żalobnej publiczności. Płynnie wysoko nad tłumem trumna — ku portowi wiecystemu.

Jeszcze ostatnie pożegnanie. Przed wejściem do grobowca zasłużonych zgromadziła się rodzina, przyjaciele Zmarłego, przedstawiciele świata muzycznego.

Nastąpiły mowy.

**Ostatnie pożegnanie.**

Otwierają się wrota Grobowca zasłużonych. Prof. Zdzisław Jachimecki i Kazimierz Sikorski podchodzą do trumny — i wraz z pracownikami miejskimi wnoszą ją do krypty — gdzie składała trumnę na miejscu — między trumnami Leżana Szymianskiego i Adama Asnyka, a naprzeciw trumny Jacka Malewskiego.

Do krypty wchodzi rodzina i przedstawiciele władz. Duchowieństwo z ks. biskupem Rospondem odprawia ostatnie modlitwy.

A potem pożegnanie najrzeczliwsze. W krypcie — w której spoczywa twórca „Pani o ziemi naszej“

zabrzmiły dźwięki kapeli góralskiej Obrochty.

Trwercy „Harnasiów“ — tej potężnej pętni co z melodii gór wyszła — składa, ostatnie pożegnanie górali.

Na twarzach obecnych maluje się głębokie wzruszenie. Chwila niezwykłej uroczystości.

Brzmie jeszcze słowa przemówienia przedstawiciela rządu, który powiedział:

— I oto pleśń skłoczyła... Lecz pleśń nie kłodzi się na progu tej krypty. Po przejściu tego progu wchodzi się w nieśmiertelność.

W tę przyszłość nieśmiertelna — odprowadzi Karola Szymanowskiego dawny krakowski hejnal Marjacksi. Grały mu pleśń, wieczne życie w sercach wszystkich Polaków wrótach.

Brzmie jeszcze żalobne „Salve Regina“ — Koryza się na masztach czarnych chorągwi. Jest dzień smutny, dzień żaloby — dzień, w którym trzeba było oddać chłodnej krypcie grobowej — wielkiego człowieka.

Lecz było to chwile wielkiego szarytania się nad geniuszem narodu polskiego, którego Karol Szymanowski był jednym z osobliwych.

Długo klęczała przy trumnie Zmarłego jego najbliższa rodzina. Tak — trudno tu się było rozstać z drugim człowiekiem. Droga, nie tylko im, ale tym wszystkim, którzy w tym dniu ostatnią posługę oddali ś. p. Karolowi Szymanowskiemu.

Powoli rozchodził się tłum. Na Skałce pozostają tylko białe postacie zakonników, snujących się niemal bezszelcnie po kręganikach. Życie — odpływa ku miastu — tu pozostaje tylko wieczność.

## 19 kwietnia, poniedziałek

Wiosna! Ganges też ją czuje. Wczoraj trudno nam było wrócić z pola do dworu. Jestem opita powietrzem, słońcem, zapachem rozwijających się modrzewi.

Wiera kuje do matury. Biedaczka! Zniosłam jej trochę placka od Hanki.

## 28 kwietnia, środa

„Ikac” pisze o bombardowaniu miast w Hiszpanii. Wiadomości są sprzeczne. Zapytałam babcię, kto bombarduje. „Obie strony. Jednak wszystko wskazuje na to, że Guernicę zbombardował Legión Cóndor, czyli generał Franco”.

„ILUSTROWANY KURJER CODZIENNY” Nr. 118. Piątek, 30 kwietnia 1937.

# Walka polityczna dokoła spalenia „świętego miasta” Basków.

Madryt, 28 kwietnia. (PAT) Wczoraj popołudniu prezydent rządu baskijskiego Aguirre oświadczył:

„Samoloty powstające zbombardowały Guernicę, miasto odczołose specjalną częścią Basków. Miasto stanowiło w płomieniach. Uderzenie najbardziej czule, miłości kraju. Nie można ukrywać grozy obecnego politycznego, lecz zwycięstwo nigdy nie będzie udziałem napaści. Nieprzejście położyło wielkie postępy, wdzierając się na nasze terytorium, lecz zostanie on odparty. Mówiąc o tem”.

### Zaprzeczenie głównej kwatery powstańców.

Salamanca, 28 kwietnia. (PAT) „Radio Nacional ogłasza notę powstańczej kwatery głównej, będącej odpowiedzią na zarzuty podpalenia przez powstańców miasta Guernica.

„Guernica nie była podpalona przez nas. Hiszpania gen. Franco nie podpała. Podpalanie jest monopolem tych, którzy usiłowali zniszczyć obronę w Toledo.

Guernica szanujemy tak, jak wszystko, co jest hiszpańskie.

Kraj Basków wie, że tradycje jego przez nas będą uszanowane.

Baskowie, słodkie bród. Jesteście wciągnięci do walki przegranej zgóry, a prawda przed wami jest ukrywana. Zaufajcie sprawiedliwości i szlachetności gen. Franco” — kończy wezwanie powstańczej kwatery głównej.

### Oburzenie opinii angielskiej.

London, 28 kwietnia. (PAT) Cała prasa angielska pełna jest oburzenia z powodu bombardowania „świętego miasta” Basków, Guernica.

Dzienniki podkreślają, że ludność tego miasta była najczulszej bezbronna, albowiem Guernica pozbawiona jest wszelkiego charakteru wojskowego, nie posiadając nawet ani jednego działka przeciwlotniczego.

Dzienniki podkreślają, że ludność latająca bardzo nisko samoloty ostrzeliwały z karabinów maszynowych. Dzienniki podają listę ofiar w Guernica na 500, bombardowanie trwało trzy i pół godziny.

Inne źródła prasowe oraz Reuter zgodnie stwierdzają w opisach korespondentów, że bomby, które nie eksplodowały, wyraźnie wskazywały na swe niemieckie pochodzenie. Ogółem zrzucono w ciągu 5 godzin 4.000 bomb.

Bombardowanie Guernica było również tematem rozmów w kuluarach parlamentu angielskiego i wielu posłów wskazywało na konieczność akcji międzynarodowej, aby polecić kres podobnym atakom na ludność cywilną.

### Co mówi sprawozdawca Reutera?

Paryż, 28 kwietnia. (MTP) Dziś przybyło do St. Jean de Luz trzech angielskich dziennikarzy, którzy byli świadkami bombardowania miejscowości Guernica. Jeden z nich korespondent agencji Reutera, podaje, że 50-120 samolotów typu Junkersa w przeciągu trzech godzin zrzucało z nieba miejscowości liczącą przeszło 1.000 mieszkańców.

Około 1500 osób znalazło śmierć pod gruzami domów. Przeszło 2.000 zostało rannych. Samoloty prowadzone — zdaniem angielskich korespondentów — rzekomo wyłączyły przez Niemców ukryły podczas tej akcji po raz pierwszy 500 kg. bomb zapalających, którym nie zostały się nawet najlepsze schrony przeciwlotnicze.

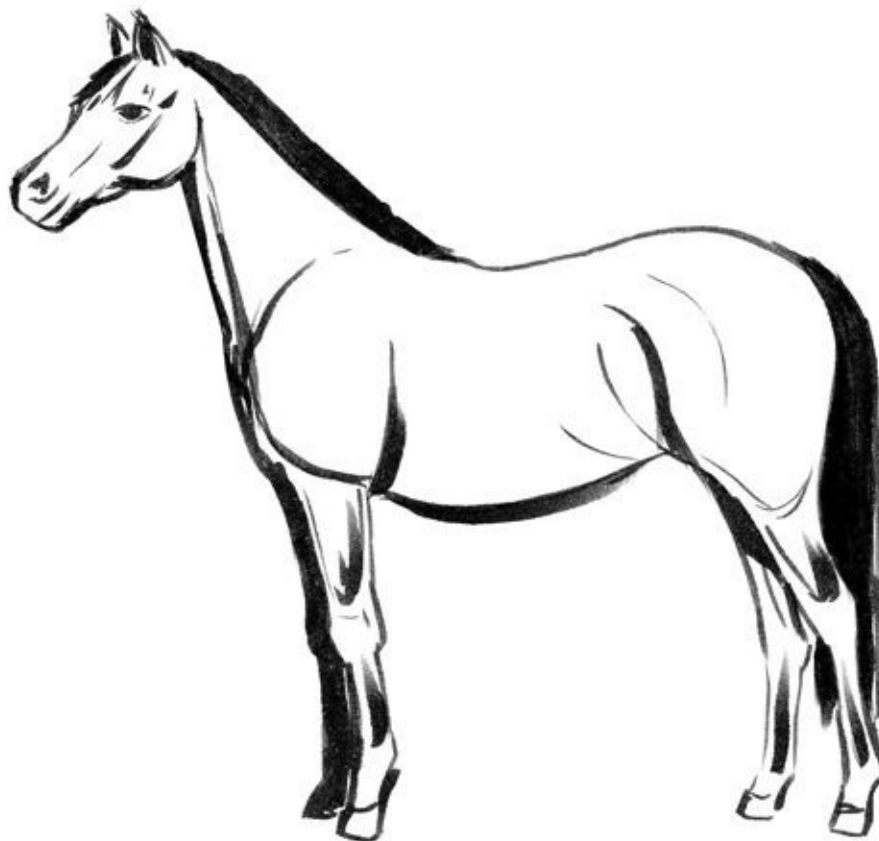
Specjalnym bohaterstwem odznaczył się miejscowy proboszcz katolicki, który pod gradem kul i bomb par dwie godziny przebiegał miasteczko, nosząc pomoc rannym i umierającym. Kiedyś ten został zabity kulą karabinu maszynowego pochodzącą z jednego z samolotów, które krążyły na wysokości 50 m.

## 1 maja, sobota

Uroczyste nabożeństwo majowe w naszym szkolnym kościele. Lubię majówki.

## Różany, 3 maja, poniedziałek

Przekwitły kaczeńce i nad strumykiem jest niebiesko od niezapominajek, białe od tarniny i zielono od młodych listków na wierzbach. Na szmaragdowej majowej trawie pasą się kolorowe kury z puchatymi kurczętami i białe gęsi z żółtymi gąsiątkami. W sadzie brzoskwinie i czereśnie stoją całe w kwiatach, a ogród pachnie narcyzami. Wszystko jest kolorowe, świeże, sprężyste i pełne życia. Rozumiem, czemu *spring* to i „wiosna”, i „sprężyna”, i „początek”.



*Ganges*

---

**10.05**

Wrócił Jens. Pojechałem po niego do Shinyangi.

Bardzo mi go brakowało, i to wcale nie dlatego, że przez te dwa miesiące miałem więcej roboty.

Złe wieści z Europy. Hiszpania w ogniu i krwi, my się zbroimy, Sowieci mordują się sami u siebie i Hiszpanów w Hiszpanii, choć Liga Narodów zabroniła krajom postronnym mieszania się do tej wojny. Skoro jednak republikanie dali Sowiecom 500 ton złota (zresztą zrabowanych z Banku Hiszpanii) za pomoc wojskową, no to teraz Sowieci ślą tam żołnierzy i sprzęt.

Na szczęście w Kanale Sueskim i na Morzu Śródziemnym spokojnie, odkąd Włosi i Anglicy podpisali traktat o „wzajemnym poszanowaniu swoich interesów”.

---

**11 maja, wtorek**

Żeby dostać „bardzo dobrze” z gimnastyki, trzeba wskoczyć do wody na główkę, przepłynąć pod wodą przynajmniej pięć metrów, a potem sześć długości basenu, w tym dwie – na plecach. Łatwizna.

# Wspaniały przebieg koronacji króla Jerzego VI.

Specjalna służba sprawozdawcza „Ilustr. Kuryera Codziennego“

Londyn, 12 maja.

Największe miasto świata nie oszczędziło milionom ludzi, nauceńskich świadków koronacji, smutnego przywileju londyńskiego — przysłowionej mgły. Dzień najbardziej uroczysty w Imperjum brytyjskim

Przez całą noc miasto było rzeszście oświetlone. Na placach wielkie megafony rozbrzmiewały muzyką taneczną. Ludność tańczyła na placach i śpiewała pieśni narodowe. Ognie sztuczne, koncerty orkiestr



Królowa Elżbieta.



Król Jerzy VI.

zeszedł pod znakiem niezwykle gęstej mgły.

i chórów dopełniały tego wspaniałego widowiska, które miała przeżywać ludność całego imperjum.

## Rozpoczyna się zwolna wspaniały akt, na który zwrócone są oczy kilku milionów ludzi.

Przed pałacem królewskim Buckingham stoją karety dworskie i sznur samochodów. Otwierają się niebawem artystycznie kute, żelazne bramy i pierwsza wyjeżdża historyczna karoca speakera (marszałka parlamentu), obok którego zajmuje miejsce lord-mayor Londynu w stroju średniowiecznym. Jedną za drugą wyjeżdżają z powozem zamkowego karety dworskie, wioząc członków domu królewskiego, przedstawicieli najwyższej arystokracji angielskiej oraz delegatów państw obcych w kolejno-

ści, według której były one uwierzytelnione, przy rządzie angielskim. Już o 8-miej godzinie w katedrze Westminsterkiej, łowiącej od przepychu, zajęli miejsce księżęta, parowie i lordowie. Przed portalem katedry westminsterskiej wartę honorową pełni gwardia królewska ubrana w czerwone mundury i wysokie czapy miedziowe. Warta oddaje honory wszystkim przejeżdżającym osobistościom.

O godz. 9.30 wyjechał z pałacu Buckingham

### wspaniały powóz wiozący królową matkę Marię.

Jest to pierwszy wypadek w historii Anglii, że królowa matka, bierze udział w koronacji swego syna. Tym poznaje sędziwa monarchinią i oklaskuje ją entuzjastycznie. Na jej stroju głowie błyszczą diademem sporządzony z klejnotów i słońca dawnej królewskiej korony. Ubrana jest ona w złotą suknię z narzuconym płaszczen purpurowym o b-cie metrowym tronie.

Wreszcie o godz. 10.30, poprzedzany przez wojska z całego imperjum.

## ruszył historyczny powóz królewski.

Wzagnany przez 8 sławnych koni. Jechali w nim król Jerzy VI i królowa.

Owseja tłumu dochodziła do zenitu. Król i królowa co chwile kłaniają się ludności, dziękując za dowody lojalności i miłości.

Orszak zamykały wojska gwardji, a oniebo której, tuż za karocą królewską, jechali naczelnicy dowódca wojsk koronowanych angielskich szczytów marszałek polny lord Cavan, który przed dwoma laty reprezentował króla Jerzego na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego w Krakowie. Za nim na koniach w generalickich mundurach jechali bracia królewscy: ks. Henryk i ks. Jerzy.

W katedrze westminsterskiej rozpoczyna śpiew chóru, złożony z 200 głosów, dając początek

### nabożeństwu koronacyjnemu.

Chórowi towarzyszy orkiestra filharmonji londyńskiej.

Do świątyni wkrocza dziekan Westminsteru, gospodarz opactwa, z dostojnikami kościoła anglikańskiego, biskupami, po nich arcybiskup Yorku, a ostatni wkrocza zapowiadający fanfarami, organami i śpiewem chórow prymas kościoła anglikańskiego arcybiskup Canterbury.

Za arcybiskupem postępowali 4 najwzrostliżsi dostojnicy królewscy: lord wielki asambelan, lord najwyższy, strażnik i marszałek arystokracji rodowej, noszący insygnia władzy królewskiej: miecz, złote ostrogi, pierścienie, berło i jabłko koronę wysadzzone brylantami.

Po nich do świątyni wkrocza władcy orszak królewski, poprzedzony halaharadnikami w historycznych strojach. Idzie więc długi szereg szefów domów brytyjskich, europejskich panujących książąt, przywódców delegacji państw zagranicznych.

Wśród nich widzimy reprezentanta Polski m. Beka w galowym mundurze pułkownika artylerji konnej przepasanym wieńcem wstęga orszaku Polonia Restituta i udokorowanym wszystkimi swojemi odznaczeniami polskimi.

Po delegatach zagranicznych postępowali książęta król, po nich członkowie anglikańskiego domu królewskiego, a wreszcie zapowiadani specjalnemi fanfarami

### wkracają król i królowa.

Przebiega idzie królowa we wspaniałej

sakralnej asyście z długim tronem, obramowanym złotem. Ciężki ten tron podtrzymuje 6 dam dworu, wybranych z pośród najstarszych rodów angielskich. Za królową postępuje król w fioletowym płaszczu obramowanym gronostajami, pośrodku królewskich niesie długi fioletowy tren obramowany gronostajami. Paszowie dobrani są według wzrostu od wyższego do najniższego. Królowa para zasiada na tronach. Tylko małżeństwo siedzą w koleście w łóżkach na głowach; ponieważ religja

## kulminacyjny punkt uroczystości.

Król i królowa wstają z tronu, podchodzą pod ołtarz, a arcybiskup Canterbury odprawia krótką modlitwę. Następnie arcybiskup zwraca się w cztery strony świata, zapytując zebranych w katedrze czy uznają Alberta, Fryderyka, Artura, Jerzego z domu Windsor, króla Jerzego VI prawowitym monarchą. Wszyscy zebrani w świątyni odpowiadają chórem: „God save the King” (Boże chroń króla).

Następnie arcybiskup Canterbury, prymas anglikańskiego kościoła, zapytuje króla, czy przyrzeka sprawować władzę nad ludami imperjum brytyjskiego? Król odpowiada: „przyrzekam uroczyście”. Następnie prymas zapytuje króla, czy przy sprawowaniu władzy będzie kierował się wytycznemi sprawiedliwości i łagodności. Król odpowiada: „przyrzekam”. Wreszcie arcybiskup pyta, czy król będzie szanował Ewangelje św. kościoła anglikańskiego, tudzież nauki i przywileje kościoła anglikańskiego. Po raz trzeci król odpowiada: „Przyrzekam uroczyście”.

Następnie król Jerzy podchodzi do ołtarza, kładzie prawą rękę na bibliję, powtarza raz jeszcze trzy przysięgi i całuje bibliję.

Po tej przysiędze król wraca na tron. Teraz następuje uroczystość namaszczenia. Czterej rycerze Orderu Podwiązki trzymają nad królem baldachim, a arcybiskup Canterbury namaszcza króla według przepisanego rytuału, poczem odmawia przepisane modlitwy. Królowi przypisują następnie miecz sprawiedliwości, a przy tym akcie prymas upomina go raz jeszcze, aby w sprawowaniu rządów kierował się zasadami sprawiedliwości, paszowie ubierają króla w płaszcz koronacyjny, a arcybiskup wreszcie mu jabłko, następnie pierścienie koronacyjne, a wreszcie wkłada mu na głowę królewską koronę.

Król Jerzy VI koronowany został nie tylko królem Anglii i cesarzem Indji, ale także królem Kanady, Afryki południowej, Australji, Nowej Zelandji i Irlandji.

### Koronacja królowej.

(ch) Następnie królowa przystępuje do ołtarza, kładzie na kolanek. Cztery katol-

zakarują jej policzki im nakrycia głowy. Natomiast

### brak w katedrze delegacji Stolicy Apostolskiej,

która na razie zatrzymała się w przyległym bundynku, a to dlatego, ponieważ król Wielkiej Brytanji składa przy koronacji przysięgę dochowania wierności religji anglikańskiej.

Zbliża się

miejski przyznoszą baldachim, arcybiskup namaszcza ją olejem świętym, wkłada jej pierścienie na palec i koronę na głowę. Arcybiskup wreszcie jej jabłko i berło a kościel słońcowej a potem królowa przechodzi w towarzyszywie dam przed królem, któremu składa pokłon i wraca na miejsce.

Po tem para królewską przyjmują komunię. Chór intonuje uroczyste Te Deum, podczas gdy królestwo zmieniają szaty w kapłany św. Edwarda.

Król wkłada wielki płaszcz królewski z purpury, długi na osiem metrów i obramowany gronostajami i koronę imperjalną i z berłem w rękę wraca na tron.

Także królowa wkłada płaszcz królewski. Polne godności i wspaniałość, wzniosłość i powagi, jak cała ceremonia, jest także zakończona. Kiedy królestwo wchodzi do katedry i kiedy się formuje procesja koronacyjna, przystępuje chóru stary królewski, który podejmują obecni w katedrze

i niezliczone tysiące na ulicach: Boże, ochraniaj nam króla!

### Powrót orszaku koronacyjnego do palacu Buckinghamskiego.

odbywa się w innym porządku niż procesja do katedry, ponieważ delegacje sił zbrojnych ze wszystkich państw części świata maszerują na czele pochodu, symbolizując przez to potęgę imperjum. Powoli postępuje się karoca koronacyjna wśród tłumów, najpierw wzdłuż Tamizy, gdzie stoja trybuny dla młodzieży anglikańskiej, nieustraszenie manifestującej swój entuzjazm dla króla.

Tylko ten, kto obserwuje emocje narodu anglikańskiego podczas krótkiej chwili przejazdu orszaku koronacyjnego i przeżywa ten entuzjazm, może dopiero poznać, do czego jest zdolny szary i flegmaty Anglik. Przy tej dopiero okazji staje się jasnym jak wielkie wymagania fizyczne stawia ten ceremonjalny koronowany monarcha. — Wcale nie jest legendą, że Ryszard II zemścił przy „Te Deum” i dopiero catech rycerzy musiało go wyprowadzić z opactwa Westminsterskiego. Brzemie królestwa zaczyna się od koronacji.

Nie chciałabym być królową. Największą wadą tego stanu jest brak wyboru. Choć nie, bo król Edward abdykował, by poślubić ukochaną. Ile jednak wywołał zamieszania! Nie było mu łatwo. Miłość. Czasem mnie też jest ciężko.

## Cygan porwał cygankę z obozu na Prądniku.

Romantyczną przygodę przeżył w Krakowie cygan Karol Włoch, który pewnego dnia rozbił swój namiot w Zielonkach pod Krakowem, Włoch wraz z innymi cyganami ruszył do miasta i tu na Prądniku Białym poznał cygankę, 15-letnią Marynę Siwakówkę, której rodzice są osiadłymi cyganami, trudniącymi się kotlarstwem.

Między obozem cygańskim a Siwakami nawiązały się niemi sympatji. Niebawem jednak Siwakowie stwierdzili, że Włoch darzy zbyt gorącą sympatją Marynę. Pewnego dnia Włoch zjawił się w mieszkaniu Siwaków, obezwładnił matkę i siostry Maryny, poczem porwał ukochaną i umknął z nią do Zielonek. Obóz czempredziej zwinięto i cygan ze swym 15-letnim skarbem wyjechał w nieznanym kierunku.

Policeja krakowska rozpoczęła posęgi. Na Śląsku schwytano Włocha i odebrano dziewczynę. Włoch stanie niebawem przed sądem krakowskim za porwanie nieletniej dziewczyny.

Siostra Klara miała z nami specjalną lekcję – już dziś mamy się zastanowić nad swoją przyszłością, to znaczy co chcemy robić po maturze. Wiera jest zdecydowana: idzie na Uniwersytet, na prawo, choć wołałaby na medycynę, tylko że tam podobno niechętnie widzą studentów Żydów. Na



świadectwie maturalnym będzie mieć same piątki. A ja? Co można robić, mając piątkę z gimnastyki, z angielskiego i z niemieckiego i zaledwie trójkę z matematyki?

### **13 maja, czwartek**

Zaraz po szkole pobiegłam do Wiery, by zobaczyć jej świadectwo. Stała w progu cała zapłakana. Nogi się pode mną ugięły. Przecież Wiera nie mogła nie zdać! Każdy, ale nie ona! Tak jak myślałam, ma piątki z góry na dół. Chodzi o to, że przypadkiem usłyszała rozmowę rodziców: myślą o wyjeździe do Ameryki Południowej. Na zawsze.

Pocieszałam ją, jak mogłam. Może coś źle usłyszała? Boi się zapytać rodziców – to znaczy boi się, że to potwierdzą.

### **14 maja, piątek**

Wyciągnęłam Wierę na *Pani minister tańczy* (ona jeszcze nie widziała tego filmu, ja – już dwa razy), a potem na ciastka do Maurizia. Biedaczka, cały czas się martwi. Nie chce jednak, żeby babcia spróbowała porozmawiać z jej rodzicami.

### **16 maja, niedziela**

Gdy tylko wróciliśmy z babcią z Różan, poszłam do Wiery. Rozmawiała z rodzicami. Nie przesłyszała się. Chcą wyemigrować do Boliwii. Dlaczego tak daleko? Dlaczego właśnie Wiera!?

### **18 maja, wtorek**

Śniła mi się Wiera. Radośnie opowiadała, że nie było miejsca na statku i że jej rodzice kupili bilety dopiero na grudzień 1940 roku.

---

## **18.05**

Po dwóch miesiącach rządów Almaz zrobiłem bilans sklepu. Nie wierzyłem własnym oczom: zysk jest o ponad 20 procent większy niż wcześniej.

Almaz zmieniła tam prawie wszystko. Kazała dobudować werandę, która stała się ulubionym miejscem spotkań kobiet z osady. Każda klientka może za darmo napić się kawy parzonej przez Almaz, która zresztą kupuje ją w swoim sklepie (ze sporym rabatem). Ze sklepu znikła lada (!). Z początku ekspedienci – przerażeni brakiem tej osłony – kulili się za stołem z kasą. Teraz na zmianę obsługują kasę i pomagają klientom wybierać towary. A towary po prostu leżą na półkach i w koszach albo wiszą na drążkach. Każdy może je pomacać, obejrzeć. Genialnie proste, możliwe jednak tylko tu, w Afryce, gdzie nie ma złodziei.

---

### ***Różany, 23 maja, niedziela***

Babcia zwolniła mnie na cały tydzień ze szkoły. Hurr! Nic nie stracę, bo we wtorek są szkolne zawody w pływaniu (wszystkie dziewczynki się cieszą, że mnie nie będzie, bo zawsze wygrywam), w środę jest czyn społeczny na Sowińcu, a w czwartek – Boże Ciało.

### ***24 maja, poniedziałek***

W jadalni moje krzesło było dziś ubrane konwaliami i stokrotkami. Dostałam od Hanki letnią sukienkę w kwiatki, bardzo modną, a od babci granatowy kapelusz ze słomki, przypominający beret, ozdobiony aksamitkami – też ostatni krzyk mody. Piotr dał mi bukiet białych róż. Staś, widząc, że wszyscy mi coś dają, przyniósł swego ulubionego misia, dał mi go, a po chwili odebrał. Jest taki słodki, gdy patrzy okrągłymi oczkami i stara się zrozumieć, o co chodzi w tej zabawie w imieniny.

Na kolację przyjechał doktor Lackowski. Przywiózł mi ogromne pudło czekoladek od Wedla. Ubranie doktora pachnie tak jak ubranie Taty. Czy to dlatego go lubię?

### ***25 maja, wtorek***

Jakie to szczęście, że kobiety nie muszą już jeździć po damsku, z nogami z lewej strony. Jeden jedyny raz próbowałam jazdy na damskim siodle. Amazonka, z wszytymi ołowianymi kulkami, żeby wiatr nie podwiewał spódnicy, waży tonę, co jeszcze bardziej utrudnia wsiadanie na konia. Nie wolno wchodzić po strzemieniu, bo siodło może się przekręcić, tylko trzeba mieć drabinkę albo kogoś, kto podsadzi. Siada się trochę jak na krzesło, a potem nie można nawet kłusować, nie mówiąc już o galopie czy skokach, i pozostaje tylko nudny stęp. Żal mi dawnych amazonek, które nigdy nie poczuły, jak to jest, gdy cwałujący koń leci, nie dotykając ziemi.

### ***26 maja, środa***

Skończyłam siedemnaście lat. Cieszę się, że jesteśmy w Różanach i że babcia nie może nalegać, żebym zaprosiła koleżanki. Byłoby jak w zeszłym roku. Wszystkie wiedzą, co księżniczka Odeta myśli o bywaniu u mnie. Ona rządzi w klasie.

Wizyta dyrektora Kompanii, raczej towarzyska niż urzędowa. Zachwycił się kawą Almaz i kazał zawołać kucharza, by osobiście mu pogratulować. Ten łotrzyk przyjął słowa uznania bez mrugnięcia

okiem.

Moment konsternacji w sklepie. Dyrektor też pierwszy raz w życiu widział sklep bez lady. Gdy jednak w biurze pokazałem mu kilka cyfr, wysoko podniósł brwi i niczego już nie kwestionował.

Nasz sterowiec Hindenburg, największy na świecie, eksplodował po przylocie do Ameryki. Czy mi się zdawało, czy angielski dyrektor uśmiechnął się pod wąsem, gdy mi to mówił?

31.05

Czytam listy z domu. Wszyscy piszą, jak bardzo się cieszą, że niedługo się zobaczymy. Mama od razu zrozumiała moje zakamuflowane życzenie i obiecuje, że zaprosi Z. i jej babcię do Schönwalde. Kochana mama! Na pewno się domyśla, o co mi chodzi, jednak jak zwykle jest wzorem dyskrecji.

---

**Kraków, 31 maja, poniedziałek**

Dwójka z religii.

Siostra Kornelia nie lubi, gdy uczennice opuszczają lekcje. Zapytała mnie, jaka była przyczyna mojej nieobecności podczas czynu społecznego przy kopcu Marszałka. Bąkałam, że babcia mnie zwolniła, że Boże Ciało, że moje imieniny...

„Imieniny? – powiedziała siostra z przekąsem. – A któraż to Zuzanna jest twoją patronką? Hagiografowie wymieniają osiem świętych kobiet noszących to imię”.

Milczałam. Nie mogłam przecież powiedzieć, że Tatusz wybrał mi to imię, bo – jak mi opowiedziała babcia – poznał Mamę na koncercie, podczas którego wykonywano oratorium Händla *Susanna*. O żadnej świętej Zuzannie nic nie wiedziałam. Spróbowałam najstarszego na świecie szkolnego wybiegu: „Zapewne nie chodzi siostrze o Zuzannę z Księgi Daniela...”.

„Masz rację, nie chodzi mi o Księżkę Daniela – przerwała mi siostra. – Nie wymagam, byś znała wszystkie święte, i nie pytam ani o Zuzannę męczennicę z Eleuteropolis, ani o Zuzannę męczennicę perską. Pytam o świętą Zuzannę, której wspomnienie obchodziliśmy w zeszłym tygodniu”.

Spuściłam głowę.

„Siadaj, dwójka – powiedziała siostra. – Po lekcjach pójdziesz do biblioteki, w *Martyrologium Romanum* sprawdzisz, która święta jest twoją patronką, i z żywotów przepiszesz informacje o niej. A w domu przepiszesz to dziesięć razy”.

W klasie rozległy się szept i chichoty.

„Panienki – karcąco rzekła siostra Kornelia – mam nadzieję, że tylko Zuzanna nic nie wie o swojej patronce. W przyszłym tygodniu na klasówce będzie pytanie o wasze patronki”.

Przynajmniej nie muszę się przygotowywać na tę część klasówki. Historię męczeństwa

Melecjusza, Jana i Stefana oraz ich małżonek: Zuzanny, Marcjany i Palladii, będą pamiętać do końca życia.

1.06

Gwałty w Abisynii nie ustają. W całej wschodniej Afryce mówi się o okrucieństwach Włochów. Także o mordach popełnianych przez drugą stronę.

W odwecie za zamach (nieudany) na nowego gubernatora Włosi najechali klasztor Debre Libanos, święte miejsce Abisyńczyków, podobno zniszczyli go i zamordowali trzystu mnichów. Naturalnie zamach był tylko pretekstem: Włosi walczą z abisyńskim Kościołem, odkąd *abune* Petros ogłosił, że każdy Abisyńczyk uchylający się od współpracy z ruchem oporu wobec Włochów jest ekskomunikowany.

## Ślub ks. Windsor z p. Warfield.

(Od specjalnego wysłannika „J. K. G.”)

Mont, 3 czerwca.

(Lt) Romans miłosny króla Edwar-  
da VIII, który równo pół roku temu  
groził wstrząśnięciem największego  
imperjum świata, zakończył się w  
czwartek w południe dość banalną  
ceremonją ślubną we francuskim  
miasteczku Monts, niedaleko Tours, w  
jednym z salonów romantycznego  
zamku Cande, własność pp. Dedaux.  
Ślubu cywilnego ks. Windsor i p.  
Warfield, małżonce rozwiedzionej p.  
Simpsona, udzielił mer gminy Monts  
p. Mercier, pełniący równocześnie o-  
bowiązki lekarza w miasteczku.

Książę Windsor wystąpił w żakiecie z  
białym goździkiem, zaś p. Warfield wy-  
rażnie wzruszona, ubrana była w buciki,  
w suknie i kapelusz koloru „błękit walijski”.  
Stół, na którym podpisano dokument  
matrymonjalny, nakryto biało-różową ka-  
pą, którą następnie książę Windsor podarował  
na pamiątkę gminie Monts.

Świadkiem księcia był jego przyjaciel  
major Metcalf, zaś świadkiem p. Warfield  
drugi przyjaciel b. króla, p. Rogers.

Pierwsze słowa, które książę Windsor  
wypowiedział jako mąż p. Warfield, patrząc  
w stronę parku i mówiąc nawpół do siebie  
i nawpół do otoczenia brzmiały: „Śliczny  
dzień dzisiaj, taki, o jakim marzyłem”.

### Ceremonja ślubu cywilnego

odbyła się o godz. 11 min. 15 w wielkim  
salonie zamku Cande w jak najściślejszym  
gronie.

O godz. 11.30 zjawił się mer miasta Monts  
dr. Mercier, przepasany trójkolorową szar-  
fą. Po chwili wszedł książę Windsoru, roz-  
mawiając przyjaźnie z obecnymi.

M. in. pochwalił toalety pań Rogers i  
Merryman, oświadczając, że są zachwyca-  
jące, następnie rozmawiał chwilę z konsu-  
lem brytyjskim w Nantes, Grahamem.  
Podczas ceremonji ślubu cywilnego

obecnym było jedynie 12 osób:

Mer oświadczył:

„Wasza wysokość, pani, uroczystość od-  
będzie się wedle praw francuskich. Odczy-  
tam państwu artykuły kodeksu cywilnego,  
mówiącego o małżeństwie”.

Podczas odczytywania artykułów oblu-  
bieńcy potakiwali ruchem głowy przy sło-  
wach „wierność”, „pomoc” i „opieka”.

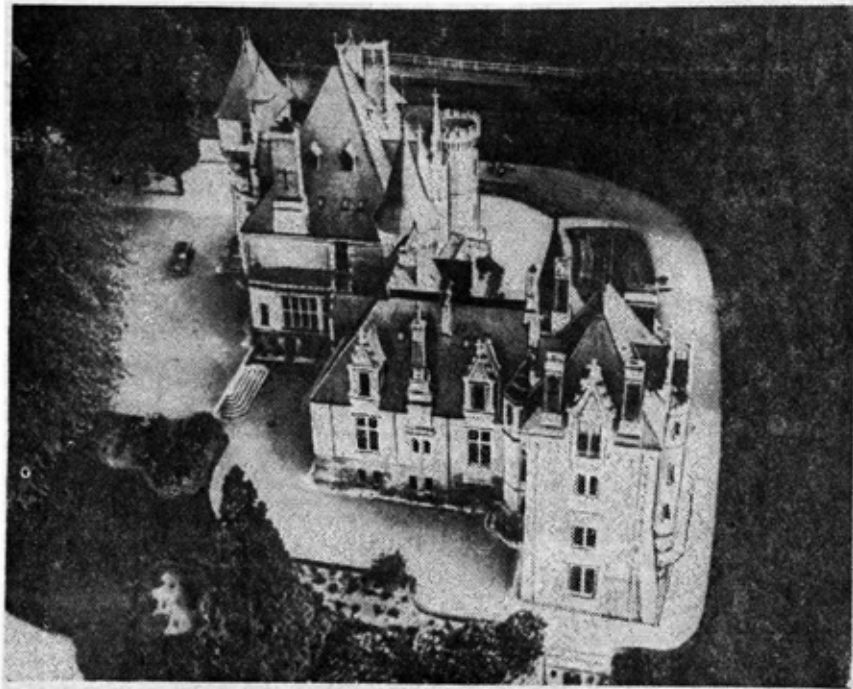
Następnie mer zapytał:

„Czy wasza królewska wysokość zgadza  
się poślubić panią Wallis Warfield?”

„Tak” — odpowiedział książę Windsor  
tonem zdecydowanym.

„Pani Wallis Warfield, czy zgadza się pa-  
ni poślubić Jego królewską wysokość księ-  
cia Windsor?”

„Tak” — odpowiedziała pani Warfield  
słosem miłym i pełnym słodyczy.



Zamek Candé, w którym odbył się ślub.

„Oświadczam, że jesteście państwo złączeni węzłami małżeńskimi” — zakomunikował mer uroczycie o godz. 11.47 w dwie minuty po rozpoczęciu ceremonii. Książę Windsor włożył obrączkę na rękę księżnej.

Przystąpiono do odczytania aktu ślubu, który jest bardzo długi. Mer wymienił obok nazwiska małżonka nie tylko przysługujące mu tytuły, lecz również ordery, których jest kawalerem.

M. in. ordery: Podwiązki, św. Patryka, Gwiazdy Indyjskiej, św. Michała i Jerzego, Wielkiej Wstęgi Legii Honorowej. W trakcie odczytywania powyższego ustępu aktu ślubnego książę Windsoru uśmiechał się. Jako miejsce zamieszkania dostojnych nowożeńców zapisano w akcie Fort Belvedere, jeśli chodzi o księcia Windsoru oraz Cumberland, jeśli chodzi o jego małżonkę.

Mer zakomunikował, że intercyza została spisana przed notariuszem w Tours.

Następnie książę Windsor z małżonką powstali z krzesel i z początku z uśmiechem a następnie z rosnącym wzruszeniem wysłuchali dłuższego przemówienia mera.

### O ceremonii kościelnej

można tyle powiedzieć, że udzielił jej bezpośrednio potem w bibliotece zamku, przemienionej w kaplicę, pastor Anderson Jardine.

Chyba najbardziej wzruszająca była chwila, kiedy stary pastor, oryginal, o czerwonej, kwadratowej twarzy, na którą padał snop promieni słonecznych, sączących się przez liście drzew, sięgających okien kaplicy, recytował sakramentalne słowa obrączki, przyciszane dźwiękami organów:

Wielebny Anderson Jardine udzielił ślubu wedle starego modlitewnika aglikańskiego oświadczając:

„Ukochane dzieci, zebraliśmy się tu pod okiem Boga, aby połączyć tego mężczyznę z tą kobietą świętym węzłem małżeńskim. Instytucja małżeństwa powstała celem wychowania potomstwa w strachu bożym i

ku chwale jego świętego imienia. Została założona w tym celu, aby każdy z małżonków znajdował oparcie w drugim, zarówno w pomyślności, jak i w nieszczęściu. Jeśli kto wie o jakichkolwiek słusznych przyczynach, któreby uniemożliwiały legalny związek tego mężczyzny z tą kobietą, niech o tem powie zaraz lub nigdy”.

Następnie zwracając się do ks. Windsor pastor zapytał:

„Czy chcesz poślubić tę kobietę, aby żyć z nią zgodnie z prawem boskim, w poświęconym związku małżeńskim? Czy będziesz ją kochał, pomagał jej, szanował ją, opiekował się nią, zarówno w dobre, jak w złem zdrowiu i czy dochowasz jej wierności aż do końca życia jednego z was?”.

Książę głosem bardzo zdecydowanym odpowiedział po angielsku:

— I will (chcę).

Następnie pastor, zwracając się do księżnej, zapytał:

„Czy chcesz poślubić tego mężczyznę, aby żyć z nim zgodnie z prawem boskim w świętym związku małżeńskim? Czy będziesz mu posłuszna i uległa? Czy będziesz go kochała i szanowała? Czy będziesz się nim opiekowała w dobre lub złem zdrowiu? Czy dochowasz mu wierności aż do końca życia jednego z was?”.

Księżna głosem przytłumionym ze wzruszenia również odpowiedziała twierdząco:

— I will.

Następnie pastor połączył prawe ręce księcia i księżnej, wygłaszając sakramentalną formułę, którą dostojni nowożeńcy powtarzali za nim słowo po słowie.

Był to moment nadzwyczaj wzruszający. „Ja, Edward” — powtarzał za pastorem książę, „Ja, Wallis” powtarzała księżna. Nowożeńcy nie wymieniali żadnych tytułów, poza swymi chrześnymi imionami, powtarzali rote przysięgi małżeńskiej.

Następnie księżę włożył księżnej **obraczkę**, podaną mu przez pastora. Nowożeńcy ukłękli, zaś pastor udzielił im błogosławieństwa i głosem, pełnym wzruszenia, oświadczył, że nowożeńcy zostali **zaślubieni w obliczu Boga**.

Po zbiorowych modłach, dostojni nowożeńcy przy dźwiękach hymnu „Veni creator“ opuścili kaplicę. Zauważono, że księżna miała **łzy w oczach**. Wiele z pośród obecnych pań nie mogło ukryć wzruszenia.

\* \* \*

Na samym zamku Cande od świtu we czwartek zapanował **gorączkowy ruch**. O godz. 8-mej rano do pokoju księcia Windsoru przyprawiono przybyłego specjalnie z Londynu dawnego fryzjera księcia.

**Fryzurą p. Warfield zajął się mistrz fryzjerów, słynny Antoine,**

pod którym to pseudonimem ukrywa się znany z ekscentryczności **malarz-Polak Cieplikowski**.

Pani Warfield przywdziała **toaletę, utrzymaną w tonie niebieskim** oraz **kapelusz i pantofelki w tymże kolorze**. Księżę Windsoru ukazał się w **żakiecie z białym goździkiem w butonierce**. Miał poza tem jasno-szary kapelusz oraz szary krawat w drobne kwadraciki.

#### **4 czerwca, piątek**

Dziś oktawa Bożego Ciała i nie było lekcji. Cała szkoła poszła na procesję mariacką. Było wielu rodziców, babcia też. Przy dźwięku dzwonów obeszliśmy ołtarze w Rynku. Babcia była zmęczona i nie weszliśmy z powrotem do kościoła Mariackiego, tylko poszliśmy na obiad do Hawełki. Jadłam pyszny chłodnik. A gdy wracałyśmy do domu, na Rynku harcował lajkonik i uderzył mnie w ramię drewnianą buławą. Będę miała szczęście przez cały rok!

#### **7 czerwca, poniedziałek**

Irka chce iść na polonistykę. Ma zamiar zostać sławną pisarką. Siostra Klara często czyta na głos jej wypracowania i bardzo je chwali.

Ja chciałabym mieć taki majątek jak Różany i gospodarować w nim. W sobotę pomagałam w serowni. Pan Nowacki nie pozwolił mi wprowadzić kroić skrzepu mleka na kawałeczki, a potem go mieszać, bo to najtrudniejsza rzecz w robieniu sera, mogłam jednak zbierać serwatkę i ugniatać ziarna sera na sitkach. Układałam też gotowe serki do suszenia. Za trzy tygodnie, gdy dojrzeją, pozwoli mi je parafinować.

Spytałam babcie, czy po maturze mogłabym iść na studia rolnicze, na przykład w Lipsku, tak jak Piotr.

„I co potem?“, spytała babcia.

Ma talent do zadawania trudnych pytań.

„Nie mamy ziemi, więc musiałybyś pracować u kogoś jako rządca. Myślisz, że ktoś chciałby zatrudnić kobietę?”

„Czemu nie”, odpowiedziałam, ale niezbyt pewnie.

„Przypomnij sobie, ile w gazetach jest ogłoszeń doświadczonych gospodarzy szukających pracy w majątkach. Trudno by ci było z nimi konkurować. Oczywiście mogłabym kupić trochę ziemi, jednak nie tu, bo jest za droga. Przeniosłabyś się na Kresy?”

Pewnie, że nie.

### **8 czerwca, wtorek**

Babcia poszła z panem Podoskim na koncert wawelski. Pieśni Moniuszki ma śpiewać Ewa Bandrowska-Turska, którą babcia bardzo ceni. A ja się uczę do jutrzejszej klasówki z historii naturalnej. Włączyłam cicho radio, bo choć nie bardzo lubię Moniuszkę, chcę posłuchać arii z *Hrabiny*. Mama, gdy szykowała się do wyjścia, często śpiewała: „Suknio, coś mnie tak ubrała”.

### **9 czerwca, środa**

Źle śpię. Długo przewracałam się z boku na bok, a gdy wreszcie zasnęłam, przyśniła mi się Justyna. Obudziłam się z płaczem.

### **10 czerwca, czwartek**

Doktor Lackowski przyszedł pożegnać się z babcią. Wyjeżdża na Kresy na całe lato, ma tam kilku pacjentów. Rozmowa zesłała na moje plany. Doktor nagle zapytał: „A może poszłaby pani w ślady ojca?”.

Zaskoczył mnie. Nigdy nie myślałam o medycynie. „Chyba bym się nie nadawała na lekarza”, powiedziałam ostrożnie. Nie chciałam mówić, że nie mam piątek z góry na dół jak Wiera.

„Pamiętasz, jak pomogłaś Carli? – spytała babcia. – Wykazałaś się zimną krwią”.

„Właśnie – poparł ją doktor. – To, czy ktoś się nadaje, łatwo sprawdzić. Wystarczy krótka praktyka w szpitalu”.

„Nic nie umiem. Nie przyjmą mnie”, powiedziałam szybko.

„Akurat w tym mogę pomóc – uśmiechnął się doktor Lackowski. – Zaproteguję panią. W czasie wakacji w szpitalach brakuje salowych”.

„W czasie wakacji?”, jęknęłam. Wakacje to miały być Różany. Piotr i Ganges.

„Świetny pomysł!” Babcia aż klasnęła w rękę.

Ani się obejrzałam, jak ustalili, że cały lipiec będę pracować jako salowa. Babcia kazała mi podziękować. Osłupiała wymamrotałam: „Bardzo dziękuję, panie doktorze”. Teraz gdy o tym myślę, przychodzi mi do głowy, że zbyt szybko to poszło. Tak jakby wcześniej się umówili.

## **12 czerwca, sobota**

Dostałam list od Renate von Ebert. W Penzance zaprzyjaźniłyśmy się, bo Renate z początku słabo sobie radziła z angielskim, a ze mną mogła mówić po niemiecku. Godzinami spacerowałyśmy po plaży i Renate gadała jak najęta. Znam jej dom i rodzinę, choć nigdy ich nie widziałam. Renate właśnie zdała maturę, wróciła do domu i zaprasza mnie do siebie na sierpień. Nie mogę pojechać, bo skoro w lipcu mam pracować w szpitalu, to chociaż sierpień chcę spędzić w Różanach.

## **później**

Babcia dostała list od mamy Renate. Znają się z dawnych lat. Czasem mam wrażenie, że świat składa się z przyjaciółek i znajomych mojej babci. Pani von Ebert zaprasza nas obie do Schönwalde. Babcia twierdzi, że taka podróż to nie na jej lata (w zeszłym roku w Niemczech czuła się świetnie), ja jednak muszę pojechać, bo: po pierwsze, są wakacje i powinnam wyjechać z miasta (tak jakby Różany leżały w mieście), po drugie, nigdy nie byłam w Prusach Wschodnich (i co z tego, wcale mnie tam nie ciągnie), po trzecie, Schönwalde jest – jak sama nazwa wskazuje – piękne (Różany na pewno są ładniejsze), po dziesiąte, nie wypada odrzucać zaproszenia tak miłych ludzi jak von Ebertowie (a zaproszenie Hanki i Piotra można?). Po przemówieniu babci (trudno to nazwać rozmową) usiadłyśmy w jadalni i ja napisałam list do Renate, a babcia do jej mamy. Podziękowałyśmy za zaproszenie i poprosiłyśmy, by 3 sierpnia ktoś po mnie wyjechał na stację. Nie wiem, jak to się dzieje, że babcia zawsze stawia na swoim.

---

15.06

List od Renate. Między opowieściami o szkole wzmianka, że chce zaprosić Z. do Schönwalde. Mama – urodzona dyplomatka – tak wszystkim pokierowała, że ostatecznie zaproszenie wyszło od Renate.

---

## **26 czerwca, sobota**

Świadectwo lepsze, niż się spodziewałam. Z łaciny czwórka, z religii też (moja patronka, zamiast się mną opiekować, tak mnie urządziła), z matematyki trójka. Cóż. Poza tym piątka. Nic jednak, nawet myśl, że w przyszłym roku dochodzą dwa nowe przedmioty – chemia i fizyka z astronomią – nie jest mi w stanie zepsuć humoru. Dziś wieczorem będę w Różanach!

## **Różany, 27 czerwca, niedziela**



Na polach stoją kopy siana. Ganges zatrzymuje się przy nich i od niechcienia chrupie kilka żółtozielonych źdźbeł. Wakacje! To słowo pachnie malinami i łopianami nad rzeką.

### ***30 czerwca, środa***

Dla Piotra na imieniny kupiłam jedwabny szalik i wyhaftowałam na nim jego inicjały. Hanka wymyśliła w tym roku zabawę przy ognisku. Piekliśmy w popiele młode ziemniaki i tańczyliśmy na trawniku przy gramofonie. Niebo powoli się rozświetlało i pokazał się księżyc w pełni. Władek Gorzkowski nudził, bo chciał ze mną tańczyć, a ja patrzyłam, jak błyszczą włosy Piotra, jak się uśmiecha, jak lekko mruży oczy, gdy z kimś żartuje. Kosmate złote ćmy krążyły wokół ognia. W oddali krzyknął bażant. Troj podniósł głowę i rozejrzał się czujnie. Świetliki tańczyły w gąszczu leszczyny. Pachniały lipy, jaśmin, róże i świeże siano. Chciałam, żeby ten wieczór nigdy się nie skończył.

### ***3 lipca, sobota***

Szaroróżowy letni zmierzch, cichy, piękny, długi, niepostrzeżenie przeszedł w ciepłą gwiazdzistą noc. Stokrotki błyszczą w krótko przystrzyżonej trawie. Nie ma ani kropli rosy. Pachną lipy. W sadzie pobielone pnie mającą jak duchy.

---

#### **3.07**

Ostatnia przed wyjazdem wizyta w Gisansere. Wycinka idzie sprawnie, skup ciosów i futer znacznie się zwiększył. Spokojnie mogę przekazać faktorię Jensowi, nie narażając go na zbytne kłopoty.

---

### ***Kraków, 8 lipca, czwartek***

Nie dam rady. To kara za moją głupotę, za złe myśli o Odecie, za to, że nie lubię siostry Kornelii, za wszystkie moje grzechy. Szpital to piekło na ziemi. Wymyślony dla lekarzy i tylko lekarze dobrze się w nim czują.

### ***10 lipca, sobota***

Zgłosiłam się na dyżur na jutro. Gdybym pojechała do Różan, żadna siła nie zmusiłaby mnie do powrotu.

---

11.07

Dostałem od Almaz amulet na drogę – maleńką hebanową figurkę kobiety. Poprosiła, bym nigdy się z nim nie rozstawał. Wyjąłem portfel, żeby go schować. Almaz od razu zauważyła zdjęcie, choć widać było tylko jego róg. Myślałem, że nie wie, co to jest. Wiedziała. I tak jak kiedyś Jens, zapytała: „Kto to?”, a potem, jak Jens, domyśliła się wszystkiego.

Myślałem, że nie przyjdzie w nocy. Jednak przyszła. I była dla mnie bardzo dobra.

---

### **11 lipca, niedziela**

Jutro mam wolny dzień, wreszcie się wyśpię. Zmusiłam babcię, by na tydzień pojechała do Różan. Upały w mieście jej nie służą. Marcysia zapewniła ją, że sobie poradzimy.

Dostałam bury fartuch i burą chustkę na głowę. Wiadro, miotłę, ścierkę. Rękawiczki przyniosłam z domu. Myję podłogi, wynoszę baseny, przebieram pościel, noszę toboły brudów do pralni. To nie jest bardzo trudne. Robi się trudno, gdy jakaś chora pyta nagle: „Dlaczego właśnie mnie to spotkało? Mam pięć sióstr i wszystkie są zdrowe jak ryby”, albo kiedy zapłakana kobieta w wiejskiej chuście całuje mnie w rękę i prosi o poratowanie dla dziecka. Na nic się zdają tłumaczenia, że nie jestem lekarką ani pielęgniarką. Ludzie, którzy by się nie odważyli zagadnąć lekarza, zaczepiają mnie. Przy dziesiątym mówię jak automat: „To do mnie nie należy”.

„Składkę na chorą kasę to umiecie brać, a potem tak się człowieka traktuje!”, usłyszałam raz w odpowiedzi.

Pod oknem leży chora z podrażnieniem wyrostka robaczkowego. Skarży się rodzinie: „Wcale mnie nie leczą. Codziennie tylko badają, jeść nie dają, aby gorzką herbatę, i okład na brzuch”.

„Tak się leczy ślepą kiszki”, mówi pielęgniarka, która usłyszała te skargi.

„Jeszcze ci operację zrobią, bo na ubezpieczalnię to wiadomo”, straszy chorą mąż.

„Pewnie, jakbym zapłaciła, toby było inaczej”.

### **12 lipca, poniedziałek**

Jedyny plus pracy w szpitalu to to, że prawie codziennie widuję się z Wierą. Byłyśmy na *Barbarze Radziwiłównie*. Smosarska jest wspaniała!

### **13 lipca, wtorek**

Pracuję albo od szóstej rano do drugiej po południu, albo od pierwszej po południu do dziewiątej wieczór. Nie mam nocnych dyżurów, bo nie jestem pełnoletnia.

Szpital imienia Prezydenta Gabriela Narutowicza jest największym i najnowocześniejszym krakowskim szpitalem. Otwarto go trzy lata temu i należy do Ubezpieczalni Społecznej. Niestety, ma też wady – zbudowano go na dalekim przedmieściu, za koszarami Sobieskiego, w pobliżu dworca towarowego. Jadę tramwajem przez całe miasto, wysiadam na pętli na Kamiennej i stamtąd mam jeszcze dobry kwadrans piechotą.

---

13.07

Przyjechał Jens. A ja jutro rano płynę parowcem do Mwanzy. Wieczorem mam stamtąd pociąg do Dodomy. Zdam sprawozdanie w dyrekcji, a dziewiętnastego odpływam z Dar es Salaam do Gdańska. Jens się śmieje, że po dwóch latach w dżungli zgubię się nawet w takim mieście jak Dodoma.

---

### **14 lipca, środa**

Na oddziale dziecięcym jest pielęgniarka, która karmi dzieci w ten sposób, że zatyka im palcami nos, a potem do otwartej buzi wkłada pełne łyżki. Jestem tchórzem – nie umiem zwrócić uwagi osobie starszej ode mnie i do tego mojej przełożonej. Mogę zrobić jedno: sadzam te trzy niejadki przy stole, opowiadam im bajkę i karmię dwoma rękami z trzech talerzy, gdy zasłuchane zapominają o całym świecie. Trwa to dłużej, jednak żadne później nie wymiotuje.

### **15 lipca, czwartek**

Potępieńcze wycie pacjentki na porodówce. Lekarz czyścił jej macicę po porodzie. Czemu podczas tak bolesnego zabiegu nie stosuje się znieczulenia? Tak mało wiem.

### **16 lipca, piątek**

Rodzice odbierali dziś ze szpitala małą Władzię. Kupiłam jej na pożegnanie książeczkę o Koziółku Matołku. Ubrałam ją i zaprowadziłam do holu. Usłyszałam, jak ojciec Władzi, oglądając receptę, mówi do jej matki: „To lekarstwo z dziesięć złotych kosztuje. Jak Bóg zechce, to Władzia wyżyje i bez lekarstw, a jak nie, to i tak umrze, a pieniędzy nikt nam nie zwróci”.

### **17 lipca, sobota**

Komu powinien pomagać lekarz? Potrzebującym czy tym, którzy mogą zapłacić?

---

**18.07, DAR ES SALAAM,**

**DAWNA STOLICA NASZEJ DAWNEJ AFRYKI WSCHODNIEJ**

Mój bagaż już na statku. Chodzę po mieście i robię ostatnie zakupy. Świetne sklepy jubilerskie. Znalazłem dla mamy piękne rubiny z kopalni w Longido, a dla narzeczonej Antona – naszyjnik z 50 kremowych pereł (dziewiątek) przedzielonych małymi perełkami, z zapięciem z szafirem. Poproszę mamę, by w moim imieniu wręczyła prezent pannie młodej. Kupiłem też kolczyki z rubinami dla Almaz.

Długo oglądałem pierścionki z diamentami. W końcu zrezygnowałem z kupna. Nie chcę zapeszyć.

---

***21 lipca, środa***

Babcia mówi, że okropnie schudłam i wyglądam jak zmora. Byłyśmy dziś u krawcowej. Babcia dostała od pana Podoskiego paryskie żurnale. Modne są złote i srebrne sandałki, kaftany z lamy, haftowane suknie przypominające jedwabne szaty.

---

**23.07**

Budzę się o szóstej rano, jak co dzień przez ostatnie dwa lata, i mija długa chwila, zanim się zorientuję, gdzie jestem. Dopiero teraz, gdy mam wolne całe dni, uświadomiłem sobie, jak mało ostatnio czytałem. Nadrabiam zaległości – na statku jest świetna biblioteka.

---

***23 lipca, czwartek***

Zauważyłam dziś, jak ludzie w poczekalni patrzyli na wyraźnie zdruzgotanego pacjenta wychodzącego z gabinetu: w ich oczach zgroza mieszała się ze współczuciem, ale i z ciekawością.

---

**25.07**

Egipt. Muszę tu kiedyś przyjechać.

27.07

Na basenie mnóstwo zgrabnych młodych kobiet. Przyjemnie jest popatrzeć na ładne damskie nogi.

Tryb życia na statku dość monotony. Okazuje się, że wystawne kolacje i bale szybko się nudzą.

Dwa lata nie tańczyłem. Teraz to nadrabiam.

29.07

W nocy coś mnie obudziło. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć Almaz. Tęsknota za miękkim, uległym ciałem.

30.07

Mijamy Gibraltar. Tym razem w blasku dnia. Stoję na pokładzie i po prostu patrzę. Za plecami mam Afrykę, przede mną stara, dobra Europa.

---

### ***Różany, 31 lipca, sobota***

Pan Podoski przyjechał z babcią pod szpital. Czekali prawie pół godziny, bo trudno mi było rozstać się z dziećmi. Całą drogę do Rózan opowiadał babci o paryskiej wystawie światowej, o obrazach Pabla Picassa i van Gogha. Oboje udawali, że nie widzą, jak mi się oczy pocą.

Hanka czekała z obiadem, potem babcia zarządziła poobiednią drzemkę. W ubraniu położyłam się na łóżku i natychmiast zasnęłam. Spałam trzy godziny jak kamień. Obudziłam się wypoczęta i spokojna. Postanowiłam, że nie będę myśleć o szpitalu ani o wyjeździe do Schönwalde, tylko będę się cieszyć każdą minutą w Rózanach.

Pani Leonia na mój widok pobiegła do spiżarni po babeczkę z poziomkami. Wypiłam herbatę i poszłam do stajni. Ganges już czekał, osiodłany. Dotykał mojego policzka jedwabistymi chrapami i rżał cicho. Zawsze mam dla niego cukier, ale jestem pewna, że gdybym przyszła z pustymi rękami, tak samo cieszyłby się na mój widok.

Pojechałam w stronę, z której dobiegał turkot lokomobili. Piotr był jeszcze przy żniwach. Szybkim krokiem podszedł do Gangesa, chwycił mnie w pasie, zdjął z siodła, przytulił i zakręcił w kółko. Objęłam go rękami za szyję, zamknęłam oczy i starałam się zapamiętać tę chwilę na zawsze.

---

3.08

Spełniło się moje marzenie i przepłynąłem Kanałem Kilońskim. Gdy widzę, jak ludzka myśl i pomysłowość triumfują nad naturą, ogarnia mnie duma, że jestem inżynierem.

---

***Prostki, granica polsko-niemiecka, 3 sierpnia, wtorek,  
3 po południu***

Połączenia kolejowe Krakowa z Prusami Wschodnimi są złe. Można jechać tylko dwiema trasami: z Warszawy na Kwidzyn i Elbląg albo na Białystok i Prostki. Nie ma tu luxtorpedy, jak z Krakowa do Zakopanego. Za radą babci wybrałam pociąg ekspresowy do Białegostoku, z przesiadką w Warszawie. W sumie, z przesiadką i postojem na granicy, podróż z Krakowa do Sensburga, a raczej Ządzborka, trwa aż dziesięć godzin.

Stoimy w upale na granicy. W pociągu pustki. Korytarzem przeszedł Żyd, otwierał drzwi przedziałów i proponował wymianę pieniędzy. Babcia zaopatrzyła mnie w marki, więc nie skorzystałam. Napiłam się za to lemoniady, którą sprzedawała młoda kobieta. Wreszcie na korytarzu pojawili się celnicy: polscy – uśmiechnięci, bardzo uprzejmi, niemieccy – sztywni. Teraz nic się nie dzieje, ale musimy odstać swoje, zgodnie z rozkładem jazdy. Na szybie niemrawo brzęczy mucha, łaciaty pies śpi w cieniu na peronie. Pustki, nuda.

***Schönwalde, 10 wieczorem***

Wszystko jest takie jak w opowieściach Renate: duży dom, przypominający raczej elegancką kamienicę niż dwór, buki i równo przystrzyżone żywopłoty z ligustru, kamienny taras, wysokie pokoje z pięknym widokiem na jezioro.

Na peronie w Sensburgu czekały na mnie Renate i Emily Wallace-Stewart, która spędza całe wakacje w Schönwalde. Opalone, modnie ostrzyżone, w letnich sukienkach. Zanim szofer załadował moją walizkę i torbę podróżną do zielonego opla, streściły mi program na sierpień: konie, kajaki, pikniki. Siedziałyśmy we trzy na kanapie w aucie, a one paplały bez przerwy. Poczułam się jak w szkole.

Pani von Ebert jest urocza. Kiedyś musiała być niezwykle piękna. Ma ciemne włosy z siwymi nitkami i ogromne oczy, brązowe w złote cętki. Nigdy wcześniej nie widziałam takich oczu. Pan von Ebert ma wojskowe ruchy i trzyma się niezwykle prosto. Na wojnie światowej stracił lewą dłoń – spod mankietu letniej marynarki wystaje mu proteza w brązowej skórzanej rękawiczce. W domu jest jeszcze najstarszy brat Renate, Anton. Ma już z trzydzieści lat i lekko łysieje. W Boże Narodzenie żeni się z dziewczyną, którą poznał podczas studiów w Berlinie.

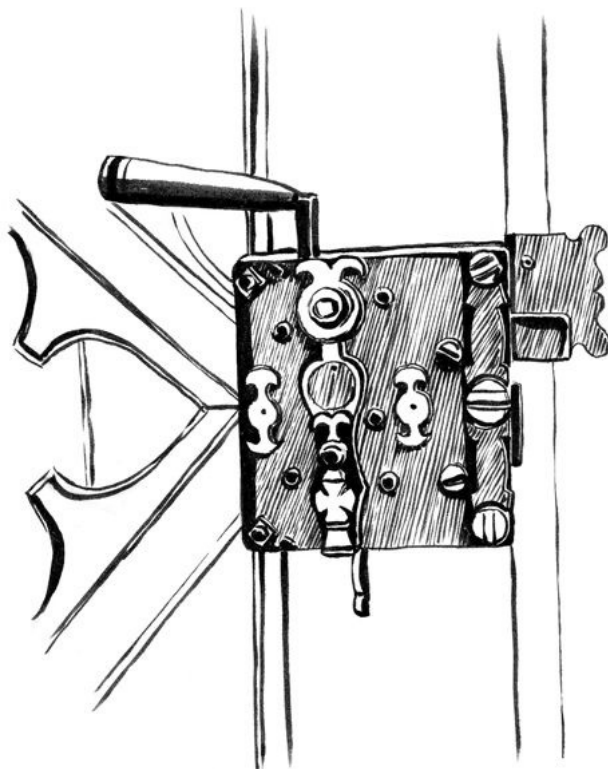
Gdy patrzyłam na Renate i Emily, nagle pożałowałam, że nie wróciłam do Penzance. One są już po maturze, Emily we wrześniu wyrusza z mamą w *Grand Tour*, a Renate jest zakochana, naturalnie z wzajemnością, w chłopcu z sąsiedniego majątku. Są takie dorosłe i nowoczesne: w modnych sukniach, z krótkimi włosami, swobodne, eleganckie. Ja – w płóciennym podróżnym kostiumiku

z marynarskim kołnierzem i z tymi nieszczęsnymi warkoczami – wyglądałam przy nich jak pensjonarka.

#### **4 sierpnia, środa**

W stajni stoi osiem koni pod wierzch. Pan von Ebert kazał stajennemu siodłać dla mnie tego, którego zechcę. Jeden jest trochę podobny do Gangesa, tylko ma jaśniejszą sierść i piętno w kształcie rogów łośia. Stajenny wyjaśnił mi, że tak się znaczy trakeny. Jestem przeciwniczką piętnowania koni.

Klamki są tu ładne, bardzo podobne do różańskich.



---

5.07

Dopływamy do Gdańska! Jestem prawie w domu.

---

#### **5 sierpnia, czwartek**

Śnił mi się szpital. Justyna, zwinięta w kłębek, spała w dziecięcym łóżeczku. Wiedziałam, że musi jej być niewygodnie, i dziwiłam się, że śpi tak spokojnie.

#### **6 sierpnia, piątek**

Wstaję wcześnie i biegnę do stajni. Kasztan podobny do Gangesa nazywa się Gimpel. Jest świetnie ułożony. Jedziemy przez park, który niepostrzeżenie przechodzi w sosnowy las. Nie ma tu żadnych murów ani płotów. Pokryta grubą warstwą igieł ścieżka prowadzi wysokim brzegiem jeziora. Ogromne sosny pachną żywicą, a jezioro – rybami i tatarakiem. Za lasem są łąki, dalej ścierniska po życie i łąny jeszcze niezżętej pszenicy, kilka domów i znowu las, a w tym lesie płytka rzeczka z piaszczystym dnem. Gimpel sam mnie do niej zaprowadził. Myślałam, że chce się napić, a on wszedł w środek nurtu i ruszył, rozpryskując wodę. Gdyby umiał, śmiałby się przy tym w głos, taki był zadowolony, łobuziak. Rzeczka wpada do jeziora, które w tym miejscu jest dosyć płytkie. Pływamy razem blisko brzegu. Pan von Ebert ostrzegł mnie, że te wąskie jeziora bywają bardzo głębokie.

Gdy wracam koło dziewiątej, w jadalni na bufecie stoi porcelanowy pojemnik z gorącymi kiełbaskami, koszyk z domowymi rogalikami, mleko, dzbanek z herbatą, owsianka, masło, miód, konfitury. Jem sama, bo Renate i Emily o tej porze jeszcze śpią, a gospodarze jadają wcześniej. Potem biorę herbatę i idę na taras. Siadam na pasiastym leżaku i po prostu patrzę na jezioro.

W Schönwalde panują inne zwyczaje niż w Rózanach. Nie podają śniadania do łóżka, za to jedynym posiłkiem, na który zwołuje gong i nie wolno się spóźnić, jest obiad o drugiej.

Po południu wiosłujemy we trzy na jeziorze. Ćwiczymy, bo Renate zaplanowała wyprawę kajakową – spływ Krutynią, którą nazywa Kruttinen. Gdy machamy wiosłami (z początku nieskładnie, bo wyszłyśmy z wprawy, teraz rytmicznie i bez wysiłku), czuję się jak na kanale w Penzance. Tu też nasz głośny śpiew płoszy mewy i kaczki.

### **7 sierpnia, sobota**

Z Gdańska, a właściwie z Afryki, przyjechał drugi brat Renate, Joachim. Ma dwadzieścia cztery lata, ostrzyżone na jeża brązoworude włosy i piegi widoczne nawet przez afrykańską opaleniznę. Tylko oczy ma ładne – odziedziczył je po swojej mamie.

---

7.08

Z. Z jak zdumienie. Z jak zachwyty.

9.08

Rano poszedłem do stajni. Boks Gimpela był pusty. Okazuje się, że Z. jeździ na nim co rano. Wziąłem Toscę i pojechałem ich szukać. Nie było to trudne. Z daleka usłyszałem jej śmiech, a potem plusk wody. Gimpel w swoim żywiole. Tata żartuje, że przodkiem tego konia musiał być konik morski.



Przywiązałem Toscę i poszedłem na brzeg jeziora. Stałem za grubym pniem sosny.

Wynurzyła się z rzeki jak Diana, jeśli Diana miała warkocze. Zręcznie zeskoczyła z konia, rozsiodła go i zaczęła się rozbierać. Wstrzymałem oddech. Pod białą bluzką i błękitnymi szarawarami miała jednak kostium kąpielowy. Spięła warkocze na czubku głowy i weszła do jeziora. Gimpel szedł za nią jak pies. Mówiła coś do niego, a on odwracał głowę i patrzył na nią tak, jakby wszystko rozumiał. Ja niestety nie znam tak dobrze polskiego jak ten krzyżacki koń.

Długo pływali i nawet chciałem już odejść. W końcu, z wyraźnym ociąganiem, wyszli na brzeg. Gimpel otrząsał się z wody, a Z. go naśladowała. Potem stanęła na brzegu, wystawiając twarz do słońca. Widziałem jej zgrabne nogi, pięty różowe jak u dziecka, złoty meszek na szyi. Znow coś powiedziała i Gimpel do niej podszedł. Założyła mu siodło. A potem się rozejrzała, odwróciła tyłem do jeziora i zdjęła kostium. Zaparło mi dech. Skórę ma perłoworóżową, z takim połyskiem jak niedotknięta ludzką ręką śliwka. Małe, okrągłe piersi, ciemnozłote loczki między szczupłymi udami. Prześliczne kolana, jakie mają tylko siedemnastoletnie dziewczęta. Gapiłem się w zachwycie, ona tymczasem spokojnie wyjęła kostium, włożyła szarawary i bluzkę na gołe ciało, w końcu buty, kapelusz i rękawiczki. Podprowadziła Gimpela do leżącego pnia, wskoczyła na siodło i odjechała. A ja zostałem w lesie, z walącym sercem i płonącym ciałem.

---

### **10 sierpnia, wtorek**

Babcia dała mi na drogę *Na tropach Smętka* Melchiora Wańkowicza. (Jakie to ładne imię „Melchior”). Jego korespondencje z Mazur, które czytała regularnie w „Kurierze Porannym”, w zeszłym roku ukazały się w tej właśnie książce. Cieszę się, że zobaczę Krutynię, którą opisał. Co do reszty, cóż, ominęłam rozważania o przyroście naturalnym, migracjach, cenach ziemi i kredytach. Wańkowicz jest dziennikarzem i przyjechał do Prus w konkretnym celu: chciał opowiedzieć o polskości tej ziemi, „zmacać stopą łąd podwodny, podniemiecki”. Każdą rzecz ocenia jako niemiecką lub polską. Przypomina o rozmaitych okropnościach, na przykład o tym, co napisał w swojej kronice Długosz: że na początku piętnastego wieku Krzyżacy kastrowali pruską ludność, „by wytępić polskie plemię”. Moi gospodarze nie są Krzyżakami. Nic, co mówią, nie wskazuje, by myśleli, że są „pruską twierdzą, o którą rozbijają się fale zalewu słowiańskiego”. Służba domowa jest mieszana, część mówi tylko po niemiecku, część także po mazursku, i poznałam nowe słowa: marial (dziewczyna), jeglija (jodła), kofej (kawa), muchory (komary). Skąd te słowa? Czy tak kiedyś mówili Prusowie? Nie wiem. Potrafię sobie za to wyobrazić rozpacz Mazurów, gdy podczas plebiscytu kazano im wybierać: Polska czy Niemcy. Nie było trzeciej rubryki: Mazury. To takie niesprawiedliwe. Czemu nie możemy zostawić ich w spokoju?

Podszedłem do Z., gdy oglądała obrazy w salonie. Od dłuższej chwili patrzyła na impresjonistyczny morski pejzażyk.

„Lubi pani Berthe Morisot?”, spytałem.

„Nigdy o niej nie słyszałam – przyznała z uroczym uśmiechem, bez cienia skrępowania i bez krygowania się. – Po prostu podoba mi się ten obraz. Błękit na nim migocze, biel tchnie świeżością wody, każdy szczegół jest oddany wiernie, ale z jaką swobodą! I to światło! Tylko rama jest nieodpowiednia”.

Zatkało mnie. „Dlaczego?”

Popatrzyła na mnie ze skruchą. „Przepraszam, nie powinnam była... Tak mi się wyrwało”.

„Nic się nie stało. Ale proszę mi wyjaśnić: dlaczego nieodpowiednia?”

„Bo przytłacza obraz. Zamiast tej zdobnej złotej ramy dałabym prostą i jasną, może dębową, żeby podkreślić jego blask. A gdyby jeszcze brzegi skrzynki pomalować białym złotem, to wydobyłoby się głębię tego pejzażu”.

## 11 sierpnia, środa

Rano wyruszamy na Krutynię. Joachim mówi, że tę nazwę nadali jej Prusowie – w ich języku „krutina” znaczyło „kręta”.

Przerysowałam z mapy naszą trasę. Mam zamiar ją uzupełniać w drodze.



## *Pupy (Puppen), 12 sierpnia, czwartek*

Skąd się biorą nazwy? Nadają je ludzie, oczywiście. Niektóre jednak w jakiś sposób nadają sobie same miejsca: Jezioro Białe o jasnych wodach, jezioro Ostrów z wielką wyspą, wieś Zakręt, tam gdzie zakręca rzeka. Nazwy są mądrzejsze niż ludzie: żyją zgodnie obok siebie, żadna nie uważa się za lepszą. Bardzo mi się podobają Pupy wywiedzione wprost z niemieckich Lalek.

Renate i Emily już śpią, a ja chciałam jeszcze opisać dzisiejszy dzień, więc zasłoniłam nocną lampkę parawanem, żeby ich nie obudzić, i piszę, siedząc w łóżku.

Wyruszyliśmy znad Jeziora Białego. W jednym kajaku Renate i Joachim, w drugim ja z Emily. Wiatr był dość silny i namachaliśmy się wiosłami, nim przecięliśmy jezioro i wpłynęliśmy na strugę otoczoną wysokim lasem. Rzeka wolno nas niosła na jezioro Gant. Nie ma tu żywej duszy, tylko las i trzciny przeglądają się w wodzie. W krystalicznym nurcie śmigają ławice srebrnych rybek. Joachim pokazał nam „krwawe kamienie” – głazy porośnięte krwistoczerwonymi plamami ni to roślin, ni to skorupiaków.

Gant skończył się lasem trzciny i nie mogliśmy znaleźć przesmyku prowadzącego na rzekę. Płynęliśmy w labiryncie tataraku. Pałki wodne w aksamitnych krecich futerkach przyglądały się nam z wysoka. Nagle kajaki same ruszyły szybciej – trafiliśmy na rzeczny nurt. Za ścianą tataraku pokazały się niskie łąki. Potem znów płynęliśmy w cieniu sosen i znowu w słońcu między łąkami. Nad drzewami kołowały dwa orły. Pierwszy raz widziałam orły z tak bliska.

Na wysokim brzegu rzeki pojawił się dom, za nim następny. Joachim dał znak, że tu się zatrzymujemy. Przybiliśmy do niskiego pomostu i od razu jak spod ziemi wyrosło na nim kilkoro dzieci, które na nadrzecznej łące pasły krowy i gęsi. Joachim dał im garść cukierków i polecił pilnować kajaków. Z rozkoszą wyszłam na stały ląd. Przeciągałyśmy się na brzegu, a dzieci otworzyły buzie i zaczęły chichotać, i porozumiewawczo się poszturchiwać, gdy zobaczyły nasze spodnie.

W chłodnej, pustej gospodzie właściciel na nasz widok przetarł fartuchem najlepszy stół i wskazał go z niskim ukłonem. Joachim zamówił dla nas piwo. Zimne piwo, pieniste, z lekką goryczką, jest napojem bogów w upalny letni dzień. Zdjęliśmy kapelusze i rękawiczki, Emily domagała się przetłumaczenia na angielski krótkiego jadłospisu wypisanego kredą na czarnej tablicy, Renate konferowała z gospodarzem, ustalając menu, a Joachim pytał o ludzi do przeniesienia kajaków przez tamę przy młynie.

Kończyliśmy jeść kurczęta z mizerią, gdy do gospody weszło kilku młodych mężczyzn. Joachim poszedł z nimi na pomost przypilnować przenoszenia kajaków, a my spacerkiem ruszyliśmy przez wieś. Wieś mazurska nie przypomina podkrakowskiej. Domy (numerowane jak w mieście!) są ustawione do drogi nie frontem, lecz krótszym bokiem, i otoczone płotem z bramą zwieńczoną daszkiem. Zabudowania gospodarcze tworzą regularny czworobok na tyłach domostwa. Za to kwiatki w ogródkach są znajome: georginie, malwy, słoneczniki, nasturcje.

Minęliśmy most i tamę przy młynie. Dalej, przy rozlewisku, czekały kajaki. Jakby wiedząc o naszej poobiedniej ociężałości, rzeka sama niosła nas aż do jeziora Zyzdrój. Lewy brzeg jeziora jest bezludny, porośnięty trzcinami, tatarakiem i lasem. Z kopca suchych trzcin zerwała się dziwna brązowa czapla – jej stopa przypominała kościsty wachlarz. Blisko brzegu wśród żółtych i białych lilii wodnych brodziły siwe czaple. Wiosłowaliśmy niemal bezszelestnie, żeby ich nie spłoszyć.

Za dużą wyspą porośniętą lasem jezioro gwałtownie się zwęziło. Przez chwilę długim sznurem płynęły za nami łabędzie. I znów na brzegach las przechodził w zarośnięte szuwarami łąki, z których z krzykiem zrywały się kaczki, a łąki – w sosnowy bór. Za wychodzącym w jezioro półwyspem zobaczyłam dom i śluzę zbudowaną z czerwonej cegły. Śluza była otwarta od naszej strony. Joachim zawołał i z domku wyszedł starszy mężczyzna, gestem kazał nam wpłynąć między mury. Wrota opuściły się ze zgrzytem. Trzymaliśmy się lin spuszczonej z brzegu, woda w śluzie spieniła się i zaczęła się podnosić. Było trochę jak na karuzeli. Renate trajkotała nerwowo. W końcu szum ustał, woda się uspokoiła, powoli podniosły się wrota przed nami i wypłynęliśmy na wąski przesmyk. Drzewa zwieszały konary niemal do samej wody. Na zachodzie płynęły podświetlone na różowo chmurki, od wody szedł wieczorny chłód. Dzień się kończył. Kończyła się też nasza droga. Jakby w nagrodę za wytrwałość bystry nurt niósł kajaki. Patrzyłam na zarośnięty szuwarami lewy brzeg, przy którym stada kaczek i łabędzi szykowały się na spoczynek. Wolny ruch wiosłami, szelest trzcin trących o burty, nikły plusk wody kapiącej z piór. Cichy letni zmierzch.

---

## 12.08

Trzy dziewczyny i ja. Trzy dziewczyny w spodniach. Dzielne sportsmenki. Każda jest inna. Renate – żywiołowa, gadatliwa, praktyczna. Emily – śliczna jak z obrazka, zalotna. Z. – jaka jest Z.? Nadal ma taką ufną i bezbronną twarz jak na moim zdjęciu. Tylko jej oczy dziecka, które jeszcze nigdy nie widziało zła, się zmieniły. Na ich dnie czai się teraz jakiś cień: pamiątka po dniach żałoby i zapowiedź dojrzałości.

---

## *Piecki Krutyńskie, 13 sierpnia, piątek*

I jak tu nie być przesadną? Bystrze za Pupami pokonałyśmy z Emily bez trudu, świetnie nam się wiosłowało w cieniu boru porastającego brzegi Upliku, na bezkresnym jeziorze Mukre nie było ani tchnienia wiatru i respekt powoli zmieniał się w zachwyty. Akurat gdy zaczynałam być głodna, Joachim wskazał wiosłem małą zatoczkę przy prawym brzegu. Przybiłyśmy do piaszczystej plaży,

Emily od razu wyskoczyła z kajaka. Zagapiłam się na wielki dąb i sama nie wiem jak, znalazłam się w wodzie. Od razu wypłynęłam, nawet nie musiałam chwytać wiosł, które mi podawali. Wyszłam na brzeg jak zmokła kura. Renate i Emily trzymały się za brzuchy ze śmiechu, nawet nasz opiekun, zwykle tak poważny, śmiał się głośno. Cóż mi pozostało? Też się roześmiałam.

Renate wyciągnęła brezentowy worek z moimi rzeczami, Emily owinęła mnie kocem. Odeszłam kawałek w las, zdjęłam mokre rzeczy i przebrałam się. Potem wykręcone ubrania rozwiesiłam w słońcu na gałęziach. Moje niebieskie dalmatyńskie szarawary zrobiły furorę. Gorzej było z włosami. Wyjęłam spinki, wykręciłam warkocze w ręczniku, a potem je rozpuściłam, żeby szybciej wyschły. Czułam, jak krótkie kosmyki nad czołem zawijają mi się w dziecięce loczki. Zawsze doprowadzam je do porządku szczotką i spinkami, tu jednak nie było na to warunków. Zanim zjedliśmy drugie śniadanie, wyglądałam jak przerośnięty amarek. Obiecałam sobie w duchu, że zaraz po powrocie do Krakowa pójde do fryzjera i raz na zawsze pozbędę się tych głupich warkoczy.

---

13.08

Z. z rozpuszczonymi włosami. Dla tego widoku warto było przyjechać z drugiego końca świata.

---

### ***Iznota nad Czarną Rzeką, 14 sierpnia, sobota***

Teraz wiem, co to jest „pruska sosna”: wyniosły pień, regularna korona. „Gonne i bezsęczne”, idealny materiał na maszty do żaglowców, najlepszy w całej Europie i Azji, jak powiedział tutejszy leśniczy. Poza sosnami w Puszczy Jańsborskiej rosną brzozy, dęby, świerki, klony, wierzby. Woda w jeziorach ma kolor od jasnego błękitu do ciemnego brązu. Czasem wyraźnie widać dno, a czasem, jak na Jeziorze Gardyńskim, tafle zakrywają białe i żółte lilie wodne, tak że płynie się jak po kwitnącej łące. Za ścianami wysokiego lasu, wśród których człowiek czuje się mały i odcięty od świata, nagle ukazuje się wychodzący w jezioro pomost, a na nim stoliki pod parasolami – elegancka kawiarnia z muzyką i lodami. Budzi nas ostry, urywany klangor żurawi, podobny do dźwięku zachrypniętej trąbki, albo krzykliwe głosy niemieckich turystów przed gospodą. W jednej wsi Mazur nasypuje na paznokiec tabakę, w drugiej jest cerkiew i mieszkają rosyjscy starowiercy: brodaci mężczyźni i kobiety w chustkach skrzyżowanych z tyłu i zawiązanych pod brodą.

Iznota to kilka rozrzuconych wzdłuż piaszczystej drogi chałup, Boschamenka, czyli figura z Męką Pańską pod stuletnią lipą, i Gasthaus z cynkowym szynkwasem, alkierzykiem „dla lepszych gości” i pokojami na górze. Miejscowi piją piwo prosto z flaszek, siedząc przy stołach w ogólnej sali.

Spoceni, w rozpiętych kamizelkach, krzykliwi. Niektórzy, wchodząc do gospody, zamiast „Grüss Gott!” mówią „Heil Hitler!”. Szkoda, że jak starowiercy nie uważają odstępstwa od starych zwyczajów za grzech śmiertelny.

### **Rudczany, 15 sierpnia, niedziela**

Dziś mało wiosłowania, za to odpoczynek w kurorcie. Jest przecież niedziela.

Dolny bieg Krutyni, który Wańkowicz opisuje z mniejszym entuzjazmem (zagajniki, podmokłe łąki, za mokro dla kwiatów), nam dostarczył wrażeń. Stada czapli, błękitno-zielone, błyszczące jak klejnociki zimorodki, pola nenufarów, ważki, „krwawe kamienie”, Czarna Rzeka nagle wyprowadzająca kajaki na bezmiar Bełdanów, śluza Guzianka podnosząca nas dużo wolniej niż Lalka, jednak też emocjonująca.

W folderze hotelowym zacytowano kilka zdań z przewodnika po Mazurach Mieczysława Orłowicza: „Rudczany – ważna stacja węzłowa linii do Ełku, Żądźborka i Szczytna, położona wśród lasów. Dopiero dzięki stacji kolejowej wyrosła ta miejscowość ze zwykłej leśniczówki na uczęszczane letnisko z jednej, a centrum przemysłu leśnego Jańsborskiej Puszczy z drugiej strony”. Przeczytałam też, że w mieście od ponad czterdziestu lat istnieje wyłuszcarnia nasion drzew iglastych. Wydało mi się to tak ciekawe, że zapytałam Renate, czy moglibyśmy ją zwiedzić. Idziemy tam jutro rano.

---

### **16.08**

Zdziwiłem się, gdy Renate zaproponowała, by zwiedzić wyłuszcarnię nasion. Okazało się, że to pomysł Z.

Wyłuszcarnię zbudowano w 1892 roku, w dobrze wybranym miejscu – obok węzła kolejowego, dzięki czemu może obsługiwać całe Prusy. Magazyny mieszczą 180 ton szyszek. Technologia jest oparta na niemieckim patencie i naśladuje naturalny proces: szyszki się otwierają, gdy są na przemian wysuszane i nawilżane. Kolejne etapy to: oczyszczanie szyszek na ruchomych sitach, podsuszanie zimnym i gorącym powietrzem (uzyskuje się je, spalając wyłuskane szyszki), łuskanie w wolno obracających się bębnach, łamanie i oddzielanie skrzydełek w bębnie z wałem nabijanym drewnianymi kołkami, pakowanie suchych nasion do szklanych słoików. Wydajność dobową: 2,5 tony szyszek, to jest 35 kilogramów nasion.

Być może tę technikę dałoby się zastosować do cedru. Muszę porozmawiać o tym z Jensem.

---

## ***Pisz (Johannisburg), 17 sierpnia, wtorek***

Wyłuszcarnia jest położona w lesie, czyli bardzo odpowiednio. Pachnie żywicą i palonym drewnem. Szyszki przyjeżdżają tu pociągami z całych Prus. Oczyszcza się je z gałązek i mchu, a potem suszy na przemian zimnym i gorącym powietrzem, sprytnie uzyskiwanym ze spalania pustych szyszek, i w końcu wrzuca do specjalnych bębnowy wyłuszczających. Suche nasiona pakuje się do słoików. Pięknie w nich wyglądają.

Z wyłuszcarni Joachim zabrał nas na obiad. Emili chyba miała ochotę jeszcze zostać w Rudczanach, ale Renate i mnie ciągnęło na jezioro. Wypłynęliśmy koło trzeciej po południu. Z Rudczan do Wiartla jest dwadzieścia parę kilometrów, więc gdybyśmy wyruszyli rano, moglibyśmy przebyć tę drogę w jeden dzień. Joachim jednak podzielił trasę na dwa dni. Gdy tylko wypłynęliśmy, od razu wiedziałam czemu. Jest tu dziko i bezludnie, pięknie jak w raj. Nawet kaczki przed nami nie uciekały. Choć jezioro jest takie duże, co rusz wyspa, przewężenie, zakręt albo cypel zasłaniają widok i za nimi nagle otwiera się nowy, jakby stworzony tylko dla nas.

Płynęliśmy jakąś godzinę, gdy nagle pogoda zaczęła się zmieniać. Chmury przysłoniły słońce i na jeziorze pojawiła się drobna fala. Wkrótce nie mieliśmy wątpliwości – szła burza. Brzeg był stromy i na próżno wypatrywaliśmy jakiejś zatoczki. Naraz w trzcinach ukazał się pomost – przybiliśmy do niego. Z jednej strony trzcin były wykoszone i mogliśmy wyciągnąć kajaki na piaszczysty brzeg. Robiło się coraz ciemniej, gdy wyjmowaliśmy worki z rzeczami i odwracaliśmy kajaki do góry dnem. Wąska ścieżka wśród borowin doprowadziła nas do drewnianego domu z gankiem.



Zapukaliśmy, nikt nie otwierał. W obejściu szczekał pies, więc wiedzieliśmy, że wcześniej czy później zjawi się gospodarz. Ścisnęliśmy się na ławeczce na ganku jak kury na grzędzie. Grzmoty były coraz bliższe, drzewa szumiały, ale nie padało. Renate wyjęła czekoladę. Błysnęło się. Przypomniała mi się opowieść Wańkowicza o kłobuku – domowym bożku Mazurów, który znosi gospodarzom dobra ukradzione innym ludziom. Gdy leci, wygląda na niebie jak ognista miotła, i jeśli sypie iskrami, to

znaczy, że jest bardzo obciążony. W dzień śpi na strychu w beczce z pierzem, którą stawiają mu tam gospodarze. Obok beczki kładą miseczkę z jajecznicą, bo bardzo ją lubi.

Joachim opowiedział o Perkunie, bogu piorunów, burzy, urodzaju i wojny. Perkun jest niebiańskim kowalem – wykuwa dla bogów oręż i ozdoby. Kiedy swoim turkoczącym wozem jedzie ponad chmurami, to rzuca siekierką, która zawsze wraca do jego dłoni, i podpala domy złych ludzi.

Na to Renate opowiedziała o mieszkających w mazurskich lasach czarownicach, które podkradają się do śpiących, uderzają ich w pierś gałązką ruty, wtedy pierś się otwiera, a one wyjmują serce i zjadają je. Aż podskoczyliśmy, gdy usłyszeliśmy skrzypnięcie furtki.

Gospodarz, siwy i pomarszczony, przyniósł kosz świeżo złowionych ryb ułożonych na pokrzywach. Zaprosił nas do domu. W izbie panował idealny porządek, choć jak opowiadał, żona umarła mu kilka lat temu, a córka mieszka w innej wsi i odwiedza go raz na tydzień. Zaproponował nam chleb, ziemniaki i ryby. Renate i Emily spojrzały na mnie. „Byłaś najlepsza z gotowania i siostra Madeleine zawsze dawała cię za przykład. Chyba wszystkiego nie zapomniałaś?” Niczego nie zapomniałam. Spytałam, czy są jakieś jarzyny. Gospodarz zaprowadził mnie do zadbanego warzywnika. Na niebie wisiały ołowiane chmury i zrobiło się ciemno jak w nocy. Pospiesznie wrywałam marchew, pietruszkę, seler, cebulę, czosnek, zrywałam fasolę. Wbiegłam do domu, gdy na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. W izbie świeciła się lampa naftowa i ogień buzował w piecu. Wciągnęłam zapach palonych sosnowych gałązek.

Na mój widok Joachim teatralnym gestem przyłożył dłoń do serca i zaśpiewał: „*Pamina mein! O welch ein Glück!*”. Ma naprawdę ładny głos.

„*Tamino mein! O welch ein Glück!*”, odpowiedziałam niemal odruchowo. *Czarodziejski flet* to była ulubiona opera Mamy. Znam ją na pamięć.

Renate, Emily i nasz gospodarz spojrzeli zdumieni, za to Joachim uśmiechnął się od ucha do ucha i śpiewał dalej, dość swobodnie sobie poczynając z librettem: „Co za radość móc cię zobaczyć, kobieto, która nie boisz się nocy. Los nas już nie rozdzieli, nawet jeśli śmierć nam pisana. Przed nami wrota grozy, za nimi strach i śmierć”.

Nie chciałam mu psuć zabawy. „Zawsze będę przy tobie trwać i będę cię prowadzić...” Urwałam, gdyż dalej było: „bo miłość wskazuje mi drogę. Wyścieli naszą drogę różami, a róże wzniosą się nad cierniami”. Rozejrzałam się po izbie. Co ja tu właściwie robię, tak daleko od Różan?

„Czemu nie śpiewasz dalej? – spytała Renate. – Świetnie ci szło!”

„Co za dużo, to niezdrowo – zaśmiałam się trochę sztucznie. – Wiesz, kiedyś podczas adoracji po mszy w naszym kościele, gdy śpiewaliśmy litanię, mała dziewczynka głośno się poskarżyła: »Mamo, kolana mnie już bolą. Okropnie długa ta piosenka«”.

Wzięłam się do skrobania i patroszenia ryb. Jak spod ziemi wyrósł koło mnie bury kot, łąsił mi się do nóg i miauczał. Wyjęłam rybnie wątróbki i położyłam je na miseczce pod piecem – kot znalazł się



przy nich w dwóch susach. Słuchałam, jak Renate rozmawia z gospodarzem. Joachim wyjął ze swego worka butelkę Goldwasser, gospodarz wstał po kieliszki. Ja odmownie pokręciłam głową.

Przypiekłam na blasze cebulę i dorzuciłam do garnka z rybimi łbami i ośmi. Nie miałam wina, więc dodałam do wywaru trochę domowego octu jabłkowego, który stał w kredensie. Kot znowu był przy moich nogach. Pogłaskałam go. „Poczekaj, też dostaniesz coś pysznego”. Zupa perkotała w garnku, a ja ukroiłam kilka cienkich kromek chleba, natarłam je czosnkiem, skropiłam olejem i przypiekłam na patelni. Talerz z improwizowanymi grzankami po minucie był pusty i wszyscy wołali: „Jeszcze!”. Roześmiałam się. Przyjemnie się gotuje dla głodnych.

Wzięłam drugi garnek, zeszkliłam cebulę, dodałam resztę jarzyn, a gdy się udusiły, zalałam wywarem z łbów. Dodałam filety i ikrę i poprosiłam o jeszcze pół godziny cierpliwości. Odpowiedział mi głośny jęk. Pilnowałam zupy, obierając rybie głowy dla psa. Kot, mruczając, jadł resztki pod piecem. Zdążyłam posprzątać i nastawić garnek wody do mycia naczyń, gdy zupa dochodziła. Spróbowałam. Brakowało mi pomidorów, ale i tak była niezła. Posiekałam na desce zieloną pietruszkę i nalałam zupę na talerze. Zapadła cisza. Słyszeć było tylko mruczenie kota i westchnienia biesiadników.

„Renate nie przesadzała – powiedział w końcu Joachim. – Jest pani mistrzynią. W życiu nie jadłem takiej dobrej zupy”.

„Głód najlepszy kucharz”.

Siedzieliśmy potem przy piecu i gospodarz opowiadał nam, że w wieczór sylwestrowy posypuje się popiołem zydel i stawia go przy nagrzanym kominie, zapraszając rodzinne duchy. Rano w popiele zostaje odcisk siedzącego ducha. Emily mówiła o tym, co kryje zapadlisko Glen More, w którym znajduje się Loch Ness, a potem zaśpiewała *Annie Laurie*. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Kiedyś chuda i kanciasta, wyrosła na prawdziwą piękność.

---

## 17.08

Z. szkicująca chatę. Jej oczy, gdy Renate opowiadała o czarownicach. Z. gotująca zupę, karmiąca kota, szykująca resztki dla psa – jak dobra sierotka z bajek, ta, która na końcu dostaje skrzynkę pełną skarbów. Jej profil oświetlony płomieniem, gdy dokładała do pieca.

I ten moment, gdy przestała śpiewać. Wyraz jej oczu. Tęsknota. O czym wtedy pomyślała? Wiele bym dał, żeby się tego dowiedzieć.

## 18.08

Gdy w kajaku widziałem przed sobą jej szczupłe plecy i rytmicznie poruszające się ramiona, gdy spod jej kapelusza wysunęło się kilka niesfornych loków, które niecierpliwie starała się wepchnąć

z powrotem, całą siłą woli musiałem się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć ani nie powiedzieć czegoś, co zawiodłoby jej zaufanie, zaufanie jej babci i mojej mamy, które ją powierzyły mojej opiece. Patrząc na nią, czując jej ciepło, jej zapach, słuchając jej przyspieszonego oddechu, myślałem tylko o jednym: „Kocham cię i tak bardzo cię pragnę”.

---

### **Schönwalde, 20 sierpnia, piątek**

Urwałam historię w połowie, bo rozpisałam się o gotowaniu, no i zmorzył mnie sen. A więc w skrócie: Joachim opowiadał o Afryce, a potem, nie bacząc na nasze protesty, kazał nam iść spać. Zabrałyśmy swetry i koce, gospodarz wziął do jednej ręki lampę, do drugiej miskę z kolacją dla psa i pokazał nam drogę do stodoły. Uwielbiam zapach świeżej słomy, siana, ziarna, nie wiem czego jeszcze – po prostu stodoły. Burza się skończyła i niebo było pełne gwiazd. Widziałam je przez szpary w ścianach.

Rano wykąпалиśmy się w jeziorze i po śniadaniu pożegnaliśmy gospodarza. Nie chciał przyjąć zapłaty za nocleg. „Takie jest prawo puszczańskie gościnności”.

Dzień na gładkim jak stół Jeziorze Nidzkim był bajeczny, rajski, cudowny. Po raz pierwszy płynęłam z Joachimem. Wypytywałam go o Afrykę, potem on poprosił, bym coś zaśpiewała, więc zanuciłam *Złotą rybkę* Moniuszki:

Dołem sinej wody  
złota rybka mknie,  
z brzegu chłopiec młody  
polne kwiatki rwie.

Często śpiewałam to z mamą. Przy słowach: „Próżna twa tęsknota! Przestań o mnie śnić” ogarnęła mnie taka żalność, tęsknota za Mamą, babcią, za Piotrem, że potem milczałam do końca drogi. Tylko od czasu do czasu pokazywaliśmy sobie perkoza, bociana, żeremie bobrowe czy nie wiadomo dokąd prowadzącą leśną przesiekę.

W małej wsi Wiartel czekała na nas bryczka i wóz na kajaki. Leśną drogą przez Puszcze Jańsborską jechaliśmy do Pizzu. Uwielbiam stukot końskich kopyt i skrzypienie osi. Piasek miękko osypywał się z kół. Pachniały nagrzane słońcem sosny, gdzieś daleko kukała kukułka.

W Pizzu-Johannisburgu Joachim zaprosił nas na lody i Emily, gdy zjadła drugą porcję, uroczyście przechrzciała to miasto na Joachimsburg.

W czwartek wsiedliśmy na statek i przez Kanał Jegliński i Śniardwy, koło Czarciego Ostrowu, na którym straszy, dopłynęliśmy do Mikołajek. Tam czekał na nas szofer. Droga do Sensburga jest wysadzana drzewami i jechaliśmy jak pod sklepieniem zielonym dachem. Gdy na wodach leśnych

jeziorek kładły się pierwsze cienie wieczoru, stanęliśmy przed domem w Schönwalde.

Gimpel ucieszył się na mój widok. Dziś całe przedpołudnie spędziliśmy razem, włócząc się po lesie i mocząc w jeziorze.

### **23 sierpnia, poniedziałek**

Państwo von Ebert obmyślili dla nas jeszcze jedną atrakcję: pojechaliśmy do Olsztyna na operę. Olsztyn odrobinę przypomina Berlin: ma trzy rzeki, jeziora, parki i lasy oraz tramwaje. Ma także teatr, wybudowany przed kilkunastu laty jako wyraz wdzięczności za opowiedzenie się mieszkańców w plebiscycie po stronie Niemiec. Do Olsztyna przyjechali śpiewacy z Wrocławia z *Czarodziejskim fletem*. Królowej Nocy daleko było do Adeliny Patti, natomiast partię Pamilyny bardzo dobrze śpiewała Lotte Holzer. Zawsze ściska mi się serce, gdy słyszę arię Tamina: „Czuję, że ta boska twarz napełnia me serce nieznanym uczuciem. Nie umiem go nazwać, lecz czuję, że płonie we mnie jak ogień. Czy to jest miłość? Tak! To właśnie miłość”, i potem, gdy Pamina śpiewa do Tamina: „Gdybyś kochał tak mocno jak ja, nie byłbyś taki spokojny”.

---

23.08

W teatrze usiadłem tak, by widzieć twarz Z. Zna przecież tę operę, udowodniła to, śpiewając w chacie nad Jeziorem Nidzkim, i nie wszyscy wykonawcy stanęli na wysokości zadania, a jednak słuchała tak, jakby to był jej pierwszy raz. Ona ma dar czerpania przyjemności z każdej chwili. Wiele bym dał, żeby mi pozwoliła umilać sobie życie.

---

### **25 sierpnia, środa**

Do Olsztyna jest prawie osiemdziesiąt kilometrów. Mimo to Joachim wziął mnie do kina. Mówi, że widział, jak mi się oczy zaświeciły, gdy jechaliśmy na operę i zobaczyłam kino Capitol. Byliśmy na *Camille* z Gretą Garbo. Nie widziałam jeszcze tego filmu. Boska Garbo! Jej rzęsy rzucające cień na policzki, jej niski głos, jej smutek... Gdy Marguerite Gautier umierała, nie mogłam powstrzymać łez. Na szczęście Joachim patrzył na ekran.

Kiedy wracaliśmy, zapytał, czy może mi zadać osobiste pytanie. Zdziwiona kiwnęłam głową.

„Dlaczego pani matka zrezygnowała z kariery śpiewaczki?”

Zaskoczył mnie. Nie miałam pojęcia, że cokolwiek wie o mojej rodzinie. W pierwszej chwili chciałam go zbyć zdaniem w rodzaju: „Trudno jej było pogodzić śpiew z obowiązkami żony i matki”.

Joachim jednak zasługiwał na więcej. Tak szczerze opowiadał o swoim życiu w Niemieckiej Afryce Wschodniej, to znaczy w Tanganice.

„Mama miała piękny, krystaliczny głos i od dziecka uczyła się śpiewu. Mawiała, że o wielkości śpiewaka przesądza jego dusza. Gdyby to wystarczyło, śpiewałaby w La Scali albo w Metropolitan Opera i być może nie byłoby mnie na świecie. Scena jednak wymaga otwarcia się przed widzami, a to było ponad jej siły. Lubiła śpiewać w domu lub przed niewielką publicznością. Tak się bała dużej sceny, że nie potrafiła zapanować nad drżeniem głosu”.

„Podobno Adelinie Patti też głos drżał w niektórych ariach”.

„Może kiedy śpiewała na pogrzebie Rossiniego”, zażartowałam.

„I pani mama nigdy nie żałowała?”

Zastanowiłam się. „Nie wiem. W każdym razie często żartowała, że każda mezzosopranistka chce śpiewać sopranem, bo arie sopranowe są ładniejsze, a każda sopranistka chce wykonywać partię Królowej Nocy. Tymczasem najważniejsze to znać granice swoich możliwości”.

Długo milczeliśmy. Milczenie w towarzystwie Joachima wcale mi nie ciąży. Nagle spytał: „A pani? Czy nie myślała pani o kształceniu głosu?”.

Roześmiałam się. „Przy głosie mamy mój jest jak pisk myszy. Zresztą ostatnio rzadko śpiewałam”.

„Dlaczego?”

„Nieszczęśliwy ptak nie śpiewa”.

Nie wiem, czemu tak powiedziałam.

---

25.08

„Nieszczęśliwy ptak nie śpiewa”. Zrobiłbym wszystko, żeby uszczęśliwić mojego słowiczka.

26.08

Mama wszystko widzi i wszystko wie. „Ona jest jeszcze taka młodziutka”, powiedziała dziś do mnie.

„Jest w wieku Renate, której małżeństwo z Franzem już zaczynasz planować”.

„To co innego. One są z całkiem innej gliny”.

„Wiesz, że w Dar es Salaam oglądałem pierścionki zaręczynowe?”

Mama poklepała mnie po ręce. „Cierpliwości, mój drogi. Napiszę do Hedwig. Zobaczymy, co ona o tym myśli”.

Gdy wieczorem szykowałam się do snu, z portfela wypadła hebanowa figurka. Almaz. Kobieta

o miękkim, uległym ciele, dającym mi tyle rozkoszy. I Z., której nie ośmieliłbym się pocałować, ba, wziąć za rękę. Jak to kiedyś powiedział Jens? Poligamia to świetny wynalazek.

---

***W pociągu, między Prostkami a Białymstokiem, 30 sierpnia, poniedziałek***

Nigdy nie zapomnę Schönwalde i Krutyni, ale cieszę się, że wracam do domu. Rano wymknęłam się do stajni. Gimpel na mnie czekał. Wytłumaczyłam mu, że wyjeżdżam, i dodałam, że może kiedyś jeszcze się zobaczymy. Patrzył na mnie smutno i wszystko rozumiał. Chwilę stałam na tarasie. Z porannej mgły wyłaniało się jezioro, pruskie sosny i dalekie brzeziny.

Renate, Emily i Joachim odwieźli mnie do Sensburga. Wszystkie trzy płakałyśmy przy rozstaniu. Nawet Joachim był wzruszony. Długo im machałam, choć już nie było ich widać. Potem wyjęłam z torebki listy od babci, od Hanki, od Wiery i od Irki. Przede mną Kraków, a za parę dni Różany. Ganges. Piotr.

---

**1.09**

Schönwalde jest takie puste bez Z.

Wziąłem Gimpela i pojechałem nad jezioro, drogą, którą ona jeździła. Przypomniałem sobie jej śmiech, jej ciało, gdy przebierała się po kąpieli. Jej płacz w kinie. Rozmowę w aucie. „Nieszczęśliwy ptak nie śpiewa”. Co mogę zrobić, by znów zaczął śpiewać?

---

***Kraków, 2 września, czwartek***

A więc jestem w klasie maturalnej. Wszystkie siostry na wszystkich lekcjach mówią tylko o tym.

***3 września, piątek***

Byłam z babcią w pracowni pana Kapery – wyrosłam z wszystkich butów. Pan Kapera osobiście zdjął miarę.

Patrzyłam, jak jeden z szewców pracuje. Przymocował sobie but do uda skórzanym paskiem, posmarował woskiem długi kawałek dratwy i wprawnymi ruchami przyszywał cholewkę do podeszwy.

---

## 5.09

Ostatni wieczór w Schönwalde. Kolacja, tańce w salonie, rozmowa z ojcem w bibliotece. Radzi mi, bym za trzy lata podpisał następny kontrakt, a on postara się o zwolnienie mnie ze służby wojskowej, w najgorszym zaś razie – o dalsze jej odroczenie. Obecna sytuacja mocno go niepokoi. Chodzi mu nie tyle o wojnę w Hiszpanii i napaść Japonii na Chiny, ile o nastawienie wielu polityków, którzy jak Clausewitz uważają, że „pokój to tylko krótki czas między wojnami”.

„Ten wrzaskliwy kapral wcześniej czy później zostanie odsunięty, bo przestanie być potrzebny. Spójrz jednak na niemieckich generałów. Ludendorff na przykład otwarcie twierdzi, że społeczeństwo trzeba podporządkować armii i że naszym najważniejszym celem jest zniszczenie przeciwników wszystkimi dostępnymi metodami, a najlepiej uderzeniem na ludność cywilną. Będę spokojny, gdy Anton od jesieni całkowicie przejmie gospodarstwo, Renate osiadzie z Franzem w Einhöfen, a ty będziesz dbał o dobre imię Niemców w Tanganice”.

---

## **6 września, poniedziałek**

Ze Stasia zrobił się ranny ptaszek. Było szaro, gdy wczoraj w Rózanach wlaźł do mojego łóżka i palcem podniósł mi powiekę. Nie wiem, jak ten spryciarz wymknął się z dziecięcego pokoju, w dodatku ze stołeczkiem w rękach. Wiedział, że nie dosięgnie do klamki, i był przygotowany. Jest taki słodki, że nie sposób się na niego gniewać. Opowiedziałam mu o mazurskich kłobukach i słuchał z szeroko otwartymi oczkami. Gdy tylko skończyłam, od razu zawołał: „Zuzia, wstawaj!”. Co było robić.

Julka zerwała się przerażona, gdy ze Stasiem na rękach weszłam do dziecięcego pokoju. Pilnowanie takiego łobuziaka to wyczerpujące zajęcie. Wzięłam go do stajni. Jeszcze nigdy nie szłam tam tak długo. Nie miałam pojęcia, że po drodze jest tyle ciekawych rzeczy: zegar w sieni, bukiet mieczyków na okrągłym stoliku, posłanie Troja, wysoki próg, na którym trzeba przysiąść i odpocząć, pajęczyna z kroplami rosy na suchym badyłu, jarzębina cała w czerwonych koralach, liście lipy, każdy w innym odcieniu żółci, kamyki, piórko kraski, biedronka. Zanim doszliśmy do stajni, miałam rękę i kieszenie pełne skarbów.

---

Popołudnie i wieczór z Paulem i Michaelem. Wspominanie studenckiego życia. Paul, w mundurze, przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet. Michael ma przydział do saperów, od października. Myślał o Luftwaffe. Paul: „Gdybyś tak jak ja zgłosił się na ochotnika, byłbyś lotnikiem. A tak, musisz iść tam, gdzie ci każą”. Moje opowieści o polowaniach na lwy i bawoły. Lekko podkoloryzowane. Gdy pytali o Murzynki, puściłem wodze fantazji. Almaz nie zasłużyła na to, żeby o niej mówić w knajpie przy piwie. Kiedyś na pewno im opowiem. Może podczas następnej wólczy brzegiem Bałtyku, którą planujemy za trzy lata.

---

### ***7 września, wtorek***

Jestem stworzona do życia na wsi. Brzozy oświetlone ukośnymi promieniami słońca i powoli się wyłaniające z popielatej mgły, fioletowe wrzosi, sitowie i pałki, zapach wody, wikliny, łopianów – to wszystko jest piękniejsze niż Wawel i symfonie Beethovena razem wzięte. W sobotę, gdy całą gromadą szliśmy przez łąkę, Piotr zerwał kwiat podróżnika, dotknął nim mego policzka, a potem dał mi go, mówiąc: „Masz, powsinogo. Pusto tu było bez ciebie”. Czy on wie, że ten kwiat wyrósł z łez dziewczyny, która wypłakała niebieskie oczy za ukochanym?

---

### **8.09, RZYM**

Źle zaplanowałem tę podróż, bo nie mam ani jednego dnia na zwiedzanie Rzymu. Następnym razem nie zrobię tego błędu.

---

### ***8 września, środa***

Marcysia przyniosła z miasta wiadomość, że państwo Bachowie jednak nie wyjeżdżają. Natychmiast pobiegłam do Wiery. Niestety, to tylko plotka. Rozpuścił ją pan Bach, żeby lepiej sprzedać swoje sklepy. Gdy rozeszła się wieść o ich wyjeździe, cena natychmiast spadła. Wszyscy wiedzą, że muszą je sprzedać. Przecież ich z sobą nie wezmą.

### ***9 września, czwartek***

Po południu byłam w moim szpitalu. Za całe zarobione pieniądze kupiłam pluszowe misie i zniosłam dzieciom. Wiem, jakie są samotne w tych żelaznych łóżeczkach. Leżą cichutko i na pozór

nic im się nie dzieje. Płaczą tylko nowe, które jeszcze mają nadzieję, że przyjdzie mama i je utuli.

---

**10.09**

Dzięki samolotom skróciłem podróż z 17 dni do 11. Gdybym poleciał do Addis Abeby, byłoby jeszcze szybciej. Następnym razem tak zrobię. Kiedy powiedziałem ojcu, że wracam samolotem z Berlina przez Rzym do Trypolisu, uśmiechnął się. „Choć taka korzyść z tej Osi”.

---

***10 września, piątek***

Długi list od Renate i Emily. Piszą, że beze mnie nie bawią się tak dobrze. Są kochane. Joachim już pojechał z powrotem do Afryki.

***Różany, 11 września, sobota***

Powinam kuć łacinę, a tymczasem galopuję po polach na Gangesie. Mój kochany konik nie może chodzić na padoku i świata nie widzieć.

~~Po kolacji weszłam do biblioteki. Sięgnęłam do kontaktu, żeby zapalić światło, i nagle wydało mi się, że widzę tę widmową~~

---

**12.09**

Ostatnie dni wakacji. Czytam, spaceruję po pokładzie, jem, tańczę, piję. Myślę o Z., myślę o Almaz.

---

***14 września, wtorek***

Po kryjomu haftuję dla babci na imieniny sześć zakładek, każdą w innym stylu.

***15 września, środa***

Pani Bach przyniosła babci dwa pudła książek w prezencie. Babcia od razu powiedziała, że jedną książkę przyjmie jako prezent, a pozostałe dla nich przechowa.



16.09

Na niebie błyszczący Krzyż Południa. Wydaje mi się, że czuję zapach Afryki.

17.09, DAR ES SALAAM

Prosto ze statku na stację kolejową. Cieszę się, że jadąc do Europy, kupiłem kolczyki dla Almaz. Teraz nie miałbym na to czasu. Mam też dla niej bursztyny z Gdańska.

20.09

Cała faktoria wyległa na moje powitanie. Wzruszyłem się.

Almaz dopilnowała podania kolacji i znikła. Przegadałem z Jensem prawie całą noc. Okazuje się, że nie zapomniał o dziewczynie ze zdjęcia, i zapytał o Z. Opowiedziałem w skrócie. „I co teraz? Europejczycy nie praktykują poligamii”, próbowałem zażartować, choć wcale nie było mi do śmiechu.

„Oczywiście, że praktykują. Tylko że nieoficjalnie. Żona, kochanka albo dwie. Czysta poligamia”.

„To nie dla mnie”.

Jens się zamyślił. „Masz rok na zastanowienie się. Prawdziwy luksus”.

---

## 21 września, wtorek

Nic, tylko nauka. Irka też mówi, że już ma tego dość. Babcia mnie rozśmiesza, czytając ciekawostki z gazety.

### Rozszalała maciora rzuciła się na żonę grabarza.

Nasz korespondent białostocki (So) donosi: Niezwykły wypadek zdarzył się w Suwałkach. Żona grabarza cmentarza katolickiego Wójcikowa, udała się do chlewa, w którym hodowała świnie. W chlewie Wójcikowa przekonała się ze zgrozą, że maciora pożarła kilka wydanych przed chwilą na świat własnych prosiąt i że zdradza niedwuznaczne zamiary pożarcia również pozostałych dwóch potomków. Wójcikowa porwała prosięta i wybiegła z nimi z chlewa. Wówczas maciora owdładnął atak furji. Rzuciła się w pogoń za Wójcikową, która przewróciła i pokąsała boleśnie. Na krzyki nieszczęśliwej kobiety zbiegli się domownicy, którzy zdołali odpedzić maciorę i uchronili w ten sposób Wójcikową od niechybnej śmierci.

### Zaprzaglił kobletę do wozu – za karę.

Nasz korespondent stanisławowski (Z.J.) donosi: Przed sądem okręgowym stanął Dymitr Jurmanowicz, polejant gminny z Pasicznej, pow. nadwórniańskiego, oskarżony o nadużycie władzy urzędowej, popełnione w osobliwych okolicznościach.

Mieszkanca tej gromady Władysława Maszko, mając pretensje do majątku rodziców, wprowadziła pewnego razu krowę ze stajni ojcowskiej. Stary Maszko udał się wówczas do policjanta gminnego Jurmanowicza, prosząc go o ukaranie córki. Jurmanowicz, nie namyślając się wiele, udał się do mieszkania Maszkowej i polecił jej wyjść z nim na podwórze. Tam – chcąc ją ukarać za samowolne zabranie krowy – przywiązał ją do wozu i kazał go ciągnąć na pastwisko.

Za ten samowolny wymiar sprawiedliwości odpowiadał obecnie Jurmanowicz przed sądem, który skazał go na 6 miesięcy więzienia.

21.09

Wszedłem w koleiny życia w Biharangwe, tak jakbym wcale nie wyjeżdżał. Praca od siódmej do południa, obiad, praca od trzeciej do piątej, kolacja, noc od szóstej, Almaz stojąca w ciemnym kącie salonu i opowiadająca, co się działo pod moją nieobecność, a potem miękko wślizgująca się do mojego łóżka.

**15.10**

Sprawdziłem bilans sklepu w Gisansere i zdecydowałem, że przyślę tu Almaz, by go zrewolucjonizowała tak jak ten w Biharangwe. Zbliża się mała pora deszczowa i trzeba zrobić jak najwięcej, zanim zaczną padać. Nakazałem kierownikowi, by słuchał jej we wszystkim tak jak mnie.

**23.10**

Wyprawiłem Almaz do Gisansere moją lektyką. Niech wiedzą, że przybyła władza.

**2.11**

Wróciła Almaz. Sklep w Gisansere zmieniony. Teraz czeka mnie rozmowa o jej warunkach. Na szczęście nie postawiła ich przed wyjazdem. Jej błąd.

---

***7 listopada, niedziela***

Ponuro, ciemno, pada deszcz. Państwo Bachowie wyjechali wczoraj. Z moją Wierą.

---

**9.11**

Nie mogę sobie darować, że nie zapytałem Z., czy mogę do niej pisać. Jestem głupcem.

---

***10 listopada, środa***

Dziś nie było lekcji. Siostra Klara wygłosiła pogadankę o nowym święcie 11 Listopada, a potem całą szkołą parami poszliśmy na Wawel do krypty Marszałka. Na szczęście nie ma już szklanej trumny.

Irka zauważyła, że coraz więcej aut ma nowe tablice rejestracyjne. Wolę te stare: białe z czerwonymi literami i czarnymi cyframi.

Zbyt wcześnie się ucieszyłem z przewagi w negocjacjach. Almaz chce trzech procent z Gisansere – ze względu na odległość, i trzech z Biharangwe – ze względu na konieczny wkład pracy. Policzyłem to już wcześniej, gdy dostałem premię za wyniki sklepu. Z tej premii będę jej wypłacał dodatkowe pieniądze. Kompania jest hojna i zgodziła się na zatrudnienie kierownika sklepu. Gdyby jednak się dowiedziano, że ten kierownik jest kobietą i w dodatku żąda udziału w zyskach, cała dyrekcja zostałaby rażona apopleksją.

## 12 listopada, piątek

Wczoraj w Warszawie podczas lądowania rozbił się samolot z Krakowa. Zginęły cztery osoby, kilkanaście jest rannych.

## 13 listopada, sobota

Rozbił się niemiecki samolot w Mannheim. Zginęło osiem osób, dwie są ranne. W Paryżu zginęło dwóch pilotów, w Rzymie – dwóch pilotów wojskowych.

# Cała rodzina w. książąt heskich zginęła w katastrofie samolotu pasażerskiego pod Ostendą. 11 śmiertelnych ofiar. – Samolot zawadził we mgłę o komin cegielni.

Ostenda, 16 listopada. (PAT) W pobliżu Ostendy rozbił się samolot pasażerski, kursujący na linii Monachjum—Bruksela—Londyn. 11 osób poniosło śmierć na miejscu.

\*\*\*  
Bruksela, 16 listopada. (PAT) Samolot, był trzymotowcem belgijskim typu Junkers.

Wystartował on o godz. 12.56 z Frankfurtu, udając się przez Brukselę do Londynu. Z powodu złych warunków atmosferycznych samolot nie lądował w Brukseli, lecz postanowiono, iż wyląduje on w mie-

scowości Steena, gdzie miał jeszcze zabraknąć dwóch pasażerów.

Pilot otrzymał polecenie lądowania, zawałił się chwilę z powodu gęstej mgły, sprawdzającej widzialność prawie do zera, poczem obłączył lot aparatu.

W tej chwili spostrzegł on komin cegielni, który w ostatniej chwili usiłował wyminąć, wykonując nagły wir.

Było już zapóźno.

Samolot zawadził skrzydłem o komin mniej więcej na wysokości 30 metrów.

Lewe skrzydło oraz jeden z motorów zostały wyrwane i spadły na ziemię w pobli-

żu cegielni, pozostała zaś część samolotu wykonała półobrotu i rostrzała się o 60 metrów dalej o ziemię.

W chwili upadku nastąpiła eksplozja i samolot

stanął w płomieniach.

Z pomocą pośpieszyli pracujący w pobliżu robotnicy, usiłując wydobyć z samolotu pasażerów, gwałtowny jednak ogień nie pozwalał na zbliżenia się do miejsca katastrofy. Z chwili, gdy przybył strażakom udało się ugasić płomienie, z samolotu pozostały jedynie części żelazne oraz swęcone zwłoki 11-tu ofiar katastrofy.

# W drodze na ślub syna ks. Ludwika zginęła matka, oraz czterej najbliżsi krewni.

Bruksela, 16 listopada (PAT). Belgijski samolot komunikacyjny, który rozbił się w okolicy Ostendy, utrzymywał do ostatniej chwili radiowe połączenie z lotniskiem.

Samolot zawadził skrzydłem o jeden z kominów, znajdujący się tam cegielni i runął na ziemię. Mimo wyłączenia motoru aparat stanął w płomieniach.

Z 11 ofiar katastrofy 3 były członkami załogi. Wśród zabitych pasażerów znajdują się nie wdowa po niedawno zmarłym W. Kalselu Ernście Ludwiku Heeskim, Eleonora, jej syn W. Książę Jerzy Donat Heeski jego żona Cecylja, urodzona księżniczka grecka oraz dwaj jego synowie książęta Ludwik Ernest i książę Aleksander Jerzy.

Rodzina książąt heskich była w drodze do Londynu, gdzie w tych dniach miał się odbyć ślub brata w. księcia Jerzego Donata — Ludwika Hermanna.

Posostałymi zabitymi pasażerami są:

Baron Riedesel von Eisenbach, int. Mar- tona, oraz pokojówka księżnej Lina Hanna.

**Nowożeńiec oczekiwał rodziny na lotnisku w Croydon.**

Berlin, 16 listopada. (A). Naocni świadkowie katastrofy samolotu pasażerskiego pod Ostendą opowiadają, że samolot loczył w gęstej mgłę, szukał miejsca do lądowania.

Na skutek odczerwania

lewe skrzydło oderwało się

i samolot runął na ziemię, stając natychmiast w płomieniach.

Tymczasem na lotnisku w Croydon pod Londynem oczekiwał przybycia samolotu ks. Ludwik Hermann Heeski w gronie licznych przyjaciół, celem powitania matki, brata i bratowej oraz ich dwojga dzieci. Gdy ks. Ludwik otrzymał wstrząsającą wiadomość o katastrofie, uległ

silnemu wstrząsowi nerwowemu i musiał oddać się pod opiekę lekarza.

**Prawnik królowej Wiktorji.**

Londyn, 16 listopada (PAT). Ślub księcia Ludwika Heeskiego z Anną Geddes, córką zmarłego niedawno znakomitego przemysłowca brytyjskiego i prezosa brytyjskiej linii lotniczej air Erica Geddesa, odbył się miał we środę 17 bm.

Książę Ludwik Heeski jest prawnikiem królowej Wiktorji i wiele osób

z brytyjskiej rodziny królewskiej obecnych był miało na środkowej uroczystości.

Z wielkiej księżniczki rodziny Heeskiej oprócz oczekującego w Croydon księcia Ludwika, nikt przy tym nie pozostał.

# Nikt nie ocalał z katastrofy lotniczej w Bułgarii.

## Wstrząsający epilog długotrwałych poszukiwań.

Warszawa, 27 listopada.

(Mt). Ekspedycje ratownicze dotarły w sobotę wieczorem do miejsca katastrofy polskiego statku powietrznego. Samolot uległ rozbiciu. Pod jego szczątkami znaleźli śmierć wszyscy pasażerowie i wszyscy członkowie załogi.

Wiadomość o odkryciu miejsca katastrofy i znalezieniu jej ofiar nadeszła do Warszawy z Sofji około godziny 9 i pół wieczorem.

Podczas katastrofy musiał nastąpić wybuch benzyny, gdyż zwłoki lotników znaleziono w odległości ok. 200 m. od kadłuba aparatu w stanie zwęglonym.

Samolot „Douglas” został odnaleziony w górach Pirin w odległości kilku kilometrów od miejscowości Mozalowski Rit. Samolot jest doszczętnie zniszczony. Szczątki samolotu rozrzucone są w śniegu i częściowo spalone.

Sofia, 27 listopada.

(PAT) Szczątki samolotu znalazła o godz. 20-tej grupa kpt. Tinczewskiego i ppor. Totjewa, do której należał policjant Benjamin Minew. Samolot znaleziono na wysokości 2.600 m.

Samolot uderzył o skały i rozbił się. — Obok samolotu znaleziono teczkę z dokumentami i flagę. Samolot pokryty był śniegiem i widać było tylko część tylnego steru.

### 27 listopada, sobota

Burza śnieżna rozszalała się akurat wtedy, gdy wychodziłyśmy ze szkoły. Musiałyśmy wrócić do klasy. Odrobiłam część lekcji na poniedziałek.

Dostałam od Wiery pocztówkę z Lizbony. Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy?

---

30.11

Śniła mi się Z. Byliśmy na Krutyni i wpadła do wody. Widziałem, jak tonie, i nic nie mogłem zrobić. Obudziła mnie Almaz, bo jęczałem i krzyczałem przez sen.

Napisałem do mamy, prosząc o wiadomości o Z. Nie wierzę w sny, nigdy jednak żaden tak mnie nie przeraził.

---

### 1 grudnia, środa

~~Okropne dni. Nie lubię listopada, nie lubię grudnia. Nienawidzę szkoły.~~

Nie pojechałyśmy do Różan i w niedzielę babcia na pociechę wzięła mnie na *Znachora*. W holu kina zobaczyłam całą klasę. Była też Irka. Zmieszała się okropnie, podeszła do mnie i szepnęła: „Odeta ma urodziny i zaprosiła nas na film, a potem do swojej ciotki na podwieczorek. Nie chciałam ci mówić, bo wiedziałam, że ci będzie przykro”.

„Tak się o mnie troszczysz? Prawdziwa przyjaciółka z ciebie!”, syknęłam. Odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Widziałam triumfalny uśmiech Odety. Zaprosiła całą klasę. Z wyjątkiem mnie. Nie

zależy mi na tym.

### ***później***

Zależy mi. Czułam się zdradzona. W ciemnym kinie leciały mi łzy nie dlatego, że Junosza-Stępowski grał tak przejmująco.

W poniedziałek Irka nie przyszła do szkoły. Pozostałe dziewczęta zachowywały się jakby nigdy nic. Odeta uśmiechała się szyderczo. Jak zwykle.

Chciałam przeprosić Irkę. Naprawdę. Jednak to, że nie przyszła, było jak przyznanie się do winy. Właściwie to ona powinna mnie przeprosić.

Wracałam do domu sama i cały czas myślałam, czy iść do Irki.

W szkole każdy jest trochę samotny. Sam walczy o stopnie, sam odpowiada przy tablicy, sam pisze klasówki. Dobrze jednak mieć przyjaciółkę albo choć koleżankę, z którą się siedzi w ławce, wraca ze szkoły i gada na przerwach.

W końcu nie poszłam.

Wczoraj przed lekcjami wezwała mnie siostra Klara. Zapytała, co się stało. Czy pokłóciłam się z Irką. Nie upadłam tak nisko, by skarżyć, więc tylko niezdecydowanie pokręciłam głową.

„Dzwoniła do mnie jej mama. Prosiła, by was rozsadzić. Co ty na to?”

Zrobiło mi się niedobrze, ale tylko zacisnęłam zęby i kiwnęłam głową. „Mogę siedzieć sama”, powiedziałam nie swoim głosem.

Irka siedzi teraz z Władką. Ja mam całą ławkę dla siebie. Do końca roku jeszcze pięć miesięcy.

### ***7 grudnia, wtorek***

Pan Podoski zmarł. Słyszałam w nocy, jak babcia płacze.

---

15.12

Ciągły niepokój o Z. Jak ćmiący ból zęba, o którym czasem się zapomina, by nagle i boleśnie znów sobie przypomnieć. Wiadomości od mamy nie mogę się spodziewać wcześniej niż w święta.

18.12

Dyrektor Kompanii z prezentami i pocztą. Kontrola symboliczna.

Mama nic nie pisze o Z. Gdy wysyłała list, jeszcze nie dostała mojego. Ta powolna komunikacja! Nawet depesze mogą iść tydzień.

Czytam gazety z dwóch miesięcy. Armia japońska zdobyła Szanghaj i Nankin. Włochy opuściły Ligę Narodów.

22.12

Święta u Jensa. Almaz nie chce ze mną jechać.

25.12

Dziś Anton się ożenił. Życzę mu wszystkiego najlepszego. Czekał na Lotte prawie dziesięć lat. Poznał ją w Berlinie, gdy studiował rolnictwo. Miłość od pierwszego wejrzenia. To u nas chyba rodzinne. Renate i Franz też są parą od czasów, gdy się poznali. Ona miała wtedy cztery lata, a on osiem.

3.01.1938

Przecucie mnie nie myliło: mama pisze, że w Krakowie umarł bliski przyjaciel rodziny Z. Boże, czemu tak doświadczasz to dziecko! Najpierw rodzice i siostra, teraz opiekun. A ja nie mam prawa jej pocieszyć.

7.01

Napisałem do mamy i poprosiłem, by zdobyła dla mnie pozwolenie na pisanie do Z.

10.01

Robię listę rzeczy, które muszę kupić podczas następnej bytności w domu – przede wszystkim motocykl i nakręcany patefon. Mam nadzieję, że ciągle takie produkują. W końcu w Europie jest wiele miejsc, do których elektryczność jeszcze nie dotarła.

15.01

Pięciu Anglików z listem polecającym od Kampanii. Podczas kolacji opowiadali o słoniach i lwach, które upolowali na sawannie koło Ngorongoro. Ubite zebry i antylopy przestali liczyć już pierwszego dnia. Śmieją się, że musieli wynająć wagon towarowy, by przewieźć trofea do Dar es Salaam. Głośni, pewni siebie, niemal aroganccy. Przywieźli mi jednak pocztę.

16.01

Listy z domu. Anton jest szczęśliwy, Lotte chyba też. Bardzo miłe podziękowanie za życzenia, które im posłałem, i za perły.

18.01

Podczas polowania na antylopy (robotnicy potrzebują mięsa, faktoria – skór) zapuściłem się aż nad rzekę, w której upolowałem pierwszego hipopotama. Poczułem rzadki w Afryce smród rozkładającego się mięsa. Rzeka jest teraz węższa niż w porze deszczowej i pomyślałem, że to gnijące ryby, które zostały w jakimś bajorku, a ono wyschło.

Na brzegu na półkilometrowym odcinku leżało kilkanaście zabitych hipopotamów. Trudno było

dokładnie policzyć, bo rozwlokły je i częściowo pożarły większe i mniejsze drapieżniki. Mimo że był środek dnia, spłoszyliśmy stado hien i szakali.

Moi tropiciele nie mogli przeżalować, że zmarnowało się tyle mięsa i skór (bicz ze skóry hipopotama przecina przy uderzeniu nawet grubą skórę zwierząt). Ja byłem wstrząśnięty barbarzyńskim, bezmyślnym zabijaniem. To musieli być ci Anglicy, którzy trzy dni temu u mnie nocowali. Almaz, która potrafi powiedzieć słowo *mzungu* na sto sposobów, tak że wyraża gamę uczuć – od „człowiek o białej skórze” do „przekłety białas, który rości sobie prawa do naszej ziemi” – tylko na nich spojrzała i odwróciła się na pięcie. Nocowała u Pili. O tym, żeby zrobiła im kawę, nie było mowy.

---

**23 lutego 1938, środa**

Wreszcie trochę słońca i błękitnego nieba. Żeby już były wakacje.

Zima, mgły i ta okropna szkoła wysysają ze mnie całą energię. Nie mam siły na pisanie. Ani ochoty.

# Niezwykłe zjawisko zorzy polarnej nad Polską.

Promienna kolorowa zjaw nad Krakowem i Podhalem. - Zorza o niezwykłym natężeniu, niespotykanym w naszej szerokości geograficznej. - Trzy wspaniałe fazy zjawiska. - Kiedy obserwowano po raz ostatni w Polsce także zjawisko? Tajemnica zorzy polarnej.

Kraków, 25 stycznia.

We wtorek wieczorem, około godz. 20-tej, Kraków został poruszony wiadomością o niezwykłej świetlistej łunie migotliwej i zmieniającej swą barwę od czerwieni, aż po jasny seledyn, jaka się pojawiła w północnej części horyzontu i sięgała aż poza linie gwiazdy polarnej.

Początkowo sądzono, że wybuchł gdzieś olbrzymi pożar. Mówiono nawet w mieście, iż płoną Bronowice. Zaalarmowano straż pożarną, a wkrótce po pojawieniu się zjawiska redakcja nasza była dosłownie szturmowana telefonami z miasta, dopytującymi się, czym sobie należy zjawisko tłumaczyć.

Wkrótce potem poczęły nadchodzić telefony nie tylko z Krakowa, ale i z prowincji. W szczególności alarmowaną była krakowska telefoniczna centrala międzymiastowa do której

## zgłaszano się z różnych miast, zwłaszcza Podhala

i południowej części Ziemi Krakowskiej zapytaniem o osobliwe zjawisko.

Zjawisko przedstawiało się naprawdę wspaniale. W mieście samem wskutek jaskrawych świateł ulicznych nie można było dokładnie obserwować go. Na peryferjach miasta natomiast wystąpiło w całej swej wspaniałości.

W północnej części nieba zaznaczyły się jasne, świetliste draperje

zmieniające swój kształt, natężenie światła i barwę. Kolor tych draperji przebiegających niebem na kształt świetlistych wstęg zmieniał się od krwisto-czerwonego i bladofioletowego, poprzez seledyn, aż do białej poświaty.

Zjawisko to niezwykle ruchliwe i zmienne przetrwało z różnymi natężeniami do godziny 21.18. Nastąpiła potem dłuższa pauza, w której poza gwiazdami widniejącymi na pogodnym niebie, nie widać było żadnych innych blasków.

Ponownie świetlista fajerka wyłoniła się na północy i na północno-zachodzie o godz. 21.30. Tym razem miała charakter

## świetlistego łuku z wybiegającymi od niego promieniami

śbiegającymi aż po zenit, oraz świetlistymi ruchliwymi słupami i plamami. Mówiąc o „łuku świetlistym” popełniamy pewną nieścisłość albowiem łuk ten był poprzerywany i zmieniający szybko swoją rozpiętość, natężenie światła i barwę. Część horyzontu pod łukiem była intensywnie ciemna, część ponad łukiem rozświetlona promieniami i plamami świetlnymi. Zjawisko przeszło wkrótce w formę świetlistych przesuwających się na niebie migotliwych obłoków.

Tym razem w zjawisku przeważał kolor seledynowy, a nawet biały. Mówiąc o barwie tej świetlistej bajki, musimy zaznaczyć, że barwa ta jak kształt i wygląd całego zjawiska była ustawicznie zmienna i nie jednostajna jeżeli chodzi o całość zjawiska. I tak można było obserwować zwłaszcza w pierwszej fazie obok krwisto-czerwonego blasku, blask jasno biały, a obok niego blade liljowy. Wszystko to zmieniało się ustawicznie, zmieniało się, płynęło i drgało.

## Trzecia faza

zjawiska, która rozpoczęła się mniej więcej około godz. 22.45, trwała blisko do godziny 24-tej, powoli zanikając. — Była ona o wiele uboższa pod względem kształtów, intensywności światła i kolorów od faz poprzednich. Obserwowało się już tylko świetliste, przeważnie rdzawe plamy i słupy poruszające się od północy ku zachodowi.

Jak się okazało, byliśmy świadkami niezwykle rzadkiego w naszej szerokości geograficznej zjawiska, a zwłaszcza zjawiska o takim natężeniu, a mianowicie zorzy polarnej.

To niezwykle zjawisko, które od wieków ogląda ludność,

## nie zostało jeszcze do tej pory całkowicie wytłumaczone.

Zorza polarna powstaje bardzo wysoko, ponad ziemią. Notowano zjawiska sięgające swą podstawą do 1.000 km. ponad ziemią.

La Paz, 30 stycznia 1938 roku

Kochana Zuziu!

Bardzo Ci dziękuję za listy. Proszę, pisz jak najczęściej.

Jak się czujesz? Jak się ma Twoja Babcia? Czy w Krakowie nadal jest śnieg?

Bardzo się zmartwiłam, gdy przeczytałam, co się dzieje w Twojej klasie. Jeśli to Cię pocieszy, to ja w szkole też czułam się samotna. Da się to wytrzymać. Za trzy miesiące matura, potem się rozejdziecie, każda w swoją stronę. Ucz się i bądź dzielna!

Czy już ostatecznie zdecydowałaś, że pójdziesz na kursy pielęgniarskie? Ja – tak jak Twoja Babcia – radziłabym Ci medycynę. Moja mama prosiła, bym Ci przekazała serdeczne pozdrowienia i radę, żebyś się kierowała własnym sercem i rozumem. Mama regularnie koresponduje z Twoją Babcią. Każdy list z Krakowa jest świętem w naszym domu.

Po krótkim pobycie w Sucre, u kuzyna mojego ojca, przenieśliśmy się do La Paz. Leży ono jeszcze wyżej w Andach – na 3600 metrach. Mieszkamy u krewnych taty, których mniej niż jego kuzyna razi nasz „brak religijności”. Andy w niczym nie przypominają Tatr czy Beskidów. Są surowe, brązowe i nagie. Małe wsie wyglądają jak jaskółcze gniazda



przyklejone do zbcocy.

*La Paz jest zbudowane w kotlinie, na dnie wyschłego jeziora. Każda ulica, wcześniej czy później, zaczyna prowadzić pod górę. Domy są niskie, w hiszpańskim stylu, a ulice kolorowe, choć nie ma tu drzew (i w ogóle roślin jest jak na lekarstwo), bo Indianie w jaskrawych strojach są jak kwiaty. Wysyłam Ci indiańskie poncho. Jest to kwadratowa chusta w kolorowe pasy, z otworem na głowę, utkana z mięciutkiej wełny lam, które nazywają się vicuña. Wybrałam kolor indygo z ciemną zielenią. Indianka włożyłaby do tego purpurową albo jaskrawożółtą spódnicę i oczywiście melonik. Tak, nie przesłyszałaś się, melonik. Panny noszą je na bakier, a mężatki – poważnie, na czubku głowy.*

*Lubię chodzić na targ odbywający się w ogromnej hali i na przylegających do niej uliczkach. Ruch, gwar, stopy towarów, jak na Kleparzu, tylko zamiast jabłek i gruszek są ananasy, banany i trzcina cukrowa. Nawet ziemniaki są inne – czerwone, fioletowe, jasnorożowe, białofioletowe, czarne, żółte w fioletowe paseczki, podłużne jak marchew, zakrzywione w łuk jak banan, przypominające ciemnofioletowe buraki z odciętą nacią albo żółte bułki plecionki. Przy okazji ćwiczę hiszpański i uczę się języka keczua.*

*W La Paz jest uniwersytet. Tak jak Ci pisałam, mam zamiar wstąpić na medycynę. Cieszę się, że nie muszę iść na prawo – to jedyny plus przyjazdu tutaj.*

*Babcia czuje się nie najlepiej, skarży się na duszności i bóle głowy. Ja też źle sypiam, myślę jednak, że z czasem przyzwyczaję się do mieszkania tak wysoko.*

*Mama woła, bym Cię poprosiła o przekazanie ukłonów Twojej Babci. Mama zawsze Ją lubiła, ale teraz, kiedy buty od niej uratowały mi życie, po prostu Ją uwielbia.*

*Bardzo serdecznie Cię pozdrawiam i całuję. Pisz, bardzo proszę!*

*Twoja Wiera*

---

### 10.03

Później niż zwykle, jednak przyszyły deszcze. Plantacje i mój ogród warzywny uratowane.

Niedługo szlaki całkiem rozmokną, ale udało mi się jeszcze odwiedzić Jensa. Zawiozłem mu pocztę, dostarczoną przez parowiec z Mwanzy, który przyplłynął po orzechy palmowe.

Każdy list to święto. Mama obiecuje, że uzyska od pani Hedwig von Chojnovsky zgodę na to, bym „od czasu do czasu” napisał do Z. Kochana mama! Jak dobrze wyczuwa gorączkę, która mnie trawi.

Ojciec powtarza swoje przestrogi i prosi, bym maksymalnie przedłużył pobyt w Afryce. Między wierszami radzi, żebym nawet wakacje spędził poza Niemcami. Niby na marginesie pisze o swoim starym znajomym, ministrze wojny feldmarszałku von Blombergu, kiedyś dowódcy okręgu wojskowego w Prusach Wschodnich, który podczas wojny światowej został odznaczony Blauer Maxem. Von Blomberg pod koniec stycznia ożenił się „z niespełna trzydziestoletnią kobietą z ludu, maszynistką czy też sekretarką”. Göring, który zazdrości feldmarszałkowi pozycji w wojsku, wykopał skądś zdjęcia pornograficzne, do których kiedyś pozowała świeżo upieczona pani ministrowa, i pokazał je Hitlerowi. „Kanclerz udał, że jest wstrząśnięty, a w duchu pewnie zacierał ręce. Od razu go zdymisjonował. Von Blomberg od dawna był mu solą w oku, bo nie popiera jego planów podboju Europy”. Zrobiło mi się zimno, gdy przeczytałem to ostatnie zdanie.

# Wojska niemieckie wkroczyły do Austrii.

## Linz i Salzburg obsadzone. — Kanclerzem Austrii Seyss-Inquart.

Kraków, 11 marca.

Nagle odwołanie plebiscytu w Austrii, ustąpienie kanclerza Schuschnigga, pogłoski o ustąpieniu prez. Austrii Miklasa, wiadomość o ultimatum rządu Rzeszy, doręczonym jakoby prez. Austrii Miklasowi przez zastępcę kancl. Hitlera — min. Hessa oraz wieść o wkroczeniu niemieckich oddziałów zmotoryzowanych w granice Austrii — oto szereg doniesień, które w plątek wieściom zaczęły napływać z Wiednia, wywołując zrozumiałe wrażenie w wszystkich ośrodkach myśli politycznej Europy.

Jak zwykle w atmosferze podniecenia i bańki to z góry można powiedzieć, że były lansowane ze strony zainteresowanej, bądź też takich, których wiarygodność doradnie się można było sprawdzić.

Wymienić tu można wiadomości o krwawych walkach w niektórych miejscowościach Austrii podawane systematycznie również przez pewne rozgłośnie europejskie, jak z drugiej strony wiadomości o przylocie do Wiednia marsz. Goeringa, który rzekomo miał wygłosić przemówienie do manifestujących w mundurach partyjnych narodowych socjalistów.

Podobnie zamieszczony szereg doniesień o różnych trudach oświetlających ostatnie wypadki austriackie.

# Dramatyczne pożegnanie Schuschnigga z narodem.

Wiedeń, 11 marca (L.). Kanclerz Schuschnigg pisał się do dyktanta. W rozmówieniu wygłoszonym przez radio wiedeńskie pożegnał się Schuschnigg z narodem austriackim, stwierdzając co następuje:

Rząd niemiecki wystosował do prezydenta Austrii, Miklasa, terminowe ultimatum, domagając się jego ustąpienia, tudzież przeprowadzenia rekonstrukcji rządu austriackiego w myśl życzeń rządu niemieckiego.

Stwierdzam wobec całego świata, że nieprawdziwe są pogłoski, jakoby w Austrii były rozruchy robotnicze, jakoby w Austrii płynęła krew i jakoby rząd nie był panem sytuacji. Pogłoski te są zmyślone. Prezydent Miklas kazał mi obwieścić: „ustępujemy przemocy.”

Nie chcemy przelania krwi niemieckiej. Prezydent Miklas rozkazał, aby w wypadku wmarasu armii niemieckiej do Austrii wycofano się wojsko austriackie bez zbitego oporu.

Prezydent Miklas mianował naczelnym wodzem armii austriackiej generała słuchaty Schilhabawskiego, któremu udzieli dalszych wskazówek. Obecnie — mówi Schuschnigg — żegnając się z narodem austriackim słowami „Niech Bóg strzeże Austrii!”

To wysoce dramatyczne pożegnanie Schuschnigga z narodem austriackim wywołało w Wiedniu olbrzymie poruszenie. Radio wiedeńskie odegrało następnie hymn austriacki o dawnej melodii hymna habsburskiego.

★ ★ ★

Wiedeń, 11 marca.

(Li) Armia niemiecka wmaszerowała do Austrii.

W obliczu tego faktu wydał austriacki min. spraw wewn. Seyss-Inquart odezwę do ludności, w której stwierdza przedewszystkiem, że jest nadal w urzędzie i że odpowiada za utrzymanie spokoju w Austrii.

„Wzywam — powiedział Seyss-Inquart — wszystkich do bezwzględniego zachowania dyscypliny i spokoju. Manifestacje narodowo-socjalistyczne nie powinny przybrać charakteru jaskrawych demonstracji. Żądam od formacji narodowo-socjalistycznych zachowania spokoju, tudzież odpowiedzialnego wpływania na członków partii.

Liczę, że formacje narodowo-socjalistyczne poprą egzekutywę, stając do jej dyspozycji.

Przypominam, że marsz armii niemieckiej, która w każdym wypadku wkroczy do Austrii, nie natrafi na żaden opór.

Najważniejszą rzeczą jest — zakończył minister — zachowanie spokoju. Wytrwajcie i pomóżcie nam do osiągnięcia szczęśliwej przyszłości.

# Przebieg wydarzeń.

Niespodziewany zwrot wypadków w Austrii poprzedzony został sensacyjnymi zarządzeniami kanclerza

Schuschnigga, który ogłosił mobilizację rezerwistów rocznika 1915 i zarządził zbrojne przygotowanie.

Pozatem zamknięto granicę niemiecką.

★ ★ ★

Na świecie dzieją się straszne rzeczy. Radio nadało mowę kanclerza Hitlera przerywaną histerycznymi wrzaskami tłumu zgromadzonego pod balkonem Hofburga: „Sieg Heil!”, „Ein Volk, ein Reich, ein Führer!”. Podobno w Wiedniu ludzie rozbijali wystawy żydowskich sklepów i potem je rabowali, a teraz łapią Żydów na ulicach i każą im na kolanach szorować chodniki. Londyn podał, że podczas plebiscytu na pytanie: „Czy zgadzasz się z połączeniem Rzeszy Niemieckiej z Austrią?” 99 procent Austriaków odpowiedziało: „Tak”. Kabiny do głosowania były tak zbudowane, by komisja widziała, jak kto głosuje.

A ja uczę się chemii, zawinięta w poncho od Wiery. Z salonu dobiega śpiew Królowej Nocy:

„Jeżeli nie zabijesz Sarastra, przestaniesz być moją córką”. Najpiękniejsza aria na świecie mówi o zemście i jest nakłanianiem do zbrodni.

---

#### 20.03

Rzeki wezbrały na tyle, że możemy się wybrać do Gisansere pirogą. Czekam tylko na gońca z Kompanii z poleceniami i pocztą.

#### 25.03

Moja kochana mama przysłała mi adres Z. i błogosławieństwo jej babci!

Pocztówkę z widokiem Jeziora Wiktorii z portu w Mwanzie napisałem już dawno temu. „Droga Pani Zuzanno, pozdrawiam Panią serdecznie znad afrykańskiego jeziora. Patrząc na nie i pamiętam jeziora, na które razem patrzyliśmy w Prusach. To były piękne dni. Życzę sukcesu na maturze. Joachim”. Poświęciłem na to cztery wieczory, czyli po jednym wieczorze na zdanie. Sprawdziłem wszystko po pięć razy, żeby nie zrobić jakichś błędów. Dziś zaadresowałem pocztówkę i od razu dałem ją gońcowi z Kompanii, by zawiózł ją do Dodomy. Stamtąd trafi do Dar es Salaam, potem statkiem do Gdańska i koleją do Krakowa. Chciałbym, żeby moje życzenia Z. dostała przed egzaminami.

#### 4.04

Z powrotem w Biharangwe. A już żegnałem się z życiem.

#### 6.04

Wyprawa do Gisansere o mało nie skończyła się tragicznie. Kilka kilometrów przed faktorią rzeka wpływa do parowu i płynie między stromymi gliniastymi brzegami, na których rośnie gęsty las. Ledwie znaleźliśmy się między nimi, uderzyła w nas fala deszczu. Krzyknąłem do wioślarzy, by wszystkie pirogi przybiły do brzegu w pierwszym dogodnym miejscu, i sam chwyciłem za wiosło, żeby szybciej przebyć parów. Ulewa przybierała na sile. To już nie był deszcz, tylko potop. Almaz pracowała jak szalona, wybierając czerpakiem wodę z pirogi. Z brzegów odrywały się kawały ziemi i wpadały do rzeki, wzbijając fontanny wody. Nagle zobaczyłem, jak obrywa się brzeg i jak chwieje się wielkie drzewo rosnące na krawędzi. Almaz zerwała się z kolan, rozłożyła ramiona i wrzasnęła coś, czego nie zrozumiałem. Wioślarze, i tak już dający z siebie wszystko, zaczęli wiosłować w takim tempie, że piroga niemal uniosła się nad wodą. Drzewo runęło tuż za nami. Korzenie nadal miało w ziemi i nie popłynęło z nurtem, lecz gdyby porwała je rzeka, byłoby po nas. Po kilku minutach ulewa się skończyła, tak samo nagle jak się zaczęła. Brzegi stopniowo się obniżyły i mogliśmy wylądować. Wyszliśmy z opresji obronną ręką – zamokły tylko dwa worki soli.

Dopiero wieczorem zapytałem Almaz, jakim okrzykiem zagrzała wioślarzy do walki z żywiołem.

„Przypomniałam im, że mam na szyi czarodziejskie kamienie. Wszyscy wiedzą, że z nimi człowiek jest bezpieczny”.

Spojrzałem na naszyjnik z bursztynów, który jej przywiozłem z Gdańska i z którym się nie rozstaje. „Czarodziejskie? Skąd ci to przyszło do głowy?”

„Łzy słońca mają magiczną moc. Wiesz, że czarownik dawał mi za nie dwie krowy? Wolę jednak, by chroniły nas, a nie jego”.

17.04

Trzecia Wielkanoc w Afryce.

Niepokojące wieści z Europy. Jens, któremu w tym roku kończy się kontrakt, zastanawia się, czy podpisywać następny. Mam nadzieję, że podpisze. Co ja bym tu robił bez Jensa. A Europy w pojedynkę i tak nie uratuje.

---

**21 kwietnia, czwartek**

W Krakowie pada śnieg. W Rózanach była wiosna. Gdy weszłam do stajni i powiedziałam do Gangesa: „Tęskniłam za tobą, koniku”, a on dotknął chrapami mojego policzka, zapomniałam o całym złym świecie.

Przy świątecznym stole nikt nie poruszał smutnych tematów ani nie pytał o szkołę, jednak potem usłyszałam, jak babcia rozmawia z Piotrem o Austrii. Zacytowała słowa z pieśni Hitlerjugend pod okropnym tytułem *Es zittern die morschen Knochen der Welt* i z jeszcze okropniejszymi słowami: „*gehört uns Deutschland und morgen die ganze Welt*”. „Dziś nasze są Niemcy, jutro cały świat”. W duchu pytałam jak Tamino: „Kiedy wreszcie minie noc? Kiedy moje oczy znów ujrzą światło?”. Chciałabym mieć czarodziejski flet, bo kiedy on gra, „nawet dzikie zwierzęta ogarnia radość”.

**25 kwietnia, poniedziałek**

Dostałam pocztówkę od Joachima. Życzy mi powodzenia na maturze i pozdrawia znad Jeziora Wiktorii. Po polsku. Wiedziałam, że Joachim zna kilka języków, nawet suahili, ale polski?

**27 kwietnia, środa**

Śniło mi się, że wiosłuję Krutynią. Dzień był gorący i po kręgosłupie płynęła mi cienka strużka potu. Słyszałam przyspieszony oddech Piotra za plecami. Czułam jego zapach. Wiedziałam, że i ja oddycham szybciej, że na policzkach mam rumieńce. Nagle zdałam sobie sprawę, że skoro jestem na Krutyni, to za mną siedzi Joachim, nie Piotr.

---

27.04

Jens zdecydował, że zostanie w Ngarze jeszcze trzy lata. Wypiliśmy z tej okazji kilka butelek wina. Obiecałem sobie w duchu, że i ja w 1940 roku podpiszę następny kontrakt, a jeśli będą chcieli mnie awansować i przenieść do większej faktorii, odmówię. Sąsiedztwo Jensa jest ważniejsze niż kariera i pieniądze.

---

**28 kwietnia, czwartek**

Długa rozmowa z babcią o niezależności finansowej kobiet, o małżeństwie, o pracy. Babcia mówi, że „ludzie zawodowi wiele tracą, bo praca pochłania mnóstwo czasu”.

„A tatuś? – zapytałam. – Dużo pracował, miał jednak czas dla mamy i dla nas”.

„Mężczyźni to co innego. Oni mają żony, ty nie”.

„Co właściwie jest sensem życia? Bo przecież nie mąż ani nawet niezależność finansowa”.

„Samo życie jest sensem – powiedziała babcia. – Po prostu trzeba żyć. Wybrać coś i robić to dobrze. Mądrzy Chińczycy mówią, że gdy zapadnie zmrok, wystarczy zapalić jedną świeczkę”.

---

10.05

Almaz. Ile razy na nią spojrzę, widzę jej oczy wpatrzone we mnie. W nocy jest na wyciągnięcie ręki. Należy do mnie. Moje prywatne źródło rozkoszy i wyprasowanych koszul.

24.05

Sen o Z. Nagłe przebudzenie i przygniatający żal, że to tylko sen. Szukanie pocieszenia w czarnych włosach i kawowym cieple Almaz. Myśl o innych oczach i włosach. O raz zobaczonym nagim cieple w lesie nad jeziorem.

Szept Almaz, gdy już prawie zasypiałem: „Jesteś inny, kiedy o niej myślisz, *mzungu*”.

---

**31 maja, wtorek**

JESTEM DOROSŁA! Skończyłam osiemnaście lat i zdałam maturę!

Patrzę na pierścionek z szafirem, który dostałam od babci w dniu rozdania świadectw. „Kiedyś

wierzono, że sklepienie niebieskie to wielki szafir, który otacza Ziemię, i dlatego szafir stał się symbolem opieki, pokoju i przyjaźni. Pomaga znaleźć drogę i wytrwale nią iść. Przed wielu laty dostałam ten pierścionek od twojego dziadka. Życzę ci dobrego wyboru życiowej drogi i żebyś kiedyś w małżeństwie była taka szczęśliwa jak ja”.

---

**1.06**

Moja cudowna, najwspanialsza na świecie mama! „Wspomniałam w liście do Hedwig, że w tym roku nie przyjedziesz do domu i być może spędzisz urlop w Egipcie, bo od dawna pragniesz go zobaczyć. I wyobraź sobie, mój drogi, że Hedwig także wybiera się do Egiptu, razem z Zuzanną. Od razu napisałam, by nie szukała dragomana, bo ty z radością będziesz ich przewodnikiem w Afryce. Chyba nie masz mi tego za złe?”

---

**8 czerwca, środa**

Złożyłam prośbę o przyjęcie do Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek. Jej dyrektorką jest pani Anna Rydlówna – siostra Lucjana Rydla i Haneczka z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego. To musi być niezwykła szkoła.

---

**8.06**

Jedziemy z Jensem na polowanie. Wyobrażam sobie, jak pokazuję ciosy słonia w Schönwalde.

---

**Różany, 18 czerwca, sobota**

WAKACJE!

---

**20.06**

Wieczorami czytam o Egipcie i układam plan podróży, a w nocy śnię o Z.

---

### **21 czerwca, wtorek**

Sens życia? Babcia ma rację – to życie samo. Te niekończące się zmierzchy, zapach akacji i jaśminu, granie żab, wieczorna zorza, kłusowanie na Gangesie między kopami świeżego siana i jedzenie poziomek ze śmietaną.

### **22 czerwca, środa**

Gdy już opowiedziałam Stasiowi bajkę i pocałowałam go na dobranoc, otworzył jedno oczko. „Zuziu, ty jesteś bardzo mądra”, powiedział sennym głosem. Zrobiło mi się przyjemnie i ze skromną miną pokiwałam głową. „To powiedz, jakie jest najbrzydsze słowo na świecie. Bo Franek się wyśmiewa, że nie wiem”.

### **23 czerwca, czwartek**

Pół dnia spędziłam w kuchni. Zawekowałyśmy góry truskawek.

---

24.06

Przed wieczorem poszedłem sam nad jezioro, by upolować kilka kaczek. Wracalem do faktorii, myśląc o tym, że już za dwa miesiące zobaczę Z. Nagle wyszedłem na jakąś polanę kończącą się gąszczem mangombe i zorientowałem się, że zgubiłem drogę.

Zrobiłem to, czego nauczył mnie ojciec – usiadłem pod drzewem. Uspokoilem oddech i myśli. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem goryla siedzącego na drugim końcu polany, koło mangombe. Nie szukał pędów, lecz patrzył na zachodzące słońce, w zamyśleniu, zauroczeniu.

Poczułem łzy w oczach. Przypomniało mi się to fatalne polowanie na słonie dwa tygodnie temu. Czym się różnię od tych Anglików, którzy niedawno zmasakrowali stado hipopotamów?

Wstałem, bezszelestnie, jak mi się wydawało. Goryl jednak mnie usłyszał. Spojrzał w moją stronę. Wycofałem się za drzewa, a on wrócił do podziwiania słońca. Od razu trafiłem na znajomą ścieżkę i jeszcze przed zmrokiem byłem w domu.

---

## **24 czerwca, piątek**

Razem ze Stasiem zrobiliśmy wszystkim niespodziankę: przygotowaliśmy sobótkę i wieńce na głowę dla wszystkich domowników. Były skoki przez ogień, piekliśmy w popiele pierwsze ziemniaki, a Staś chciał wyruszyć na poszukiwanie kwiatu paproci.

Położyłam się, gdy już szarzało. Myślałam o Piotrze – o tym, jak wyglądał w letnim ubraniu od Andersona z Savile Row, jak pachniały goździki, groszki i tytoń w jego wieńcu. I choć się starałam, nie przyśnił mi się. Śnił mi się Joachim. Dobrze, że to nie był wieczór andrzejkowy, gdy takie sny są wróżebne.

## **25 czerwca, sobota**

Zapomniałam napisać o prezencie, jaki dostałam od babci z okazji osiemnastych urodzin: spełniła moje marzenie o Heluanie i 2 sierpnia wypływamy z Gdyni do Egiptu!

Hanka dała mi śliczną bransoletkę z rubinami i szafirami – jako wróżbę gorącej i trwałej miłości. Zawstydziałam się. Gdyby wiedziała!

Piotr podarował mi książkę *The Hobbit, or There and Back Again* z dedykacją: „Doroślej już Zuzi, żeby nigdy nie przestała trochę być dzieckiem”. Zaczęłam ją czytać z nadzieją... sama nie wiem na co. Zirykowałam się, gdy się okazało, że to o krasnoludkach, i rzuciłam ją w kąt. Jak on mógł! Potem jednak do niej wróciłam i teraz prawie już kończę czytać. Gdybym miała taki pierścień jak Bilbo Baggins!

Dostałam też prezent od pani Brooks: dorosłą suknię wieczorową z ciemnobłękitnego jedwabiu.





### **8 lipca, piątek**

Staś umie już liczyć do dziesięciu (to po Piotrze), rysować (to po mnie) i nazywać prawie wszystkie kolory (też po mnie). Dziś po obiedzie leżeliśmy razem w hamaku i opowiadałam mu o hobbitach.

„Jak byłaś mała, to kto ci opowiadał o Bilbie?”

„Nikt. Wtedy jeszcze nie było tej książki”.

„Ale elfy i smoki były, prawda?”

---

### **10.07**

W lipcu Victoria Nyanza ma taką barwę jak jeziora w Prusach. A gdy zamknę oczy i słyszę trzepot skrzydeł flamingów i szum palm, wydaje mi się, że jestem w domu, że to kaczki i łabędzie, i pruskie sosny.

---

### **13 lipca, środa**

Jest coś magicznego w robieniu przetworów na zimę. Tak jakby w słoikach zamykało się kawałek lata. Dziś kuchnia pachnie dżemem z borówek i morelami w syropie.

---

### **24.07**

Za miesiąc ją zobaczę.

---

### **26 lipca, wtorek**

Imieniny Hanki. Ciche, z powodu żałoby po wuju. Na obiad przyjechało kilku sąsiadów. Hanka stale zaprasza różnych młodych ludzi, „żeby miałam towarzystwo”. Są okropnie nudni.

### **27 lipca, środa**

Staś z wysuniętym koniuszkiem języczka rysuje pociąg towarowy. To chyba wpływ *Lokomotywy*,

bo nigdy w życiu nie widział pociągu.

„Dokąd jedzie ten pociąg?”, pytam. Staś dalej rysuje w skupieniu. „Może do Warszawy?”, zastanawiam się głośno. Żadnej reakcji. „A co wiezie?” Milczenie. „Może w siódmym są dębowe stoły i szafy, a w ósmym słoń, niedźwiedź i dwie żyrafy?”, cytuję Tuwima.

Staś patrzy na mnie lekko zniecierpliwiony. „Zuziu, nie widzisz, że on ma tylko trzy wagony?”

### ***28 lipca, czwartek***

Upał. Floksy kwitną jak szalone. Cały ogród jest przesycony ich zapachem.

---

29.07

Przekazałem Jensowi wszystkie sprawy. Poprosiłem, by dał wolną rękę Almaz we wszystkim, co dotyczy sklepów. Mówi, że sam się zastanawia, czy nie zmienić sklepu w Ngarze na wzór moich.

Przez ostatni miesiąc pracowałem jak wariat. Myśl o Z. i o wspólnym zwiedzaniu Egiptu dodaje mi skrzydeł.

---

### ***30 lipca, sobota***

Staś do Julki przy obiedzie: „Z czego jest to mięso?”.

„Z kury”.

„A te ziemniaki?”

### ***W sleepingu do Gdyni, 1 sierpnia, poniedziałek***

Nie wiem, czemu tak się cieszyłam na ten rejs. Mogłabym teraz być w Rózanach. Przez dwa miesiące nie zobaczę Piotra. Gdy żegnałam się z Gangesem, płakałam. On też.

### ***M/s Śmiały, 2 sierpnia, wtorek***

Mamy z babcią wykładaną drewnem kajutę z okrągłym okienkiem, szafą w ścianie, mikroskopijną łazienką i dwoma łózkami. Z pokładu słychać nawoływania, zgrzyt łańcuchów. Jutro wypływamy.

### ***Na morzu, 3 sierpnia, środa***

Gdy rano otworzyłam oczy, poczułam delikatne drżenie i zobaczyłam, jak mój szlafrok powieszony na haczyku lekko się kołysze, to w prawo, to w lewo. Szybko się ubrałam i wyszłam na pokład. Statek wypływał na pełne morze, mijając wejście do portu gdyńskiego i dwie latarnie. Morze

nie jest niebieskie, tylko szarosrebrne.

Po południu ogłoszono alarm szalupowy dla pasażerów. Musieliśmy włożyć kamizelki ratunkowe i zgromadzić się przy szalupach. Większość potraktowała to jako okazję to poznania współpasażerów, a babcia, zamiast ćwiczyć, beztrąsko umawiała się na popołudniowego brydża.

---

### 3.08

Są już na Bałtyku. Ja wyruszam za dziesięć dni. Czasem chciałbym już ją zobaczyć, a czasem upajam się tym czekaniem, bo wiem, że się doczekam.

---

### *4 sierpnia, czwartek*

Minęliśmy wyspę Bornholm i Cieśniny Duńskie. Statek zatrzymał się na kilka godzin w Kopenhadze, nie można jednak było zejść na ląd.

W nocy mgła. Co dwie minuty tubalnym głosem odzywała się syrena Śmiałego, odpowiadały jej syreny z innych statków. Leżałam w koi i wyobrażałam sobie cicho sunące statki, ginące we mgle i wyłaniające się z niej jak widma.

### **5 sierpnia, piątek**

Śmiały jest statkiem handlowym, który prócz ładunku może zabrać czterdziestu pasażerów. Ma dwa pokłady spacerowe – otwarty i zadaszony – wyłożone drewnem tekowym, z błyszczącymi poręczami (które nazywają się relingi) i leżakami ustawionymi w równych rzędach. W przedniej części jest salon i jadalnia, od burty do burty, a przez ich duże okna widać morze. Myślałam, że będzie basen, jak na Batorym czy Piłsudskim, ale nie ma.

Program dnia jest dość monotony: o dziewiątej śniadanie, w południe obiad, potem gry towarzyskie albo wykład, o czwartej podwieczorek, później jest wyświetlany film, o szóstej mamy kolację, a o dziewiątej wieczorem zaczyna się dancing z zimnym bufetem.

Najlepszą rozrywką jest podsłuchiwanie rozmów pasażerów z załogą. Czuję się wtedy tak jak w Różanach, gdzie wszyscy muszą odpowiadać na milion pytań Stasia.

Jak tu jest głęboko? Jaką temperaturę ma morze? Czy tu są rekiny? Czy widział pan kiedyś atak rekina na człowieka? Jak się nazywa tamta wysepka? Jakie pamiątki można kupić w Lizbonie? Czy kiedyś grasowali tu piraci? Gdzie piraci zakopywali swoje skarby? Dlaczego wyspy nie mają tablic z nazwami? Czy to na pewno Morze Północne? Skąd można to wiedzieć? Co to za statek? Dokąd płynie? A co wiezie?

### **7 sierpnia, niedziela**

Wypływamy z Calais. Pierwszy raz w życiu – przez kilka godzin – byłam we Francji. Podobało mi się. Babcia była moim przewodnikiem i tłumaczem. Miło było znów stanąć na czymś, co się nie kiwa. W takiej chwili lepiej się rozumie, co to znaczy „stały ląd”. Pogoda była piękna i widziałam białe klify Dover. Zatęskniłam za Anglią.

### **8 sierpnia, poniedziałek**

*Spark*, czyli radiotelegrafista, przekazał nam wczoraj depeszę od Hanki i Piotra. Pozdrawiają nas serdecznie. Od razu wyobraziłam sobie niedzielę w Różanach i trochę pożałowałam, że mnie tam nie ma. Na morzu jest pięknie. Woda w promieniach słońca mieni się zielono i niebiesko, wieczorem jest popielata, a w nocy srebrno-czarna. Księżyc wschodzi przed północą i teraz płyniemy po jasnej smudze prosto na niego, tak jakbyśmy chcieli się nabić na srebrny róg.

## **9 sierpnia, wtorek**

Morze nie jest już gładkie ani niebo jednolicie niebieskie. Porządnie kołysze i pojawiły się bуре chmury. Podczas śniadania w jadalni było pustawo, a na obiad przyszło zaledwie pięć osób, w tym babcia i ja. Steward zachęcał mnie do zjedzenia dwóch deserów, gdyż większość pasażerów leży w kabinach i odżywia się wyłącznie aeromariną. Dużo tracą, bo jedzenie jest pyszne.

Na boki stołów założono deseczki i obrusy są lekko zwilżone, tak że talerze stoją na swoich miejscach. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego wszystkie meble są przytwierdzone do podłogi albo spętane łańcuchami jak krnąbrne bestie.

## **10 sierpnia, środa**

Podobają mi się marynarskie rytuały, na przykład zmiana flagi po zacumowaniu w porcie. Na przednim maszcie powiewa teraz flaga portugalska, bo następnym portem będzie Lizbona.

Byłam na wykładzie o historii żeglugi pasażerskiej. Kiedyś, wypływając w morską podróż, ludzie spisywali testament i żegnali się z bliskimi. Pierwszych pasażerów przewożono w ładowniach, sami musieli się zatroszczyć o wikt i opierunek. Oczywiście o łazienkach nie było mowy. Były ubikacje dla pań, a panowie załatwiali się za burtę. Pasażerowie musieli pomagać w pracach na pokładzie, a lepsze statki reklamowały się hasłem: „U nas pasażerów się nie bije”.

---

10.08

Z. chyba dopływa do Lizbony. Ciekawe, czy miasto spodoba się jej tak jak mnie.

---

## **11 sierpnia, czwartek**

Do Śmiałego podpłynęła motorówka, spuszczone sznurową drabinę, po której z wyraźnym trudem wdrapał się na pokład portugalski pilot i teraz on prowadzi statek. Jesteśmy w Lizbonie!

---

12.08

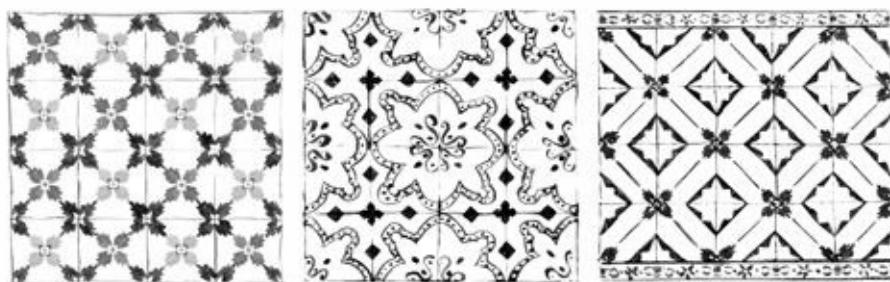
Jutro rano wypływam do Mwanzy, potem pociągiem jadę do Dodomy i po załatwieniu służbowych spraw – do Dar es Salaam. 18 sierpnia mam parowiec do Port Sudanu. 24 sierpnia ma przyplłynąć m/s Śmiały, a na nim Z. i jej babcia. Obie równie ważne. Jeśli starsza pani mnie nie zaakceptuje,

u młodszej nie będę miał szans.

---

### **13 sierpnia, sobota**

Lizbona mnie urzekła! Torre de Belém – zębata wieża, strażnik lizbońskiego portu i znak dla dawnych żeglarzy, że dopłynęli do domu, przepiękny klasztor Hieronimitów z krużgankami i grobem Vasco da Gamy (który umarł w Indiach, jednak jego szczątki przeniesiono z Koczinu do ojczyzny), katedra Sé, w której ochrzczono św. Antoniego Padewskiego (dzięki surowości siostry Kornelii wiem, że naprawdę miał na imię Fernando, urodził się i żył w Lizbonie, a w Padwie spędził tylko ostatni rok życia) i w której przechowuje się relikwie św. Wincentego (gdy wieziono je do Lizbony, dwa kruki trzymały straż nad łodzią i do dziś kruki mieszkają w krużgankach katedry). Mauretańskie krużganki, patia z fontanną, domy obwieszane suszącą się bielizną, kwiaty i zioła wprost wylewające się z ustawionych przed domami doniczek, lizbończycy grający w tryktraka, *pastelarias*, a w nich papos de anjo („niebo w gębie”) i marcepany. I *azulejos*!



*azulejos*

### **15 sierpnia, poniedziałek**

Rano pożegnaliśmy Portugalię. Było mi smutno i nagle, jakby specjalnie po to, żeby mnie pocieszyć, pojawiły się delfiny! Płynęły razem ze statkiem, wyskakiwały z wody solo i parami, wyraźnie świetnie się bawiły i nagle znikły.

Siedzę na prawej burcie i patrzę na ocean. Jest wielki.

---

16.08

Wczoraj, gdy stanąłem pod drzwiami gabinetu dyrektora naczelnego, przypadkiem podsłuchałem opinię o sobie: „Świetny pracownik, choć Niemiec”. Może w innej sytuacji bym się tym przejął. Nic jednak nie może mi zepsuć humoru, gdy wiem, że za osiem dni zobaczę Z.

---

### ***Gibraltar, 16 sierpnia, wtorek***

A więc tak wygląda The Rock.

Po lewej minęliśmy skałę gibraltarską, a po prawej majaczyły inne góry – to już Afryka. Czarny Ląd. Babcia mi poradziła, żebym wzięła *W pustyni i w puszczy*, i jak zwykle miała rację.

Stoję przy burcie, twarzą na południe, i wdycham zapach wiatru. Pachnie pustynią i przygodą.

### ***Morze Śródziemne, 17 sierpnia, środa***

Upał mnie rozleniwia. Nie chce mi się pisać. Siedzę w cieniu na pokładzie, patrzę na morze i na wyspy, które mijamy. Czekam na Sycylię i wspominam wakacje z Carłą.

---

18.08

Za godzinę wypływamy. Miałem w Dar es Salaam prawie cały dzień i poszedłem do fryzjera i na zakupy. Kupiłem dwa zestawy do nurkowania, kąpielówki, nowy hełm tropikalny. U jubilera znów długo oglądałem pierścionki, w końcu zdjęty wyrzutami sumienia kupiłem naszyjnik z 33 diamentami w formie trzech kwiatów i do kompletu bransoletkę z 21 diamentami. Dla Almaz.

---

### ***18 sierpnia, czwartek***

W małej sali kinowej wyświetlili dziś *Wrzos*. Premiera była w czerwcu, gdy nie miałam czasu na kino. Świetny Junosza-Stępowski, bardzo dobry Brodniewicz, okropna Angel-Engelówna i jeszcze gorszy Cybulski. Babcia zwróciła uwagę na muzykę Władysława Szpilmana (mnie akurat podobała się tak sobie), no i nie mogła zrozumieć, jak Kazia (Angel-Engelówna) mogła wybrać mdłego, płacznego Cybulskiego (a taki był śliczny w *Wiernej rzece!*), gdy o jej miłość walczył zabójczo przystojny Brodniewicz. Ja to rozumiem. Gdy człowiek się zakocha, inni mężczyźni, choćby najwspanialszy, nic nie znaczą.

Irka należała do klanu zwolenniczek Brodniewicza. Wysłałam do niej widokówkę z Lizbony. Na list nie mogłam się zdobyć.



---

A jeśli zbyt wiele się spodziewam? Jeśli ona się zmieniła? Jeżeli na przykład się zakochała? Nie, niemożliwe. Jej babcia przecież wie, jakie mam zamiary, i w takiej sytuacji nie zgodziłaby się, żebym im towarzyszył. A jeśli nie spodobam się starszej pani? Albo jeśli Z. nigdy mnie nie pokocha?

---

### **20 sierpnia, sobota**

Jutro zawijamy do Port Saidu. Tam wysiada kilku pasażerów – jadą dalej lądem, do Palestyny. My schodzimy na ląd w Port Sudanie. Ma tam na nas czekać dragoman. Babcia nie chce powiedzieć, jak go znalazła. „To nic trudnego. W końcu mamy dwudziesty wiek i agencję Cooka”.

### **Kanał Sueski, 21 sierpnia, niedziela**

Napisałam długi list do Wiery. Teraz nie może już mówić, że jestem turystką, a nie podróżniczką.

Port Said niewiele się zmienił od czasów Sienkiewicza. „Prócz mieszkańców nie ma w nim nic ciekawego”, napisał w *Listach z Afryki*, które babcia z upodobaniem cytuje.

Szli wałem oddzielającym wody jeziora Menzaleh od kanału, przez który przepływał w tej chwili, prowadzony przez pilota, duży parowiec angielski. Zbliżał się wieczór. Słońce stało jeszcze dość wysoko, ale przetoczyło się już na stronę jeziora. Słonawe jego wody poczynęły lśnić złotem i drgać odbłaskami pawich piór. Po arabskim brzegu ciągnęła się, jak okiem sięgnąć, płowa piaszczysta pustynia – głucha, złowroga, martwa. Między szklanym, jakby obumarłym niebem a bezmiarem pomarszczonych piasków nie było śladu żywej istoty. Podczas gdy na kanale wrzało życie, kręciły się łodzie, rozlegały się świsty parowców, a nad Menzaleh migotały w słońcu stada mew i dzikich kaczek – tam, na arabskim brzegu, była jakby kraina śmierci. Tylko w miarę jak słońce znizając się stawało się coraz czerwieńsze, piaski poczęły przybierać barwę liliową, taką, jaką jesienią mają wrzosy w polskich lasach.

O Kanale Sueskim Sienkiewicz napisał: „Jak każda prawdziwa wielkość przedstawia się skromnie”. Miejscami jest taki wąski, że statki nie mogą się minąć i muszą czekać w specjalnie zbudowanych zatokach. A czasem się rozszerza i przecina jeziora: Wielkie Jezioro Gorzkie, Małe Jezioro Gorzkie, Jezioro Krokodyli. Po obu stronach piaski. Widziałam obrazek jak z Biblii: długi sznur wielbłądów prowadzonych przez Araba w zawoju i czarnej galabii.

Na kanale nie ma żadnych śluz. Zapytałam o to jednego z oficerów i wyjaśnił mi, że z początku miały być śluzy, gdyż uważano, że różnica poziomów między Morzem Śródziemnym a Morzem

Czerwonym wynosi dziesięć metrów. Dokładne pomiary pokazały jednak, że poziom mórz jest jednakowy.

Egipcjanie zbudowali dwa pomniki twórcy kanału Ferdynandowi Lessepsowi – w Port Saidzie i w Suezie. Trudno się dziwić: kanał to kura znosząca złote jajka. Otwarcie kanału odbyło się z ogromną pompą. Isma'il Pasza zaprosił wiele koronowanych głów, kazał zbudować operę w Kairze i zamówił u Verdiego operę – *Aidę*. Potem zamówił jeszcze Statuę Wolności, jednak skończyły mu się pieniądze, więc praktyczni Francuzi ofiarowali ją Amerykanom i teraz stoi w Nowym Jorku.

Skąd ci oficerowie to wszystko wiedzą?

### **23 sierpnia, wtorek**

Ostatnia noc na Śmiałym. Jutro zejdziemy na Czarny Łąd.

---

#### **23.04**

Nie mogę spać. To już jutro. Jutro ją zobaczę.

#### **24.08**

Jak opisać Z.? Ma osiemnaście lat, jest wysoka i szczupła. Piękna nordycka czaszka. Uważne, myślące spojrzenie. Blond warkoczki upięte w koronę pod kapeluszem, niebieskie oczy, jasna cera. Kilka piegów na zgrabnym nosku. Złotobrzazowe szerokie brwi. Zmysłowe usta, które jeszcze nie wiedzą, że są zmysłowe. Gdy się śmieje, w lewym policzku robi się jej uroczy dołek. Wąskie dłonie, paznokcie różowe jak u dziecka. Zgrabne łydki. Sukienka w kwiatki i sznurowane trzewiki za kostkę ukrywają resztę.

Jest jak róża, która z bladego zeszłorocznego pączka rozwinęła się w upajający kwiat. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy patrzyłem na nią schodzącą z trapu.

Sposób, w jaki rozmawiają z babcią: ciche głosy, tkliwy dotyk, pełne porozumienie, troska, miłość.

Pani Hedwig von Chojnovsky jest starszą o czterdzieści parę lat kopia wnuczki, z siwiejącymi krótkimi włosami. Może się jeszcze podobać. Musiała bardzo kochać męża, skoro po raz drugi nie wyszła za mąż. Na pewno miała wielu adoratorów.

Gdy na mnie spojrzała, życzliwie, lecz z przeszywającą przenikliwością, poczułem się tak, jakby moja dusza stanęła przed aparatem Roentgena. Przed panią von Ch. nic się nie da ukryć. Nawet nie będę próbował.

---

## **Port Sudan, 25 sierpnia, czwartek**

Nurkowałam na rafie koralowej. Nigdy w życiu nie widziałam niczego tak pięknego! Joachim przygotował dla mnie specjalną rurkę, przez którą się oddycha, kauczukowe płetwy, okulary i buty do wody.

Gdy go zobaczyłam na nabrzeżu w Port Sudanie, nie wierzyłam własnym oczom. Znajoma twarz wśród setek obcych. Od razu człowiek różnie się czuje.

Joachim w tropikalnym ubraniu i korkowym hełmie, opalony na brąz, jest tu u siebie. Zna chyba wszystkie miejscowe narzecza, w każdym razie z wszystkimi umie się dogadać. Ma posłuch. Nie tylko dlatego, że jest biały.

---

25.08

Byłem na rafie przedwczoraj, by samemu spróbować i wszystko zobaczyć. Co to za dragoman, jeśli wcześniej nie przeszedł ścieżek, którymi prowadzi podróżnych. Rafa koralowa jest cudem świata. Rafa z Z. jest potrójnym cudem. Wszystko, na co patrzę jej oczami, nabiera nowego blasku.

Kiedy mówiłem o wyprawie na rafę, nie przyszło mi do głowy, że pani von Ch. z nami nie pojedzie. Moja mama ma takie powiedzenie: „To nie młodzi mają być rozważni, tylko my”.

Po kolacji, gdy Z. ziewnęła ukradkiem, pani von Ch. szepnęła: „Idź się położyć, *mein Schatz*”, a do mnie powiedziała: „Panie Joachimie, proszę mnie zaprosić do baru. Jestem ciekawa szczegółów pana życia w Afryce”. Prawie nie zadawała mi pytań. Po prostu słuchała. Nawet wtedy, gdy nieopatrznie wymieniałem imię Almaz, lekko przymrużyła oczy, ale o nic nie zapytała. W barze hotelowym światło było przyćmione, wydawało mi się jednak, że nie tylko z mojej historii, lecz także z każdego drgnienia mojej twarzy odczytała więcej, niżbym chciał.

Poprosiłem, by mi mówiła po imieniu. Z uśmiechem skinęła głową. „Wiedziałam, że syn Aileen musi być miłym człowiekiem. Cieszę się, że spędzimy razem ten miesiąc. Moja wnuczka dużo przeszła, a przecież osiemnaście lat to czas na zabawę, nie na płacz. Mam nadzieję, że jutro na rafie będzie się dobrze bawić. Ja trochę odpocznę po podróży”. A gdy podała mi rękę przed drzwiami swojego pokoju, powiedziała: „Byłabym najszczęśliwsza na świecie, gdyby serce mojej wnuczki żywiej zabiło dla kogoś takiego jak ty, Joachimie”.

---

## **26 sierpnia, piątek**

Nie chcę stąd wyjeżdżać. Koralowe ogrody z rybami we wszystkich kolorach tęczy, biały piasek,

palmy kołyszące się na wietrze, wiktoriański ogród pełen kwiatów (podlewany dwa razy dziennie) – to jest raj.

Dziś Joachim zabrał mnie na wyspę, pół godziny drogi łodzią od brzegu. Nazbierałam cały koszyk martwych koralowców, z których zrobiona jest ta wysepka. Nurkowaliśmy wokół niej, na płyciźnie. Słońce prześwieca przez wodę i musiałam pływać w bluzce z długimi rękawami, żeby mi nie spaliło skóry. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na koralowej mieliźnie przy zatopionym wraku. Dwóch czarnych wioślarzy zostało w łodzi, a my wskoczyliśmy do morza. Czułam się tak, jakbym się przeniosła w opowieść o piratach: resztki drewnianego kadłuba obrośnięte skorupiakami, żółt majestatycznie płynący przez dawny bulaj, ławica rybek niebieskich jak farbka do bielizny, lazurowy węgorz w szare paski, z szafirowo-złotymi oczami, i nakrapiana niebiesko płaszczka, która nagle się podniosła z piaszczystego dna. Popatrzyłam za nią i zobaczyłam ścianę czarnej wody. Przeraziłam się, machnęłam na Joachima i wypłynęłam na powierzchnię. Płynąc do łodzi, na pewno pobiłam swój życiowy rekord. Gdy opowiedziałam Joachimowi, czego się przestraszyłam, wcale się nie śmiał. „Nasi wioślarze cały czas obserwowali morze i gdyby coś zobaczyli, uderzyliby wiosłami o wodę na znak, że mamy wracać. Z morzem nie ma żartów. Szczególnie gdy panią mam pod opieką”. Zrobiło mi się ciepło na sercu.

---

27.08

Z. w pociągu z nosem przyklejonym do szyby. Tak jak ja, gdy pierwszy raz zobaczyłem sawannę. Nie mogę oderwać oczu od Z.

28.08

RR Hotel, który mi polecił Jens, bardzo angielski i wygodny. Panie zadowolone. Zresztą one nie mają zwyczaju narzekać.

---

### ***Wadi Halfa, RR Hotel, 28 sierpnia, niedziela***

Z Port Sudanu cały dzień jechaliśmy koleją do Atbary, tam przenocowaliśmy, a rano ruszyliśmy w dalszą drogę, do Wadi Halfa. Widziałam sawannę z akacjami jak wielkie parasole. Stada zebr i antylop gnu. Żyrafy. A nawet, daleko na horyzoncie, idące rzędem słonie. Wszystko dokładnie takie jak u Sienkiewicza. Nie mogłam oderwać się od okna.

Teraz siedzę na drewnianej werandzie hotelu. Otaczają go palmy i namiastka angielskiego ogrodu:

niskie, strzyżone żywopłoty, a wśród nich krzaki róż. Jestem na północnej granicy starożytnej krainy Kusz, w Nubii, „ostatnim kraju zamieszkaney ziemi”. Gdy wymawiam te nazwy, czuję na języku smak tajemnicy i obietnicy.

### ***Na Nilu, 29 sierpnia, poniedziałek***

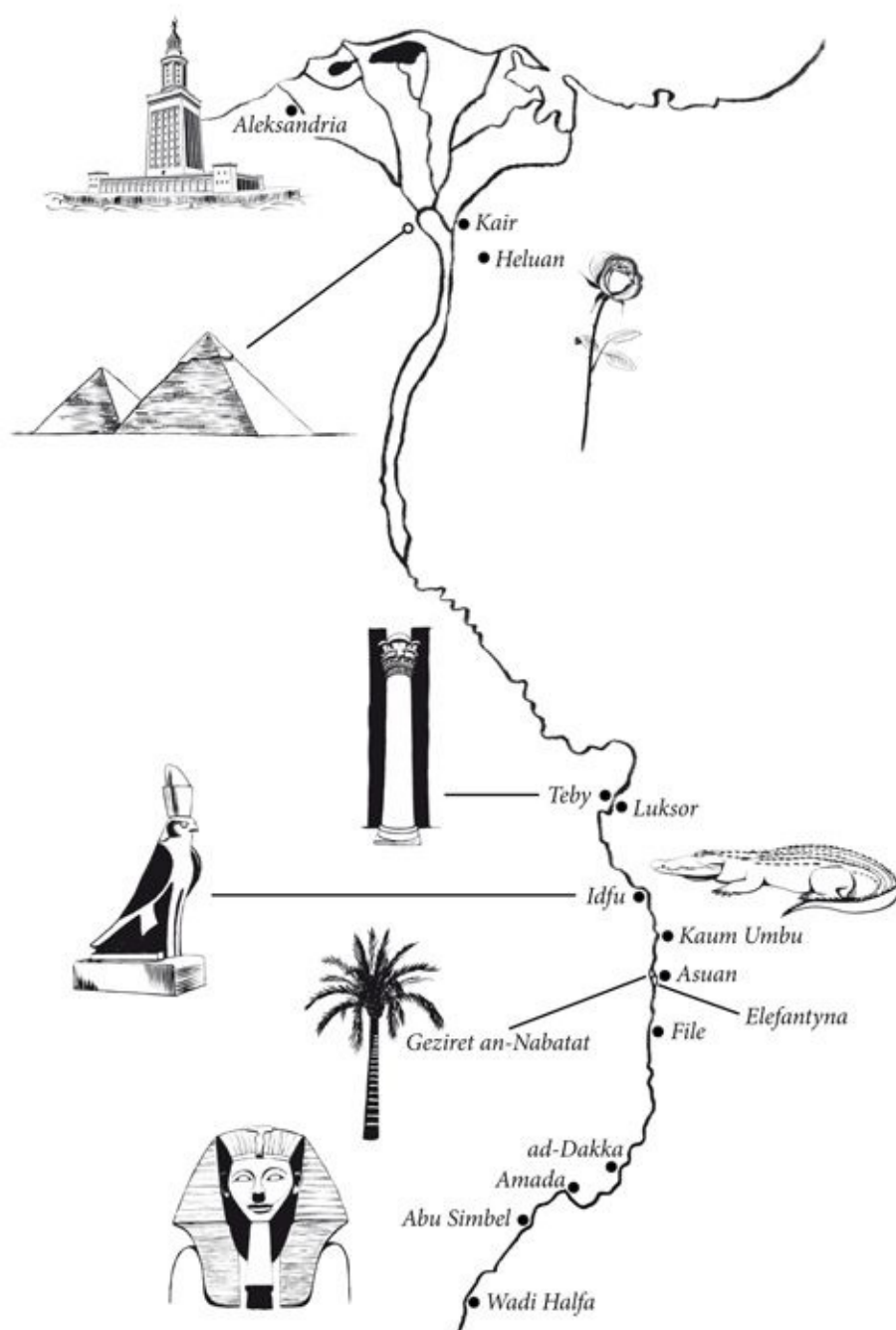
Joachim uczy mnie arabskiego:

dzień dobry – *salam alejkum*

do widzenia – *maasalama*

dziękuję – *szokran*

nie – *la* (Arabowie powtarzają to śpiewnie wiele razy, klaskając przy tym językiem)



tak – *ajła*

OK – *meszi*

no, dalej – *jalla* (częste u Sienkiewicza!)

nie rozumiem – *misz fahma*.

A ja uczę go polskiego. Dużo już umie.

Joachim zna też suahili. Nauczył się go podczas studiów w Berlinie, gdzie poznał kilku Murzynów Bantu. Niemiecka Afryka Wschodnia, skąd pochodzili, była niezwykle kolonią: Niemcy gospodarowali w niej tak umiejętnie, że przynosiła wielkie dochody, a jednocześnie tubylcy byli do nich dobrze nastawieni. W czasie wojny światowej Murzyni walczyli po stronie Niemiec. Kampanią dowodził generał Paul von Lettow-Vorbeck. W 1914 roku w bitwie pod Tangą pokonał ośmiokrotnie liczniejsze siły Anglików, a potem rozpoczął wojnę partyzancką. Był niezwyciężony. Poddał się dopiero dwa tygodnie po zawieszeniu broni w Europie, gdy dotarła do niego wiadomość, że wojna się skończyła. Nie zdezerterował ani jeden askarys, czyli czarny żołnierz. Niemcy cenili lojalność i dobrych żołnierzy, dlatego oddziały von Vorbecka jako jedyne z cesarskiej armii dostały zaszczytu przejścia przez Bramę Brandenburską w paradzie zwycięstwa i Republika Weimarska wszystkim przyznała pensje. Do dziś w Tanganice, należącej teraz do Anglii, pamięta się Niemców i dobrze ich wspomina. A na końcu Joachim powiedział, że miesięczny żołd askarysa wynosił półtora marki. I wtedy przestałam cokolwiek rozumieć.

### **30 sierpnia, wtorek**

Dotarliśmy do Abu Simbel, południowej bramy Egiptu. Kilka razy byłam w British Museum w dziale starożytności. Widziałam greckie wazy, asyryjskie byki z budzącym dreszcz rysem okrucieństwa i egipskie freski, na pozór łagodne, często jednak przedstawiające rzędy jeńców, obcięte głowy i stopy uciętych rąk. Z lekcji historii starożytnej wiedziałam o potędze Egiptu. Ale na widok czterech olbrzymich posągów Ramzesa zaparło mi dech. Czułam się jak mrówka. Każdy wróg czy przyjaciel Egiptu tak właśnie miał się poczuć, gdy przekraczał jego granicę. Na ścianach komór wykutej w litej skale świątyni namalowano historię egipskich zwycięstw. To na wypadek, gdyby na kimś posągi faraona nie zrobiły odpowiedniego wrażenia.

Potem była jeszcze świątynia w Amadzie, Dolina Lwów, czyli aleja sfinksów prowadząca do świątyni Wadi as-Subu, i ad-Dakka z grobowcem wicekróla Nubii z czasów Ramzesa VI.

Jestem tym wszystkim tak oszołomiona, że w czasie kolacji nie mogłam jeść. Babcia nawet się zaniepokoiła, czy nie mam gorączki.

Po raz pierwszy dotknąłem wargami jej skóry. Moja wdzięczność dla tego, kto wymyślił bruderszaft, nie ma granic. Pocałowałem ją. Piliśmy razem szampana. Jesteśmy na ty.

Gdybym mógł, wstrzymałbym maszyny i wody Nilu, by nie niosły nas tak szybko. Chciałbym, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła. Gdy wieczorem panie idą do swojej kabiny, jeszcze długo siedzę na pokładzie, przebiegając w myślach cały dzień i utrwalając sobie w pamięci każdy szczegół związany z Zazulką. Sposób, w jaki leciutko przechyla głowę, gdy mnie o coś pyta. Ruch, jakim odsuwa z czoła złoty loczek. Lekkie przymrużenie oczu, gdy nad czymś się zastanawia.

Mam oczy i serce pełne jej śmiechu, jej ruchów, jej spojrzeń, jej słów.

### **31 sierpnia, środa**

Wczoraj z natłoku wrażeń nie mogłam zasnąć. Wierciłam się w łóżku i w końcu babcia kazała mi się ubrać i pospacerować po pokładzie albo napić się herbaty. Okazało się, że Joachim też nie spał. Palił papierosa na leżaku. Na mój widok wrzucił go do wody. Czerwony łuk od pokładu do Nilu.

Dziwne uczucie ogarnia człowieka, gdy statek płynie w kompletnych ciemnościach. Czasem wyłaniał się z nich zarys lasu palmowego albo gdzieś daleko błyskało pojedyncze światełko. Nic, tylko szum wody i maszyn. Ciaśniej owinęłam się szalem. Joachim to zauważył i zaprosił mnie do baru. Nie chciałam wyjaśniać, że to dreszcz lęku przed nieznanym, nie zimno.

Byłam jedyną kobietą w barze. Oprócz nas siedziało w nim trzech Anglików. „Nie rozmawiają z sobą – powiedziałam. – Widocznie nie zostali sobie przedstawieni”.

Joachim roześmiał się głośno. Jeden z Anglików powoli złożył gazetę i wyszedł.

„A my, czy zostaliśmy sobie przedstawieni?”

Od razu zrozumiałam, co miał na myśli. Czemu nie? Jest przecież tylko o kilka lat ode mnie starszy. „Nie pamiętam. Tak na wszelki wypadek, mam na imię Zuzanna”.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. „Joachim. Bruderszaft?”

Kiwnęłam głową.

„Ale... czy mogę ci mówić Zazulka?”

To zdrobnienie wymyśliła Justyna. Mówiła na mnie także „Gzegzółka”.

„Skąd pan... To znaczy: skąd znasz...”

„Twoja babcia tak się kiedyś do ciebie zwróciła. Spytałem ją potem, co to znaczy. Powiedziała, że kukułka albo biedronka. Urocze”.

Milczałam. Chybabym nie chciała, żeby Joachim tak do mnie mówił.

„Albo nie – wycofał się. – Wolę po prusku: Gegule”.

„Okej”, uśmiechnęłam się z ulgą.

Joachim zamówił szampana. Jak to fantastycznie być dorosłą i pić szampana, w dodatku w barze i na Nilu!

Wypiliśmy, a potem ucałowaliśmy się w policzki.

„Marzyłem o tym, odkąd cię zobaczyłem”.

„Od samego Port Sudanu? To czemu nic pan... to czemu nic nie mówiłeś?”

„Odkąd cię zobaczyłem w domu, w Schönwalde”.

Buzia sama mi się otworzyła ze zdumienia. To on mnie tam zauważył? Chciał mi mówić po imieniu? Byłam pewna, że widzi tylko Emily. „Niemożliwe – palnęłam. – Przecież ja mam warkocze”.

Znów głośno się roześmiał.

„Wiem. Musisz mi obiecać, że nigdy ich nie obetniesz”.

Nic z tego nie rozumiem.

---

## 1.09

Chciałbym już nigdy się z nią nie rozłączać. Kocham ją. Chciałbym, żeby została moją żoną.

---

### ***Asuan, 2 września, piątek***

Piątek to egipska niedziela. Babcia odpoczywa w kajucie po zwiedzaniu File i Elefantyny, a mnie Joachim zaprosił do ogrodu botanicznego. Ogród jest na wyspie nazwanej od nazwiska jego założyciela Wyspą Kitchenera albo Geziret an-Nabatat – Wyspą Roślin. Na przystani długą chwilę czekaliśmy na felukę. Widok na Nil jest urzekający.

Gdy feluka przybiła do brzegu wyspy, zobaczyłam gąszcz palm, a wśród nich zupełnie niezwykle: z pniami w białe pasy. Wyglądały tak, jakby je pomalował jakiś szalony ogrodnik.

Euforbie, które u nas hoduje się w doniczkach, mają rozmiary krzewu. Jest tu także mnóstwo ptaków i kotów. Usiedliśmy na kamiennym murku i w milczeniu patrzyliśmy to na ogród, to na Nil. Bałam się, że bruderszaft coś między nami popsuje, ale na szczęście tak się nie stało. Lubię Joachima. Gestem pokazał mi ibisa, a potem grzbiet pływającego krokodyla. Gdy się wstrząsnęłam, zacytował Herodota. Oczywiście w szkole czytałam *Dzieje*, ale prawie niczego nie umiem na pamięć. „Jeżeli zaś znajdą kogoś, czy to z Egipcjan, czy z cudzoziemców, kto zginął porwany przez krokodyla, muszą go



mieszkańcy tego miasta, przy którym został wyrzucony na ląd, zabalsamować i pochować w świętych grobach. Sami kapłani Nilu własnoręcznie go grzebią, jak gdyby był czymś więcej niż trupem człowieczym”.

### **3 września, sobota**

Herbata w Old Cataract Hotel, gdzie Agatha Christie napisała *Death on the Nile*. Joachim bardzo ładnie się znalazł: podarował babci egzemplarz.

---

### **3.09**

Patrzyłem, jak Zazulka szkicuje widok z werandy Old Cataract Hotel. Nagle poczułem na sobie czyjś wzrok. Pani von Ch. przyglądała mi się uważnie. Zmieszałem się. Wtedy ona z lekkim uśmiechem skinęła głową. Wie wszystko i sprzyja mi.

---

### **4 września, niedziela**

Za nami Kaum Umbu ze świątynią poświęconą Sobkowi i z mumiami krokodyli oraz Idfu ze świątynią Horusa, przed nami starożytne Teby.

W Kaum Umbu Joachim, który nie rozstaje się z Herodotem, przeczytał nam fragment *Dziejów*:

Krokodyl taką ma naturę: Przez cztery najcięższe miesiące zimowe nie je nic, a chociaż jest czworonogiem, żyje zarówno na lądzie, jak i w wodzie. Z wszystkich zaś stworzeń, jakie znamy, to stworzenie z najmniejszego staje się największym. Składa bowiem jaja niewiele większe od gęsich, a pisklę jest na miarę jaja, rosnąc jednak dochodzi do długości siedemnastu łokci i jeszcze więcej. Ma oczy świni, kły wielkie i wystające. Języka z natury nie posiada, jedyne z wszystkich zwierząt. Ma potężne szpony, a na grzbiecie nieprzepuszczalną skórę z łusek. W wodzie jest ślepy, ale na wolnym powietrzu widzi bardzo bystro. Ponieważ zaś przebywa w wodzie, więc jego paszcza wewnątrz cała jest pełna owadów.

Otóż dla jednych Egipcjan krokodyle są święte, dla innych zaś nie i traktują je jak wrogów. Jedni też i drudzy hodują z wszystkich krokodyli jednego, który jest tak wytresowany, że można go dotykać ręką: wkładają mu do uszu kolczyki szklane i złote bransolety na przednie nogi; dają mu przepisane jadlo i zwierzęta ofiarne i pielęgnują go jak ludzi, co najwspanialej żyją; a kiedy zdechnie, balsamują go i grzebią w świętej komorze.

---

#### 4.09

Jestem w Egipcie. Marzyłem o tej podróży. A teraz widzę tylko ją.

---

#### ***Luksor, 5 września, poniedziałek***

Gdy Amon-Re odwiedzał swoją żonę Mut, kapłani ciągnęli po Nilu barkę z jego posągiem, a do swej świątyni wracał w uroczystej procesji trzykilometrową aleją sfinksów.

Nie potrafię opisać tego miejsca: lasu pokrytych inskrypcjami kolumn, posągów z różowego i czarnego granitu, obelisku królowej Hatszepsut, świętego jeziora, długich szeregów kamiennych lwów z ludzkimi i baraniami głowami. Do tego trzeba pióra Homera.

Gdy wracaliśmy na statek, Joachim skręcił w wąską uliczkę. Schodziliśmy w stronę Nilu między niskimi bielonymi domami z mułowych cegieł, krytymi trzcina. U wylotu ulicy był gaj pomarańczowy. Zielone i żółtawe owoce lśniły wśród liści. Zakurzoną ścieżką zbliżał się Arab w białym zawoju, siedzący na stosie trzciny cukrowej przywiązanej do grzbietu osła. Wszędzie unosił się kwaśny zapach palonego krowiego łajna i smażonych ryb zmieszany z korzennogorzka wonią pomarańczy. Patrzyłam, patrzyłam, potem zamknęłam oczy i starałam się zapamiętać tę chwilę na zawsze.

---

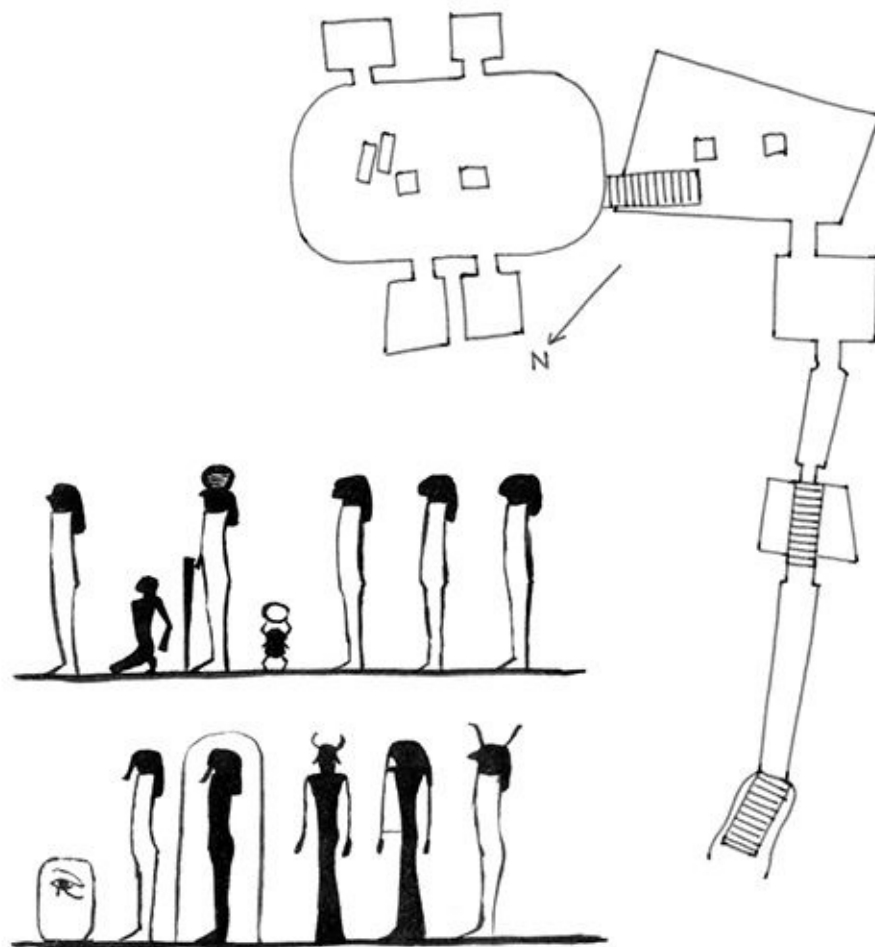
#### 5.09

Dałem boyowi napiwek, a potem oparłem się o reling i chowałem portfel do kieszeni. Usłyszałem cichy stuk. Z portfela wypadł mi talizman od Almaz. Patrzyłem na hebanową figurynkę leżącą na deskach pokładu. Statek drgnął i zakołysał się. Talizman poturlał się po pokładzie i wpadł do wody. Nie zrobiłem nic, by temu zapobiec.

---

#### ***6 września, wtorek***

Na zachodnim brzegu Nilu witają przybysza kolosy Memnona, dalej jest świątynia kobiety-faraona Hatszepsut, a jeszcze dalej, pod skałą w kształcie piramidy, Dolina Ciszy, pilnowana przez boginię Uadzyt przedstawianą pod postacią kobry.



Byłam w grobowcach Ramzesów II, III, V, VI i IX, Amenhotepa III i oczywiście Tutenchamona. Jednak największe wrażenie zrobił na mnie grób Tutmosisa III, władcy, który rozszerzył panowanie Egiptu do IV katarakty. Wejście do grobu Tutmosisa jest umieszczone wysoko na półce skalnej. Trzeba się wspiąć po drewnianych schodach, przypominających raczej drabinę, potem przejść długi korytarz, pochylnię stromo opadającą w dół, komorę i zapadnię, która na szczęście jest nieczynna i zastąpiono ją mostkiem. Dochodzi się do wielkiej komory z dwoma kolumnami. Grób zakręca tu w lewo pod kątem prostym – w ścianie jest przejście, kiedyś ukryte, do bardzo stromego korytarza, przypominającego szyb windy. Kiedyś i tu na rabusiów czyhały pułapki. Dopiero za nim jest wielka komora grobowa z czterema małymi, bocznymi. Znajduje się ona na poziomie doliny, grobowiec schodzi więc kilkadziesiąt metrów w dół. I mimo to został splądrowany już w czasach starożytnych. Nigdy wcześniej nie widziałam takich fresków jak w nim.

„Śmierć na prędkich skrzydłach dosięgnie tego, kto zakłóci spokój faraona”.

Jest coś nieprzyzwoitego w naszym wdzieraniu się w tę ciszę, we wchodzeniu do grobów – z czystej ciekawości. Między rozgrzаныmi (mimo porannej godziny) skałami czułam się trochę nieswojo. Wnętrza grobowców mizernie oświetlone, duszne. Tak, historie przedstawione na ścianach są porywające, lecz czy to nas usprawiedliwia? Na pewno jednak nic nie usprawiedliwia takich atrakcji dla Europejczyków jak prezentowanie mumii. Na statku pustki, bo większość pasażerów

pojechała dorożkami na pokaz, który ma się odbyć w drewnianym baraku przy wejściu do Doliny Królów: otwieranie trumien i odwijanie mumii z bandażu. W British Museum są ludzkie mumie i gapiłam się na nie jak inni, kompletnie bezmyślnie. Wstrząsnął mną dopiero obciążony wysuszoną czarną skórą szkielet wciśnięty do skrzynki-trumny bez wieka. Ludzie stali przy szybie i pokazywali go sobie palcami, tak jakby to był wykopany z ziemi korzeń, a nie szczątki człowieka takiego jak my.

---

#### 6.09

Gdybym mógł, zabiłbym tego Araba, który przestraszył Zazulkę! Z przyjemnością rozwaliłbym mu deską ten zakuty łeb!

Inna dziewczyna na jej miejscu umarłaby ze strachu, a ona drżącym głosem zdobyła się na żart, a potem rozmawiała ze mną o Herodocie, chociaż cała się trzęsła. „Nie pamiętam historii o skrzydlatych węzach, ale pamiętam to, że w Libii żyją ludzie z psią głową i tacy, którzy mają oczy na piersi, i że mowa Etiopczyków przypomina brzęczenie nietoperzy”.

Wybacz mi, Almaz. Nie mogłem jej powiedzieć, że twój głos przypomina gęsty, prawie czarny miód od leśnych pszczół z mojej ojczyzny.

---

#### *Na Nilu, 7 września, środa*

Dostałam od Joachima talizman: dwie spinki do włosów z oczami Horusa. Prawe oko to słońce, lewe – księżyc. Mają mnie chronić i przynieść mi szczęście.



Wczoraj po południu siedzieliśmy we troje pod płócienną płachtą rozciągniętą nad pokładem. Babcia rozmawiała z Joachimem, a ja czytałam *Death on the Nile*, słuchając ich jednym uchem. Dyskusja stawała się coraz gorętsza.

„Z całym szacunkiem. Nie traktowałbym tego tak serio. To tylko retoryka, która ma

usatysfakcjonować partyjnych radykałów”.

„A jeśli Hitler zrobi to wszystko, co mówi, że zrobi?”

„No właśnie: mówi. To tylko słowa”.

„Słowa są ważne”, upierała się babcia.

Żał mi się zrobiło Joachima. „Może pójdziemy na spacer?”, zaproponowałam.

„Idźcie sami. Dla mnie za gorąco”, odrzekła babcia.

Chciałam jeszcze raz zobaczyć las tebańskich kolumn. Chodziliśmy między nimi, rozmawiając leniwie. Muskałam dłonią inskrypcje i wyobrażałam sobie pochód odzianych w białe szaty kapłanów z ogolonymi głowami, niosących złotą barkę Amona podczas święta Opet.

Zza grubej kolumny wysunął się Arab z workiem w ręku. Powiedział coś, Joachim z daleka krzyknął po arabsku: „La! La! La! La!”, a Arab wytrząsnął z worka kobrę wprost pod moje nogi. Wrzasnęłam ze strachu. Wąż przez moment wił się u moich stóp, potem uniósł głowę i zaczął nią kołysać. Rozłożył kaptur. Sucho zachchręściły łuski.

Nie mogłam zrobić kroku. W tym momencie zrozumiałam, co czuje królik, który nie ucieka, gdy podpełza do niego żmija. Nagle poczułam szarpnięcie. To Joachim chwycił mnie na ręce, odbiegł kilkanaście kroków, postawił mnie na murku. Patrzyłam, jak odrywa deskę ze stojącego obok rusztowania, a potem usłyszałam głuchoe odgłosy uderzeń. Joachim odrzucił deskę, chwycił Araba za galabiję i szarpnął, aż rozdarł mu ją na piersiach. Potem wyrwał mu z ręki worek, cisnął go na ziemię i podeptał. Cały czas krzyczał coś po arabsku.

Stałam tam, gdzie mnie postawił, jakbym wrosła w mur. Przerażony Arab jęczał i machał rękami. Podniósł z ziemi zmiażdżoną głowę węża i coś tłumaczył z płaczliwą nutą w głosie. W końcu Joachim wyszarpnął portfel z kieszeni marynarki, wyjął kilka banknotów i rzucił je na ziemię. Arab opadł na kolana i zaczął je zbierać.

Joachim wyniósł mnie na rękach na plac przed świątynią, gdzie stało kilka dorożek. Cała się trzęsłam.

„Nie miała zębów jadowych. To tańcząca kobra”, szeptał uspokajająco.

Powoli przychodziłam do siebie. Ogarnął mnie wstyd, że okazałam się takim tchórzem. Tymczasem Joachim mówił dalej, jakby nigdy nic: „Murzyni uważają pojawienie się węża za dobry omen, bo wierzą, że w tej postaci ukazuje się im duch przodka. A wiesz, skąd się wzięła wrogość między ludźmi i wężami? Podczas stwarzania świata wąż ukradł skóry przeznaczone dla ludzi i teraz jest nieśmiertelny, bo może zmieniać skórę, a ludzie nie mogą i umierają”.

„Ten raczej nie był nieśmiertelny”, wydusiłam z siebie. Głos na szczęście prawie mi nie drżał.

„Bo to wąż egipski, a więc mało afrykański. Gdy ci pokażę prawdziwą Afrykę... – urwał nagle. – A pamiętasz tę historię o skrzydlatych wężach u Herodota? Tych, które pilnują drzew rodzących kadzidło. Wiosną wielkimi stadami przylatują z Arabii do Egiptu, a na górskich przełęczach zastępują

im drogę ibisy i nie przepuszczają ich, tylko zadziobują”.

„Nie, tego nie pamiętam. Pamiętam tylko to, że w Libii żyją ludzie z psią głową i ludzie bez głowy i że Etiopczycy mówią językiem podobnym do brzęczenia nietoperzy. Spotkałeś takich w prawdziwej Afryce?”

---

**7.09**

Kupiłem Zazulce spinki z oczami Horusa, bo miałem nadzieję, że pozwoli mi wpiąć je sobie we włosy. Pozwoliła i mogłem dotykać jej włosów.

---

***Kair, 10 września, sobota***

Dziś pierwsza wrześniowa pełnia – księżyc zniwiarzy. Niedługo zacznie się wylew Nilu. Siedzę na werandzie willi el-Nil i patrzę na rzekę, ogrody Tahrir i miasto.

„Kair jest matką świata”.

---

**11.09**

Po śniadaniu pani von Ch. podała mi dwa numery „Timesa”. W jednym był artykuł wzywający Czechów do oddania nam Kraju Sudeckiego, w drugim – oświadczenie Roosevelta, że jeśli zajmiemy Sudety, Ameryka zachowa neutralność, oraz cytat z przemówienia Göringa, który w Norymberdze nazwał Czechów „nędzną rasą pigmejów”.

„I co ty na to?”, spytała, gdy skończyłem czytać.

„Pigmeje są znakomitymi myśliwymi. Jeśli Czesi rzeczywiście są do nich podobni, to nie pójdzie nam z nimi tak łatwo jak z Austriakami”, usiłowałem zażartować.

„Nam?” Skrzywiła się i odeszła.

Uświadomiłem sobie nagle, że do każdej książki hotelowej wpisywała się jako Jadwiga, nie Hedwig.

---

## **12 września, poniedziałek**

Wszystko tu jest inne – widoki, zapachy, ludzie. Kair jest jak z baśni z tysiąca i jednej nocy, a jednocześnie jest wielki, hałaśliwy i brudny.

Dziś Joachim zaprosił nas na obiad. Jechaliśmy zatłoczoną uliczką. Po prawej ciągnął się mur w kolorze ochry, po lewej był rząd domów, bez okien od ulicy. Dorożka stanęła koło niepozornej bramy w ochrowym murze. Joachim pociągnął za metalową rączkę, brzęknął dzwonek. Brama się otworzyła, odźwierny przywitał nas niskim ukłonem. Dalej był przedsionek wyłożony ciemnobłękitnymi kaflami, następna brama, z kutego żelaza. I rajski ogród, pełen drzew, kwiatów i śpiewu ptaków.

Siedzieliśmy na chłodnym krużganku. Babcia rozmawiała z Joachimem, ja milczałam. Nie mogłam oderwać wzroku od otoczonego irysami basenu z liliami wodnymi, lotosami i małą fontanną, od pękatych kaktusów, od kwiatów, których nazw nie znam, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy.

Po murach śmigają małe jaszczurki. Z kępy żółtych lili bezszelestnie wysunął się biały kot, przysiadł na brzegu basenu i pił wodę.

Słońce zachodziło, ogród powoli przykrywał chłód wieczoru. Usłyszeliśmy daleki śpiew muezina. „Jesteś dziś milcząca, *mein Schatz*”, powiedziała babcia.

Joachim lekko dotknął mego ramienia. „Jak to w kościele. – Uśmiechnął się. – Ogród to miejsce święte”.

---

12.09

Patrząc na Zazulkę, przypomniałem sobie, że boginią ogrodów była Wenus.

---

## **15 września, czwartek**

Do Gizy z Kairu prowadzi piękna promenada wysadzana drzewami. Turkoczą koła dorożek, pod koronami jest przyjemnie chłodno, a między pniami migają trójkąty piramid. Piramidy, pozbawione zewnętrznych płyt – ich resztką ostała się tylko na czubku piramidy Chefrena – z bliska wyglądają jak stos niedbale ułożonych kamiennych bloków. Cud, że to się trzyma. Gdy wdrapywałam się na górę, zrozumiałam fragment starego przewodnika, który kiedyś znalazłam w bibliotece Ojca. Emily Beaufort opisała w nim, jak z pomocą trzech Arabów wspinała się na piramidę. „Mam radę dla mych rodaczek: pozwólcie się podsadzać, a krynolinę zostawcie w Kairze”.

Największym rozczarowaniem było dla mnie to, że piramidy w środku są puste. Atrakcją są po prostu one same.

Kair to nie tylko sfinks, piramidy i Muzeum Egipskie. To także lektyka z arabską panną młodą między dwoma wielbłędami i karawana wioząca jej wyprawę, tańczący derwisze, ogromny *suk*, sprzedawca syropu lukrecjowego, uliczny pisarz z pulpitem piszący list dyktowany przez zakwefioną kobietę, mężczyźni palący nargile i grający w tryktraka, rogaliki w cukierni Groppiego, kawa w Kawiarni Lustrzanej, pies śpiący na skraju zakurzonej drogi. Kobiety w czarnych szatach, z zakrytymi twarzami. Matki, żony i siostry, którymi mężczyźni się opiekują i których honoru bronią. Pozostałych nie muszą szanować.

Ludzie tu biorą to, co się wydarza, nie planują, nie spodziewają się wiele od losu. *Inszallah*.

---

16.09

Zazulka nie dała mi żadnego znaku i nie wiem, czy zauważa moje zabiegi. Jest taka niewinna, taka dziewicza.





Nie mogłem jednak dłużej odkładać tej rozmowy. Choć mamy wiek dwudziesty, o rękę Zazulki poprosiłem nie ją, lecz jej babcię. Tak jak myślałem, niczego nie musiałem jej tłumaczyć.

„Ona bardzo cię lubi. Ale musisz być cierpliwy”.

„Mój brat czekał na swą wybrankę dziesięć lat – powiedziałem, choć wcale mi się nie uśmiecha takie długie czekanie. – Cierpliwość to nasza rodzinna cecha”.

„Może przyjedziesz do nas, do Krakowa, na następny urlop?”

„Z radością. Tylko że to będzie za dwa lata. W sierpniu czterdziestego roku kończy mi się kontrakt i dopiero wtedy przyjadę do Europy”.

„Może to i lepiej? Przez ten czas Zuzia dorośnie, a jeśli będziesz do niej często pisać, to wasza przyjaźń się zacieśni”.

„Właśnie miałem prosić, by mi pani na to pozwoliła. Bardzo dziękuję”.

„Joachimie, gdyby to ode mnie zależało, z radością już dziś oddałabym ci jej rękę. Ale to ona musi cię pokochać i nie wyobrażać sobie życia bez ciebie. Głęboko wierzę, że przyjdzie taki dzień”.

Oby to były prorocze słowa!

---

### ***17 września, sobota***

Heluan. Balsamiczne powietrze. Piękne wille. Ogrody. Róże. Palmy daktylowe, drzewa figowe, pomarańczowe, mandarynki, granaty. Akacje o czerwonych kwiatach. Tak, Heluan jest piękny.

### ***19 września, poniedziałek***

Żegnam się z Kairem. Jak mówi babcia, trzeba być przygotowanym na to, że wszystkie dobre rzeczy kiedyś się kończą.

Kupiłam sobie na targu a'aisz – egipski chleb w formie płaskiego placka. Jeszcze ciepły, z chrupiącą skórką, puszysty w środku. Zjadłam pół, a resztą chciałam poczęstować wielbłąda. Na migi spytałam jego właściciela, czy mogę. Uśmiechnął się szeroko, pokazując resztki brązowych zębów. Wielbłądy jedzą inaczej niż konie – w inny sposób poruszają szczęką i okruchy wysypują się im z pyska. Arab podstawił ręce, by ani kawałeczek chleba nie spadł na ziemię, i potem dał okruchy wielbłądowi. Przypomniała mi się pani Rozalia z Poronina, która gdy kroi chleb, zawsze zgarnia okruchy i posypuje nimi kromkę.

### ***Aleksandria, 24 września, sobota***

Wychodzimy z portu. Chcemy powtórzyć trasę podróży Rodziców i płyniemy do Triestu.

Trudno nam było rozstać się z Joachimem. Był wspaniałym dragomanem i towarzyszem podróży. Poświęcił dla nas całe swoje wakacje. Babcia zaprosiła go do Krakowa – w przyszłym roku nie

przyjedzie do Europy, umówiliśmy się więc na sierpień albo wrzesień 1940. Zapytał, czy może do mnie pisać. Zgodziłam się i obiecałam, że mu odpiszę.

Smutno mi, Boże!  
Dla mnie na zachodzie  
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;  
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie  
Gwiazdę ognistą...  
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,  
Smutno mi, Boże!

Pod tym wierszem Słowacki zanotował: „Pisałem o zachodzie słońca na morzu przed Aleksandrią”.

---

24.09

Stałem w porcie, dopóki statek nie zniknął za horyzontem. Czuję się tak, jakby jakaś część mnie odpływała tym statkiem, zostawiając w moim ciele wyrwaną krwawiącą dziurę.

---

### ***Morze Śródziemne, 25 września, niedziela***

Jeszcze raz czytam listy, które czekały na mnie w Kairze. Od Carli, od Renate, dwa od Wiery, a przede wszystkim gruby list z Rózan – z plikiem fotografii! Do Piotra przyjechał daleki kuzyn z Chicago i fotografował wszystko i wszystkich. Hanka przysłała mi kilkanaście odbitek. Mam zdjęcie Piotra.

---

25.09

Żeby nie myśleć o rozstaniu z Zazulką, wyruszyłem do miasta na poszukiwanie płyt. W Kairze udało mi się kupić dwa patefony firmy Pathé Frères. Ten drugi dam Jensowi w prezencie świątecznym. Kupiłem też kilkanaście płyt – wszystkie, które miał sprzedawca. Tanga, walce, arie z *Czarodziejskiego fletu* (z tego ucieszyłem się najbardziej), Beethoven. W Aleksandrii trafiłem na prawdziwy sklep płytowy – kupiłem wszystkie, to znaczy dwadzieścia osiem, nawet nie patrząc, co na nich jest. Arabski sprzedawca spytał, czy mam patefon, bo jeśli nie, to spróbuje go sprowadzić

z Kairu. „Choć to trudne i może się okazać, że ze względu na koszt przewiezienia tak delikatnego urządzenia dołożę do interesu”. I podał cenę trzy razy większą niż ta, za którą kupiłem patefon w Kairze.

**26 września, poniedziałek**

Muszę się przyznać, że brakuje mi Joachima. Trochę nawet za nim tęsknię. Troszeczkę.

**1.10, DAR ES SALAAM**

Odebrałem pocztę swoją i Jensa. Czytam gazety i włosy jeżą mi się na głowie. Powszechna mobilizacja w Czechosłowacji, częściowa w Anglii i Francji.

# Niemcy dostają całe Sudety.

Część ziem sudeckich obsadzi Rzesza już w sobotę 1 października.

---

## Załatwienie żądań Polski i Węgier warunkiem gwarancji nowych granic czeskich.

Monachjum, piątek 30 września.

(ch) Niemieckie Biuro Informacyjne donosi, że w nocy na piątek o godzinie 0.30 podpisali: kanclerz Hitler, Mussolini, premier angielski i francuski układ o warunkach i sposobie odstąpienia obszaru sudeckiego Niemcom.

Monachjum, 30 września.

(L) Zasadnicza ugoda w sprawie Czechosłowacji osiągnięta pomiędzy prem. Chamberlainem, prem. Daladierem, kanclerzem Hitlerem i Mussolinim przewiduje:

1) Pomiędzy 1 i 10 października nastąpi progresywna ewakuacja okręgów sudeckich zamieszkałych przez większość niemiecką, oraz ich przekazanie władzom niemieckim.

Ewakuacja i przekazanie powyższych terytoriów odbędzie się pod kontrolą komisji międzynarodowej.

2) Specjalna komisja międzynarodowa w której skład obok Anglii, Francji, Niemiec i Włoch wejdzie również Czechosłowacja wyliczy najpóźniej do końca listopada przyszłe granice Czechosłowacji.

Zadaniem tej komisji będzie załatwienie i innych spraw, związanych z przekazaniem kraju, a w szczególności spraw gospodarczych i finansowych.

Tematem dalszych rozmów, które ukończyły się dopiero po północy, była sprawa niemieckich gwarancji politycznych, które premier Daladier i Chamberlain usiłowali uzyskać dla nowej Czechosłowacji. Według informacji ze źródeł francuskich wysiłki prem. Daladiera i Chamberlaina spotkały się z zastrzeżeniami Mussoliniego i Hitlera, którzy uważają, że warunkiem zagwarantowania granicy nowej Czechosłowacji musi być uprzednie załatwienie rewindykacji Polski i Węgier.

# Polsko-czeskie rokowania bezpośrednie

Nowa konferencja czterech, jeśli do 3 miesięcy nie dojdzie do ugody.

Monachjum, 30 września (ch). Deklaracja dodatkowa do układu w sprawie Czechosłowacji brzmi:

Szefowie rządów czterech mocarstw oświadczają, że zagadnienie mniejszości polskiej i węgierskiej, o ile nie zostanie w ciągu trzech miesięcy uregulowane przez umowę między odnośnymi rządami, będzie przedmiotem dalszego rech. mocarstw.

## Plebiscyt?

Po zakończeniu obrad krążą tutaj wieści, że problem mniejszości polskiej i węgierskiej ma być rozwiązany w drodze plebiscytu.

# Świat szaleje z radości — nie będzie wojny!

(Od naszego korespondenta politycznego).

Paryż, 30 września.

(L) W atmosferze nieprawdopodobnej radości z powodu uratowania pokoju, a równocześnie w prawdziwym chaosie pojęć, jaki opanował koła polityczne i parlamentarne zarysowuje się tutaj duża wyrazistość wszystkich czynników przeciwnych polityce międzynarodówk. Ofensywa ta w najbliższej przyszłości może

**doprowadzić do prawdziwego przewrotu we Francji.**

Prasa poranna i wieczorna obwieszcza rezultaty konferencji w Monachium afiszowymi czcionkami: **Pokój uratowany!**

Francuzi, którzy jeszcze 4 dni temu **gotowi byli akceptować wojnę, tracą nagle głowę z radości, że pokój został uratowany.**

Premier Daladier witany był popołudniu na lotnisku Le Bourget, a następnie na ulicach Paryża jako **triumfator**, który powraca do kraju po osiągnięciu najwspanialszych sukcesów.

Kiedy samochód wiozący Daladiera przejeżdżał przez Paryż, **ulice zalegały nieprzejrzaną tłumy.** Kobiety obrzucały premiera kwiatami, **okrzykiem i wiwatom nle było końca.**

Czy Francja, a może i Europa, rozpoczyna dziś rzeczywiście jakiś **nowy okres?**

Olbrzymia większość Francuzów myśli tego piątku, że tak jest istotnie. — Dzień przypomina

**historyczne godziny zawieszenia broni.**

Tylko poszczególni pesymiści rozprószeni na lewicy i prawicy zapytują nieśmiało co jest właściwie przyczyną tak wielkiej radości:

„Hitler zażądał Sudetów — mówią oni. Odpowiedzieliśmy, że mu **nle damy.** Hitler zagroził, że weźmie siłę. Odpowiedzieliśmy, że z Czechosłowacją wiążę nas sojusz i że **sojusz ten wypełnimy.** — Hitler zabiera dzisiaj to co chciał, a my szalejemy z radości!”

Opinię mniej więcej taką ośmielił się dziś wypowiedzieć nacjonalista Kerillis w „Epoque”. Głos jego i kilku lamentujących komunistów **ginie jednakże w powszechnym entuzjazmie.** Bohaterem dnia był tego piątku — rzecz niespotykana w dziejach trzeciej republiki — szef francuskiego rządu, który — jak to stwierdził sam Daladier wobec niemieckich dygnitarzy w Monachium — **wiezie do kraju „uratowany pokój i honor”.**

## Olbrzymią cenę zapłacono za pokój — mówią w Londynie.

(Telefonem od naszego korespondenta).

Londyn, 30 września.

Takiego entuzjazmu i radości na ulicach, jak dziś przed godziną 6 wieczór w czasie **iącie triumfalnego przejazdu Chamberlaina przez miasto, nie pamięta Londyn od czasu koronacji.**

Opuszczywszy samolot na lotnisku Cheston, premier angielski oświadczył, że **pakt monachijski jest tylko preludjum do szeroko pomyślanego planu pacyfikacji Europy.** — Chamberlain odczytał deklarację, podpisaną dziś w piątek w południe przez Hitlera i siebie.

Warto dodać, że według doniesień z Rzymu, piątkowa wieczorna „Giornale d'Italia” nazywa tę deklarację **angielsko-niemieckim paktem o nieagresji.**

Natychmiast po opuszczeniu samolotu wręczono Chamberlainowi list króla Jerzego. **Napór tłumów był tak olbrzymi, że policja musiała utworzyć kordon, ażeby oficjalne osobistości mogły powitać powracającego premiera.** Wzdłuż drogi wiodącej z lotniska publiczność ustawiona była w dziesięciu szeregach. „**Dziękujemy wam**”, „**zrobiliście to dobrze**” — i t. p. brzmiały napisy na niezliczonej liczbie transparentów.

**Problem demobilizacji wszystkich partnerów zainteresowanych w sporze czeskim nle był dyskutowany w Monachium.**

Chamberlain oświadczył jednak, że **naależy się spodziewać planowej demobilizacji,** gdyż jest to obecnie rzeczą zupełnie zrozumiałą.

Zbyt blisko jesteśmy wypadków o iącie historycznym znaczeniu, aby ocenić je w całej pełni. Faktem jest jednak, że **niemiecka teza o rowizji granic bez wojny zwyciężyła na całej linii.** Zwyciężyła również teza niemiecka o **konieczności wykluczenia konfliktów między Anglią i Niemcami,** co od początku głosił Hitler. Pokój został uratowany, ale jak słusznie zaznacza jedno z pism amerykańskich **zapłacono za niego cenę olbrzymią.** Rzesza zyskała wielki sukces dyplomatyczny nie tylko przez przybytek terenów bez jednego strzału, ale i przez obietnicę załatwienia **innych spornych problemów** drogą negocjacyj.

Z. Grabowski.

Cały wieczór słuchałyśmy wiadomości podawanych przez różne stacje. W Londynie premier Baldwin powiedział, że „umowa monachijska to tęcza, którą palec Boży zakreślił na niebie, obiecując ludzkości wybawienie od zagłady”.

Babcia, mówiąc o ugodzie zawartej w Monachium, powtarza słowa z przemówienia byłego brytyjskiego ministra wojny Winstona Churchilla, tego samego, który kazał użyć gazów trujących przeciwko ludności cywilnej w Iraku: „Mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę

także będą mieli”. Mam nadzieję, że ten okropny człowiek się myli i że wojny nie będzie. Jednak babcia kazała Marcysi zmienić letnie zasłony na grube, zimowe, bo nie przepuszczają światła. Gazety i afisze krzyczą wielkimi literami o OPL – obronie przeciwlotniczej. Jeszcze kilka dni temu nie miałam pojęcia, że coś takiego istnieje.

Przywódcy czterech państw podpisali układ dotyczący piątego, nieobecnego na konferencji. Węgry i Polska wykorzystały sytuację i kazały sobie zwrócić tereny zamieszkałe przez Polaków i Węgrów, ale leżące za granicą czeską. Babcia mówi, że to rozbiór i że nie powinniśmy byli do tego przykładać ręki. Ma rację, czy jednak uratowanie pokoju nie jest najważniejsze?

## Co każdy obywatel przygotować powinien na wypadek pogotowia O. P. L.

Wczorajsze artykuły poinformowały ogół społeczeństwa o sposobach zachowania się ludności cywilnej w wypadku pogotowia OPL.

Równie ważną rzeczą jest i to, aby nikt pogotowiem takim nie został zaskoczony, do czego konieczne jest poczynienie odpowiednich przygotowań.

Pogotowie może być zarządzane w bardzo krótkim czasie. Od chwili zarządzania pogotowia w przeciągu pół godziny każde dobrze zorganizowane miasto, każdy dobrze zorganizowany budynek, każdy odpowiednio przygotowany obywatel powinien umieć przystosować się do pogotowia O. P. L.

Do zasadniczych rzeczy, które na wpa

dek pogotowia każdy powinien już obecnie przygotować, należą:

- 1) grubszy ciemny papier, względnie koce, którymi można by zasłonić okna, aby światło nie przedostawało się na zewnątrz.
- 2) na strychach i podwórzach należy umieścić pewne ilości piasku, potrzebnego do gaszenia bomb. Należy również usunąć zbyteczne materiały łatwopalne.
- 3) Należy mieć w rezerwie lampy naftowe, względnie świece na wypadek wyłączenia światła elektrycznego.

O podstawowych tych rzeczach nie czas myśleć dopiero w chwili ogłoszenia pogotowia, które może być zarządzane np. w porze nocnej – ale bez względu na to należy je już obecnie przeprowadzić.

**II NADZWYCZAJNE WYDANIE** Cena 10 groszy

# ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY

Kraków, dnia 1 października 1938 r.

## Zaolzie nasze!

Warszawa, 1 października.

Według nieoficjalnych jeszcze, ale wiarygodnych wiadomości,

### **Polska otrzymuje dwa powiaty za Olzą.**

Powiat cieszyński zajęty będzie przez  
wojska polskie

**już w niedzielę.**

Chodzi tutaj o powiaty administracyjne cieszyński i frysztacki posiadające przygniatającą większość polską a obejmujące obszar ciągnący się wzdłuż linii kolejowej od Bogumina do Jabłonkowa.

**Cały żądany teren będzie obsadzony  
w ciągu dziesięciu dni.**

W ostatniej chwili wiadomość tą potwierdzają źródła oficjalne.

5.10, NGARA

Jens tak samo jak ja poruszony wydarzeniami w Europie. W Dar es Salaam i w Dodomie kupiłem wszystkie możliwe gazety. Czy świat naprawdę jest uratowany?

*5 października, środa*

Początek roku akademickiego. Inauguracyjny wykład wygłosiła Pani Dyrektor. Zaczęła tak: „Pierwszą i najważniejszą rzeczą w leczeniu jest pamiętanie o tym, że chory to przede wszystkim

człowiek. I jak każdemu człowiekowi, należy się mu szacunek, ma prawo do wstydu i prywatności, ma prawo mieć wątpliwości i pytać. My nie jesteśmy bogami, a chorzy nie są przypadkami: chorą ręką czy chorym żołądkiem”. Miałam rację, wybierając właśnie tę szkołę.

### **6 października, czwartek**

Nasza szkoła jest zorganizowana przy Wydziale Lekarskim Uniwersytetu. Pierwszy semestr jest kursem przygotowawczym: mamy wykłady, ćwiczenia w sali demonstracyjnej i praktyki szpitalne. Potem będą egzaminy, od których zależy, czy zostaniemy dopuszczone do dalszej nauki.

Nie wiedziałam, że zapisała się tu także Marynia Fischerówna. Ucieszyłam się na jej widok. Nikt nie zastąpi mi Wiery, ale miło zobaczyć znajomą twarz w tłumie obcych ludzi. Co rano jedziemy razem tramwajem i razem wracamy. Ludzie na widok naszych szkolnych mundurów – popielatej sukni z białym wykładanym kołnierzem i białymi mankietami oraz ciemnoszarej peleryny – uśmiechają się z sympatią.

---

### **9.10, BIHARANGWE**

Wręczyłem służbie drobne upominki, Pili i jej ciotce dałem srebrne bransoletki, które kupiłem dla nich w Kairze, a robotnikom obiecałem święto za kilka dni, gdy będę miał czas coś upolować.

Całą drogę od Jensa myślałem, co powiedzieć Almaz, i nic nie wymyśliłem. Dałem jej naszyjnik i bransoletkę z diamentami i poszedłem do tartaku. Gdy wróciłem o zmierzchu, kolacja czekała jak zwykle, potem Almaz zaparzyła mi kawę i jak zawsze stanęła w ciemnym kącie salonu. W kilku zdaniach opowiedziała, co działo się w faktorii pod moją nieobecność, i zamilkła. Spojrzałem na nią zdumiony. „Co się stało? Czemu nic nie mówisz?”

„Ty wróciłeś z podróży. Opowiedz, co tam widziałeś”.

Zacząłem więc opowiadać, ale nieskładnie mi szło. O czymkolwiek mówiłem, stawała mi przed oczami Zazulka. To ona była moim Egiptem, moją ziemią obiecaną.

„Jestem zmęczony – powiedziałem w końcu. – Opowiem ci innym razem”.

Rano, zanim otworzyłem oczy, odruchowo wyciągnąłem rękę. Miejsce obok było puste. Almaz nie przysłała do mnie w nocy. Powinienem się ucieszyć, tymczasem poczułem złość zmieszaną z tęsknotą. Poszedłem do jej pokoju. Stałem w progu i osłupiałem. Jej rzeczy znikły, pokój był pusty i nagi.

Żeby nie prowokować plotek, spokojnie zjadłem śniadanie i dopiero wtedy poszedłem do osady. Obok domu Pili, za niskim chruścianym płotkiem, stała nowa chata. Przed nią pod daszkiem siedziała Almaz. Wstała na mój widok, ale nie zaprosiła mnie do środka.

„Dlaczego się wyprowadziłaś?”

„Bo już mnie nie chcesz”.

Miałem na końcu języka: „Chcę”. Lecz Almaz nie zasłużyła na to, by być moją zabawką. Dokonałem już wyboru. Nie można zjeść ciastka i mieć ciastko.

„To nie jest tak. Ta dziewczyna ze zdjęcia... Pamiętasz ją?”

Wzięła płytki oddech i pokiwała głową. To westchnienie poprzedzające przytaknięcie zawsze mnie u niej rozczulało.

„Chcę, żeby została moją żoną”.

„Urodzi ci dzieci?”

„Byłbym szczęśliwy, gdyby tak się stało”.

Spuściła głowę, ale za moment ją podniosła. Spojrzała mi prosto w oczy. „A więc bądź szczęśliwy, *wendymie*”.

Nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwróciła. Mój bracie.

---

### **10 października, poniedziałek**

Różany! Nareszcie Różany! Rafa koralowa, pasiaste namioty Beduinów na pustyni, księżyc i gwiazdy nisko wiszące nad Nilem – to wszystko było piękne, jednak Różany to... Różany.

Ganges poznał moje kroki i zaczął rzeć, zanim weszłam do stajni. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że w Egipcie widywałam tylko wielbłądy i osły, a jeśli konie, to dorożkarskie.

Brakło mi tchu, gdy przy powitaniu policzek Piotra dotknął mojego policzka.

---

12.10

Pili przejęła obowiązki Almaz w moim domu. Almaz nadal prowadzi sklep. Trochę mi ulżyło.

Słucham *Czarodziejskiego fletu* i przypominam sobie, jak śpiewaliśmy z Zazulką w chacie rybaka. Zawsze gdy włączam patefon, przybiega boy, bo nakręcanie mechanizmu uważa za specjalny zaszczyt. Kucharz z kuchcikiem stają w drzwiach kuchni, ogrodnik porzuca grządki, a za drzewami migają postacie mieszkańców osady, którzy przychodzą bliżej dużego domu, żeby usłyszeć te czary.

---

### **12 października, środa**



Wczoraj wieczorem zatelefonowała siostra Klara. Potrzebuje nauczycielki angielskiego dla trzech uczennic, które w ciągu roku muszą zrobić program dwóch lat. Zapytała, czy mogłabym je uczyć.

Zaskoczyła mnie. „Nigdy nikogo nie uczyłam”, odrzekłam.

Wtedy siostra Klara przypomniała mi kółko niemieckiego, na którym udzielałam czegoś w rodzaju nieformalnych korepetycji. „Zauważyłam, że masz talent pedagogiczny”, powiedziała.

„Naprawdę? Nigdy tak o sobie nie myślałam”.

„Zastanów się i jutro daj mi odpowiedź”.

Poprosiłam babcię o radę.

„Pytasz o to, czy sobie z tym poradzisz, czy o to, czy masz się zgodzić?”

„A to nie wszystko jedno?”, zdziwiłam się.

„Oczywiście, że nie. Poradzisz sobie na pewno. Ja też uważam, że nadajesz się na nauczycielkę. Czy jednak chcesz to robić? Czy wystarczy ci sił na naukę, szpital i jeszcze uczenie? No i najważniejsze: dlaczego miałybyś to robić?”

W nocy nie mogłam spać. Myślałam nad słowami babci: „Dlaczego miałybyś to robić?”. Przez ostatni rok z trudem zmuszałam się do chodzenia na Świętego Jana. Czy chcę znów tam się znaleźć? Przewracałam się z boku na bok, w końcu wstałam i poszłam do kuchni zrobić sobie herbatę. Stałam przy oknie i patrzyłam, jak nad klasztornym ogrodem wschodzi słońce. Olśniło mnie. Dosłownie i w przenośni. Tak, chciałam wrócić do szkoły, by ją odczarować. Nie mogę do końca życia jej się bać.

---

#### 14.10

Podpytuję Pili, by się dowiedzieć, kiedy Almaz podjęła decyzję o przeprowadzce. Chatę kazała zbudować kilka dni po moim wyjeździe, a przeniosła się jakieś trzy tygodnie później. Uświadomiłem sobie, że to wtedy amulet, który od niej dostałem, wpadł mi do Nilu. Nie, to bzdura, te rzeczy nie mogą mieć związku.

---

#### *Różany, 15 października, sobota*

Imieniny babci Jadwigi w tym roku były w Różanach. Do stołu zasiadło szesnaście osób. Pani Leonia zrobiła mnóstwo pysznych rzeczy, między innymi pischinger, jeden z ulubionych deserów babci. Dała mi przepis.

PRZEPIS NA PISCHINGER

Na parze ubić 2 jajka ze szklanką cukru. Przełożyć miskę do zimnej wody i dalej ubijać. Po kilku minutach, gdy się schłodzi, dodawać po łyżce kostkę masła utartego na pianę, potem roztopioną na parze tabliczkę gorzkiej czekolady i 1–2 łyżki spirytusu lub kieliszek rumu, cały czas ubijając.

Do masy można dodać zmielone orzechy albo migdały i delikatnie wymieszać.

Masą smarujemy andruty, składamy, przyciskamy obciążoną deseczką i odstawiamy w chłodne miejsce na kilka godzin. Gotowy tort ozdabiamy orzechami i resztą masy.

Można też zrobić pischinger z masą kajmakową, taką jak do mazurków.

2 szklanki mleka gotować ze szklanką cukru na bardzo małym ogniu w garnku z grubym dnem, bardzo często mieszając, aż zgęstnieje i kropla wylana na talerzyk się nie rozpułynie. Jeśli ktoś lubi, może dodać do gotowania przepołowioną laskę wanilii. Przesudzić i zaraz smarować andruty, bo szybko tężeje.

### **17 października, poniedziałek**

Babcia i pani Fischerowa poszły na *Wesele Figara*, a my z Marynią kujemy anatomię.

---

### **18.10**

Napisałem list do Zazulki. Próbowałem po polsku, w końcu dałem sobie spokój. Lepiej będzie po niemiecku niż z błędami. Chciałbym, żeby o mnie myślała, a nie, żeby się ze mnie śmiała.

---

### **19 października, środa**

Mamy wolne z powodu pogrzebu pułkownika Beliny-Prażmowskiego. Do Krakowa przyjechał prezydent Mościcki i cała generalicja. Latarnie owinięte kirem, czarne chorągwie, trumna na lawecie, msza w kościele Mariackim. Prawie jak na pogrzebie Marszałka, tylko że dziś pada deszcz. Potem długi kondukt z Rynku przez Basztową, Potockiego i Lubicz na cmentarz Rakowicki.

Zgłosiłam się na ochotnika na dyżur w szpitalu. Nienawidzę pogrzebów.

### **23 października, niedziela**

Byłyśmy na wernisażu wystawy *Józef Mehoffer i jego uczniowie* w Pałacu Sztuki. Wielka gala. Profesor Mehoffer we fraku, władze miasta, wicewojewoda Małaczyński. Babcia zachwycała się kipiącą na obrazach radością życia, a ja chichotałam, czytając w katalogu o „kрасie i szczodrocie żywych, zharmonizowanych kolorów” i o tym, że „ekspresja psychiczna skazana jest w tych obrazach na banicję”.

### **24 października, poniedziałek**

Choć nasza szkoła nazywa się Uniwersytecką Szkołą Pielęgniarek i Higienistek, to na jej frontonie

figuruje stara nazwa – Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarstwa i Opiekunek Zdrowia Publicznego. Naprzeciwko szkoły jest ławka, ulubione miejsce studentów medycyny, którzy na nasz widok wyśpiewują litanijnym tonem: „Opiekunki zdrowia publicznego, módlcie się za nami!”.

24.10

Almaz pojechała do Gisansere. Chce sprawdzić, jak działa sklep, zanim się zacznie pora deszczowa. Wzięła z sobą Pili. Zapowiedziała, że tym razem zabawi tam dłużej.

Gdy budzę się w nocy, odruchowo jej szukam. To, że sama kiedyś do mnie przyszła, a potem sama zdecydowała o przeprowadzce, czyni ją w moich oczach jeszcze droższą.

WROGI ATAK Z SASIEDNIEJ PLANETY...

## „Mieszkańcy Marsa bombardują Ziemię!”

Dziki sceny paniki wśród przerażonej ludności Ameryki.

**NOWY JORK**, w październiku. (cb) Spokojnie słuchali w niedzielę Amerykanie zwyczajnych audycji radiowych, komunikatu meteorologicznego i t. d., gdy nagle zapowiedzacz rozgłosił Columbia

Broadcasting Company przerwał program i z wyraźnym przerażeniem w głosie oświadczył, że we wschodnich stanach bezprzykładną panikę wywołał

### statek międzyplanetarny, który wylądował w New Jersey.

Z statku tego wysiedli ludzie, zaopatrzeni w promienie śmierci i przy pomocy najnowocześniejszych środków technicznych rzucili się niespodzianie do ataku na spokojnych mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

Komendant gwardji narodowej zakomunikował ludności niezwłocznie przepisy, jak się ma zachowywać podczas ataku bombowego, którego skutki odmalował w jaskrawych barwach, poczem minister spraw wewnętrznych upomniał ludność, by uciekała z miast w bezpieczniejsze miejsca.

Z szybkością błyskawicy rozszeszyły się po miastach w stanach wschodnich: Nowy Jork, New Jersey, nawet po Chicago i Los

Angeles

#### najdzikszc pogłoski.

Szczególnie w stanie nowojorskim doszło do nieopisanych scen. Ogarnięci paniką mieszkańcy wielkich domów czynszowych rzucili się od jednego mieszkania do drugiego i alarmowali sąsiadów.

Całe bloki domów zostały porzucone przez mieszkańców, którzy szukali bezpieczeństwa w piwnicach i schronach.

W szpitalach zapanowały również nastroje paniczne. W New Jersey wpadali przerażeni mieszkańcy do kościołów i przerywali nabożeństwa.

### Kobiety klękały i modliły się na ulicach.

Tysiące ludzi biegło ulicami z głowami owiniętymi chusteczkami do nosa i ręcznikami, by się ochronić przed gazami trującym. Do urzędów policyjnych, redakcyj i rozgłośni napłynęło tysiące zapytań telefonicznych. Arterje dojazdowe w krótkim czasie zostały zablokowane przez tysiące samochodów, wiozących zbierców w góry.

W New Jersey setki rodzin zabierały w jak największym pośpiechu najpotrzebniejsze przedmioty i opuszczały miasto. Nieopisane sceny działy się w dzielnicy murzyńskiej Harlem, której mieszkańcy wzięli transmisję dosłownie za rzeczywistość.

A jaka była przyczyna tej paniki? Columbia Broadcasting nadał

#### zbyt realistyczne słuchowisko radiowe,

zatytułowane: „Wojna światów i atak mieszkańców Marsa na Ziemię”. Zresztą pewną rolę odegrała tutaj także niedawna psychoza wojenna oraz łatwowierność ludności.

### **3 listopada, czwartek**

Obie z Marynią zdałyśmy pierwsze egzaminy. Nie były trudne. Gorzej z moimi uczennicami u panien prezentek. Dwie szybko się uczą, trzecia nie ma talentu do języków. Nauczy się paru słówek, a na drugi dzień nic nie pamięta. W końcu chwyciłam się ostatniej deski ratunku: nauczyłam ją piosenki, tak jak się uczy początkujące dzieci. I stał się cud. Zapamiętała melodię i słowa. Teraz wyszukuję piosenki i wierszyki, a ona sprytnie używa z nich całych zdań, gdy ma coś powiedzieć po angielsku. Jest inteligentna.

### **5 listopada, sobota**

Drugi raz w życiu byłam w kinie na premierze – państwo Fischerowie zaprosili babcię i mnie na *Zapomnianą melodię*. Marynia jest wielbicielką Żabczyńskiego. Przypomniała mi się premiera *Dwóch Joasi*, po której ukradkiem piłyśmy z Wierą szampana. Tęsknię za Wierą.

### **6 listopada, niedziela**

Nie pojechałyśmy do Różan, bo są wybory do Sejmu. Ja i tak jeszcze nie mogę głosować. Miasto zasypane ulotkami: „Nie głosować – rzecz warcholska. Zapamięta ci to Polska”, „Chcesz anarchii i chaosu, nie oddawaj swego głosu”.

---

7.11

Wróciła Almaz. Już zacząłem się niepokoić. W Gisansere wszystko w porządku. Zatrzymały się z Pili na kilka dni w wiosce w dżungli. Almaz mówi, że czarownik na wszelkie sposoby chciał ją skłonić do odstąpienia mu naszyjnika z bursztynów. Dawał za niego już trzy krowy. Wszyscy uwierzyli w bajeczkę o czarodziejskiej mocy naszyjnika. Gdybym następnym razem kupił w Gdańsku więcej bursztynu, mógłbym bez pracy zbić tu majątek.

---

### **11 listopada, piątek, Święto Niepodległości**

Zimno i nawet przez chwilę padał śnieg, więc trochę mniej mi żal, że w święto mam dyżur w szpitalu. Marynia sama się zgłosiła, żeby mi było raźniej. Trafiliśmy na doktora Sz. Nie lubię go. To nieudolny lekarz, a przy tym krytykuje wszystkich, bo wygląda nieco lepiej tylko wtedy, gdy pomniejszy innych.

Zaprosiłam Marynię do kina. Poszłyśmy na *Granicę*. Film taki sobie. Ja w ogóle nie lubię książek Nałkowskiej. Wiem, że to wielka pisarka, ale nic na to nie mogę poradzić.

Barszczewska grała nieprzekonująco, Pichelskiego nie lubię.

Nie udało mi się to święto. W niedzielę znów wybory, do Senatu, i znowu nie pojedziemy do Różan. Tęsknota – za Wierą, za Piotrem, za Gangesem – staje się moim chlebem codziennym.

I jeszcze nielubienie – widzę, że trzy razy napisałam „nie lubię”.

### ***Różany, 12 listopada, sobota***

Hanka i Piotr przyjechali po mnie i jestem w Różanach! Czy może być coś lepszego? Po smrodzie lizolu teraz zapach ostatnich róż, goździków i zwiędłych liści. Nawet nasturcje przetrwały pierwszy śnieg. Jest pełnia i księżyc świeci tak jasno, że nie muszę zapalać lampy.

### ***14 listopada, poniedziałek***

W Krakowie czekał na mnie list od Wiery. Musieli wyjechać z La Paz, bo nie tylko babcia źle się tam czuła, także Wiera i jej rodzice. Wiera nawet raz straciła przytomność, poza tym schudła siedem kilo. Mieszkają teraz na granicy Peru i Chile, w mieście Arica nad Oceanem Spokojnym. Znalazłam je na mapie. To tak daleko!

Wiera zapisała się na akademię medyczną, a poza tym uczy się starych sposobów leczenia od *curandero*, czyli indiańskiego znachora. Opisała mi, jak *curandero* u jej babci zdiagnozował – potwierdzoną potem przez lekarza! – chorobę nerki. Wziął świnkę morską i delikatnie przesunął ją po ciele babci, od czubka głowy do palców u nóg. Gdy skończył, świnka była martwa. Pomodlił się, potem kilkoma ruchami oskórował świnkę i palcami otworzył jej brzuch. Obejrzał wnętrzności i pokazał Wierze wyraźnie chorą lewą nerkę świnki, która przed tym dziwnym badaniem wyglądała na całkowicie zdrową.

Wiera na pewno nie zmyśla, jednak nie odważyłabym się opowiedzieć tej historii w naszym szpitalu.

### ***21 listopada, poniedziałek***

Dostałam list od Joachima. Od razu przypomniał mi się Egipt. Cieszę się, że Joachim przyjedzie do nas w następne wakacje. Naprawdę go polubiłam. Nie wiem, jak mogłam myśleć, że jest brzydki. Oczywiście nie jest tak przystojny jak Piotr, bo nie ma takiego drugiego mężczyzny na świecie, ale ładnie się uśmiecha i białe zęby błyszczą mu w opalonej twarzy. Nie strzyże się już jak rekrut. A oczy, brązowe w złote cętki, ma po prostu przepiękne.

### ***8 grudnia, czwartek***

Dałyśmy z babcią pieniądze na składkę dla Żydów w obozie w Zbąszyniu (ja – całe kieszonkowe i jeszcze dziesięć złotych z oszczędności). W październiku Niemcy wysiedlili kilkanaście tysięcy Żydów mających obywatelstwo polskie. Pozwolili im zabrać po dziesięć marek i dali godzinę na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Podobno dzieci wywozili wprost z żydowskich szkół (bo do

zwykłych nie wolno im chodzić), osobnymi pociągami, bez rodziców. Nieprawdopodobne okrucieństwo. Teraz ci Żydzi koczują na granicy. Nie napisałam o tym Wierze, bo było mi wstyd. W sprawie składek Maria Kuncewiczowa napisała piękny list do redakcji „Prosto z Mostu”: „Czy wspomaganie Żydów nie jest okradaniem polskiej nędzy? Otóż dla mnie nędza nie bywa polska, żydowska czy murzyńska. Ona się zaczyna poniżej tej normy, do której ma prawo każdy człowiek. Praktykowaniem tej zasady różni się właśnie moja religia od religii żydowskiej. Żydzi w tej chwili są wyjęci spod praw. Za ich nędzą nie stanie nikt, jeśli nie staną ludzie. Chyba więc w pierwszym rzędzie chrześcijanie?”.

### **13 grudnia, wtorek**

Ciągle ciepło i wilgotno. W szpitalu dużo ciężkich gryp.

Byłam na *Jezebel*. Spodziewałam się czegoś lepszego. To znaczy: film jest dobry – jako wypadkowa przewidywalnego scenariusza i dobrej gry aktorskiej. Bette Davis, szczególnie w finale, gra znakomicie. I te piękne suknie! Tylko czemu miłość musi tak boleć?

---

14.12

List od Zazulki! Długo oglądałem kopertę, znaczki, adres, nim go otworzyłem. Tak jakbym miał przed sobą pyszną potrawę i najpierw delectowałem się jej wyglądem i zapachem, zanim spróbuję. Zazulka pisze o swoim koniu, o premierze filmowej, na której była, o szkole i o egzaminach. Czytam list raz po raz, dotykam kartki, tak jakby to była jej ręka. Zazulka ma śliczny charakter pisma i umie opowiadać. Najchętniej pisałbym do niej codziennie, tak jak kiedyś Anton do Lotte, zanim mogli się pobrać. Piszę raz w miesiącu i ta wstrzemięźliwość dużo mnie kosztuje.

---

### **17 grudnia, sobota**

Rodziców i Justyny nie ma już cztery lata. Wydaje mi się, że to i krótko, i długo. Dlaczego tak musiało być?

Gdy spytałam o to babcię, nie spodziewając się odpowiedzi, przytoczyła mi suficką opowieść. Uczeń zapala świecę i pyta mistrza: „Mistrzu, skąd się wzięło to światło?”. Mistrz zdmuchuje świecę i mówi: „Powiedz mi, gdzie zniknęło, to powiem ci, skąd się wzięło”.

### **18 grudnia, niedziela**

Jesień nagle się zmieniła w mroźną zimę. Pada śnieg.

### **19 grudnia, poniedziałek**

Dziewięćdziesięcioletnia pani B. leżąca na internie, a chora właściwie na starość, pokazała dziś palcem na okno. „Widziałaś, dziecko, tego ptaszka?” Odwróciłam się, ale parapet był pusty. „Poleciał. Był i poleciał. Tak samo minęło moje życie”.

### **20 grudnia, wtorek**

Byłam na nartach na Sowińcu. Kopiec Marszałka już skończony, zasypany śniegiem.

### **21 grudnia, środa**

Znów list od Joachima. Pisze tak ciekawie, a ja nie mam nic interesującego do powiedzenia. Codziennie rano biegnę na Świętego Jana i mam lekcję angielskiego z moimi trzema uczennicami. Potem zajęcia w szkole albo w szpitalu. Do domu wracam, gdy już jest ciemno. Tylko we wtorek kończę o czternastej.

Jutro egzaminy.

### **22 grudnia, czwartek**

Poszło mi dobrze. Teoria nie była trudna, w końcu wypełnianie karty pacjenta i innych dokumentów szpitalnych to nie jest sztuka, a farmacja, fizjologia i psychologia po prostu są ciekawe. Co do praktyki, sporo się nauczyłam w zeszłym roku, choć byłam tylko salową. Teraz też pilnie ćwiczę, bo wiem, jakie znaczenie mają pozornie drobne rzeczy, takie jak dobrze pościelone łóżko czy bezboleśnie zrobiony zastrzyk. Zeszłoroczna praktyka otworzyła mi oczy na wiele spraw. Zrozumiałam też, że współczesna medycyna to nie tylko słuchawka, termometr i wiedza pojedynczego lekarza, lecz także badania pomocnicze, nowoczesne urządzenia, obserwacja chorego i praca zespołu specjalistów, którego pielęgniarka jest częścią.

Wyniki egzaminów będą jutro, a potem ferie! Babcia wspomniała coś o nartach w Zakopanem, ale wolę Różany.

# Jak spędzą święta sternicy naszej nawy państwowej?

(Bo) Święta Bożego Narodzenia noszą charakter **świąt rodzinnych**, świąt, dla wielu jedyną bodaj okazją prawdziwego wypoczynku i wytchnienia od nawału spraw publicznych. Dowiedzmy się, jak spędzają święta ludzie, których nazwiska często powtarzamy, ludzie, na których barkach spoczywa odpowiedzialność za **sprawy państwa**.

## **Pan Prezydent Rzplitej,**

Jak wiadomo, spędzi święta w **Jaworzynie tatrzańskiej**, gdzie wśród wspaniałej, jedynej w Polsce, wysokogórskiej scenerji na tle śniegów i lasów będzie zażywał wytchnienia.

## **Pan premier gen. Sławoj-Składkowski,**

który nie mógł znaleźć czasu na wykorzystanie pełnego urlopu w czasie ub. lata, wyjechał przed paru dniami na krótki wypocznik do naszej **stolicy zimowej — Zakopanego**.

Wyjechał — tym razem wyjątkowo nie samochodem, którym zawsze i wszędzie posługuje się w podróży służbowych (bo z auta lepiej widać porządki w kraju; auto można każdej chwili zatrzymać i udzielić gdzieś napomnienia lub nawet postawić na nogi cały powiat) — lecz **pociągiem**, a to z powodu zasp śnieżnych na drogach. P. premier zapowiedział swój powrót zaraz po świątach. Szef rządu stanie ze zwykłą gorliwością do pracy — codziennie punktualnie od **godz. 8 rano**.

Urząd premiera, podobnie jak służba policji, **nie może doznać przerwy**, nawet w czasie najbardziej uroczystych świąt: ten postępek musi być stale czynny. Toteż pod nieobecność premiera, funkcje jego spełnia zazwyczaj

## **wicepremier inż. Kwiatkowski.**

Ten człowiek, z którego działalnością i nazwiskiem cała Polska wiąże jak najlepsze nadzieje na przyszłość, **budowniczy Gdyni** i główny realizator nowej Polski, która wyrasta nam przed naszymi oczami w **COP-ie** — równie z niczego i na pustce, jak niegdyś Gdynia — jest najbardziej bodaj pracowitym i naprawdę zapracowanym po uszy człowiekiem. Wszystko przecież od niego zależy. Wszystkimi on zawiąduje — nie tylko z tytułu kierowania całą polityką gospodarczą państwa, ile z tego tytułu, że jest on faktycznym ostrożnym i przeczonym szafarzem grosza publicznego... P. wicepremier również nie znalazł ubiegłego lata tyle czasu dla siebie, by mógł wykorzystywać pełny przysługujący mu urlop. I on więc korzysta z okazji wypoczynku i **wyjeżdża na święta do Krynicy**. Zresztą co roku tam jeździ, łącząc wypocznik z kuracją i niezbędnymi zabiegami leczniczymi dla podreperowania organizmu.

P. wicepremier — jak powszechnie wiadomo — odznacza się niezwykłą skromnością w objęciu i nie lubi żadnych atencji, należnych jego stanowisku: spędza swój urlop w Krynicy, jak każdy

przeciętny kuracjusz. Na równi z innymi chodzi na zalecone zabiegi, do źródeł dla picia wód itd. Zatrzymuje się stale w „Dyrektorówce” u dyr. Nowotarskiego, z którym od czasu do czasu chodzi z flintą na polowania, a z reguły codziennie na dłuższe spacery pieszo lub krótkie wycieczki samochodowe. Oczywiście p. wicepremier jest w czasie wypoczynku napastowany przez różnych „interesantów”, którzy przy spotkaniu starają się wręczyć mu jakieś podania, prośby, skargi itd. Możemy tu zdradzić **zabawny epizod**, a raczej wybieg, którym — jak twierdzą wtajemniczeni — p. wicepremier nieraz się posługuje, gdy znajdzie się w opresji. P. wicepremier ma ładną podobnego do siebie **rodzonego brata**, gdy więc ktoś mu drogę zastąpi i nie ma sposobu uwolnienia się od natręta, wówczas p. wicepremier mówi skromnie, że jest... **bratem wicepremiera**. Min. Kwiatkowski lubi odwiedzać **Mościce**, które, jako że są w dużej mierze jego dziełem, zawsze bardzo się interesuje.

Do Warszawy ma powrócić p. wicepremier z Krynicy 7 stycznia. Zazwyczaj jednak zdarza się, że wraca wcześniej, niż zapowiada.

Marszałek Sejmu **prof. W. Makowski** spędzi święta w **Warszawie**, zaś marszałek Senatu p. **B. Miedziński** spędzi święta **na wsi** u rodziny.

Agendami ministerstwa skarbu pod nieobecność p. wicepremiera kieruje

## **wicemin. J. Kożuchowski,**

który tylko na same dni świąteczne wyjeżdża też do **Krynicy**, poczem w drugie świę-

to wraca do Warszawy. Pozostali dwaj wiceministrowie skarbu wyjeżdżają:

## **p. K. Dzierżykray-Morawski**

do swego majątku na wieś w **Poznańskie**, zaś

## **prof. Grodyński**

w dzień przed wigilją wyjechał do swego rodzinnego miasta — **Krakowa**, gdzie spędzi święta u swej matki, poczem wraca do Warszawy przed 1 stycznia.

Nie wyjeżdża z Warszawy na święta

## **min. przemysłu i handlu Roman,**

który będzie w tym czasie zastępował p. premiera. Min. Roman obok pracy państwowej w ministerstwie, nie zaniedbuje też w miarę możliwości dalszych studiów i badań ekonomicznych. Okres ferij świątecznych poświęca na kontynuowanie pracy nad dziełem, które opracowuje, mianowicie nad książką: **„Polityka handlowa”**. Poza tem min. Roman opracowuje kilka projektów ustaw, jakie ma wnieść jego resort do Sejmu w bieżącej sesji.

Stolica na święta opróżnia się. Wszyscy, kto może, wyjeżdżają w **góry** lub do **uzdrowisk**. Należy dodać, iż do Zakopanego i Krynicy wyjechał z Warszawy **cały niemal korpus dyplomatyczny** (częściowo też do majątków rodowych arystokracji). Okres wypoczynku świątecznego dostojników potrwa krótko, wszyscy bowiem wrócą do Warszawy najpóźniej na dzień **8-go stycznia**, a to celem złożenia **tytułem noworocznych Panu Prezydentowi R P na Zamku**. W tym roku bowiem, jak wiadomo, po raz pierwszy, tradycyjnie składanie życzeń noworocznych Głowie Państwa zostało przelożone na tydzień po Nowym Roku.



pisze, że pani von Ch. jest mną zachwycona. Od razu humor mi się poprawił. „Przez serce babci do serca wnuczki”. Kochana mama! Za kilka dni pierwsza rocznica ślubu Antona i Lotte. Z ich listu przebija wzajemna miłość i pełne porozumienie. Zazdroszczę im. Ojciec podsumowuje zmiany, jakie zaszły w Niemczech w tym roku. Nie ma ani jednej zmiany na lepsze. Przynajmniej on tak to widzi. „Zrozumiałbym, gdyby wprowadzono egzamin dla obywateli niemieckich, sprawdzający znajomość niemieckiego, nawet podstaw historii, bo ktoś, kto nie zna języka, nie może uczestniczyć w życiu społecznym. Jednak ustawowo zakazać komuś wykonywania zawodu prawnika czy lekarza tylko dlatego, że jego prababka była Żydówką? To się nie mieści w głowie! Jak zawsze w takich wypadkach chodzi o pieniądze: o to, żeby Żydzi wyemigrowali, zostawiając w Niemczech wszystko, co posiadają”.

Przejrzałem gazety. Przeczytałem je, gdy wrócę od Jensa. Teraz nie chcę sobie psuć humoru.

---

### ***23 grudnia, piątek***

Zdałam egzaminy najlepiej z całej klasy. Pani dyrektor zaprosiła mnie na rozmowę. Spytała, jak sobie wyobrażam swoje życie zawodowe – czy pozostanę przy zawodzie pielęgniarki, czy może myślę o medycynie. Moje niezdecydowanie chyba nie zrobiło na niej dobrego wrażenia.

Babcia i Wiera powtarzają, że byłabym dobrym lekarzem (babcia zawsze przy tym dodaje, że rodzinna tradycja nie może być pętami i że sama najlepiej wiem, co jest dla mnie dobre). One jednak nie mogą być obiektywne. Tak, zdałam najlepiej, lecz konkurencja jest słaba. Jestem najstarsza w klasie i tylko ja mam w domu bibliotekę lekarską, z której bez ograniczeń mogę korzystać.

---

### **24.12, NGARA**

Z ulgą przyjąłem zaproszenie Jensa. Tu przynajmniej nie widzę Almaz, nie szukam jej w łóżku, nic mi się tu z nią nie kojarzy.

Nie wiedziałem, że to będzie takie trudne.

Jens też jest zdania, że w Europie dzieje się coraz gorzej. Zastanawiam się, czy zamiast jechać do Krakowa, nie zaprosić pani von Ch. i Zazulki do Tanganiki w następne wakacje. Tu byłyby bezpieczne.

### **25.12**

Dałem Jensowi w prezencie patefon i dwanaście płyt. Jens cieszy się jak dziecko. Słuchamy na

przemian tang i Beethovena. Dźwięk oczywiście trochę zniekształcony, w miarę jednak jak opróżnialiśmy kolejne butelki wina, coraz mniej nam to przeszkadzało. Nawet boy dobrze się bawił, bo mógł kręcić korbką patefonu i być bliżej tego cuda. Na pierwsze dźwięki muzyki zbiegła się cała osada. Nikt tu nigdy nie widział ani nie słyszał czegoś podobnego.

---

### ***Różany, 27 grudnia, wtorek***

Hanka jest w ciąży. Nic mi nie powiedziała, sama się domyśliłam. Stałam w salonie, a ona w jadalni poprawiała coś na nakrytym stole. Wyprostowała się i czułym gestem dotknęła brzucha.

~~Poczułam się tak, jakby mnie ktoś uderzył.~~

### ***28 grudnia, środa***

Dostałam bukiet róż od pana Władka Gorzkowskiego z sąsiedniego majątku. To ten patałach, który nie umie strzelać.

### ***29 grudnia, czwartek***

Całe przedpołudnie spędziłam na polach i w lesie z Gangesem. Puszysty śnieg iskrzył się w słońcu. Na jarzębinach hałasowały jemiołuszki. W opaskach z czarnych piórek na oczach wyglądały tak, jakby miały zamiar obrabować ptasi bank.

Po obiedzie położyłam się na chwilę. Sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Śniło mi się, że leżę w łóżku Hanka i Piotr całuje mnie po twarzy. We śnie otworzyłam oczy i zobaczyłam, że to nie Piotr, tylko Joachim. Rozpłakałam się z rozczarowania i z tym płaczem się obudziłam.

### ***30 grudnia, piątek***

Co będzie za rok o tej porze? Staś będzie miał cztery lata i braciszka albo siostrzyczkę, Marynia i ja będziemy kończyć naukę pielęgniarstwa, Wiera może przyjedzie do Krakowa i spędzi z nami święta, Renate i Carla będą szczęśliwymi narzeczonymi.

~~Wiem, że nigdy nie będę z Piotrem. Nie tylko dlatego, że usłyszałam to od widm~~

Co będzie ze mną? Czy spotkam jeszcze kogoś, kogo pokocham i kto pokocha mnie? Jak to jest: być z mężczyzną? Wiem i nie wiem. Wiem, bo uczę się fizjologii. Wiem, bo drży we mnie każdy nerw, gdy tańczę z Piotrem. Nie wiem, bo nigdy tego nie doświadczyłam.

### ***później***

Jedno jest pewne: będziemy zdrowi i szczęśliwi przez cały następny rok, bo w świętego Szczepana w kościele obrzucono nas poświęconym owsem.

31.12

Przed północą wyszedłem na werandę Jensa i patrząc na miliony afrykańskich gwiazd, półgłosem wypowiedziałem życzenie: Chciałbym, żeby Zazulka mnie pokochała, tak jak ja ją Kocham, i żeby została moją żoną.

### 2 stycznia 1939, poniedziałek

Jak miło jest o dziesiątej rano leżeć w łóżku i pić herbatę! Mogłabym tak zawsze.

### później

W sylwestra niebo było pełne gwiazd. Śnieg skrzypiał pod butami. Bal w tym roku, tak jak w zeszłym, był u państwa Gorzkowskich. Dwór w Zalesiu ma piękny frontowy ganek z czterema kolumnami.auta podjeżdżają pod schody i nawet jeśli pada śnieg, ani jeden płatek nie zmoczy rąbka balowej sukienki.

Hanka została w domu, a babcia powiedziała, że dotrzyma jej towarzystwa. Byłam w aucie sama z Piotrem. (Szofera zajętego jazdą po śliskiej drodze nie liczę).

~~Byliśmy tylko we dwoje po raz pierwszy od tamtego balu, po którym w bibliotece zobaczyłam widmo~~ Wyobrażałam sobie, że jestem jego żoną. Zdobyłam się na odwagę i wsunęłam mu dłoń pod ramię. Nachylił się do mnie z uśmiechem i poczułam zapach jego perfum. Nowy, a jakby znajomy. „Masz nowe perfumy? Ładne”.

„To te, które twoja babcia dała mi pod choinkę”.

Wtedy poznałam. Takich samych używał Joachim.

Humor jeszcze bardziej mi się zwarzył, gdy zobaczyłam, jak biegnie do nas Władek Gorzkowski, ten nudziarz i myśliwy z bożej łaski, który kiedyś na polowaniu zranił zająca. Od tamtej pory nie tknęłam pasztetu.

Musiałam się uśmiechać, miałam jednak ochotę wrócić do auta i kazać się zawieźć z powrotem do Rózan.

Dał znać o sobie m. in. także polski jasnowidz

### inż. Ossowiecki.

Stwierdza on, iż w świecie współczesnym panuje potworny chaos. Wszędzie spotykamy niepokój, zmagania, kult żelaza, szal niszczycielski, pogardę dla prawdy, sprawiedliwości i prawa. Widzi w roku przyszłym obfite żniwo śmierci, która nie będzie pytać o stanowiska i tytuły ze wszystkich krajów Europy

### W Polsce w roku 1939 będzie najspokojniej.

Rok ten przyniesie państwu duży rozmach inwestycyjny. P. wicepremier Kwiatkowski ma — zdaniem jasnowidza — świetną aurę. Polska wzmocni się ekonomicznie, a politycznie zyska autorytet, zmuszający świat do poważnego liczenia się z nią. Aczkolwiek w roku przyszłym pokój będzie wisiał na włosku. Polska nie dobedzie oręża.

W Rosji nastąpią groźne bunty włościan i przyjdzie dyktatura wojskowa. Postaci Stalina na terenie całej Rosji w r. 1939 jasnowidz nie widzi. Za naszą wschodnią granicą nadal będzie się srożyć terror i będzie się lała krew.

Jeśli idzie o Niemcy, to Ossowiecki nie widzi żadnych zewnętrznych wystąpień Rzeszy. Kłopoty wewnętrzne natury gospodarczej odsuną w cień sprawy kolonij. Zwłaszcza bardzo burzliwy okres nastąpi w Austrii. Będą także podjęte usiłowania przemarszu na Ukrainę przez Rumunję.

W zatargu między Francją a Włochami, Anglia odegra rolę strażniczki pokoju.

W Rumunji rozpoczęła się gwałtowna burza, straszna w swej dynamice. Biedny kraj będzie zboczony krwią.

Powszechne zbrojenia nie doprowadzą w r. 1939 do katastrofy. Są one tylko przygrywką do dalszych wypadków.

Ledwie przywitaliśmy się z gospodarzami, Władek Gorzkowski, który nie odstępował nas na krok, już mnie ciągnął do sieni.

Sień dzieli zaleski dwór na pół i prowadzi do drugich drzwi – wyjścia na kamienny taras i do ogrodu. „Idiota, ciągnie mnie na mróz”, pomyślałam. Jednak gdy otworzył tylne drzwi, krzyknęłam z zachwytem. Taras przykrywał półprzezroczysty namiot, przez który było widać zaśnieżony ogród. Po bokach ustawiono stoliki. W wysokich świecznikach płonęły świece. Na stole stał gramofon, a obok leżały sterty płyt. Żelazny piecyk na wygiętych nóżkach był rozgrzany niemal do czerwoności.

„Salon młodych – wysapał mi młody Gorzkowski do ucha. – Dla tych, co wolą lambeth-walka od poloneza”.

„Lambeth-walk? – wzruszyłam ramionami. – Nie umiem tego tańczyć, a poloneza tak”.

Pan Władek rzucił się do gramofonu. Rozległa się melodia *Me and My Girl*, a on demonstrował nieskomplikowane kroki. Po długim muzycznym wstępie usłyszałam głos Adama Astona: „Weź pod rękę damę swą, idź na spacer razem z nią, idź jak na ślub, a potem krzyżyk w grób”. Uśmiechnęłam się. Później była wyśpiewana krótka instrukcja tańca: „Jakie to niezawile, jakie miłe”, a gdy usłyszałam: „Pani nie umie, a to wstyd”, po prostu musiałam się roześmiać.

### **5 stycznia, czwartek**

Nie pojechałam do państwa Gorzkowskich na polowanie. Straciłam serce do tej rozrywki, gdy Joachim mi powiedział, że nie poluje dla sportu od czasu, kiedy w Afryce zobaczył goryla w zamyśleniu patrzącego na zachód słońca. Poszłam za to ze Stasiem na sanki. Czułam się tak, jakbym znów miała trzy lata i zjeżdżała z górki z Justyną.

### **6 stycznia, piątek**

Zaraz po obiedzie do Różan przyjechał Władek Gorzkowski. Pytał, czemu nie przyjechałam na polowanie. Podobno mieliśmy być razem na stanowisku. No to uniknęłam kolejnej katastrofy. Ciekawe, do czego tym razem nie trafił.

Przywiózł mi gałązkę białego bzu. Gdy Hanka powiedziała od niechcienia, że w mowie kwiatów bez znaczy „podziwiam twoją piękność”, wypalił: „Właśnie to miałem na myśli!”.

---

6.01.1939

Dzień mija za dniem. Dziś zacząłem liczyć, ile ich zostało do wakacji przyszłego roku, gdy zobaczę Zazulkę.

---

## **7 stycznia, sobota**

Był ksiądz – po kolędzie. Na wsi jest taki zwyczaj, że po Nowym Roku proboszcz odwiedza wszystkich parafian, a zaczyna od dworu. Nie wiem, jak we wsi – u nas został nie tylko na kolacji, ale i na wieczornym brydżu. Babcia się cieszyła, bo proboszcz gra dużo lepiej ode mnie, no i wygrali robra.

Staś zafascynowany kartami. Hanka znalazła starą talię do piotrusia i rznąłam z dzieckiem w karty przez cały wieczór. Malec oszukuje jak stary. Najpierw zaglądał mi w karty, a potem zagiął róg karty z piotrusiem i złościł się na mnie, gdy trzymałam ją tak, że akurat tego rogu nie było widać.

---

### **9.01**

Umyślny z pocztą. Nie ma listu od Zazulki, jest za to pismo z Kompanii. Zarząd proponuje mi od listopada nową placówkę, większą i lepiej płatną. Nazywa się Ng'ombe i leży zaledwie 35 mil od Arushy, dokąd dochodzi kolej. A zatem blisko cywilizacji, za to 450 mil od Jensa.

Mam być w Dodomie 19 stycznia. Niewiele czasu do namysłu.

---

## **9 stycznia, poniedziałek**

Aż się zdziwiłam, że tak miło było znów zobaczyć moje uczennice na Świętego Jana i koleżanki w szkole pielęgniarek. Zły czar księżniczki Odety przestał działać.

## **11 stycznia, środa**

Przeczytałam w „Czasie”, że w marcu Lot otwiera cztery nowe linie: z Warszawy do Sztokholmu, Londynu, Rzymu i Bagdadu. Bilet do Rzymu ma kosztować 300 złotych. Dużo.

## **13 stycznia, piątek**

Świeci słońce i wieje ciepły, jakby już wiosenny wiatr. Halny? Na Plantach miejscami trawa wyjrzała spod śniegu i woda kapie z sopli.

---

### **13.01**

Śniła mi się Zazulka. Pieściłem ją, a ona odpowiadała na każdą pieszczotę. Obudziłem się

w środku nocy, rozgorączkowany, zlany potem. Takie sny są jak powrót do wieku chłopięcego. Odkąd dorosłem, nie zaprzątałem sobie głowy kobietami. One po prostu były. Teraz jestem sam.

---

### **14 stycznia, sobota**

Dziś w szpitalu doktor Sz. powiedział przy łóżku nieprzytomnego pacjenta: „Jak przeżyje do jutra, to będzie żył”. Spod zamkniętych powiek człowieka, który miał nie słyszeć, popłynęły łzy.

---

### **15.01**

Był Jens. Doszły do niego plotki o nowej placówce dla mnie. Gorąco mnie namawia do przeprowadzki. „Jeśli odmówisz, na zawsze pozbawisz się możliwości awansu. Kompania niby pyta, czy się zgadzasz, ale odmowy ci nie daruje. Poza tym gdybyś chciał się ożenić i sprowadzić tu żonę, to lepiej jej będzie w Ng’ombe, zaledwie dzień drogi koleją od Tangi, niż tutaj. Klimat lepszy. Piękny widok na Kilimandżaro. Po prostu jedź tam i zobacz. Jak chcesz, to pojedę z tobą”. Jens jest prawdziwym przyjacielem.

---

### **16 stycznia, poniedziałek**

Cudowny weekend. Przyjechała do nas Hanka z Piotrem i we czworo poszliśmy na *Królewnę Śnieżkę*. Pierwszy raz widziałam dubbingowany film. Aleksander Żabczyński jako Królewicz jest po prostu boski.

Po kolacji u Hawełki spacerkiem wracaliśmy Grodzką do domu. Padał śnieg, latarnie stały w tęczowych aureolach.

---

### **21.01**

Miło słyszeć pochwały. Dyrektor generalny, który osobiście ze mną rozmawiał, nie szczędził mi ich. Faktoria w Ng’ombe obejmuje obszar ponad dwa razy większy niż Biharangwe. Jej kierownik w grudniu przechodzi na emeryturę i wraca do Anglii. Gdy spytałem, czy przed podjęciem decyzji

mógłbym go odwiedzić i zobaczyć Ng'ombe, dyrektor zawahał się, w końcu jednak wyraził zgodę. Mogę jechać z Jensem. Mam zamiar zrobić sobie przy okazji wycieczkę na Kilimandżaro.

22.01

„Wycieczka na Kilimandżaro!” Jens uniósł ręce do góry, jakbym powiedział jakąś herezję.

„W końcu mamy styczeń. Nie tęsknisz za śniegiem?”, spytałem.

„O, płocha młodości! – westchnął Jens teatralnie. – Marzą ci się narty, piękne widoki, iskrzący się w słońcu śnieg, jodły w białych czapach...”

Gdy tak mówił, przypomniałem sobie ostatnią narciarską wyprawę z Paulem i Michaeliem. Ostre górskie powietrze, szalone zjazdy, a wieczorem grzane wino, tańce w schronisku, pewną miłą Szwajcarce, która na wiele mi pozwoliła...

„Kilimandżaro to skały, lód, śnieg i mgła. Choroba wysokościowa. Ta góra zmusza do szacunku. Wypluj słowo »wycieczka«”.

---

### **23 stycznia, poniedziałek**

W piątek od południa byłem wolna, w sobotę i niedzielę nie miałam żadnych zajęć i babcia wyciągnęła mnie do Zakopanego. Tak dawno tam nie byłam! Gdy pociąg przejeżdżał przez Poronin, obie zamilkłyśmy. Ile razy spędzałam tu wakacje u pani Rozalii Matusowej z Justyną i Rodzicami, a czasem także z babcią? Osiem? Dziesięć? Nie pamiętam.

W Hotelu pod Giewontem nie było wolnych pokoi i pan Kulig umieścił nas naprzeciwko, w willi Wenecja. Lubię mieszkać na Krupówkach, bo wszędzie stąd blisko.

Na Gubałówkę jeździ nowo zbudowana kolejka i nie trzeba już brać sanek albo wchodzić pieszo. Wagon jedzie po stalowych linach i w połowie drogi mija się z wagonem jadącym w dół. To emocjonujący moment, bo przez chwilę ma się wrażenie, że wagony się zderzą. No i ten zapierający dech w piersiach widok tatrzańskich szczytów wyłaniających się, w miarę jak kolejka dojeżdża do stacji na Gubałówce!

Na górze babcia wypożyczyła leżak i otulona pledem usiadła w słońcu, a ja przypięłam narty i w dół! Tej zimy jeździłam kilka razy na Sowińcu, to jednak co innego. Widok na łańcuch Tatr, jodły w śniegowych czapach, ostre, a przyjemne powietrze. W górach inaczej się oddycha.

Zjadłyśmy obiad w restauracji na górze, a potem moja kochana babcia – widząc, że wcale nie mam ochoty wracać – powiedziała: „Wydałam trzy pięćdziesiąt na bilet w obie strony, z podwieczorkiem. Nie mogę zmarnować tego podwieczorku. Pojeżdżaj jeszcze trochę, ja sobie pospaceruję”.

Wieczorem podczas kolacji w Hotelu pod Giewontem babcia spotkała znajomą, która mieszka w Warszawie i przyjechała do Zakopanego z dwoma synami. Oczywiście przysiadłyśmy się do nich.

Babcia i pani Jost dawno się nie widziały i nie mogły się nagadać. Dawno nie oglądałam babci tak ożywionej.

W barze tańczono. Połowa gości miała na sobie stroje wieczorowe, a druga połowa – swetry i grube buty. Ja i synowie pani Jost należeliśmy do tej drugiej grupy. Młodszy świetnie tańczy. Gdy wróciliśmy do stołu, okazało się, że starsze panie ułożyły nam już program na niedzielę: mieliśmy we troje pojechać na Kasprowy.

Kolejka na Kasprowy! Cudo! Na jednej linie wiszą dwa wagoniki – jeden jedzie do góry, drugi na dół. W ciągu kilkunastu minut byliśmy na Myślenickich Turniach. Jeden jedyny raz Tatuś i Justyna wzięli mnie z sobą na narty wysoko w góry, właśnie na Myślenickie. Szliśmy z Kuźnic prawie dwie godziny. Justyna mówiła, że sapię jak parowóz, i tak było, choć Tata na stromiznach niósł moje narty. Długo tu odpoczywaliśmy, patrząc na Kasprową Czubę, jak mawiał Tata, na Giewont, Kalatówki i Kondratową.

Tym razem nie miałam czasu na podziwianie widoków. Chłopcy wzięli nasze narty z metalowego balkonika i już się przesiadaliśmy do drugiego wagonika. Miałam wrażenie, że unoszę się nad drzewami jak ptak. Wyżej, coraz wyżej, wyżej niż kozice, których stadko widziałam z góry. W dole po prawej została baczka na Kondratowej, ze świeżym tropem lisa na polanie. Płynęliśmy nad ośnieżonymi limbami i jodłami, nad skalistymi przepaściami. Gdy wagonik zwalniał przy kolejnym słupie, wszystkim wyrывało się westchnienie. Zdałam sobie sprawę, że nikt nie rozmawia, wszyscy zamienili się we wzrok. Żal mi się zrobiło, gdy wysoko na szczycie zobaczyłam przysadzistą sylwetkę otwartej przed rokiem stacji meteorologicznej.

Za niecały miesiąc w Zakopanem będą Narciarskie Mistrzostwa Świata i z Kasprowego poprowadzono trasę zjazdową. Biegnie długimi łukami przez Goryczkową, przez las i Dolinę Kondratową, aż na wysokość Myślenickich Turni. Chłopcy już tam jeździli. Mówili, że trudna i twarda, więc bez większego żalu zjechali ze mną na Halę Gąsienicową. Pierwszy jechał Jasiek, taternik i doświadczony narciarz, potem ja, za mną Paweł. Obchodzili się ze mną jak z jajkiem. Jasiek się zatrzymywał i czekał, aż zjadę, a Paweł ani razu mnie nie wyprzedził.

Gdy stanęliśmy w Dolinie Gąsienicowej, chłopcy mnie pochwalili i spytali, czy chcę zjechać jeszcze raz. Prawdę mówiąc, wolałabym nie, jednak bardzo chciałam się przejechać wyciągiem narciarskim, który widziałam pierwszy raz w życiu.

Cóż to za wspaniały wynalazek! Wyciąg przypomina wielkie sanie. Narciarze siedzą na drewnianych ławkach, na koźle zasiada góral i tylko koni brakuje. Jest za to lina i elektryczny silnik.

Za drugim razem zjechaliśmy aż do Murowańca. Wypiliśmy tam herbatę i zjedliśmy ciasto z kruszonką, a później zjechaliśmy do samych Kuźnic, z kilkoma przystankami na podziwianie widoków. Byłam z siebie dumna.

Babcia zaprosiła panią Jost z synami na obiad i naprawdę było mi przykro z nimi się żegnać.



Morowi chłopcy!

Przed odjazdem poszliśmy jeszcze na krótki spacer nad Bystre. Nad tym potokiem jest pracownia Teodora Axentowicza i jego biało otynkowany letni domek zwany Córnikami, bo malarz miał pięć córek. W naszym salonie wisi pastel Axentowicza – portret Mamy, namalowany właśnie tu, w Axentowiczówce. Pamiętam łysiejącego pana, z wąsami, brodą i grubymi czarnymi brwiami. Umarł w zeszłym roku, gdy byliśmy w Egipcie.

---

24.01

Almaz już nie zajmuje się moim domem, jednak czasem przychodzi, by mi zrobić kawę. Przywiozłem jej z Dodomy piękną lampę naftową. Zapaliła ją, postawiła na stole w salonie, oglądała z wszystkich stron, głośno podziwiała bladozielony klosz malowany w łososiowe róże, dotykała ciemnozielonej alabastrowej podstawy.

Potem piłem kawę, a ona opowiadała o sklepie i o tym, co przez te kilka dni działo się w faktorii. Poczulem się tak, jakby czas się cofnął. Żał mi tamtych dni, które już minęły.

---

**24 stycznia, wtorek**

Rozmowa dwóch pacjentek przed gabinetem z aparatem Roentgena.

„Co to za doktor, co płuc zbadać nie umie, ino zaraz do prześwietlenia posyła”.

„Racja, moja pani. Doktor bez prześwietlenia powinien wszystko wiedzieć. Od tego jest doktorem”.

**25 stycznia, środa**

Byliśmy z babcią w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych na pośmiertnej wystawie Teodora Axentowicza. Przeczytałam w programie, że Axentowicz założył szkołę malarstwa dla kobiet. Jeszcze bardziej go polubiłam.

Zachwycała mnie algrafia *Dziewczyzna z wazonem*. Nie wiedziałam, że wazon to jeden z jego ulubionych motywów. Na portrecie Mamy też jest. Mama siedzi w fotelu w szafirowej wieczorowej sukni i błękitnym szalu z gazy, a obok fotela stoi gołąbkowy wazon pełen czerwonych róż. Przez szal prześwieca jej piękna dłoń o długich palcach.

**27 stycznia, piątek**

Jakie jest najwspanialsze zdanie? „Będzie pan żył”.

28.01

Jutro wyruszamy do Ng’ombe.

Monday, Jan. 02, 1939

### **Adolf Hitler: Man of the Year, 1938**

Greatest single news event of 1938 took place on September 29, when four statesmen met at the Führerhaus, in Munich, to redraw the map of Europe. The three visiting statesmen at that historic conference were Prime Minister Neville Chamberlain of Great Britain, Premier Edouard Daladier of France, and Dictator Benito Mussolini of Italy. But by all odds the dominating figure at Munich was the German host, Adolf Hitler.

Führer of the German people, Commander-in-Chief of the German Army, Navy & Air Force, Chancellor of the Third Reich, Herr Hitler reaped on that day at Munich the harvest of an audacious, defiant, ruthless foreign policy he had pursued for five and a half years. He had torn the Treaty of Versailles to shreds. He had rearmed

Germany to the teeth – or as close to the teeth as he was able. He had stolen Austria before the eyes of a horrified and apparently impotent world.

All these events were shocking to nations which had defeated Germany on the battlefield only 20 years before, but nothing so terrified the world as the ruthless, methodical, Nazi-directed events which during late summer and early autumn threatened a world war over Czechoslovakia. When without loss of blood he reduced Czechoslovakia to a German puppet state, forced a drastic revision of Europe’s defensive alliances, and won a free hand for himself in Eastern Europe by getting a ‘hands-off’ promise from powerful Britain (and later France), Adolf Hitler without doubt became 1938’s Man of the Year.

### **1 lutego, środa**

Wiera pisze, że amerykański tygodnik „Time” od jedenastu lat wybiera Człowieka Roku. Pierwszym był Charles Lindbergh, potem rozmaici politycy i przedsiębiorcy, w 1930 – Mahatma Gandhi, w 1936 – Wallis Simpson, a Człowiekiem Roku 1938 został Adolf Hitler.

Wiera go nienawidzi, bo jak pisze, „wypędził ją z Europy”. Cieszy się, że „choć Amerykanie poznali się na nim”. Jej list jest taki gorzki!

„Amerykanie mają rację, że najważniejszym wydarzeniem zeszłego roku był pakt monachijski, który »zmienił mapę Europy«. Hitler zaś, który podeptał traktat wersalski i »uzbroił Niemcy po zęby albo prawie po zęby«, »zajął Austrię na oczach przerażonego i bezsilnego świata«, a potem zagarnął Kraj Sudecki i »zmienił Czechosłowację w państwo z marionetkowym rządem«, i sam pociąga za sznurki, jest złym duchem mającym największy wpływ na wydarzenia. Wszyscy tańczą, jak on im

zagra. Jest »bezwzględny, metodyczny« i grozi wojną».

---

## 2.02

Ng'ombe to mała wieś położona kilka mil od trochę większej wsi o nazwie Boma Ng'ombe. Obie leżą na starym szlaku karawan jadących z Ugandy przez Serengeti do Tangi i Zanzibaru. Wokół rozciągają się pola kukurydzy, plantacje kawy i bananowców.

Wyboista droga doprowadziła nas do kamiennego muru. Gdy przejechaliśmy przez bramę, obaj z Jensem westchnęliśmy głośno i popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem: znaleźliśmy się w hrabstwie Warwick.

Piętrowy dom z pruskiego muru jest porośnięty glicynią. Na rzadkim, bo przypalonym słońcem trawniku rozciągającym się od bramy do frontowych drzwi rośnie duża morwa. Staroświeckie róże pną się po żelaznej pergoli. Zza niskich, równo przyszyżonych żywopłotów wyglądają kolorowe kwiaty i zioła, wśród których rozpoznałem nawłóć, naparstnice, groszek pachnący, słoneczniki, miętę.

James Hall mieszka tu od dwudziestu lat. Faktoria jest prowadzona wzorowo. Nigdy jednak nie zbudowałbym domu tak, by nie było z niego widać Kilimandżaro, ani nie posadziłbym drzewa morwowego tylko dlatego, że w siedemnastym wieku król Jakub nakazał, by wszędzie sadzono morwy jako pokarm dla jedwabników.

## 4.02

James Hall, przy wszystkich swoich dziwactwach, jest uroczym gospodarzem. Jeśli zdecyduję się objąć tę faktorię, będę musiał z nim mieszkać przez listopad i grudzień, aby mnie wprowadził we wszystkie sprawy, zanim wyjedzie do swego rodzinnego Kenilworth. Bałem się, że powierzy mi dom jako coś w rodzaju mauzoleum. On tymczasem od razu zastrzegł, że wyposażenie, które w całości przywiózł z Anglii (od szaf i łóżek do miotłki do zmiatania okruchów z obrusa), zabiera z sobą. Kamień spadł mi z serca.

## 5.02

Tragarze najęci, sprzęt przygotowany, jutro o świcie wyruszamy zdobywać Kilimandżaro, Górę Złych Duchów. Pięćdziesiąt lat temu na jej szczycie stanął pierwszy biały człowiek – profesor Hans Meyer z Lipska.

## 6.02, MACHAME, 3000 M N.P.M.

Tragarze niosą namioty, pościel, ciepłe ubrania, naczynia, prowiant, wino, wodę, pochodnie, drewno, sprzęt obozowy. Jens i ja – małe plecaki z osobistymi drobiazgami i wodą do picia oraz

mauzery. Mimo tej różnicy w obciążeniu wyprzedzili nas i gdy z dwoma przewodnikami doszliśmy do miejsca zwanego Machame, obóz był już rozbity i kolacja ugotowana.

Szliśmy sześć godzin, prawie cały czas lasem. Droga łatwa, choć miejscami błotnista. Dopiero pod sam koniec ostre podejście kamienną ścieżką.

Broń cały czas w gotowości – w tym lesie żyją lwy, bawoły, słonie, lamparty. Nie napotkaliśmy jednak grubego zwierza, tylko mały przemykały po drzewach. Tragarze tupali rytmicznie, by odstraszyć węże. Podobno można tu spotkać mambę: zieloną, szczególnie niebezpieczną w wodzie, i postrach Afryki – mambę czarną, o której Murzyni opowiadają, że potrafi ścigać człowieka (a jest od niego szybsza). Może wpełznąć nocą do chaty i zabić całą rodzinę, a atakując, unosi się tak wysoko, że uderza w twarz, kąsa wielokrotnie, a potem czeka, aż jad sparaliżuje ofiarę.

#### **7.02, SHIRA, 3800 M N.P.M.**

Najpierw ogromne wrzosa, potem łąki, prawie jak alpejskie, i kręta ścieżka wśród głazów. Czasem stopnie wyrąbane w litej skale. Pięć godzin marszu. Zimno. W pewnej chwili zaczął padać śnieg. Nie widziałem śniegu przez cztery lata i z początku cieszyłem się jak dziecko. Po godzinie marzyłem tylko o tym, żeby przestał padać. Szczyt cały czas za chmurami.

Teraz, na biwaku, Jens na rozgrzewkę opowiada mi o Saharze. Tragarze śpiewają i tańczą przy ogniskach.

#### **8.02, DOLINA BARRANCO, 4000 M N.P.M.**

Byliśmy dziś prawie na wysokości Mont Blanc, na przełęczy Lava Towers (4600 m n.p.m.). Nie pamiętałem z lekcji geografii, że Kilimandżaro jest wyższe o 1000 metrów od najwyższego europejskiego szczytu. Siedem godzin marszu.

Księżycowy krajobraz – pole usiane głazami i kamieniami. Wąskie przejścia między skałami. Niezwykłe drzewa – kilkumetrowy pień jak u przysadzistej palmy, zakończony pękiem szerokich liści. Włochate rośliny z białymi i różowymi kwiatkami podobnymi do nieśmiertelników.

Boli mnie głowa. Na szczęście nie mam innych objawów choroby wysokościowej. Trudno się oddycha – głęboko wciągamy powietrze i nadal brakuje mi tchu. Przewodnicy bez przerwy powtarzają: „*Polepole*”. Powoli. Krok, oddech, krok.

Rano Jens wziął kawałek spalonego drewna z ogniska i posmarował mi policzki pod oczami. To dodatkowa ochrona przed promieniami odbitymi od śniegu i przed śnieżną ślepotą. Nauczył się tego na pustyni.

#### **9.02, BARAFU, 4600 M N.P.M.**

Stromo, mokre kamienie usuwają się spod nóg. Ścieżką płynie woda. Chwilami idziemy tuż przy skale: trzymamy się jej rękami, „całujemy ścianę”, jak mówi Jens.

Rano trochę słońca, potem deszcz, deszcz ze śniegiem, grad i śnieg. W czasie lunchu

niespodzianka: chmury rozsuwają się jak kurtyna i nagle widzimy Górę. Szary olbrzym w wielkiej białej czapie.

Ośmiogodzinny marsz. Jest trudniej, niż myślałem.

Zaraz po północy pobudka i idziemy na szczyt. Idzie się nocą, by móc schodzić za dnia. Wiadomo, zejście jest trudniejsze.

Chodźmy i miejmy to już za sobą. Tak czy inaczej, Góra będzie nasza. Krok po kroku. *Polepole*.

#### **10.02, MWEKA, 3100 M N.P.M.**

Pięć godzin marszu w ciemnościach. Widziałem tylko pochodnię idącego przede mną przewodnika. Ciemność mąci zmysły. Chwilami wydawało mi się, że chodzimy w kółko.

Pod nogami chrzęszczący wulkaniczny żużel, czasem nędzne kępy trawy. Woda w manierce zamarała. Myślałem, że ta droga nigdy się nie skończy.

Rano wspaniały widok – słońce, roziskrzony śnieg i lodowiec. Wokół chmury jak puchaty dywan. Biały dach czarnej Afryki.

Jemy śniadanie i z dwoma przewodnikami ruszamy do szturm na szczyt. Ta ostatnia godzina była z całej wyprawy najtrudniejsza. Śnieg skrzypiał pod butami, szliśmy noga za nogą, w tempie narzuconym przez przewodników.

Na szczycie przywitał nas wiatr. „*Congratulations, you are now at Uhuru Peak, Africa's highest point!*”, wołał Jens. Po dwudziestu minutach zaczęliśmy schodzić, a po siedmiu godzinach dotarliśmy do obozu. Jestem wykończony.

#### **11.02, NG'OMBE**

Myliłem się – w Ng'ombe podoba mi się wszystko, nawet morwa i grube angielskie fajanse. Jest sucho i ciepło. Nie trzeba się wspinać. Jest łazienka, jest ciepła woda do mycia.

Jens miał rację – najmniej odpowiednim słowem na określenie wyprawy na Kilimandżaro jest „wycieczka”. To było prawdziwe szaleństwo.

Napisałem list do dyrekcji Kompanii. Podziękowałem za zaufanie i obiecałem, że dam z siebie wszystko na nowym miejscu. Jens przeczytał i poklepał mnie po ramieniu. „Dobrze napisałeś. Dobrze zrobiłeś”.

---

#### **12 lutego, niedziela**

Msza zaczęła się od wiadomości o śmierci Papieża. Pius XI umarł w piątek rano. Płacz w kościele.

#### **14 lutego, wtorek**

Wojna w Hiszpanii zdaje się nie mieć końca, choć gazety bez przerwy donoszą o „bezprzykładnym tchórzostwie czerwonych”.

### **15 lutego, środa**

Pada śnieg. Dziś w Watykanie pochowano Papieża.

Dostałam list od Carli. Opisuje ślub księżniczki Marii, najmłodszej córki króla Wiktora Emanuela i królowej Heleny. Ślub odbył się przed trzema tygodniami w Pałacu Kwirynalskim. Panna młoda miała suknię ze srebrnej lamy z dziesięciometrowym trenem, na głowie diadem z pereł i diamentów oraz welon haftowany w złote krzyże sabaudzkie i srebrne lilie burbońskie – herb narzeczonego, księcia Ludwika de Bourbon-Parma.

Na włoskim dworze jest taki zwyczaj, że gdy ksiądz pyta pannę młodą, czy zgadza się poślubić narzeczonego, ta najpierw spogląda na króla i dopiero gdy on skinie głową na znak zgody, może powiedzieć „tak”.

---

15.02

Powiedziałem Almaz o przeprowadzce. Zaproponowałem, by przeniosła się razem ze mną. Nie powiedziała ani „tak”, ani „nie”.

---

### **16 lutego, tłusty czwartek**

Babcia z Marcysią usmażyły chrust i pączki już w środę, bym mogła poczęstować koleżanki. Radość była wielka. Miło jest być popularną.

---

17.02

Te dziwaczne rośliny na Kilimandżaro – połączenie pnia palmy z pękiem liści tytoniu – to lobelie, *Lobelia rhynchopetalum*. Jens nie mógł sobie przypomnieć nazwy, wiedział jednak, że u nasady ich liści zawsze jest woda, która nigdy nie zamarza, a żucie liści podobno ułatwia oddychanie. Nie odważyłem się spróbować, choć akurat tam bardzo by mi się to przydało.

---

18.02

Almaz pojechała do Gisansere. Ostatnia chwila na podróż lektyką. Niedługo zacznie się pora deszczowa.

---

### **19 lutego, niedziela**

W piątek zmienialiśmy pościel na oddziale dziecięcym. Siostry patrzą przez palce na to, jak wozimy dzieci na wózkach z poszwami. Marynia wymyśliła zabawę w tramwaj: gdy już zmienimy pościel tym dzieciom, które tego potrzebują, wołamy: „Dzyń! dzyń!” i bierzemy na oba wózki tyle dzieci, ile tylko się zmieści, jedziemy na pętlę, czyli do końca korytarza, znów jest: „Dzyń! dzyń!”, motorniczowie, czyli Marynia i ja, przechodzą na drugi koniec wagonu i odwożą dzieci do sali. Czasem zatrzymuje nas któraś szarytka i grubym głosem mówi: „Proszę bilety do kontroli!”.

---

### **20.02**

Niespodziewanie odwiedził mnie Jens – akurat wtedy, gdy sam się zastanawiałem, czy do niego nie pojechać. Zła wiadomość: tydzień temu umarł jego ojciec. Telegram szedł do Ngary sześć dni. Mówi, że nie byli z sobą zbyt blisko. Chce pojechać do Holandii i przywieźć tu matkę, która została sama. Obiecałem, że zajmę się faktorią.

---

### **20 lutego, poniedziałek**

Przez bramę śmierci każdy przechodzi sam. Ludzie często umierają w cierpieniach, zawsze – w samotności. Odwracamy się od cierpienia. Boimy się go jak zarazy. Asklepios, mający moc uzdrawiania heros, bóg sztuki lekarskiej, nie zajmował się umierającymi. Zostawiał ich posępnemu Charonowi, który przeprowiał dusze przez Styks. Żądał za to obola i jeszcze kazał duszy wiosłować.

Codziennie z naszego szpitala wychodzi kilka wyleczonych osób. Dlaczego więc myślę o tych, którzy w nim umierają?

---

### **23.02**

Tak mało jest współczesnych relacji o Afryce. Przejrzałem książki, które starannie wybierałem już na długo przed wyjazdem. Ktoś, kto podróżuje po Afryce, nie znajdzie w nich ani jednej rady, jak przetrwać w razie nagłej katastrofy. Nikt nie napisał o życiu nad Jeziorem Wiktorii. Nikt nie opisał abisyńskich pustkowi, o których opowiadała mi Almaz.

Usiadłem dziś wieczorem, by zapisać coś w tym notesie – o tym, że brakuje mi Almaz, że w listach Zazulki nie ma ani jednego miłego słowa, gdy nagle wyrwałem z niego kartkę i napisałem na niej: „Skorpiony na polowanie wychodzą nocą. W dzień chowają się pod kamieniami. Im grubszy ogon ma skorpion, tym jest bardziej jadowity, ale też bardziej pożywny”. Czy to dobry początek książki?

---

### ***2 marca, czwartek***

Hanka poroniła.

### ***13 marca, poniedziałek***

Hanka ma dobrą opiekę. Jest pielęgniarka. Codziennie przyjeżdża lekarz.

Bawiłam się ze Stasiem, jeździłam na Gangesie, pomagałam w kuchni. Tak jak zawsze. Gdy patrzyłam, jak Hanka płacze, biała jak prześcieradło, serce mi się krajało. Czuję się winna. Nie ucieszyłam się, gdy się domyśliłam, że znów spodziewa się dziecka. Nie, nie życzyłam jej źle, broń Boże, ale się nie ucieszyłam.

---

### **14.03**

Wszystkie sprawy, nawet wyjazd Jensa, zbladły wobec tego, że Almaz wróciła z Gisansere z niemowlęciem. Gdy zobaczyłem jego białą skórę, przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że to moje dziecko – tak jakbym mógł nie zauważyć, gdyby Almaz była w ciąży. Okazało się oczywiście, że to albinos.

Chłopiec, któremu Almaz dała na imię Haddis, co znaczy „Nowy”, urodził się w faktorii. Matka chciała go zabić zaraz po narodzinach, gdyż uznała, że nie jest to potomek jej męża, lecz złego ducha, który ją nawiedził i posiadał, kiedy spała. Jednakże jej teściowa namówiła swego syna, by dziecko trochę odchować, a potem sprzedać czarownikowi.

Wiedziałem, że tutejsi rybacy wplatają w sieci włosy albinosów, bo wierzą, że to zapewnia dobre połowy, a nawet pozwala znaleźć złoto w brzuchu ryby. Ale dopiero teraz się dowiedziałem, że



jeszcze lepszym sposobem jest skropienie sieci krwią albinosa albo natarcie dziobu łodzi kawałkiem jego wątroby.

Tak się złożyło, że Almaz przybyła do Gisansere prawie jednocześnie z czarownikiem. I zaczęła się z nim targować o dziecko. Nieodrodna córka kupca niby przypadkiem dotknęła bursztynów na szyi, a potem w udawanej panice zasłoniła je szamą. Oczy czarownika zabłysły. Almaz najpierw dawała za dziecko jedną kozę, potem dwie, potem dorzuciła worek soli, w końcu krowę. Czarownik cały czas kręcił głową i powtarzał: „*Machosi ya jua*”. Łzy słońca.

Obiecałem Almaz, że w przyszłym roku przywiozę jej nowe bursztyny. Westchnęła z wyraźnym żalem, ale powiedziała: „To, czego jest dużo, nie ma czarodziejskiej mocy”.

Teraz obok sznurów koralu nosi diamenty, które kiedyś jej dałem. Pasują do niej. W końcu Almaz znaczy „diament”.

---

### ***19 marca, niedziela***

Mamy nową szkołę. Dziś było uroczyste poświęcenie budynku. Od jutra będą w nim zajęcia. Nowy adres: Kopernika 25.

Po wakacjach warunki studiowania jeszcze bardziej się poprawią, bo ma zostać zakończona budowa Biblioteki Jagiellońskiej.

---

20.03

Haddis jest oczkiem w głowie Almaz, Pili i jej ciotki. Noszą go na zmianę w chuście na plecach. Na prośbę Almaz kilka razy wziąłem go na ręce w sklepie, tak żeby wszyscy widzieli, że jest także pod moją opieką.

---

### ***22 marca, środa***

Jaki był zamysł Boga, gdy zgadzał się na choroby i cierpienie? Chyba nie o to Mu chodziło, byśmy patrząc na cierpiących, rozumieli, jacy jesteśmy szczęśliwi.

### ***23 marca, czwartek***

Piotr i pan Gorzkowski z Zalesia wspólnie opłacają lekarza i pielęgniarkę, którzy zajmują się ich

chorymi robotnikami, a także rodzinami pracowników. Nie mają takiego obowiązku, jednak Piotr mówi, że poza względami ludzkimi to nawet ekonomicznie się opłaca. Uznawałam to za normę, teraz widzę, że takie postępowanie to wyjątek. Robotnicy rolni nie mają ubezpieczenia i zwykle także pieniędzy na prywatne leczenie. Są zdani na łaskę opieki społecznej, gminy lub dworu.

Świat jest taki, jakim go tworzymy.

### **24 marca, piątek**

Skąd się bierze rzeźączka? Z sikania na ostry kamień. Zawsze trzeba wybierać gładki.

### **25 marca, sobota**

Babcia pojechała do Różan, ja mam niedzielny dyżur. Byłam w Uciesze na nowym filmie *Trzy serca*. Żabczyński jako czarny charakter, niezła Barszczewska. W czasie seansu odwróciłam się i szepnęłam: „Dlaczego dzieci tak okropnie wypadają w polskich filmach?”, bo zapomniałam, że obok mnie nie siedzi Wiera. Młoda kobieta z sąsiedniego fotela spojrzała zdziwiona. Przeprosiłam ją zdławionym głosem.

---

### **26.03**

Nie miałem odwagi kupić Zazulce prezentu na Boże Narodzenie. Postanowiłem posłać jej coś teraz, na Wielkanoc. Poprosiłem Pili, żeby utkała szal z wielbłądziej wełny. „Dla kobiety czy dla mężczyzny?”, spytała.

„Dla pięknej dziewczyny”.

Gdy zobaczyłem gotowy szal, pozwoliłem Pili wziąć sobie ze sklepu na mój rachunek, co tylko chce, i nawet nie sprawdziłem, ile mnie to kosztowało.

Szal jest lekki i miękki jak puch. Na piaskowym tle ma ciemniejsze paski, a pomiędzy nimi idą rzędy brązowych lewków, małych słoń i małpek. Otuliłem się nim na chwilę, zanim włożyłem go do pudełka. Niedługo będzie dotykał ramion Zazulki. Zazdroścę mu.

---

### **28 marca, wtorek**

Koniec wojny w Hiszpanii. Generał Franco zdobył Madryt.

### **30 marca, czwartek**

Koński nawóz położony na brzuch zatrzyma każdy krwotok.

Mężczyzna także ma macicę, która może mu się przewrócić.

Każdy zastrzyk skraca życie o rok.

---

### 30.03

List od Zazulki! Pisze o nartach w Zakopanem, o najnowszym filmie Disneya, o szpitalu, w którym ma praktyki. Pomyślałem, że nawet ten jej wybór jest dla mnie wyborem opatrnościowym. Gdyby zechciała tu przyjechać, byłaby skarbem i szczęściem nie tylko dla mnie, także dla całej faktorii. Najbliższy lekarz jest w Mwanzie, dzień drogi stąd.

### 7.04, *STILLER FREITAG*

Rachunek sumienia i mocne postanowienie poprawy. Nie tylko brać. Ze świata, od ludzi. Życie mnie rozpieszcza, ludzie zwykle też. Dać siebie w całości. Bez żalu, bez oglądania się za siebie albo na boki. Jestem uprzywilejowany jako biały mężczyzna, wykształcony, z dobrej rodziny, młody, zdrowy. A kto więcej dostał, więcej powinien dawać.

### 9.04

Wczoraj pracowałem, bo dwie faktorie to przynajmniej dwanaście godzin codziennych obowiązków. Dziś rano zobaczyłem pięknie nakryty stół. Almaz, która obchodzi Wielkanoc później, bo abisyński kalendarz nie ma nic wspólnego z naszym, pamiętała o moich świętach. Po raz pierwszy przy świątecznym stole siedziałem sam. I obiecałem sobie, że to będzie pierwszy i ostatni raz.

---

### *Różany, 11 kwietnia, wtorek*

Hanka nadal niedomaga. Czytam jej, pokazałam Pelasi, jak ścielić jej łóżko (pielęgniarka to robiła, ale Pelasi już nie nauczyła), ugotowałam bulion. W święta była piękna pogoda, więc brałam Stasia na siodło i z wysokości grzbietu Gangesa podziwialiśmy jasne strugi obwiedzione żółtymi pasami kaczeńców, łąki pełne mleczy, fiołkową polanę, rząd dzikich wiśni obsypanych białym kwiatowym puchem. W innych okolicznościach śpiewałabym głośno ze szczęścia.

---

### 12.04

Poczta. Rozczarowanie, bo nie ma listu od Zazulki.

Wreszcie koniec wojny w Hiszpanii.

---

### **13 kwietnia, czwartek**

Przeczytałam w „Czasie”, że w Rosji Sowieckiej po raz drugi od rewolucji można było kupić banany. Kostaryka zapłaciła nimi w jakimś handlu wymiennym. Po raz pierwszy zaś sprowadzono je kilka lat temu, gdy w moskiewskim zoo zachorowała cenna małpa i weterynarze uznali, że to skutek złego jadłospisu. Jednak zanim banany dotarły do Rosji, małpa zdechła, sprzedano je więc na wolnym rynku, podobno po astronomicznej cenie.

---

### **16.04**

Przyszła Almaz i zaparzyła mi kawę. Jak to jest, że kawa Pili, zrobiona w tym samym dzbanku i z takich samych ziaren, ma inny smak.

Słuchałem, jak w kuchni Almaz nuci dziecku. Tęsknota za domem. Myśl o domu, który sam chciałbym stworzyć.

---

### **18 kwietnia, wtorek**

Szkoła zaczyna się pojutrze, ale już wczoraj rano wróciłyśmy z Rózan, bo wieczorem w operze dawano *Traviatę* z Adą Sari. Jej umiejętności władania głosem, precyzja w oddaniu każdej nuty są niezwykle. Poza tym jest bardzo dobrą aktorką. Jean Gatti, który śpiewał partię Alfreda, „pierwszy tenor oper francuskich i włoskich”, jak napisano w programie, ma zaskakująco niewielki, choć miły głos. Rozśpiewał się dopiero w drugim akcie i wszyscy zgodnie chwalili jego znakomitą dykcję. Ja się nie wypowiadałam, bo nie znam francuskiego. Ada Sari na szczęście śpiewała po włosku.

Babcia przypomniła mi zabawną historię. Miałam jakieś osiem lat, gdy Rodzice po raz pierwszy wzięli mnie na operę, na *Czarodziejski flet*, bo śpiewała w nim właśnie Ada Sari. Wcześniej mama opowiedziała mi libretto i kilka razy słuchałyśmy arii z płyt. Do dziś pamiętam jej zachwyty nad interpretacją arii Królowej Nocy z drugiego aktu – tylko Ada Sari śpiewa ją *furioso*.

Nie mogłam się doczekać spektaklu, a gdy już przyszedł ten wieczór, siedziałam w łóżku jak trusia. Wiedziałam, że historia zaczyna się od walki księcia z wężem i że wróżki pomogą mu zwyciężyć

potwora, więc się nie bałam. Gdy jednak pojawił się Maur, pokraczny, czarny, z dziwacznymi ozdobami i pomalowaną twarzą, przeraziłam się, bo to jednak co innego – słuchać o czymś, a co innego – zobaczyć. I kiedy Papageno odnalazł uwięzioną Paminę i uwolnił ją z łańcuchów, w które zakuł ją Maur, a potem, zamiast uciekać, stali i spokojnie sobie śpiewali o sile miłości, zerwałam się z fotela i wrzasnęłam: „Uciekajcie!”. Cała publiczność wybuchła śmiechem.

### **19 kwietnia, środa**

Na Rynku ustawiono wielki termometr uczuć krakowian, pokazujący wielkość wpływów na pożyczkę lotniczą. Zebrano ponad trzy miliony złotych.

### **20 kwietnia, czwartek**

Po zajęciach poszliśmy z Marynią na *Białego murzyna*. Mało Żabczyńskiego, bo grany przez niego Zygmunt Karski umiera niemal na początku filmu, i Marynia była trochę rozczarowana. Niezły Pichelski, okropna Barbara Orwid.

### **21 kwietnia, piątek**

Zajęcia w szkolnej kuchni. Dieta dla cukrzyków i gruźlików. Łatwizna.

### **23 kwietnia, niedziela**

Księżniczka Elżbieta skończyła trzynaście lat. Radio londyńskie poświęciło temu wydarzeniu osobną audycję.

Specjalny posłaniec przywiózł do Windsoru worek depesz i listów z gratulacjami. Król i królowa podjęli księżniczkę śniadaniem, a potem Elżbieta oglądała prezenty. Od matki dostała ozdobiony brylantami zegarek, od ambasadora brytyjskiego w Japonii – japońską lalkę. Dostała też jedwabne pończochy – symbol wejścia w dorosłość. Do tej pory chodziła wyłącznie w sięgających kolan skarpetach.

---

### 23.04

Słuchałem arii z *Czarodziejskiego fletu*, tej zaczynającej się od słów: „Ten portret jest urzekająco piękny”. Wyjąłem z portfela fotografię, na której jest Zazulka. Pomyślałem, jakim jestem idiotą. Trzeba było kupić aparat, nauczyć się fotografować i robić zdjęcia w Egipcie. Że też dopiero teraz mi to przyszło do głowy!

Almaz cicho wsunęła się do pokoju, akurat kiedy z patefonu popłynęły słowa Tamina: „Gdyby stanęła przede mną, pełen zachwytu przycisnąłbym ją do płonącej piersi i byłaby moja na zawsze”.

Ona przecież nie zna niemieckiego. Tymczasem zamiast jak zwykle stanąć w najciemniejszym kącie, podeszła do mnie tym swoim krokiem, który nie jest chodzeniem, lecz tańcem, wyciągnęła ramiona i złączyła je nad moją głową. Kołysała się lekko i coś mruzczała. Poczułem ociążałość we wszystkich członkach. Nie mógłbym wstać z kanapy, nawet gdyby moje życie od tego zależało. Ołowiane powieki same mi opadły. Gdy otworzyłem oczy, stałem na wrzosowisku. Słony wiatr wiał mi prosto w twarz. Usłyszałem daleki szum morza. Nie, nie oceanu – morza. I nagle sobie uświadomiłem, że przyszedłem tu, żeby nazbierać wrzosu dla Zazulki, że ona na mnie czeka. Kocha mnie.

Nie wiem, skąd wziął się ten sen. Kiedy się obudziłem, Almaz stała w progu z filiżanką kawy, a boy nakręcał patefon.

---

### ***24 kwietnia, poniedziałek***

List i prezent od Joachima. Uroczy list: ciekawy, dowcipny. Taki jak jego autor. I przepiękny prezent: szal w kilku odcieniach brązu, od jasnego jak piasek do ciemnego jak sierść wielbłąda, którego karmiłam plackiem w Kairze. Zarzuciłam szal na ramiona. Otulił mnie miękko i poczułam się bezpiecznie, tak jakby obok był Joachim, gotowy mnie bronić przed wszystkim, co mi zagraża.

---

25.04

Nie mogę zapomnieć tego dziwnego transu, w który wprowadziła mnie Almaz. A może po prostu zasnąłem, bo jestem przepracowany? Radość jednak we mnie trwa. Tak jakby ktoś złożył mi obietnicę, że Zazulka mnie pokocha.

---

### ***25 kwietnia, wtorek***

Okropny wypadek w naszym szpitalu – w komorze tlenowej wybuchł pożar i dwaj lekarze, którzy wynosili butle z tlenem, żeby nie doszło do eksplozji, zginęli w płomieniach, a trzeci umarł w szpitalu z powodu poparzeń. Babcia przybiegła na Kopernika, przerażona, bo w całym mieście rozlegały się syreny straży pożarnej, a kłęby dymu unosiły się wysoko w niebo.

### ***29 kwietnia, sobota***

O dziewiątej byłam na nabożeństwie żałobnym w kościele Świętego Łazarza. Na pogrzeb lekarzy, którzy zginęli we wtorek, już nie poszłam. Zgłosiłam się na dyżur.

Na świecie wiosna, świeci słońce, na Plantach kwitną tulipany. Gdy wracałam do domu, natknęłam się na pochód młodzieży w maskach gazowych, z transparentami wzywającymi do wpłat na pożyczkę lotniczą.

---

1.05

Wiadomość z Kompanii: Jens wraca za tydzień. Poprosiłem Pili i Almaz, by pojechały ze mną do Ngary i pomogły przygotować dom na przyjęcie gospodarza i jego matki.

---

### ***2 maja, wtorek***

Wieczorem wyszliśmy z babcią na spacer, bo przed uroczystościami trzeciomajowymi miasto jest pięknie iluminowane. O siódmej, po fanfarach odegranych z wieży Ratusza, z Szewskiej zaczęły wychodzić orkiestry wojskowe, szkolne, strażackie, kolejarskie. Defilowały wzdłuż Sukiennic w blasku płonących pochodni i lampionów. Ludzie na chodnikach bili brawo i machali chorągiewkami. We mnie nie było zapału. Może to zmęczenie po całym dniu nauki i ćwiczeń. Jutro mam wolne.

### ***3 maja, środa***

Obudziła mnie orkiestra wojskowa. Co roku przed mszą polową na Błoniach orkiestry od rana maszerują ulicami. Poszliśmy z babcią na Błonia, choć padał drobny deszcz, i po mszy zostałyśmy na defiladę. Pamiętam, jak w dzieciństwie czekałam na ten dzień: bezmiar Błoń, piękne konie, uśmiechnięci kawalerzyści, chorągiewki furkoczące na lancach.

---

3.05

O brzasku wyszedłem na polowanie. Obiecałem kucharzowi polędwicę z antylopy na poniedziałkowe przyjęcie dla Jensa. Robotnicy w faktorii też się cieszą, gdy poluję, bo biorę sobie tylko kawałek mięsa, a całą resztę oddaję im.

Od tamtego fatalnego polowania na słońce, gdy przypadkiem zastrzeliłem słońcę, a potem

musiałem zabić słoniątko, które nie chciało odejść od ciała matki, i gdy tropiciele odpędzali je dzidami, uparcie wracało, dotykało jej trąbką i cicho porykiwało, a w moich uszach ten dźwięk brzmiał jak szloch, nie poluję dla sportu.

Dochodziłem z tropicielami do parowu, który w porze suchej jest zwykłym skalistym wąwozem, a podczas deszczów zmienia się w koryto rzeki, gdy lunął deszcz. Staliśmy w płytkiej jaskini i czekaliśmy, aż ulewa przejdzie. Nagle zobaczyłem, że ktoś idzie przez rzekę. W pierwszej chwili nie poznałem, że są to małpy. Na przedzie szedł samiec i gałęzią badał dno, szukając zalanej grobli. Za nim szły trzy samice, każda z młodym na plecach. Z daleka i w strugach deszczu można je było wziąć za grupkę ludzi przepływających się przez rzekę. Wstrzymałem oddech i modliłem się, żeby przeszły szczęśliwie. Gdy ostatnia gorylica wyskoczyła na brzeg, podziękowałem Bogu, że je uratował.

---

#### ***4 maja, czwartek***

U babci były znajome ze Związku Pań Domu z zaproszeniem dla mnie na kurs przysposobienia gospodarczego na wypadek wojny. Wymigałam się brakiem czasu.

#### ***5 maja, piątek***

Przed południem ogłoszono przerwę w zajęciach i wszystkie zgromadziłyśmy się w auli, gdzie zainstalowano głośnik. Po tym, jak przed tygodniem Hitler w swojej mowie zażądał Gdańska, wszyscy czekali na odpowiedź ministra Józefa Becka i powtarzali: „Czesi siedzieli cicho, gdy Hitler zajmował Pragę i Sudety, ale z nami nie tak łatwo”. Podczas przemowy Becka w Sejmie wszędzie przerwano pracę, cała Polska słuchała. Na Rynku i na placach zainstalowano megafony, a babcia mówiła, że ruch uliczny praktycznie ustał.

Gdy Beck powiedział, że my, Polacy, stawiamy wyżej honor niż upokarzający pokój, świetnie go rozumiałam i biłam brawo jak cała szkoła, ale przeszedł mnie zimny dreszcz.

#### ***6 maja, sobota***

Po południu miałam dodatkową lekcję z moją „najtrudniejszą” uczennicą. Zrobiła ogromne postępy, żeby jednak zdała egzamin, musimy jeszcze trochę popracować. Jestem dobrej myśli.

Piotr płaci robotnikowi z koniem 14 złotych dniówki i jest to godziwa zapłata. Wizyta u lekarza kosztuje 20 złotych. Ja zarabiam 3 złote za godzinę lekcji. Wniosek: praca umysłowa jest wielokrotnie lepiej płatna niż fizyczna. I nie trzeba mieć konia.

A skoro o pieniądzach mowa, po wczorajszym przemówieniu ministra Becka temperatura uczuć Krakowa wyraźnie wzrosła: na termometrze było dziś 11 milionów.



# Główne tezy wczorajszej mowy ministra Becka w Sejmie

Wysoka Izbo!

Zaszły wydarzenia bardzo poważne. Z jednymi państwami kontakt nasz stał się głębszy i łatwiejszy, w innych wypadkach powstały poważne trudności. Mam tu na myśli naszą umowę ze Zjednoczonym Królestwem, z Anglią. Po

kilkakrotnych kontaktach w drodze dyplomatycznej doszliśmy przy okazji mej wizyty w Londynie do bezpośredniej umowy, opartej o zasady wzajemnej pomocy w razie zagrożenia bezpośredniego lub pośredniego niezależności jednego z naszych państw.

Porozumienie polsko-angielskie przyjął pan Kanclerz Rzeszy Niemieckiej za pretekst do jednostronnego uznania za nieistniejący układu, który pan Kanclerz Rzeszy zawarł z nami w roku 1934.

**Układ polsko-niemiecki z 1934 r. był układem o wzajemnym szacunku i dobrym sąsiedztwie** i jako taki wniósł pozytywną wartość do życia naszego państwa, do życia Niemiec i do życia całej Europy.

Wysoka Izbo!

Ażeby sytuację należycie ocenić, trzeba przede wszystkim postawić pytanie, o co właściwie chodzi? Zbadajmy tedy te zagadnienia po kolei.

Wolne Miasto Gdańsk nie zostało wymyślone w traktacie wersalskim. Jest zjawiskiem istniejącym od wielu wieków i jako wynik pozytywnego skrzyżowania spraw polskich i niemieckich. Niemieccy kupcy w Gdańsku zapewnili rozwój i dobrobyt tego miasta dzięki handlowi zamorskiemu Polski. Ludność Gdańska jest obecnie w swej dominującej większości niemiecka, jej egzystencja i dobrobyt zależą natomiast od potencjału ekonomicznego Polski.

Z chwilą, kiedy po tylokrotnych wypowiedzeniach się niemieckich mężów stanu, którzy wyrażali opinię, że to „prowincjonalne miasto nie będzie przedmiotem sporu między Polską a Niemcami”, słyszę żądanie aneksji Gdańska do Rzeszy,

to muszę sobie postawić pytanie, **o co właściwie chodzi? Czy o swobodę ludności niemieckiej Gdańska, która nie jest zagrożona, czy o sprawy prestiżowe, czy też o odepchnięcie Polski od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da!**

Te same rozważania odnoszą się do komunikacji przez nasze województwo pomorskie. Nalegam na to słowo „województwo pomorskie”. Słowo „korytarz” jest sztucznym wymysłem, gdyż chodzi tu o odwieczną polską ziemię, mającą znikomą procent osadników niemieckich.

Daliśmy Rzeszy Niemieckiej wszelkie ułatwienia w komunikacji kolejowej, pozwoliliśmy obywatelom tego państwa przejeżdżać bez trudności celnych czy paszportowych z Rzeszy do Prus Wschodnich. I tu znowu zjawia się pytanie, o co właściwie chodzi? Nie mamy żadnego interesu szkodzić obywatelom Rzeszy w komunikacji z ich wschodnią prowincją. Nie mamy natomiast żadnego powodu umniejszenia naszej suwerenności na naszym własnym terytorium.

W pierwszej i drugiej sprawie, to jest w sprawie przyszłości Gdańska i komunikacji przez Pomorze, chodzi ciągle o koncesje jednostronne, których Rząd Rzeszy wydaje się od nas domagać. **Szanujące się państwo nie czyni koncesji jednostronnych.**

Dla porządku zrobię *resumé*.

Motywy dla zawarcia takiego układu byłoby słowo „pokój”, które pan Kanclerz Rzeszy z naciskiem w swym przemówieniu wymieniał.

Pokój jest na pewno celem ciężkiej i wyłożonej pracy dyplomacji polskiej. Po to, aby to słowo miało realną wartość, potrzebne są dwa warunki: 1) pokojowe zamiary, 2) pokojowe metody postępowania.

Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor.

## **7 maja, niedziela**

W „Ikacu” list otwarty trzech młodych ludzi, którzy zgłaszają się jako kandydaci na „żywe torpedy”, zatytułowany „Będziemy walczyć jak furia”. Jak można drukować takie listy! Przecież nie wolno walczyć takimi sposobami! Nie wierzę, żeby Wojsko Polskie szukało ochotników do misji samobójczych.

---

8.05

Wrócił Jens!

Pani Vetter jest urocza i ma poczucie humoru. Pili utkała jej w prezencie kangę i mama Jensa nie tylko uściskała Pili, ale włożyła kangę na swoją lnianą spódnicę i tak chodziła całe popołudnie. Serdecznie przywitała się także z Mutombo. Mrugnąłem do Jensa, a on szepnął mi do ucha, że mama domyśliła się wszystkiego, gdy tylko przestąpiła próg jego domu. Jak to się dzieje, że mamy wszystko wiedzą?

Ze stacji odebrałem nie tylko Jensa i panią Vetter, lecz także pocztę. Dostałem list od Zazulki. Szal, który zrobiła Pili, sprawił cud. Zazulka napisała, że często myśli o naszej podróży do Egiptu i że ze mną wiążą się jej najpiękniejsze wspomnienia. I że chciałaby jeszcze raz zobaczyć Afrykę. Co chwila odłączałem się od towarzystwa i w kółko czytałem jej list. Jestem szczęśliwy.

---

## **8 maja, poniedziałek**

Mszę na Wawelu odprawił dzisiaj kardynał Sapieha. Poszliśmy z babcią, bo na sobotę i niedzielę jedziemy do Różan i nie będziemy na procesji. Na imieniny kupiłam Stasiowi konia na biegunach, z prawdziwą grzywą i ogonem.

### **12 maja, piątek**

Czwarta rocznica śmierci Marszałka Piłsudskiego. Nie ma seansów w kinach ani dansingów. Flagi na masztach są spuszczone do połowy.

Wieczorem o wpół do dziewiątej ruszył marsz z pochodniami spod wzgórza na Wawel. Grały werble. Gdy słyszę ich suchy dźwięk, przechodzą mnie ciarki. Za piętnaście dziewiąta, o godzinie, gdy Marszałek umarł, rozległa się salwa. Miasto zamarło, stanęły tramwaje i auta, przechodnie zatrzymali się na chodnikach, mężczyźni zdjęli kapelusze. Po trzech minutach ciszy oddano dwadzieścia jeden strzałów z armat.

### **15 maja, poniedziałek**

Zaczęły się matury. Dobrze, że ja mam to już za sobą.

Hanka czuje się lepiej, nadal jednak jest słaba. Leżała w hamaku, owinięta w wełniany pled, a ja opowiadałam jej o podróży przez Kanał Panamski, o Sucre, La Paz i Arice, o Majach, o pływających ogrodach na Amazonce – o wszystkim, o czym Wiera do mnie pisze.

Staś, który zawzięcie huśtał się na nowym koniu i wydawał się tym całkowicie pochłonięty, słyszał każde słowo i po obiedzie zażądał, byśmy się pobawili w Amazonkę. Pożyczyłam od stawowego kajak, założyłam Stasiowi na brzuszek gumowe dmuchane koło ratunkowe i popłynęliśmy stawem wśród trzciny. Kot idący groblą zamienił się w naszych oczach w jaguara, powój oplatający gałąź wierzby – w lianę. Malec siedział wyjątkowo grzecznie, bo opowiedziałam mu o grasujących w Amazonce piraniach.

### **16 maja, wtorek**

Zmokłam do suchej nitki, wracając ze szkoły. Teraz znów ulewa.

Przeczytałam w gazecie, że w Krakowie nie będzie się wyświetlać filmów niemieckich.

---

17.05

Położyłem się po obiedzie, bo potwornie lało, i przyśniło mi się coś dziwnego. Brałem z Zazulką ślub w kościele, którego nie znam. Zazulka w czerwonej sukni i w bardzo zaawansowanej ciąży.

---

### **19 maja, piątek**

Upał. Na niebie zbierają się czarne chmury, pewnie znów będzie lało.

### **23 maja, wtorek**

Po ulewnych deszczach Wisła tak wezbrała, że na bulwarach gromadzą się ludzie, by zobaczyć, czy nie grozi powódź.

W przeddzień święta, w które wspomina się poświęcenie asyjskiej bazyliki, franciszkanie wprowadzili nowy piękny dzień – dobroci dla zwierząt. Po mszy u Franciszkanów przez Kraków przemaszerował pochód z orkiestrą wojskową: na czele szedł oddział wojsk łączności z gołębiami pocztowymi, psami i końmi, dalej policja z psami, a na końcu młodzież z różnymi zwierzętami i z transparentami. Widziałam chłopca, który niósł klatkę z kanarkiem.

### **24 maja, środa**

Zaprosiłam koleżanki ze szkoły pielęgniarstwa na imieninowy podwieczorek. Babcia z Marcysią przygotowały mnóstwo smakołyków. Przez chwilę myślałam, by wstąpić do Irki i też ją zaprosić, ale nie zdobyłam się na to.

### **25 maja, czwartek**

Woda w Wiśle opadła. Groźba powodzi zniknęła.

### **26 maja, piątek**

Skończyłam dziewiętnaście lat.

Podjęłam ważną decyzję: idę na medycynę.

---

26.05

Listy z domu. Lotte spodziewa się dziecka. Anton, mój cichy i nieujawniający emocji starszy brat, pisze, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Goniec przywiózł także pismo z Kompanii. Za dwa tygodnie mam być w Dodomie, a potem w Dar es Salaam. Przypływa mój następca w Biharangwe. Teraz żałuję, że poszedłem za radą Jensa i zgodziłem się na objęcie faktorii w Ng'ombe.

---

### **29 maja, poniedziałek**

Zielone Świątki spędziłyśmy u Hanki i Piotra. Trzeba by mieć pióro poety, by opisać wiosnę w Rózanach. Zieleń drzew jest taka radosna, błękit nieba taki pogodny.

Hanka ma się już całkiem dobrze i Piotr jest mniej przybity.

Opowiedziałam Stasiowi bajkę o Jasiu i Małgosi.

„Opowiedz jeszcze raz”, poprosił.

„Przecież dopiero co skończyłam”.

„Opowiedz. Może za drugim razem nie zabłądzą w lesie albo trafią do domku dobrej czarownicy”.

### **3 czerwca, sobota**

Dziś po raz drugi byłam na *Wyroku życia*. To debiut Jadwigi Andrzejewskiej – gdy w nim zagrała, była o rok młodsza niż ja teraz. Historia jest prosta: Hania z koleżankami z pracy jedzie na wycieczkę i w pociągu poznaje mężczyznę. Urzeczona nim, zapomina o upływie czasu, spóźnia się na pociąg i spędza z nim noc w wiejskiej chacie. Rano zostawia mu list. Daremnie jednak czeka na wiadomość od ukochanego. Zna tylko jego imię: Janusz. Pochłonięta myślami o nim, zaniedbuje pracę i zostaje zwolniona. Potem odkrywa, że jest w ciąży. Przeganiana zewsząd jak bezpański pies, rodzi dziecko w stajni. Fatalnym zbiegiem okoliczności, gdy w chwili rozpaczy chce się utopić, upuszcza dziecko prosto na głębinę. Zostaje aresztowana i skazana na śmierć. Poruszona widokiem oskarżonej adwokatka Krystyna (Irena Eichlerówna) wnosi o rewizję procesu i wygłasza dramatyczną mowę, w której zarzuca sędziom niesprawiedliwość, gdyż skazują matkę, kompletnie nie interesując się ojcem dziecka, który ją porzucił. Sąd uniewinnia Hanię, a Krystyna zaprasza ją do siebie do domu. Tam Hania poznaje męża adwokatki, która jest w nim bardzo zakochana. To Janusz, uwodziciel Hani.

Film powstał przed pięciu laty, jednak takie historie nadal są na porządku dziennym. Widzę to w szpitalu. Ktoś mógłby powiedzieć: prawo natury. Nie, to prawo silniejszego.

---

### 5.06

Nowy robotnik, który pracował zaledwie od tygodnia, chciał porwać Haddisa. Almaz twierdzi, że zatrudnił się w faktorii tylko po to, żeby ukraść jej dziecko. Myślałem, że to histeria – zresztą zrozumiała w tej sytuacji. Dopiero gdy głosem całkowicie wypranym z emocji powiedziała mi, że wywar z ciała albinosa kosztuje tyle, ile ten robotnik zarobiłby przez trzy lata, uwierzyłem jej. Poprosiłem, by na czas mojej podróży do Dodomy i Dar es Salaam przeniosła się do dużego domu, i poleciłem służbie strzec jej jak oka w głowie.

---

### **14 czerwca, środa**

Dziś zaczęły się egzaminy. Jeśli dobrze zdam, to zapiszę się na medycynę.

---

## 16.06

Nie lubię Adama Clovera. Gdy go zobaczyłem w porcie, w nieskazitelnym garniturze, jedwabnej koszuli, nowiutkim hełmie tropikalnym i z miną, która mówiła: „Jestem panem świata i doskonale o tym wiem”, od razu straciłem ochotę, by mu – tak jak Jens kiedyś mnie – zaproponować, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Przemogłem się jednak. Spojrzał na mnie jak na wariata, ale gdy sobie przypomniał, że jestem jego przełożonym, uśmiechnął się zimno, samymi wargami. „Skoro tak pan sobie życzy”.

## 18.06

Na weekend przyjechał Jens – ostatni człowiek, który żywiłby do kogoś uprzedzenia. Zanim zdążyłem go zaprezentować, Jens już proponował bruderszaft. Adam zachowywał się tak, jakby był głuchy i ślepy. Odzyskał zmysły, dopiero gdy ich sobie oficjalnie przedstawiłem.

„Nie wierzyłem w ten dialog Stanleya i Livingstone’a, wiesz w to: »*Doctor Livingstone, I presume?*«. Teraz wierzę”, powiedział mi na stronie Jens.

Mimo wszystko gdy usiedliśmy do kolacji, próbował rozmawiać z Adamem jak z człowiekiem. Co można jednak powiedzieć komuś, kto ubolewa, że w Afryce nie ma białej służby i że Murzyn nie może być dobrym kamerdynerem? Na słowo „kamerdyner” Jens zakrztusił się winem.

„Za to czarny kamerdyner będzie pamiętał, żeby rano wytrzepać twoje buty, nim je włożysz. Białe nie jest przyzwyczajony do skorpionów”, rzuciłem beztrosko, otwierając drugą butelkę.

„I powiesi plecak na gałęzi, tak żeby ani węże, ani karaluchy nie mogły do niego wleźć”, dodał Jens.

„Wyleczy cię swoim moczem, gdy poparzy cię meduza”.

„Rano nie obudzi zbyt gwałtownie, tylko najpierw sprawdzi, czy jakiś wąż, zwabiony ciepłem ciała, nie śpi koło ciebie w łóżku”.

Przy trzeciej butelce wina byliśmy już przy stole sami.

## 25.06

Przy całej swej sztywności Adam jest bardzo zdolnym chłopakiem. Rok temu skończył londyńską Akademię Handlową i – choć nie potrafiłby naprawić chwytaka w żurawiu – z pracą, szczególnie papierkową, radzi sobie znakomicie.

---

## 30 czerwca, piątek

Zdałam egzaminy najlepiej z całej klasy. Nie żałuję tego roku spędzonego w szkole. Bardzo dużo

się nauczyłam i gdy za kilka lat zostanę lekarką, będę wiedzieć, co myśli salowa i jak podchodzić do pielęgniarek. Żadna uczelnia nie dałaby mi takiej wiedzy. Żał mi tylko, że rozstaję się z Marynią. Obiecałyśmy sobie, że nasza przyjaźń nie skończy się tylko dlatego, że odeszłam ze szkoły. Może kiedyś będziemy razem pracowały? Bardzo bym chciała.

Gdy przyjęto moje podanie na wydział lekarski, przypomniał mi się profesor Rydygier z Uniwersytetu Lwowskiego, który dawał anonse do gazet: „Precz z Polski z dziwolągiem kobiety lekarza”, i zwykł był mawiać: „Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż kobiety zaczną studiować na naszym uniwersytecie”.

---

1.07

Ostatnie miesiące w Biharangwe. Przywiązałem się do tego miejsca.

Almaz ciągle jeszcze nie podjęła decyzji, czy przeniesie się ze mną do Ng'ombe. Powiedziałem jej, że może zabrać Pili i jej ciotkę.

---

***Różany, 6 lipca, czwartek***

Powietrze jest przesycone zapachem lip. Leżę pod drzewem i patrzę na kwiatki błyszczące jak żółte gwiazdki na zielonym niebie liści. Zamykam oczy, by lepiej poczuć subtelny, ale oszałamiający zapach. Pszczoły brzęczą hymn na cześć lata.

---

10.07

Kiedy pokazuję faktorię Adamowi, to jakbym się cofał w czasie: przypominam sobie pierwsze dni w Biharangwe, gdy wszystko tu było dla mnie nowe. Jak będzie w Ng'ombe? James Hall jest znacznie sympatyczniejszy niż Adam. Ten jego superangielski dom też jakoś zniosę. Naszkicowałem dziś plany nowego domu, który mam zamiar tam zbudować: weranda od zachodu i północy, osłonięta przed wschodnim wiatrem, z przeszklonymi drzwiami do salonu i jadalni, duża sypialnia, obok pokój dziecienny. Rozłożysty, parterowy dom z widokiem na Kilimandżaro, z mahoniowymi podłogami i kilimami utkanymi przez Pili na ścianach. Dom dla Zazulki.

21.07

Gdy wracaliśmy z Gisansere, gdzie wszystko zastaliśmy w najlepszym porządku, Adam zapytał: „Kiedy kończy się kontrakt kierownika sklepów w faktorii?”.

Doskonale wie, że tym kierownikiem jest Almaz, nigdy jednak nie słyszałem, by wymówił jej imię.

„Z końcem października”, odrzekłem i puls mi przyspieszył. Domyślałem się, do czego zmierza.

„Przedłużysz go?”, spytał.

„Nie będę mógł, bo wtedy już ty będziesz szefem faktorii”.

„To dobrze się składa. Bo ja go nie potrzebuję”.

---

### ***24 lipca, poniedziałek***

Gazety drukują zalecenia, by się zaopatrzyć w zapas żywności.

#### **Domowy zapas wojenny dla pięcioosobowej rodziny (koszt ok. 50 zł)**

30 kg mąki  
5 kg grochu i fasoli  
30 kg ziemniaków  
10 kg kasz  
10 kg kapusty kiszzonej  
3 kg cukru  
1 kg marmolady  
2 kg słoniny  
2 kg sera chudego, suchego  
1 kg boczku lub żeberek wędzonych  
0,5 kg kawy zbożowej  
1 kg pomidorów w butelkach  
10 kg świeżych jarzyn  
1 kg soli  
5 puszek mleka skondensowanego (po 400 g)

### ***5 sierpnia, sobota***

Trwa sezon na raki. Mniam!

### ***6 sierpnia, niedziela***

Słuchaliśmy transmisji ze Zjazdu Legionistów w Krakowie. Po mszy polowej marszałek Rydz-Śmigły wygłosił mowę. „Gwałt zadawany siłą musi być odparty. A gdy w czasach dzisiejszych słowa »pokój« i »wojna« na przemian są na ustach świata, my stwierdzamy: cenimy i szanujemy pokój, tak



jak inne narody, ale nie ma takiej mocy, która by nas przekonała, że »pokój« to jest takie słowo, które dla jednych oznacza »brać«, a dla drugich »dawać«. I niech nikt nie sądzi, że nasza miłość ojczyzny ma mniejsze prawa lub mniejsze nakłada obowiązki aniżeli jego miłość ojczyzny. Przed tą pomyłką ostrzegamy”.

Niestety, nie jest dobrym mówcą.

### **11 sierpnia, piątek**

Upał. Kwiaty omdlewają, więdną liście. Co wieczór pomagam podlewać ogród. Strumień wody z konewki najpierw rozpryskuje się na suchej ziemi, potem bezszelestnie w nią wsiąka. Woń zwilżonych liści jest niezwykle intensywna. Lubię gorzkawy zapach łądyg pomidorów i ich gwiaździstych żółtych kwiatków otoczonych zieloną koronką.

---

13.08

Weekend u Jensa. Przegadaliśmy prawie całą noc. Obiecał, że weźmie do siebie moich służących, jeśli Adam nie będzie chciał ich zatrzymać, a także Almaz, Pili i jej ciotkę, gdyby wolały tu zostać, niż jechać ze mną do Ng’ombe. Ulżyło mi trochę.

Wieści z Europy coraz gorsze. Wbrew przepowiedniom ojca nikt nie myśli o odsunięciu od władzy „wrzaskliwego kaprała”. Wypowiedzieliśmy traktat morski i zbroimy się na potęgę nie tylko na lądzie, także na morzu.

---

### **15 sierpnia, wtorek**

Dziś msza o uproszenie pokoju. Nastrój w kościele podniosły. Po mszy *Boże, coś Polskę*. Wiele kobiet płakało.

---

16.08

Napisałem długi list do pani von Chojnovsky. Nie byłem w Europie dwa lata i oczywiście wiem, że z oddalenia wiele spraw wygląda inaczej, gazety zaś lubią wszystko rozdmuchiwać, jednak dopiero teraz, gdy to zrobiłem, jestem trochę spokojniejszy. Poprosiłem, by przyjechała z Zazulką do Ng’ombe. Najlepiej już na Boże Narodzenie. James Hall wyjeżdża 28 grudnia, lecz nie sądzę, by miał

coś przeciwko obecności dwóch uroczych kobiet przy świątecznym stole.

---

### **17 sierpnia, czwartek**

Rano okno w mojej sypialni było całkiem zaparowane – noce po upalnych dniach są już zimne. Jak miło pomyśleć, że w tym roku mam trzy miesiące wakacji. Nie ruszę się z Różan do końca września. Tu jest mój świat.

### **18 sierpnia, piątek**

Piotr przywiózł nam listy z Krakowa. Dostałam długi list od Joachima. Pisze, jak bardzo się cieszy na przyszłe wakacje i wizytę w Krakowie. Ja też się cieszę, że go zobaczę.

### **20 sierpnia, niedziela**

W Różanach dożynki. Podczas uroczystej sumy proboszcz poświęcił dożynkowy wieniec upleciony ze zbóż i kwiatów. Po południu w remizie będzie zabawa – Piotr funduje jedzenie, picie i orkiestrę. Idziemy wszyscy. Ja ochotniczo podjęłam się opieki nad Stasiem.

Po mszy proboszcz zaintonował suplikację *Święty Boże* przed wystawionym w monstrancji Najświętszym Sakramentem. Cóż za kontrast! Radosne święto urodzaju i pieśń, którą się śpiewa, by uprosić oddalenie klęsk żywiołowych. „Od powietrza, ognia, głodu i wojny wybaw nas, Panie!” Mróz chodził mi po krzyżu.

### **21 sierpnia, poniedziałek**

Zarząd Miasta Krakowa obniżył ceny chleba, żeby ukrócić spekulacje. Kilo chleba pytłowego kosztuje teraz 28 groszy, razowego – 25 groszy.

### **22 sierpnia, wtorek**

W radiu usłyszałam, że Anglia „nałoży kaftan bezpieczeństwa Hitlerowi”. Gdyby nie radio i gazety, nie poznałabym, że coś wisi w powietrzu. Życie na wsi toczy się zwykłym torem. Żniwa w tym roku skończyły się wcześniej i na zaoranych ścierniskach kwitną już słoneczniki, łubin, facelia i seradela.

Wczoraj wybrałam się z panią Leonią na grzyby. Przeszłyśmy przez jaz i zaraz na skraju lasu znalazłam czerwonego kozaka. Stał sobie w trawie i świecił czerwonym kapeluszem. Potem trafiłam na polanę pełną kurek. Zawsze lubiłam te kielichowate grzyby z wachlarzem blaszek, barwiące palce na pomarańczowo: kiedyś dlatego że łatwo je było zauważyć i rozpoznać, teraz – bo jajecznicą z kurkami i chrupiącą piętka z masłem to najlepsze sierpniowe śniadanie.

## **24 sierpnia, czwartek**

Słuchamy radia.

Warszawa mówi o częściowej mobilizacji.

Berlin – o układzie o nieagresji między Niemcami i Rosją Sowiecką.

Londyn podaje, że król Jerzy VI przerwał urlop (polował w Szkocji) i zwołał nadzwyczajne posiedzenie gabinetu.

Z Watykanu papież Pius XII powiedział: „Zwracamy się z ojcowską troską do rządów i narodów. Na pokoju jeszcze nikt nie stracił, a przez wojnę stracone może zostać wszystko”.

A na świecie takie piękne lato.

## **25 sierpnia, piątek**

Babcia postanowiła wracać do Krakowa, wyjeżdża jutro rano. Ja zostaję w Różanach. Nie mogę teraz opuścić Hanki, która nie do końca wróciła do zdrowia. Nie chcę się rozłączać z Piotrem. Skrycie wodzę za nim oczami, nie umyka mi żaden jego uśmiech, żaden gest, a nikt nie zna moich myśli.

## **26 sierpnia, sobota**

Nie wierzymy w wojnę, ale na wszelki wypadek robimy zapasy: klarujemy masło, suszymy groch i owoce.

Władek Gorzkowski przyjechał się pożegnać. W mundurze. Uśmiechnięty, podniecony jak przed polowaniem na grubego zwierza. „Dobrze, że pani nie wyjechała – szepnął mi na odjeźdźnym. – Niedługo wrócę, a wtedy rodzice wydadzą bal. Zamawiam u pani lambeth-walka i wszystkie walce”. Jak on sobie poradzi w wojsku z tym okiem z guzika?

## **27 sierpnia, niedziela**

Coraz więcej doniesień o „incydentach na granicy”. Wczoraj koło Mławy hitlerowcy zastrzelili z ukrycia kaprała straży granicznej Feliksa Grabowskiego. Koło Mostów Śląskich pięćdziesięciu uzbrojonych Niemców przekroczyło granicę i napadło na stację kolejową i posterunek policji. Policjanci dzielnie się bronili i gdy zranili dwóch napastników, tamci się wycofali. Czy podpisany przedwczoraj w Londynie układ o pomocy wzajemnej Polski i Anglii to powstrzyma?

Niemcy obrzucają kamieniami polskie pociągi. Wczoraj ekspres z Berlina przyjechał do Warszawy z powybijanymi oknami.

Podobno Wielka Brytania zablokowała Kanał Panamski. Dawno nie miałam listu od Wiery.

---

Pojechałem do Jensa głównie po to, żeby nie spędzać niedzieli z Adamem. Jens w przyszły czwartek wybiera się z mamą na kilka dni do Dodomy. Przy okazji załatwiania spraw w dyrekcji Kompanii chce ją zabrać na zakupy i do kina.

Przez moment miałem ochotę pojechać razem z nimi. Potem jednak pomyślałem, że mam za dużo pracy, by teraz robić sobie urlop. Postawiłem sobie za punkt honoru przekazanie Biharangwe w idealnym stanie.

---

### ***28 sierpnia, poniedziałek***

Telefonowała babcia. Na Plantach, na skwerach i w parkach tysiące ochotników dzień i noc kopią rowy przeciwlotnicze. Za zgodą kurii metropolitalnej pracowali także wczoraj.

W Krakowie wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu i zabroniono podnoszenia cen. Z początku w sklepach spożywczych były kolejki, teraz wszystkiego jest w bród. Nawet węgiel jest sprzedawany bez ograniczeń. Babcia robi zapasy.

Za ukrywanie towarów i zawyżanie cen są surowe kary, z więzieniem włącznie. W każdej gazecie jest przynajmniej jedna notatka o karach dla nieuczciwych kupców.

Słuchałam dziennika z Berlina – Niemcy wprowadzają kartki na żywność: na masło, mięso, cukier. Potem był przegląd prasy. „Völkischer Beobachter” pisze, że „Polskę ogarnęła gorączka wojenna”, „BZ”, że „polscy żołnierze zmierzają ku niemieckiej granicy”.

### ***29 sierpnia, wtorek***

Piętnaście po ósmej wieczorem w radiu była pogadanka porucznika Krajewskiego o roli ludności cywilnej w zwalczaniu nieprzyjacielskich desantów lotniczych. Zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

W Krakowie odwołano zakaz sprzedaży alkoholu. Nadal są kopane rowy przeciwlotnicze – na Plantach, na Wolnicy, w Rynku Podgórskim, w prywatnych ogrodach, a także na naszym podwórku na Stradomiu. Wszystko pod często powtarzonym hasłem: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Ranki są mgliste i chłodne, dni upalne. Wczoraj znalazłam pierwsze w tym roku rydze. Upiekłyśmy je z Hanką na kuchennej blasze. Hanka mruczała z zadowolenia, wypijając sok z podwiniętych kapeluszy.

### ***30 sierpnia, środa***

Ogłoszono powszechną mobilizację. Zrobiło mi się słabo, gdy to usłyszałam. Piotr! Musiałam zblednąć, bo Hanka objęła mnie uspokajająco. „Boisz się, że zostaniemy tu same? – spytała. – Nie bój się. Piotr jest niezdolny do służby wojskowej i nie dostanie karty powołania”. A potem dodała: „Taka

ci jestem wdzięczna, że zostałam w Różanach. Ty właściwie już nie należysz do Krakowa. Jesteś Zuzanną z Różan”.

### **31 sierpnia, czwartek**

Telefonowała babcia. W Krakowie wszystko po staremu, tylko ruch większy. Obok ogłoszeń o mobilizacji pojawiły się afisze o obowiązku nocnego zaciemnienia. Miasto tonie w egipskich ciemnościach, nie świecą latarnie, wyłączono nawet reklamy, a tramwaje i auta mają osłonięte reflektory. Mimo to kina, restauracje, kawiarnie są pełne i wszyscy są dobrej myśli. Odetchnęłam z ulgą i wzięłam Stasia na przejażdżkę. Piotr układa dla niego kucyka. Zacznie go uczyć jeździć w październiku, gdy skończą się prace polowe.

Ganges całkiem inaczej się zachowuje, kiedy ma na grzbiecie dziecko. Idzie równo, bez figli.

Pojechaliśmy wzdłuż ogrodu aż do piaszczystej drogi pod lasem. Listki osik trzepotały na lekkim wietrze. Kwitną już wrzosa, a dojrzałe jeżyny błyszczą wśród liści jak czarne perły.

Wjechaliśmy między drzewa. Kamienista droga przeszła w pokrytą sosnowymi igłami ścieżkę, a leszczyny i osiki – w wysoki, jasny bór. Strumienie światła wlewały się między sosny. Wyraźnie widziałam czerwone i białe jagody brusznicy wśród błyszczących, jakby lakierowanych listków. Staś, który bez przerwy pyta: „A co to? A dlaczego?”, milczał jak zaklęty. Nachyliłam się i palcem pokazałam mu zielonego dzięcioła w czerwonej czapeczce, który falistym lotem przeleciał z jednej sosny na drugą, migając żółtym kuprem.

Przejechaliśmy przez strumień i ścieżką, na której zastygły gliniane koleiny, wyjechaliśmy na łąkę żółtą od nawłoci i niebieską od bodziszków.

„Stańmy, bo chcę zsiąść. Proszę”. Staś zwykle dodaje magiczne słowo po chwili zastanowienia.

„Jesteś zmęczony?”

„Nie. Tylko chcę nazbierać kwiatków”.

„Dla mamusi?”

„Dla ciebie, Zuziu. Bo ja cię kocham”.

Wieczorem siedzieliśmy w ogrodzie. Zachód słońca był niezwykle – horyzont zrobił się taki czerwony, jakby ziemia płonęła. A potem wzeszedł księżyc w pełni. Pachniała maciejka, grały świerszcze i wcale nie miałam ochoty kłaść się spać.

# **Orędzie Prezydenta RP**

## **Obywatele Rzeczypospolitej!**

Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii.

W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli Państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród w obronie swej wolności, niepodległości i honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i sił zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak to się już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich.

Cały naród polski, błogosławiony przez Boga, w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa.

( - ) Ignacy Mościcki  
Prezydent Rzeczypospolitej  
Warszawa, 1 września 1939 roku

„Halo, halo, tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano, o godzinie piątej minut czterdzieści, oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszają państwo komunikat specjalny”.

„A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka – aż do zwycięstwa”.

Stało się. „A więc wojna”. Głos trochę mi drżał, gdy zapytałam Piotra, co to właściwie znaczy. „Być może znów będziemy pod niemiecką okupacją, jak w czasach zaborów. Ja muszę dołączyć do pułku. Wy jedziecie do Krakowa”.

Serce mi stanęło. Piotr idzie na wojnę. Przypomniały mi się wszystkie okropne opowieści o rewolucji bolszewickiej i roku dwudziestym.

Niech walczą inni, ale nie on! Nie Piotr!

Wziął mnie za rękę i zbliżył twarz do mojej twarzy. Nogi się pode mną ugięły. Odruchowo

zamknęłam oczy, jakbym czekała na pocałunek.

Pocałował mnie w rękę. „Jesteś silna i mądra. Proszę cię, opiekuj się Hanką i Stasiem. Są wszystkim, co mam”.

## **2 września, sobota**

Kuchnia, spiżarnia, salon i jadalnia zasłane słomą i sianem. Wszędzie skrzynie, walizy, pudła. Stukają młotki. Hanka dyryguje pakowaniem. W ogrodzie chłopci już wykopali dół i układają w nim wyłożone sianem skrzynie z porcelaną, z kryształami. Pelasia wyjmuje obrazy z ram i zwija je w rulony. Pamiątki rodzinne, srebra, najcenniejsze książki i małe meble chłopci pakują na wozy.

Telefonowała babcia. W mieście ruch – wszyscy robią zapasy. Atmosfera podniecenia i optymizmu, choć co kilka godzin jest ogłaszany alarm lotniczy. Dziś o piątej rano zbudziły ją syreny, ale nie zeszła do urządzonego w piwnicy schronu.

Ktoś przerwał nam rozmowę w pół słowa.

Nie wyłączamy radia. Słuchamy komunikatów – o zbombardowaniu lotniska na Rakowicach, o walkach na Westerplatte, o zrównaniu z ziemią Wielunia. Co pewien czas audycje są przerywane i spiker martwym, nieludzkim głosem powtarza: „Uwaga. Uwaga. Nadchodzi. Ko-ro dwadzieścia siedem”. Potem znów: „Uwaga. Uwaga. Nadchodzi. Lo-ta dwadzieścia trzy”.

Pogoda jest wspaniała. Jak na ironię.

## **3 września, niedziela**

Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę! Rzuciłyśmy się sobie z Hanką w ramiona i odtańczyłyśmy w salonie dziki taniec zwycięstwa.

Radio Kraków transmitowało mszę świętą z kościoła Mariackiego. Płakałyśmy, gdy ludzie na zakończenie odśpiewali *Bogurodzicę*.

To były straszne trzy dni. Na szczęście są już za nami.

## **później**

Słuchaliśmy przez radio mowy ministra Becka. W pierwszej chwili nie poznałam jego głosu. Mówił mechanicznie, nieskładnie, bez wiary. Przytoczył powiedzenie Piłsudskiego: „Na ciężką godzinę jedyna polityka to polityka dobrego towarzystwa”, i potwierdził, że Hitler zignorował żądanie wycofania wojsk z Polski i że o jedenastej piętnaście premier Chamberlain wygłosił mowę do narodu, informując o wypowiedzeniu Niemcom wojny. O piątej po południu wojnę wypowiedziała im także Francja.

To dobre wiadomości, ale upadłam na duchu, gdy go słuchałam.

Najtrudniej mi było pożegnać się z Gangesem. Obiecałam mu, że wrócę tak szybko, jak się da, może za parę tygodni, a na pewno przed końcem jesieni.

## **Kraków, 4 września, poniedziałek**

Nie ma wody, bo podczas nalotu został uszkodzony wodociąg.

Za godzinę wyjeżdżamy do Brogów. Babcia, mimo namów, zostaje. Mówi, że Kraków jest przygotowany, by przetrwać do nadejścia Anglików i Francuzów. Właśnie podano w radiu, że „wszystkie siły Francji przystąpiły do akcji wojennej”. Jedyne, na co babcia się skarży, to na nieprzyjemne wrażenie jazdy tramwajem z szybami zamalowanymi na ciemnoniebiesko i na to, że w nocy z powodu zaciemnienia miasto jest czarne, jakby wymarłe.

Rano, gdy tylko przyjechaliśmy, pobiegłam do miasta. W bramie spotkałam się z synem naszego stróża. Dał mi dwie tabliczki czekolady. Podobno koło fabryki Helvetia w Podgórzu czekolada poniewiera się po ulicach. Ludzie rabują opuszczone magazyny i zbombardowane fabryki. Policja nie interweniuje, bo większa jej część już została ewakuowana.

Na Stradomiu turkoczą wozy, trąbią samochody, maszerują żołnierze. Wojsko opuszcza miasto, a razem z nim wielu krakowian, głównie młodzież. Mówi się, że młodzi muszą uciekać, bo natychmiast zostaną wywiezieni w głąb Rzeszy na roboty, a chłopcy, przebrani w niemieckie mundury, będą pędzeni jako osłona przed nacierającymi oddziałami niemieckimi.

Po mieście krąży masa plotek: o desancie niemieckim na Salwatorze, o tym, że Gdynia została zrównana z ziemią, o złapanych i zlinczowanych przez tłum szpiegach.

Dietla, Basztową i szosą mogiłą, aż do rogatek, płynie rzeka aut, osobowych i ciężarowych, wozów, dorożek, piechurów. Ludzie pchają i ciągną wózki, niosą walizki, plecaki, skrzynie, toboły z wystającą pościelą, garnki, wiadra, zegary. Niektórzy prowadzą zwierzęta. Stałam oniemiała.

Marynia wyjechała wczoraj, z siostrą i rodzicami, też na wschód. Zostawiła mi kartkę z kilkoma słowami pożegnania. Babcia pomagała im pakować rzeczy i jedzenie, zaszywać pieniądze w ubraniach.

Wszyscy chcą gdzieś bezpiecznie przeczekać wojnę.

Miasto obklejone orędziem prezydenta Mościckiego, a na Plantach leżą ulotki, które zrzuciły niemieckie samoloty.





# Einwohner!

Die einrückenden deutschen Truppen kämpfen nicht gegen Euch, sondern gegen die feindliche Armee. Alles andere ist Lüge.

Wer sich ruhig hält und seiner Arbeit nachgeht, dem wird nichts geschehen. Jede feindliche Handlung gegen das deutsche Heer wird auf der Stelle mit dem Tode bestraft.

Waffen und Munition sind sofort beim Bürgermeister abzugeben.

In der Nacht zwischen 19,00 Uhr (7 Uhr abends) und 6,00 Uhr bleibt alles in den Häusern.

Wer diesen Befehl nicht befolgt, setzt sich der Gefahr aus, erschossen zu werden.

**Der Oberbefehlshaber der Armee**

---

# Mieszkańce!

Wkraczające wojska niemieckie nie prowadzą walki z wami, tylko z nieprzyjacielską armią. Wszystko inne jest kłamstwem.

Kto się spokojnie zachowuje i pracuje, temu się nic nie stanie. Każda wroga działalność wobec armii niemieckiej będzie natychmiast karana śmiercią.

Wszelką broń i amunicję należy oddać niezwłocznie burmistrzowi.

Od godziny 7 wieczorem aż do godziny 6 rano niewolno nikomu opuścić swój dom.

Kto się sprzeciwia temu rozkazu, naraża się na niebezpieczeństwo zastrzelenia!

**Naczelnny Dowódca Armii Niemieckiej**

6.09

Nie mogę się doczekać powrotu Jensa. W nocy męczą mnie koszmary, w dzień Adam. Jadę jutro do Ngary. Jens ma mi przywieźć pocztę.

7.09

Wojna!

Tydzień temu w Europie wybuchła wojna.

Jechałem do Ngary, gdy zobaczyłem auto Jensa. „*Mister Vetter, I presume?*”, zażartowałem, witając się z nim.

Nie uśmiechnął się. „Jaką wiadomość chcesz usłyszeć najpierw? Złą czy bardzo złą?”

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

„Bardzo złą”.

„Pojutrze zostaniesz aresztowany i internowany. Niemcy napadły na Polskę i w niedzielę Anglia i Francja wypowiedziały wam wojnę”.

Wam. Jens powiedział to ostrym, nieprzyjaznym tonem.

„Musisz uciekać – dodał łagodniej. – Na razie nikt tu nic nie wie, więc myślę, że bez trudu dopłyniesz do Kisumu, a potem jakoś się przedostaniesz przez Kenię do Abisynii. Włosi nie zrobią ci krzywdy”.

„Dziękuję”.

„Uważaj na Adama. On jest Anglikiem. I zostaw u Almaz to, co mam ci wysłać do domu. Lepiej nic z sobą nie bierz. Nic, co by wskazywało, że jesteś Niemcem”.

Pokiwałem głową i uściskałem Jensa. Gula w gardle nie pozwoliła mi wydobyć głosu.

„Niech cię Bóg prowadzi”.

Kochani Rodzice, jeśli przeczytaliście te słowa, to wiecie, że zawdzięczam Jensowi wolność, a może i życie. Oby Bóg zachował go w dobrym zdrowiu.

7/8.09

Parowiec do Kisumu odpływa o świcie.

Nie mogę spać.

Tylko Almaz wie, że wyjeżdżam.

Była tu przed chwilą. Wsunęła się do sypialni jak cień i przypomniały mi się wszystkie te noce, kiedy do mnie przychodziła.

Powiedziałem jej o wojnie, gdy tylko wróciłem do faktorii. Jej oczy robiły się coraz większe. Jednak gdy się odezwała, w jej głosie nie było drżenia. „Pamiętaj, by na przełęczy ze skałą w kształcie trzech palców iść ścieżką w lewo, nie w prawo”.

Almaz, moja Almaz! I jej w kółko opowiadana historia o ucieczce przez góry, pustkowia i dżunglę. Pamiętam wszystko. Każdy jej krok. To ona będzie mnie prowadzić.

Żal mi kilimów tkanych przez Pili. Nigdy nie zawisną w domu w Schönwalde ani w żadnym innym moim domu.

Do małej skrzynki spakowałem listy, dokumenty, trochę osobistych drobiazgów. Na wierzchu położyłem list zaadresowany do rodziców. Może Jensowi rzeczywiście uda się to posłać do Schönwalde. Bardzo bym chciał napisać do Zazulki. Tylko co? To my, Niemcy, napadliśmy na jej kraj.

Spakowałem plecak. Ten sam, z którym byłem nad Bałtykiem. W jakimś innym życiu.

Mam pieniądze, mapę, ubranie na zmianę, nóż, zapalniczkę, zapalki, kompas, okulary słoneczne, manierkę z wodą, mydło i przybory do golenia, pelerynę, chininę, trochę jedzenia.

Almaz przyniosła mi pled z wielbłądziej wełny, lekki i zajmujący mało miejsca, bukłak z koziej skóry na długim rzemieniu i kangę, która może zastąpić każdą część ubrania, ręcznik albo koc. Dała mi też mały skórzany woreczek do powieszenia na szyi. W środku znalazłem suszone liście.

„To khat – powiedziała. – Żuj po drodze. Doda ci sił. Z nim przejdiesz najwyższe góry i nie będzie ci się chciało spać ani jeść”.

Z jednego listka coś wypadło. Diament. Spojrzałem na szyję Almaz i na jej przegub. Nie miała naszyjnika ani bransoletki.

„Pieniądze to za mało. Czasem trzeba dać coś, co błyszczy”. Pocałowała mnie i wyszła.

Ścisnęło mnie w gardle. Almaz. Moja Almaz.

Bardzo bym chciał zabrać z sobą ten notes. Jednak pamiętam mądre słowa Jensa: „Nie bierz niczego, co by wskazywało, że jesteś Niemcem”. Wiem, że o świcie na przystani będzie czekała Almaz. Poproszę, by dołożyła go do skrzynki.

Jednego nie mogę zostawić. Zdjęcia Zazulki.

Oby dobry Bóg mnie do niej doprowadził.

---

# OBWIESZCZENIE.

1. Mieszkańców Miasta Krakowa zawiadamiam, że aż do odwołania **nie wolno nikomu przebywać na ulicach i placach miasta od godziny 18:30 wieczór do godziny 5-tej rano.**

Wyjątek stanowią organa Straży Obywatelskiej, zaopatrzone w opaski biało-niebieskie z napisem Straż Obywatelska i pieczęcią Zarządu Miejskiego i Zarządu Wojskowego, którym to organom mieszkańcy miasta winni są bezwzględny posłuch, — lekarze spieszący do chorych, posiadający legitymacje zawodowe w języku niemieckim — Pogotowie Ratunkowe oraz Straż Pożarna.

Legitymacje wydawać będzie Wydział Zdrowia Publicznego Zarządu Miejskiego w Ratuszu krakowskim.

2. Posiadana broń palna z wyjątkiem historycznej musi być natychmiast oddana w Biurze na parterze w Ratuszu krakowskim.

Każda sztuka ma być zaopatrzona w tabliczkę, podająca nazwisko i adres właściciela.

3. Poza ograniczeniem w 1-szym ustępie zawartym, życie ma płynąć normalnie, a mieszkańcy winni oddawać się swoim zajęciom.

4. Sklepy i lokale w godzinach dozwolonych mają być bezwzględnie otwarte, aby wszyscy bez trudności zaopatrywać się mogli w potrzebne artykuły.

5. Przy obliczaniu cen 50 fenigów niemieckich odpowiada wartości jednego Złotego.

6. Osoby wojskowe (dezercerzy, maruderzy) mają się zgłosić natychmiast w Biurze na parterze w gmachu Ratusza.

7. Sabotaże, kradzieże i inne przestępstwa karane będą według ustaw wojennych.

8. Kto zostanie schwytany przy rabunku zostanie rozstrzelany.

Kraków, dnia 6 września 1939 r.

Prezydent miasta w. z.

**Dr Stanisław Klimecki**

Dom. Jestem w domu.

Ten zeszyt... Przez zapomnienie zostawiony w domu ocalał. Czemu tak jak on nie zostaliśmy w Krakowie?

# Rzołnierze Armii Polskiej!

Pańsko-burżuazjny Rząd Polski, wciągnowszy Was w awantury-styczną wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronu. Ministrzy i gieneratowie, schwycili nagrabiłone imi złoto, tchórzliwie uciekli, pozostawiają armię i cały lud Polski na wolę losu.

Armia Polska pocierpięła surową porażkę, od którego ona nie oprawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugraża głodna śmierć i zniszczenie.

W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwie się Robotniczo-Chtëpskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienie bez kożyści i przereczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako wasi braci po klasu, jako wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarników i kapitalistów.

Wielka i niezwołczona Armia Czerwona niesie na swoich sztandarach procującym, braterstwo i szczęśliwe życie.

Rzołnierze Armii Polskiej! Nie proliwacie doremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów.

Was przymuszają uciskać białorusinów, ukraińców. Rządzące kole Polskie sieją narodową rużność między polakami, białorusinami i ukraińcami.

Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskające drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy – Wasi procujące, a nie wrogie. Razem z nimi budujcie szczęśliwe, dorobkowe życie.

Rzucajcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej. Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie.

*Naczelny Dowódca Białoruskiego frontu  
Komandarm Drugiej Rangi Michał KOWALOW.*

*17 września 1939 roku.*

## **23 września, sobota**

Już tydzień jestem w domu.

~~Hanka i Piotr nie żyją. Staś i ja ocaleliśmy cudem. Żałuję, że i ja nie zostałam na zawsze na tej łące nad rzeką.~~

## **24 września, niedziela**

Koszmarne sny.

Staś płaczący przez sen.

Doktor Lackowski, który stale prosi, bym mówiła mu po imieniu, i co kilka dni przynosi mi kwiaty.

Nie wytrzymam tego.

## **25 września, poniedziałek**

Gdybym umarła nad tą rzeką.

Gdyby nie Staś. Gdyby nie babcia.

## **26 września, wtorek**

Mówi Warszawa. Spokojny głos podpułkownika Wacława Lipińskiego: „Ponieważ jest wojna, należy się przygotować zawsze na rzeczy najgorsze”.

~~Po raz pierwszy wyszłam na miasto. Chodniki są pełne niemieckich żołnierzy. Młodych, dobrze wyglądających. Chodzą spokojnie, trochę jak turyści, nikogo nie zaczepiają, w sklepach płacą markami. Wykupują towar u jubilerów, a w delikatesach kawior, sardynki, czekoladę. Tak jakby chcieli potwierdzić przedwojenne przekonanie, że w Niemczech panuje głód, a u nas jest dobrobyt.~~

~~W gazetach nowa rubryka: „Poszukiwanie się wzajemne”.~~

~~Londyn podaje, że na wystawie światowej w Nowym Jorku zapieczętowano kapsułę z ponad tysiącem mikrofilmów. Ma być otwarta za pięć tysięcy lat. Pycha Ameryki nie ma granic.~~

~~Co za bzdury wypisują. Jakie to ma znaczenie. Hanka i Piotr nie żyją.~~

## Poszukiwanie się wzajemne

**STEFAN RIESS** wracaj do nas swobodnie. — Jaga z Rodzicami. 13

**CZEŚL** Konopińscy — Kraków, Zarząd Miejski — proszą o wiadomość o synu Stanisławie i córce Marii Konopińskiej, którzy wyjechali z Krakowa 4 bm. przez Tarnów do COP-u autem Huty Aluminium. 2k

**MRÓZ** Karol, wracaj do owocarni, droga wolna od 6 rano do 6 wieczór; błagają Maria i Lala. 49

**EUGENIA** Wierzbicka, zamieszkała w Krakowie, ul. Straszewskiego 5, zawiadamia o tem swoich synów Władysława i Tadeusza. Prosi o danie w jakikolwiek sposób wiadomości o sobie. 21

**KURKIEWICZ** Jan i Zofia. — Passakas Lesław i Janina — dajcie znak życia przez wracających uchodźców. Kraków, Wygoda 9. 19

**EDMUND** Binkowski, zamieszkały w Chorzowie, zawiadamia żonę i dzieci, że pozostał na miejscu. 18

**MIECZYŚLAW** Nowicki wracaj synu lub daj znak życia o sobie, jestem w Krakowie razem z Janką. Natalia Nowicka, Kraków, Siemiradzkiego. 39

**OLAKOWSKA** Elwira — Kraków, Topolowa 20, prosi o bliższy adres p. Cyfrowiczów, zamieszkałych w Krakowie (Osiedle Oficerskie). 42

**JERZY** Pieniążek wracaj zaraz do domu. Matka z ciotkami. 46

**STANECKI**, Żywiec — poszukuje żony. Wszyscy zdrowi. Wiadomość od poszukiwanej lub wiedzących o niej. Żywiec lub Kraków. Łobzowska 4, p. Lenczowska. 43

### 28 września, czwartek

„Halo, halo, czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienie przesyłamy żołnierzom polskim walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła! Niech żyje Polska!”

### 2 października, poniedziałek

Byłam na Świętego Jana. Siostra Dyrektorka i siostra Kornelia przywitały mnie tak serdecznie, że aż się rozplakałam. Od jutra zaczynam uczyć.

### 3 października, wtorek

„Gdyby nie duża różnica wieku między nami, już dawno bym ci się oświadczył”. Nie wiem, co robić. A właściwie wiem, tylko że to go zrani. Zranię dobrego człowieka, który mnie kocha.

#### **4 października, środa**

W nocy ulice są jak wymarłe: ciemne, żadnego ruchu. Gdy rano idę do szkoły przez puste, zamglone miasto, czuję się jak w mieście duchów.

#### **5 października, czwartek**

Deszcz, zimno, wieje ostry wiatr.

Chodzimy wcześniej spać.

#### **6 października, piątek**

Widziałam kolumnę polskich jeńców. Szli Lubicz do rogatki mogińskiej. Niby różnym krokiem, ale przygarbieni, z martwymi twarzami.

#### **10 października, wtorek**

W mieście rozklejono obwieszczenia zakazujące pod karą więzienia słuchania obcych stacji radiowych. „Będące w użyciu aparaty odbiorcze zostaną zarekwirowane. Kto świadomie rozpowszechnia wiadomości, podane przez zagraniczne stacje radiowe, a mogące zaszkodzić obronności Narodu Niemieckiego, będzie karany więzieniem, a w wyjątkowych wypadkach śmiercią”.

#### **11 października, środa**

Kolejki do sklepów spożywczych i do kasy PKO, która wypłaca oszczędności. Babcia już w sierpniu zrobiła ogromne zapasy i wycofała z banku nasze kapitały. Zginęłabym tysiąc razy, gdyby nie ona.

#### **12 października, czwartek**

Przed kamienicą, w której jest mieszkanie Hanki, kiedyś mieszkanie pana Podoskiego, stały dziś dwie konne platformy. Na jednej zobaczyłam sekretarzyk Hanki, pamiątkę po jej mamie. Podeszłam bliżej. Niemieccy żołnierze wynosili krzesła, walizki. Poznałam granatowy paryski kufer od Louisa Vuittona, z metalowymi taśmami i rozmieszczonymi z jubilerską precyzją ćwiekami. Pan Podoski nie ruszał się bez niego w żadną podróż. Babcia żartowała, że co to za kufer, skoro zrobiony przez syna młynarza, a pan Podoski zawsze jej odpowiadał, że co jest dobre dla cesarzowej Eugenii, to na pewno jest dobre i dla niego.

W bramie stanął stróż, pan Józef Sidor. Poznał mnie i podszedł.

„Wojsko rekwiruje puste mieszkania. Wywożą, co się da – szepnął. – Trzeba jakoś ratować. Może by pani poszła do jakiego urzędu, skargę złożyła. Przecież tak nie można. To przecież rzeczy pani Boruckiej. Co powie, jak tu wróci?”

Łzy stanęły mi w oczach. On o niczym nie wiedział. Nie miałam sił, żeby mu powiedzieć.

„Ma pan rację, muszę złożyć skargę”, powiedziałam i szybko odeszłam.



### **13 października, piątek**

Po południu ochotniczo pracuję przy pisaniu podań. Koło Kobierzyna, w koszarach 8. Pułku Ułanów, Niemcy zrobili obóz dla kilku tysięcy polskich szeregowców i podoficerów. Rodziny starające się o ich zwolnienie mogą składać podania do władz, jednak najlepiej, gdy są napisane po niemiecku, bo polskich podobno nikt nie czyta. Automatycznie zapisuję po niemiecku ciągle te same zdania: „Zostałam sama z trójką dzieci. Mam nadzieję, że Szanowna Komenda Dywizji wejdzie w me położenie i łaskawie zechce zwolnić mego męża”. „Mój brat jest ciężko chory na płuca i pobyt w obozie może całkowicie zrujnować jego zdrowie”.

Motywy mam jak najgorsze – wracam do domu krótko przed godziną policyjną, gdy doktor Lackowski, jeśli nas odwiedził, musiał już pójść do domu.

### **15 października, niedziela**

Imieniny babci. Wreszcie słońce po kilku dniach deszczu. Staś w milczeniu pokazuje gościom ludziki i zwierzątka, które wczoraj zrobiliśmy z nazbieranym na Plantach kasztanów.

Od śmierci Od miesiąca prawie nic nie mówi.

Doktor Lackowski opowiada najnowszy dowcip: Spotyka się dwóch krakusów. „Słyszałeś? Orbis organizuje wycieczki do Berlina”. „Do Berlina? A po co?” „Pod hasłem: »Poznaj swoje meble«”.

Nikt, nawet pani Debora Klein, która jest amerykańską Żydówką i jak mówi, „nie da się Hitlerowi wykurzyć z Krakowa”, się nie śmieje.

Stół jest zastawiony smakołykami. Ja nie mogę jeść. Grzebię widelcem w talerzu, aż siedzący obok mnie doktor Lackowski pyta szeptem, czy dobrze się czuję. Uśmiecham się sztucznie i uspokajająco kiwam głową. Bierze mnie za rękę. W pierwszej chwili myślę, że chce mi zbadać puls, ale to gest czułości.

Jest mi niedobrze. Mruczę: „Przepraszam”, i idę do łazienki. Mdłości po chwili mijają. Patrząc na siebie w lustrze i widzę obcą twarz.

### **21 października, sobota**

Pada zimny deszcz. Ludzie mokną w kolejkach po chleb, mąkę, cukier.

Marcysia pod kierunkiem babci piecze chleb w domu. Kiedyś, w Różanach, uwielbiałam zapach świeżego chleba. Dziś robi mi się od niego niedobrze.

### **22 października, niedziela**

Śnił mi się piknik w lesie w imieniny Hanki. Pani Leonia wyjmowała puszkę z lodami poziomkowymi z wiader z lodem. Widziałam, jak podnosi snopki słomy, chroniące lód przed roztopieniem. Obudziłam się i okropnie zachciało mi się lodów.

## **26 października, czwartek**

Miasto oblepione „Proklamacją Gubernatora Generalnego”.

„Życie Wasze prowadzić możecie nadal według wiernie zachowanych obyczajów: Waszą polską właściwość będzie wam wolno zachować we wszystkich objawach społeczności. Jednakże kraj zniszczony doszczętnie zbrodniczą winą Waszych dotychczasowych władców wymaga najbardziej stanowczego organizacyjnego podciągnięcia Waszej wspólnej pracy.

Pod sprawiedliwą władzą zapracuje każdy na swój chleb powszedni. Dla podżegaczy politycznych, hien gospodarczych i wyzyskiwaczy żydowskich nie będzie jednak miejsca w obszarze stojącym pod zwierzchnictwem niemieckim.

Wszelkie próby oporu przeciwko wydanym rozporządzeniom oraz przeciwko spokojowi i porządku na obszarach polskich niszczone będą bezwzględną surowością za pomocą potężnego oręża Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Każdy podporządkowujący się jednak sprawiedliwym zarządzeniom naszej Rzeszy, odpowiadającym w zupełności Waszym zwyczajom życiowym, spokojnie będzie mógł pracować. Zarządzenie nasze uwolni Was od wielu strasznych braków, nad którymi cierpieć musicie dziś jeszcze w następstwie niewiarogodnej gospodarki Waszych dotychczasowych władców”.

## **27 października, piątek**

Przestał wychodzić „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nasz poczciwy krakowski „Ikac”, który kupowaliśmy od zawsze. W kioskach nowa gazeta – „Goniec Krakowski”.

Babcia skomentowała to krótko: „W piątek zły początek”.

## **28 października, sobota**

Miasto pełne uciekinierów z Warszawy. Do państwa Morawskich wprowadzili się dziadkowie Izy, którzy stracili mieszkanie w stolicy. Babcia upiekła szarlotkę i spędziłyśmy u nich dzisiejszy wieczór. Warszawa leży w gruzach.

## **29 października, niedziela**

W kościele tłupy. Wśród ogłoszeń parafialnych informacja, że choć szef „dystryktu krakowskiego” zezwolił na odprawianie nabożeństw w katedrze, to mieszkańcy miasta nie mają wstępu nie tylko na Wawel, lecz także do katedry.

Po mszy ksiądz zaintonował *Boże, coś Polskę*. Ludzie śpiewali i płakali. Ja już nie mam łez.

## **30 października, poniedziałek**

Rano w łazience usłyszałam brzęk. Z palca spadł mi pierścionek. Po ubraniach widzę, że schudłam. Babcia stara się gotować moje ulubione potrawy, ale nie mam apetytu. Ledwie dowlokłam się do szkoły, we mgle i padającym mokrym śniegu.

Marcysia powtarza wiadomości przyniesione z miasta: wojna skończy się na wiosnę, najpóźniej w wakacje. Nie wytrzymam, jeśli to będzie trwało jeszcze pół roku.

### **31 października, wtorek**

Staś ciągle odpowiada monosylabami, jakby się cofnął w rozwoju.

Śniło mi się, że jadę bryczką koło różańskiego lasu. Wyraźnie słyszałam suchy szelest piasku w szprychach kół.

### **1 listopada, środa**

Na nowym cmentarzu, dla biedaków, po drugiej stronie ulicy Prandoty, mnóstwo nowych grobów. Tłumy ciągnęły też na Olszową, na cmentarz wojskowy. Babcia opowiadała Stasiowi o czasach, gdy nie było tu ulic, tylko bezimienna droga, zwana – od nazwy podmiejskiej restauracji – drogą koło Czarnego Osła.

Obowiązuje zaciemnienie i nie wolno zostawiać na grobach płonących świeczek.

### **3 listopada, piątek**

Każdy Polak od osiemnastego do sześćdziesiątego roku życia ma obowiązek pracować. Żydzi muszą pracować od dwunastego roku życia.

Ogłoszono, że od 21 listopada wszystkie szkoły średnie, także gimnazjum i liceum sióstr prezentek, mają przestać działać. Polacy będą mogli się uczyć tylko w szkołach powszechnych i zawodowych. Zwiększono przy tym liczbę uczniów w klasie do siedemdziesięciu.

Na radzie pedagogicznej Siostra Dyrektorka podała nowy podział obowiązków. Ponieważ językiem urzędowym stał się niemiecki („z dopuszczalnością języka polskiego”), mam więcej lekcji. Będę także tłumaczyć pisma, dokumenty i tym podobne.

### **6 listopada, poniedziałek**

Straszna wieść. Zaproszonych na wykład jakiegoś Niemca profesorów wyprowadzono z Collegium Novum pod strażą, załadowano na auta z plandekami i dokądś wywieziono.

### **9 listopada, czwartek**

Babcia dostała (przez znajomych, bo poczta nadal nie działa) list od pani Róży Sierakowskiej, która pisze, że księżna Biszeta Radziwiłłowa w grudniu wyjeżdża do Rzymu specjalnym wagonem, który ma być podstawiony na granicy sowieckiej do dyspozycji księżnej i jej rodziny. Księżna jest przyjaciółką królowej Heleny, która interweniowała w jej sprawie u ministra spraw zagranicznych hrabiego Ciano, prywatnie – zięcia Mussoliniego.

Zostałam przedstawiona księżnej w trzydziestym szóstym roku w Rzymie. Księżna ma tam wspaniały pałac i prowadzi bujne życie towarzyskie.

Babcia mówi, że księżna jest bardzo życzliwa, i głośno się zastanawia, czy do niej nie napisać i nie poprosić, żeby zechciała mnie zabrać. Z trudem się powstrzymuję od zapytania, dlaczego sama nie chce jechać, i w ogóle, jak to sobie wyobraża: księżna na pewno mnie nie pamięta, nie jestem żadną jej krewną, a poza tym co z babcią i Stasiem? Tutaj mam dom, a tam byłabym na cudzej łasce. Tak, w Rzymie mieszka Carla, tylko co innego jechać do niej na wakacje, a co innego może na cały rok, nim wojna się skończy.

### **10 listopada, piątek**

Wczoraj znów aresztowania. Podobno zabierano profesorów z klas i aresztowano wszystkich mężczyzn w kawiarni Europejskiej i Pod Gruszką. Nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Krążą przeróżne plotki, niektóre straszne.

### **15 listopada, środa**

Od wczoraj mieszka u nas pani Wiktoria Danielewicz, znajoma babci z Poznania. Wyrzucono ją z mieszkania. Dostała godzinę na zebranie najpotrzebniejszych rzeczy. Mówi, że i tak była uprzywilejowana, bo niektórzy musieli wyjść ze swoich domów, tak jak stali.

### **21 listopada, wtorek**

Uniwersytet ciągle zamknięty, nie ma żadnych wieści o profesorach. Uprzytomniłam sobie, że gdyby Ojciec żył, byłby w ich gronie.

### **22 listopada, środa**

Dziś w szkole Dzieją się rzeczy, o których nie mogę pisać. Jest wojna.

„Ponieważ jest wojna, należy się przygotować zawsze na rzeczy najgorsze”.

### **26 listopada, niedziela**

Panią Wiktorię Danielewicz zaprosiła do siebie jej daleka rodzina mająca dwór koło Brzeziny. To niedaleko Różan. Gdy o tym usłyszałam, od razu postanowiłam pojechać razem z nią.

Dziś przy obiedzie zastanawiała się głośno, jak się tam dostaniemy. Wtedy doktor Lackowski, Jaś – muszę się przyzwyczać do mówienia mu po imieniu – zaofiarował się, że uzyska przepustkę i zawiezie nas samochodem. W pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że w takim razie ja nie jadę. Jednak chęć zobaczenia Różan przeważała. Mamy jechać we wtorek. Siostra Dyrektorka dała mi dzień urlopu.

### **30 listopada, czwartek**

Władek Gorzkowski nie żyje. Pierwszego września został ciężko ranny w bitwie o Bożą Górę. Umarł w szpitalu w Bielsku tydzień później.

We dworze w Rózanach mieszka nowy niemiecki właściciel. Pan Gorzkowski ma o nim dobre zdanie jako o gospodarzu, jak najgorsze – jako człowieku.

Wszystkie konie jeszcze we wrześnieu zarekwirowało wojsko.

#### **4 grudnia, poniedziałek**

Byłam u lekarza. Jestem w ciąży.

#### **5 grudnia, wtorek**

Wczoraj Niemcy otoczyli kordonem Kazimierz. Podobno wchodzili do domów i zabierali wszystkie wartościowe rzeczy. Cały dzień i całą noc słyhać było pojedyncze strzały. Pan Kornilłowicz mówi, że zabili kilka osób, które na ulicy nie zatrzymały się na rozkaz. Co wobec tego znaczą moje bóle, smutki i zmartwienia. To, że choć ciało żyje, serce umarło.

#### **6 grudnia, środa**

Śniło mi się, że jestem w Rózanach. Był letni świt. Łąki spowijała popielata mgła, nad stawami unosiły się opary różowe od wschodzącego słońca. Stałam na trawniku pokrytym rosą. Wyraźnie słyszałam skrzekliwy głos bażanta i łopot skrzydeł zrywających się do lotu kaczek.

#### **7 grudnia, czwartek**

Ulice z dnia na dzień zmieniły wygląd. Od 1 grudnia wszyscy Żydzi powyżej dwunastego roku życia noszą na prawym rękawie białą opaskę z gwiazdą Dawida. Poza tym znikły szkolne mundurki – zakazano nawet noszenia uczniowskich czapek.

#### **8 grudnia, piątek**

Babcia znów mnie zaskoczyła! Gdy jej powiedziałam, że nie wyjdę za Jasia, pokiwała głową: „Jedno głupstwo wystarczy. Po co do ciąży dodawać przymusowe małżeństwo. Bo na myśl o doktorze Lackowskim krew ci nie tańczy, prawda?”. Czasem mi się wydaje, że ona wie, że Kocham Piotra. ~~Chociaż on nie żyje.~~

#### **10 grudnia, niedziela**

Po obiedzie babcia zostawiła nas samych w jadalni. Powiedziałam doktorowi Jasiowi, że będę miała dziecko. Zanim skończyłam zdanie, on klęczał przede mną i całował moje ręce. Musiałam użyć całej siły woli, żeby mu powiedzieć, że nie wyjdę za niego za mąż. Byliśmy oboje tak zdenerwowani, że przez całą rozmowę on nie wstawał z kolan, a ja tego nie zauważyłam. Jestem zmęczona i rozbita, tak jakbym cały dzień dźwigała ciężary.

#### **11 grudnia, poniedziałek**

Jaś przyniósł mi bukiet czerwonych róż i ponownie się oświadczył. Trzęsły mi się ręce i głos mi

drżał, gdy prosiłam, by nie nalegał.

Nie starał się mnie pocałować ani objąć, tylko trzymał mnie za rękę. Jego garnitur pachniał szpitalem i gdy na moment zamknęłam oczy, wydało mi się, że obok mnie siedzi Tatuś.

Nagle zapragnęłam, by ktoś się mną zaopiekował.

„Proszę cię, Zuziu. Zrób to dla dziecka. Dla mnie. Jesteś mi bardzo droga”.

Wyobraziłam sobie, że wojna potrwa jeszcze rok. Gdy urodzę dziecko, nie będę mogła pracować. A jeśli babcia zachoruje? Albo Staś? Albo Marcysia będzie chciała wrócić do siebie na wieś? I co za kilka lat powiem temu dziecku, gdy zapyta o ojca? Czy inne dzieci będą się z niego wyśmiewały?

Otworzyłam usta, by szybko powiedzieć „tak”, zanim się rozmyślę, i usłyszałam, jak mówię: „Nie”.

Jaś pocałował mnie w rękę. „Proszę, zastanów się jeszcze”, szepnął łagodnie.

Chciałabym, żeby się na mnie rozzłościł, żeby powiedział mi coś przykrego, żeby się obraził. Jego dobroć osłabia moją wolę.

### **12 grudnia, wtorek**

Akurat gdy przechodziłam przez Rynek, szczekaczki nadawały popularną pogadankę o Krakowie. Jest to prastare niemieckie miasto. Jego nazwa pochodzi od imienia bohaterskiego wodza wikingów Krakusa, który tu założył osadę. Potem przybyli inni Germanie i zbudowali Wawel i Sukiennice, a Veit Stoss wyrzeźbił ołtarz. To tu słynny niemiecki astronom Nikolas Kopernik uczył się na niemieckim Uniwersytecie. Potem dzięki Austriakom zaniedbane Galicja i Lodomeria, które powinny się nazywać Golicja i Głodomeria, weszły w krąg kultury europejskiej. Teraz znów szczęście uśmiechnęło się do Polaków, bo będzie nimi rządzić *Herrenvolk*.

### **13 grudnia, środa**

Nasza szkoła otrzymała oficjalne pismo nakazujące do końca roku skonfiskować uczniom wszystkie podręczniki do języka polskiego, historii i geografii.

### **14 grudnia, czwartek**

Dziś był dobry dzień. Usłyszałam, jak Staś mówi do swojego konia na biegunach: „Pojedziemy na łąkę i ja będę zbierał kwiatki, a ty będziesz się pasł”. Od trzech miesięcy nie powiedział tak długiego zdania. Tuż przed Mikołajem babci udało się kupić identycznego konia jak ten, którego dałam mu na imieniny. Postanowiłam, że jutro po szkole pójdę na tandetę i poszukam huśtawki, takiej jaką miał w Różanach.

### **19 grudnia, wtorek**

„Łaski i dary Boże są nieodwołalne”. Kto to powiedział? Nie mogę sobie przypomnieć.

## **20 grudnia, środa**

Świeci słońce i mdłości już mnie tak nie męczą, na Rynku znów stragany z bańkami i choinki, a mimo to chciałabym położyć się do łóżka, zwinąć w kłębek, nakryć pierzynką i obudzić się dopiero wtedy, gdy ta wojna się skończy.

## **21 grudnia, czwartek**

Zawsze mnie uczono, że przetrwanie jest celem zwierząt, nie ludzi.

## **22 grudnia, piątek**

Czwarte urodziny Stasia. Wzięłam go do szkoły, bo dziś była próba generalna jasełek. Siedział na krześle jak trusia. Staś, ten psotnik. Serce mi się kroi, gdy na niego patrzę.

Babcia upiekła tort orzechowy. Staś zdmuchnął świeczki, rozpakował prezenty, powiedział tylko jedno słowo: „Dziękuję”. Babcia wzięła go za rączkę i zaprowadziła do jego pokoju, gdzie przygotowałyśmy niespodziankę: powieszony nad łóżkiem, obok reprodukcji portretu świętej Justyny pędzla Montagny, powiększone zdjęcie Hanki i Piotra w różańskim ogrodzie.

Staś stał i patrzył. Oczy robiły mu się coraz większe. W końcu powiedział tak jak wtedy, gdy uczył się mówić: „Mamu-ś i tatu-ś”.

## **23 grudnia, sobota**

Rano przyszedł Jaś i przyniósł nam choinkę. W całym domu pachnie jodłą.

## **27 grudnia, środa**

„Oby następne święta były już w wolnej Polsce”. Tego sobie wszyscy życzyliśmy.

Na wigilii był Jaś ze swoją mamą, która traktuje mnie chłodno. Wcale jej się nie dziwię.

Marcysia pojechała na święta do swojej Tokarni. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Mam nadzieję, że do nas wróci.

Sama nakryłam do stołu. Stawiając talerz dla wędrowca, myślałam o moich Zmarłych: Mamie, Tacie, Justynie, Hance i Piotrze, o Władku Gorzkowskim, i o wszystkich moich nieobecnych przyjaciołach, od których nie mam znaku życia. O Gangesie, Faladzie, Farysie, Gimpelu, Troju.

W czasie wigilii udawaliśmy radość, a mama Jasia powtarzała co chwila: „Gdy słońeczko zaświeci, to sikorka przyleci” i „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”.

Jaś zdobył huśtawkę dla Stasia – mnie nie udało się jej kupić. Po kolacji wkręcił haki w futrynę drzwi do pokoju Justyny, który teraz jest pokojem Stasia. Posadził malca na huśtawce. Zobaczyłam, że Staś się uśmiecha. Spojrzałam z wdzięcznością na Jasia. Gdyby w tym momencie poprosił, żebym za niego wyszła, chyba bym się zgodziła. Na szczęście tego nie zrobił.

Babcia już wcześniej zaprosiła do nas wszystkich sąsiadów na kolędowanie. Do kościoła nie

można iść z powodu godziny policyjnej. Rozsiedli się w salonie, mama Jasia usiadła przy fortepianie. Staś przytulił się do mnie w fotelu. Włoski pachniały mu mydłem. W pewnej chwili usłyszałam, jak czystym głosem cicho śpiewa: „Bo uboga była, rondel z głowy zdjęła”.

### **28 grudnia, czwartek**

Nie ma prądu. Babcia idzie z lampą naftową przez jadalnię i salon. Wygląda tak, jakby wyszła z obrazu Rembrandta.

### **29 grudnia, piątek**

W święta było ponuro i mokro, teraz zima wróciła. Przyniosłam ze strychu swoje stare sanki i poszłam ze Stasiem nad Wisłę. Zjechałam z nim dwa razy ze skarpy. Potem się przestraszyłam, że to może zaszkodzić dziecku. Na szczęście są ferie i na górcie było dużo dzieci, więc Staś bez trudu znalazł sobie lepsze niż ja towarzystwo.

### **31 grudnia, niedziela**

Byliśmy na obiedzie u mamy Jasia. Był nawet szampan.

Babcia po setnym westchnieniu pani Lackowskiej na temat okropności naszej sytuacji powiedziała: „Zabawmy się w nieokazujących uczuć Anglików i milczmy o wojnie”.

Podobno Ossowiecki przepowiedział, że wojna skończy się 23 listopada. Mam nadzieję, że się myli. Nie wytrzymam tego dłużej.

Przez rozsunięte drzwi patrzę na Stasia. Śpi tak spokojnie, choć z ulicy słychać przytłumione wrzaski, pijackie niemieckie pieśni i strzały. Oby tylko na wiwat.

### **2 stycznia 1940, wtorek**

„Wojna i przemoc nie leżą w naturze człowieka”. Babcia powiedziała to z takim przekonaniem, że przez chwilę jej wierzyłam.

### **3 stycznia, środa**

Śniło mi się, że jadę pociągiem z Dover do Londynu. Roznoszono herbatę. Podniosłam filiżankę do ust. Poczułam ten jedyny na świecie smak angielskiej herbaty z mlekiem i wtedy się obudziłam.

### **4 stycznia, czwartek**

Wróciła Marcysia. Opowiada o tym, co się dzieje na wsi i co słyszała w pociągu. Niemieccy komisarze wiejscy zmuszają ludzi do pracy w przejętych majątkach, a za uchylanie się od niej grozi nawet śmierć. Patrole na drogach i w pociągach pilnują, czy ktoś nie przewozi tłuszczów albo mięsa, którymi handel jest zakazany.

Podobno Sowietci, zanim przekazali Wilno Litwinom, doszczętnie je ograbili. Zabierali wszystko,



co się dało: wywozili meble, naczynia, wanny, nawet drzwi i okna z futrynami.

Listy teraz idą długo, z powodu cenzury. Może list od Maryni jest gdzieś w drodze. Odkąd we wrześniu wyjechali na wschód, nie miałam od niej żadnej wiadomości.

### **6 stycznia, sobota, Trzech Króli**

Prawie trzydzieści stopni mrozu.

### **11 stycznia, czwartek**

Niemcy burzą pomnik Kościuszki na Wawelu. Babcia akurat przechodziła tamtędy ze Stasiem. Na widok ludzi piłujących nogi brązowego konia rozplakał się. „Babciu, przecież konika to boli”.

### **13 stycznia, sobota**

Widziałam dziś kilkunastoletnich chłopców żydowskich, którzy ładowali śnieg na furmanki. Nakaz pracy dla dzieci w wieku dwunastu lat! Co za barbarzyństwo! Jakie to szczęście, że Staś jest jeszcze taki mały! Teraz Polacy mają pracować od czternastego roku życia.

### **15 stycznia, poniedziałek**

Od dziś nie wolno w sklepach sprzedawać białego pieczywa ani mleka. Ceny w pasku od razu poszły w górę.

### **16 stycznia, wtorek**

Podobno człowiek, który umarł na ulicy, został odarty z ubrania. Kobieta w tramwaju powiedziała: „Może lepiej, że te ubrania posłużą żywemu”. Nie, nie lepiej.

### **23 stycznia, wtorek**

Przechodziłam koło dawnego sklepu kolonialnego pana Bacha i okropnie zachciało mi się winogron.

### **25 stycznia, czwartek**

Wielkie afisze wzywające do wyjazdu na prace rolne do Rzeszy, z hasłem: „Praca służy zdrowiu i piękności”. Pod jednym ktoś dopisał kredą: „Chcesz umierać na suchoty, jedź do Niemiec na roboty”.

Adria i mój ulubiony Atlantic stały się *nur für Deutsche*.

### **28 stycznia, niedziela**

Nigdy jeszcze nie było w Krakowie tyle śniegu. Cały czas siarczysty mróz.

Wczoraj kupiłam dwa kilo słoniny w pasku, od chłopca, za 30 złotych. Gdyby nie to, że nie bacząc na groźącą karę, sprzedają zakazane towary, źle by z nami było. Na kartki dostajemy po pół kilo

czarnego chleba na miesiąc. W listopadzie i w grudniu Marcysi udało się kupić cukier na kartki, w styczniu już nie.

### ***29 stycznia, poniedziałek***

Do tej pory ciąża była słowem. Dziś poczułam ruchy dziecka. Dziwne wrażenie, tak jakby strumień pęcherzyków powietrza przepłynął mi przez brzuch. W pierwszym momencie myślałam, że to zapowiedź niestrawności, dopiero po chwili się zorientowałam, co to naprawdę jest. Błogosławię wiedzę, którą wyniosłam ze szkoły pielęgniarek.

### ***30 stycznia, wtorek***

Gdy nago stoję bokiem przed lustrem, wyraźnie widzę, że brzuch zaczyna mi wystawać. Na razie jest niewielki i łatwo go ukryć, tym bardziej że w te mrozy w niedogrzanych klasach wszystkie nosimy po dwa swetry i otulamy się szalami.

Czy jestem wyrodną matką? Czy może euforia, jaką odczuwają kobiety będące przy nadziei, nie jest tak powszechna, jak się uważa?

### ***31 stycznia, środa***

Wiadomo już, że aresztowani profesorowie Uniwersytetu są w obozie koncentracyjnym.

### ***1 lutego, czwartek***

Wyjęłam z szafy szal, który dostałam od Joachima. Przypomni mi się Egipt. Czy to zdarzyło się naprawdę? Może mi się tylko śniło?

### ***2 lutego, piątek***

Obeszłam pół miasta, żeby kupić mydło. W końcu kupiłam na tandecie. Tęsknota za przedwojennym „mydłem piękności” Siedem Kwiatów.

### ***5 lutego, poniedziałek***

Zmniejszono przydział cukru na kartki do 25 deka na miesiąc.

### ***6 lutego, wtorek***

Wczoraj na Zabłociu spalił się młyn. Dziś Marcysia kupiła worek nadpalonej pszenicy. Siedziałyśmy we trzy całe popołudnie i przebierałyśmy ziarno jak Kopciuszek.

### ***9 lutego, piątek***

Z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen wypuszczono profesorów Uniwersytetu mających ponad czterdzieści lat. Nie wiadomo, jak się rozeszła wieść o ich powrocie. Ludzie zebrali się na dworcu, żeby ich przywitać. Babcia też tam była. Opowiadała, że ludzie całowali ich po rękach,

a dorożkarze wieźli za darmo do domów. Mówiła też, że niektórzy przypominali szkielety obciążone żółtą jak wosk skórą, mieli odmrożenia, blizny, wrzody.

### **18 lutego, niedziela**

Nikt nie pamięta takiej zimy w Krakowie. Masa śniegu i minus dwadzieścia stopni.

### **20 lutego, wtorek**

Babcia była na pogrzebie profesora J.N., niedawno wypuszczonego z obozu w Sachsenhausen. Kilka dni temu zmarł także profesor S.K.

### **25 lutego, niedziela**

Po raz pierwszy od wielu dni świeci słońce, choć nadal jest piętnaście stopni mrozu.

### **26 lutego, poniedziałek**

Babcia któryś raz czyta *Der Zauberberg*. Odkłada książkę, przymyka oczy i powtarza półgłosem: „*Ich bin aber noch nicht da*”. Patrzy na mnie, uśmiecha się lekko i mówi: „Jakie to prawdziwe. Gdy nasz pociąg się zatrzyma i do przedziału zajrzy śmierć, kiwając na nas palcem, tak samo jak Hans Castorp będziemy powtarzać: »Przecież jeszcze nie dojechałem, to nie moja stacja«”.

Nie mogę się przekonać do tej książki. Zaczynam ją i odkładam. Babcia mówi, że to arcydzieło. Na pewno. Jednak ta sanatoryjna atmosfera, te niekończące się opisy mycia rąk, mierzenia temperatury i jedzenia obiadu... Jakie to nudne! I jakie przygnębiające. Chory czas rozciągnięty jak guma. Może nawet – nieistnienie czasu. Nic się nie wydarzy, nic się nie zmieni – najwyżej ktoś umrze.

Kartkując wczoraj wieczorem drugi tom, natrafiłam na imię „Joachim” i – nagle zainteresowana – przeczytałam rozdział o ostatnich tygodniach życia i o śmierci Joachima Ziemssena, pruskiego oficera i kuzyna Hansa Castorpa. Potem szybko pomodliłam się za innego Joachima.

### **27 lutego, wtorek**

Na co to udawanie? Jestem na czarodziejskiej górze, tak jak Hans Castorp. Żadnych planów, żadnego wybiegania w przyszłość dalej niż do obiadu, sztuczne życie skazańców, cienka, powierzchowna radość maskująca otchłań rozpacz.

„Ponieważ jest wojna, należy się przygotować zawsze na rzeczy najgorsze”.

Gdy odkładałam na miejsce *Czarodziejską górę*, zobaczyłam tomik Staffa, którego wiersze lubiła Mama. Otworzyłam na chybił trafił.

Już? Tak prędko? Co to było?

Coś strwonione? Pierzchno skrycie?

Czy się młodość swą przeżyło?

## **28 lutego, środa**

Babcia powtarza, że zminimalizowanie potrzeb daje wolność. Bardzo to na czasie. „Ciężkie czasy mijają, silni ludzie zostają”.



## **BEZWARUNKOWA KAPITULACJA NIEMIEC**

Warszawa 8 maja 1945. Naczelna komenda niemieckich sił zbrojnych ogłosiła w poniedziałek bezwarunkową kapitulację niemieckich sił zbrojnych. Wiadomość o tym podał niemiecki minister spraw zagranicznych hrabia Lutz Schwerin von Krosigk przez Radio Flensburg. Oświadczył on, że naczelna komenda niemieckich sił zbrojnych na rozkaz admirała Karla Doenitza podpisała bezwarunkową kapitulację wszystkich walczących niemieckich sił zbrojnych.

Wiadomość o zakończeniu wojny w Europie zostanie podana na podstawie porozumienia trzech wielkich mocarstw w sposób oficjalny i uroczysty jednocześnie w Moskwie, Waszyngtonie i Londynie. Potem zostanie ogłoszona 10-minutowa cisza dla uczczenia ofiar, które pochłonęła ta najokrutniejsza w dziejach ludzkości wojna.

## **15 maja 1945, wtorek**

Pani Jost wyjechała wczoraj do Warszawy. Rozumiem ją. Ja też, gdy tylko można było podróżować, pojechałam do Różan. Oby jej powrót był mniej bolesny niż mój.

## **16 maja, środa**

Gdy na początku grudnia czterdziestego czwartego roku pani Jost zapukała do moich drzwi, w pierwszej chwili jej nie poznałam. Widziałam ją tylko raz w życiu – w Zakopanem, jeszcze przed wojną. Stała z tobołkiem, w wełnianej chustce na głowie, lichym płaszczu, z nogami owiniętymi kawałkami koca.

Weszła do salonu, postawiła tobołek na podłodze i bezwładnie opadła na kanapę. Myślałam, że zemdląca. Podbiegłam do niej. Teraz, gdy była bez płaszczu, poczułam zaduch dawno niemytego ciała. Siwe włosy zwisały w bezładnych strąkach. Nie odsunęłam się tylko dlatego, że w szpitalu

wyćwiczyłam powstrzymywanie tego odruchu.

Pani Jost podniosła głowę i spojrzała na mnie. Z nienawiścią. Potem myślałam, że to mi się zdawało, jednak nie. Powiedziała: „A wy tu sobie tak spokojnie żyjecie”.

To nie było sprawiedliwe, ale nie mam do niej żalu. Niewiele opowiadała o powstaniu, lecz nawet z tych strzępków mogłam sobie odtworzyć jego grozę. Wielkie nadzieje, euforię, codzienną walkę o przetrwanie, strach, rozpacz, ból, tragedie.

Mąż pani Jost uciekł ze starszym synem Jaśkiem do polskiej armii przez zieloną granicę pod koniec trzydziestego dziewiątego roku. Jasiek, taternik, wybrał drogę przez góry. Pani Jost dostała widokówkę z pozdrowieniami z Budapesztu, podpisaną „kuzyn Johann z ojcem”. Potem nie dali już znaku życia.

Paweł, który tak świetnie tańczył, poległ w Powstaniu.

### ***26 maja, sobota***

Skończyłam dwadzieścia pięć lat. Tyle już za mną. Czy jeszcze coś przede mną?

### ***27 maja, niedziela***

Jestem niewdzięczna. Powinnam paść na kolana i dziękować Bogu, że żyję. Tylu ludzi umarło, a ja żyję.

### ***30 maja, środa***

Dobrobyt bierze się z pracy, a nie z zabierania jednym i dawania drugim. Rządzący doskonale to wiedzą. Dlaczego więc zachowują się tak, jakby nie wiedzieli? Bo mówiąc „dobrobyt robotników i chłopów”, myślą wyłącznie o swoim dobrobycie, na który wszyscy mają pracować.

### ***31 maja, czwartek***

„Nie zastanawiaj się, dlaczego sprawiedliwi cierpią nędzę, a łajdacy opływają w bogactwa, bo to jest pytanie, które zadają ludzie głupi”, mawiał ojciec Wiery.

### ***2 czerwca, sobota***

Gdy w lutym przypadkiem znalazłam ten dziennik w schowku, w pierwszej chwili chciałam go wrzucić do pieca. Sama nie wiem, czemu tego nie zrobiłam.

Obiecałam sobie, że będę szczerą, i wydawało mi się, że niczego nie pomijam, że piszę o wszystkim. Dopiero teraz widzę, ile przemilczałam, o ilu ważnych sprawach nie napisałam, skupiając się na głupstwach. Udało mi się zachować tylko skrawki dawnego świata, którego już nie ma i nigdy nie będzie.

### ***14 czerwca, czwartek***

Z Niemiec ze swojej jednostki przyjechał brat pani Debory Klein, przyjaciółki Babci. Zadzwoił z hotelu i zapytał, czy moglibyśmy się spotkać. Zaprosiłam go do siebie. Niestety, niewiele o niej mogłam powiedzieć. Wiem tylko, że na początku marca 1943 roku Gestapo wezwało kilkudziesięciu amerykańskich Żydów, którzy mieszkali w Krakowie, na Pomorską, a potem przewiozło ich na cmentarz żydowski i rozstrzelało.

Pomagam mu w załatwieniu formalności – chce zabrać do Stanów prochy swej siostry.

Postanowiłam wykorzystać okazję i napisać do kuzyna Piotra z Chicago, tego, który kiedyś był w Różanach i fotografował wszystko i wszystkich. To chyba jedyny żyjący krewny Piotra. Powinien wiedzieć, co się stało we wrześniu i że Staś żyje.

### **16 czerwca, sobota**

Skończyły się koszmary, w których brnęłam piaszczystą leśną drogą, dźwigając dziecko. Ciągle jednak męczą mnie okropne sny. Prawie co noc.

### **19 czerwca, wtorek**

W szkole na korytarzu gorąco dyskutują dwie grupy dziewczynek. Podchodzę, by posłuchać. Terenia na mój widok: „Proszę pani, bo Henia mówi, że PPR to Polska Partia Robotnicza. Ale to przecież Polska Partia Rosyjska, prawda?”.

### **22 czerwca, piątek**

Przez Kraków jadą na wschód pociągi z węglem, z maszynami, z zarekwirowaną przez Rosjan żywnością, nawet z ukradzionymi słupami trakcyjnymi. Wszyscy o tym wiedzą i powtarzają smutny dowcip: „Proszę »Wolność«,” mówi krakowianin do gazeciarza. „Skończyła się. Rosjanie zabrali”.

Mnie Rosjanie zabrali coś jeszcze: w lutym pijany żołdat „wyzwolił” mnie z torebki. Po prostu wyrwał mi ją z ręki. W biały dzień, na Grodzkiej. Nikt nie zareagował. Najgorsze jest to, że w torebce nosiłam stare listy, od Wiery, od Carli, od Joachima. Utrata torebki jest dla mnie znakiem nowych porządków. Bardziej nawet niż to, że wojenny komendant Krakowa pułkownik Fiedosienko urzęduje w Pałacu pod Baranami, tam gdzie wcześniej niemieccy gubernatorzy dystryktu krakowskiego.

### **23 czerwca, sobota**

Po raz ostatni kupiłam „Dziennik”. Na pierwszej stronie doniesienia z procesu moskiewskiego. Szesnastu przywódców Armii Krajowej jest sądzonych między innymi „za działanie wbrew interesom państwa polskiego”. Wyroki od dziesięciu lat do czterech miesięcy więzienia. Trzech „uwolniono, z braku dostatecznych dowodów winy”.

„Okulicki, Jankowski, Bień i Jasiukowicz zasłużyli na rozstrzelanie. Nie zostaną jednak rozstrzelani, dlatego że Związek Radziecki jest dziś tak potężny, że przeżywa radośnie i triumfalnie największe zwycięstwo, osiągnięte nad niemieckim faszyzmem przez Armię Czerwoną i armie

sojusznicze”. Czy temu, kto to pisał, nie zadrżała ręka?

### **24 czerwca, niedziela**

Przy łóżku Izy stosik gazet. Mówi, że nie może się skupić na dłuższym tekście. Spojrzałam na jej chude jak patyki ręce. Nie utrzymałaby w nich książki.

Zmieniłam jej opatrunki. Nogi goją się całkiem nieźle, zważywszy na jej stan. To cud, że przeżyła.

Pani Morawska poczęstowała mnie herbatą. Ponieważ stanowczo odmówiłam brania pieniędzy za opiekę nad Izą, prawie za każdym razem czymś mnie częstuje albo coś mi daje: a to talerzyk truskawek, a to dwa żółte tulipany. Dziś pożyczyła mi kilka numerów nowego pisma. Nazywa się „Tygodnik Powszechny”.

### **25 czerwca, poniedziałek**

Znikły kolejki sprzed komitetu PPR w Rynku. Czy to znaczy, że wszyscy chętni już się zapisali? A może się okazało, że nie warto, bo jednak nie wszystko będzie *nur für* partyjnych?

### **26 czerwca, wtorek**

Mamy nowego prezydenta. Wcześniej był komendantem Milicji Obywatelskiej. To już trzeci prezydent od „wyzwolenia”. Nie wiadomo, skąd oni się biorą i dlaczego odchodzą. Nie ma wyborów do magistratu – to przedwojenny przeżytek.

Wstrzymano mobilizację kobiet do pomocniczej służby wojskowej. Obejmowała kobiety urodzone po 1921 roku, czyli mnie już nie, bałam się jednak, że to może się zmienić. Nic dziś nie jest pewne.

### **27 czerwca, środa**

Na czym polega potęga królów? Na perspektywie? Na sieci rodzinnych powiązań? Król rodzi się królem i królem umiera. Może planować na dziesięciolecia. Jest odpowiedzialny za swoich poddanych i póki nosi koronę, nikt z niego tej odpowiedzialności nie zdejmie. Musi myśleć o przyszłości, bo to przyszłość jego potomków. Stoi za nim długi szereg przodków, z których mądrości może czerpać i którzy chronią go i z zaświatów, i na tej ziemi. Mnie uratował życie list od włoskiego króla, który jednak nie potrafił uchronić przed śmiercią własnej córki. Niedawno się dowiedziałam, że księżna Mafalda von Hessen-Kassel umarła w czterdziestym czwartym roku w obozie koncentracyjnym. Pamiętam jej niezwykłą urodę, piękną biżuterię i to, jak nerwowo ścisnęła w ręce małą złotą papierośnicę – zupełnie jak Babcia, gdy nie mogła zapalić.

Babcia... Gdyby chciała, mogłaby oświadczyć, że jest Niemką, którą przecież z urodzenia była. Gdyby się postarała, w grudniu trzydziestego dziewiątego mogła dołączyć do księżnej Biszety Radziwiłłowej i wyjechać do Rzymu.

Urodzenie to potęga: siła tradycji, wychowania i wykształcenia, bezpieczne oparcie w bliższych i dalszych krewnych oraz znajomych. Kokon chroniący przed brutalnością świata, utworzony

z pieniędzy i nimbu.

Komuniści wcale nie chcą zniszczyć tej warstwy – oni chcą się nią stać. I żeby zająć miejsce na szczycie piramidy społecznej, muszą zepchnąć z niej tych, którzy tam siedzą. Mogą ich zabić, wysłać na Sybir, wtrącić do więzienia, wygnać, zaszczuć, zagłodzić na śmierć. Stosują wszystkie te metody. Szczytem perfidii jest stworzenie nowej kategorii obywateli (swoją drogą, jakie to charakterystyczne, że teraz używa się słowa „obywatel”, z krwawych czasów rewolucji francuskiej), „którzy nie chcą pracować, choć mogą”. Dla nich nie ma kartek żywnościowych, a cena prądu i gazu jest siedmiokrotnie wyższa. Wyrzuca się ich z mieszkań do suterren i dręczy na milion sposobów.

Ja nie jestem „urodzona”, miałam jednak prawdziwą rodzinę. I rodzina chroni mnie nie tylko z nieba, także przez ziemskie związki. Nasz stróż, przez wzgląd na uwielbienie dla Babci i szacunek dla Ojca, trochę też przez interes własny, pomógł mi zachować mieszkanie. A dzięki siostrzom prezentkom przetrwałam po śmierci Babci.

Pomyślałam o królach, rodach, tradycji po rozmowie z Siostrą Dyrektorką. Zapytała, jakie mam plany.

„Żadnych. Nie mam żadnych planów”.

„A medycyna?”

Westchnęłam. „Nie skończyłam szkoły pielęgniarskiej ani nie zaczęłam studiować medycyny. Czy siostra wie, jakie są zasady przyjęcia na pierwszy rok?”

„Jakież to?”

„Na wydziale lekarskim jest sto miejsc, w tym dwadzieścia dla kobiet, a pierwszeństwo mają dzieci więźniów politycznych, czyli komunistów, chłopów i robotników”.

Przez chwilę obie milczałyśmy.

„Tylko Bóg zna przyszłość. Ludzie roztropni starają się jednak rozpoznać jej znaki. Na razie trudności, jakie nowe władze czynią naszej szkole, są do pokonania. Może jednak przyjsć czas, gdy...”

Urwała. Zresztą nie musiała mówić dalej.

„Czy siostra mogłaby mi coś poradzić? Wskazać drogę?”

„Jeśli prosi pani o radę, chętnie jej udzielę. Decyzję jednak będzie pani musiała podjąć sama”.

Kiwnęłam głową.

„Otóż na podstawie wyników pani pracy i po dodatkowym kursie, gdyby zdecydowała się pani na niego uczęszczać, za rok mogłaby pani uzyskać świadectwo ukończenia liceum pedagogicznego. Jak pani wie, zamknęłyśmy nasze pedagogium po reformie Jędrzejewicza. Kursy pedagogiczne prowadzą jednak urszulanki. Z takim świadectwem mogłaby się pani ubiegać o posadę w każdej szkole. Proszę to przemyśleć”.

Ujęłam dłoń Siostry Dyrektorki i pocałowałam. „Nie muszę. Zgadza się od razu. Jestem siostrze głęboko wdzięczna. To dzięki siostrzom zaczęłam uczyć, to siostry tyle razy ratowały mi życie”.



Siostra Dyrektorka się uśmiechnęła. „Tak, pamiętam, jak na radzie pedagogicznej siostra Klara zaproponowała, by pani nauczyła angielskiego nasze nowe uczennice. Odkryła w pani talent. A zatem poproszę siostry urszulanki, by zapisały panią na kurs pedagogiczny. Jako nasza nauczycielka będzie pani na niego uczęszczać bezpłatnie. A teraz niech pani idzie do siostry bibliotekarki i poprosi o pożyczenie kilku lektur. Urszulanki są bardzo wymagające. I proszę nie zapomnieć odebrać kartki żywnościowej”.

Mam oparcie w siostrach. Jestem jak król.

### **28 czerwca, czwartek**

„Tygodnik Powszechny. Katolickie pismo społeczno-kulturalne” jest „apolityczne i bezpartyjne”. Wydaje je Kuria Xiążęco-Metropolitalna, redaguje „Komitet”.

Na pierwszej stronie błogosławieństwo księcia metropolity krakowskiego. Dalej ksiądz Jan Piwowarczyk pisze, że „wojna przeorała swym krwawym pługiem nie tylko nasze zielone niwy, ale i nasze dusze”. Ten pierwszy numer, z marca, z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się proroczy. Że „minionych czasów żaden cud nie wróci do istnienia”, zrozumiałam, gdy w kwietniu wreszcie udało mi się pojechać do Różan.

„Państwo nie jest jednością substancjalną, lecz złożoną z wielości; trzeba więc, by jednostki w niej nie ginęły, lecz by trwały i by miały życie własne, osobiste, konieczne im do celu wyznaczonego przez Opatrzność. I jeśli jest jaki etyczny sens państwa, to tylko ten, by umożliwiał pełny rozwój ludzkiej osobie, szanującej społeczny związek z państwem”.

I coś, co poruszyło mnie najbardziej – notka na drugiej stronie: „Nawołuje się nas do nienawiści, mianowicie w stosunku do Niemców. Przyznajemy, że postępowanie okupanta wobec nas może to uczucie wywołać i wywołuje, nawet bez zachęty... Nienawiść jest odruchem znieważonego lub skrzywdzonego człowieka, narodu. Rodzi się spontanicznie, jak każdy odruch. Ale czy na nienawiści można budować?”

Nienawiść jest ślepa i zaślepia. Jest także nietwórcza, tzn. jej »dzieło« jest nietrwałe, wcześniej lub później rozpada się, bo wywołuje reakcję nienawiści drugiej strony. To znaczenie mają słowa Zbawiciela: »Kto mieczem wojuje, od miecza ginie«”.

Mój rozum wie, że to piękne i słuszne. Moje serce podsuwa mi obraz samolotów lecących nisko nad nadrzeczną łąką, pokaleczonego, zaropiałego ciała Izy, zniszczonych Różan. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił ich nowy niemiecki właściciel, było zastrzelenie Troja – ukochanego psa Piotra. Kot Hanki gdzieś przepadł. Ganges i Falada, zarekwirowane przez wojsko razem z innymi końmi, nie wróciły z wojennej poniewierki. Ganges, mój kochany Gangesik.

### **29 czerwca, piątek**

Imieniny Piotra. Byłam ze Stasiem na cmentarzu. Muszę zamówić jakąś tablicę. Staś potrzebuje

znaku.

Gdy wróciliśmy do domu, od razu pobiegłam do Izy. Akurat był u niej doktor Łossakowski. Jest zadowolony z jej stanu, niedługo moja opieka nie będzie jej już potrzebna. Kamień spadł mi z serca, bo nie wiedziałam, jak jej powiedzieć, że zostawię ją na miesiąc – dostałam list od pani Rozalii Matusowej: możemy przyjechać do niej do Poronina.

### **30 czerwca, sobota**

Kraków powoli traci niezwykłą dla siebie różnorodność. Coraz rzadziej słyszy się kresowy zaśpiew i obce języki – francuski, włoski, angielski i węgierski, no i oczywiście rosyjski.

W kwietniu władze miasta kazały cudzoziemcom opuścić Kraków. Przyjeżdżają rozmaite komisje, które pomagają swoim rodakom, byłym jeńcom wojennym, wrócić do domu. Przesiedleńcy z Kresów – ci, którym udało się przeżyć morderczą, czasem podobno kilkumiesięczną (!) podróż – wyjeżdżają na zachód, na tak zwane Ziemie Odzyskane. Warszawiacy wracają do siebie, choć miasto leży w gruzach.

Kraków jest trzecim co do wielkości miastem w nowej Polsce, po Warszawie i Łodzi. Ma ponad trzysta tysięcy mieszkańców, czyli – mimo wojennej hekatombi – pięćdziesiąt tysięcy więcej niż przed wojną.

### **1 lipca, niedziela**

W Rynku wczoraj był wiec z okazji powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Poszłam, bo chciałam na własne oczy zobaczyć Mikołajczyka. Wcześniej wybrałam się pod Hotel Francuski, w którym się zatrzymał, ale nie doszłam, bo na Pijarskiej, na Świętego Jana i na Plantach tłumy – głowa przy głowie. Rozentuzjasmowani ludzie skandowali: „Mikołajczyk na premiera!”.

Dostałam list od pani Jost, zaledwie kilka zdań. Dziękuje za gościnę, pisze, że jej dom ocalał, choć częściowo zrujnowany, że wracają sąsiedzi i znajomi. Uprzejmy list, tylko taki... suchy.

### **2 lipca, poniedziałek**

Zarejestrowałam kartkę żywnościową u pana Korniałowicza, a potem w moim sklepie. Mam kartkę III kategorii, najniższej, jednak i za nią jestem siostram głęboko wdzięczna. Ceny na wolnym rynku są horrendalne. Czarny chleb, który na kartki jest po złotówce (choć stale go brakuje), w pasku kosztuje 30 złotych.

Na kartkę mogę kupić w miesiącu:

6 kg chleba

1,5 kg mąki

1,5 kg kaszy

25 dkg cukru

75 dkg mięsa  
2 pudełka zapalek  
10 kg ziemniaków  
20 dkg soli  
5 dkg drożdży  
małą kostkę mydła  
2 paczki proszku do prania (po 25 dkg).

Dla III kategorii nie ma tłuszczu, ryb, makaronu ani marmolady, przysługujących na lepsze kartki. Nie ma też mleka, bo ono jest tylko dla małych dzieci. Staś, który nie chodzi do szkoły ani nie ma pracujących rodziców, nie dostaje nic.

Robotnicy mają jeszcze tak zwane premie towarowe, którymi mogą być zapalki, nafta, sól, wódka, tytoń, cukier, mydło. Kawa, herbata i podobne frykasy są tylko z paczek Unry i z rzadka sprzedaje się je na kartki, i to tylko I kategorii.

Najgorzej jest z banderolowanym „monopolem”. Na szczęście nie palę i nie piję, więc dotyczy to tylko zapalek i drożdży. Drożdże na kartki są drogie (50 złotych za 5 deka) i mało, w pasku niemal nie do dostania, bo surowo zwalczane.

Władza organizuje akcje wykrywania „potajemnych składów żywności” i prawie codziennie się słyszy o ukaraniu piekarzy ukrywających mąkę albo sklepikarzy mających puste półki w sklepie, za to towar pod ladą. Gdy stoję w kolejce, słyszę, że nikt się na to nie nabiera.

„Dlaczego nie ma mięsa? Bo w drodze do socjalizmu nawet bydło nie nadaża”.

„O czym marzy polska świnia w drodze do rzeźni? Żeby choć jej serce pozostało w kraju”.

„Jaka jest różnica między posiadaczem kartki I kategorii a posiadaczem kartki III kategorii? Taka, że posiadacz kartki I kategorii nie dostaje nic na swoją kartkę I kategorii, a posiadacz kartki III kategorii nie dostaje nic na kartkę III kategorii”.

### **3 lipca, wtorek**

Mam dziś wolne i pojechałam ze Stasiem na wycieczkę do Lasku Wolskiego. Tak dawno nie byłam w lesie! Spacerowaliśmy wśród drzew, zjedliśmy drugie śniadanie na trawie. Staś poprosił, byśmy poszli do zoo. Spodziewał się chyba lwów, słoni i tygrysów, tymczasem w krakowskim ogrodzie jedynym egzotycznym gatunkiem są małpy. Nie ma też dużych zwierząt, odkąd Niemcy wywieźli żubry do berlińskiego zoo, a niedźwiedzia zastrzelili rosyjscy żołnierze. Podobno najpierw go drażnili, podsuwając mu pod pysk i zabierając kawałek chleba, a gdy niedźwiedziowi udało się chwycić chleb zębami – razem z ręką żołnierza – zastrzelili biedne zwierzę.

### **4 lipca, środa**

Z „potajemnego składu żywności”, przed wojną zwanego spizarnią, przyniosłam białą fasolę, żeby ją namoczyć do barszczu ukraińskiego. A tak sobie obiecywałam, że po wojnie nie wezmę grochu do ust!

Babcia, pamiętająca pierwszą wojnę, zapełniła kredens, spizarnię, piwnicę. Worki z pszenicą, żytem i grochem, które przyjechały z Różan, stały nawet w pokoju Justyny. Do dziś mam na rękach odciski od mielenia zboża w młynku. Dzięki Babci, jej zaradności i dalekowzroczności, nie jestem głodna i nikt, kto do nas zapuka, prosząc o jedzenie, nie odchodzi z pustymi rękami.

Gdy byłam mała, na drzwiach niektórych sklepów były wywieszki: „Wpłata na rzecz ubogich uiszczona, żebrakom wstęp wzbroniony”. Nasza kucharka powiedziała do Ojca, że przydałby się taki napis przy wejściu na nasze schody kuchenne. Pamiętam jego zimny wzrok. „Karolka chyba nigdy nie była głodna i nie wie, co to znaczy żebrać o jedzenie. Poza tym nie przypominam sobie, żebyśmy płacili składki Stowarzyszeniu Pań Miłosierdzia i mogli odsyłać biedaków na Warszawską, by tam wzięto ich pod opiekę. Dlatego bardzo Karolkę proszę, by nikt głodny nie pukał do nas nadaremno”.

### **5 lipca, czwartek**

Półtora tygodnia temu nauczyciele robili spis dzieci urodzonych między rokiem 1926 a 1945. Zapisałam wtedy Stasia do szkoły numer 16, na rogu Dietla i Zielonej. To szkoła męska, niedaleko od naszego domu, opiekę nad nią sprawuje nasz kościół parafialny i szkolne nabożeństwa są odprawiane u Piotra i Pawła.

Dziś Staś zdawał egzamin. Nie ma żadnego świadectwa, bo nie chodził do szkoły, choć ma już dziewięć lat. Przez całą wojnę najpierw uczyła go Babcia, potem ja i codziennie chodził ze mną na Świętego Jana. To jednak szkoła żeńska i nie mógł być formalnie przyjęty, a ja nie chciałam go posyłać do innej, w której by go uczono liczenia do pięciuset, wpajano przekonanie, że „przykazaniem Boskim jest być posłusznym Niemcom”, a jedyną lekturą byłyby obrzydliwe pisemka „Mały Ster” i „Ster”. No i umieszczono by go w rejestrach, żeby móc posłać go do pracy, gdy tylko skończy dwanaście lat.

Siedziałam na korytarzu i trochę się denerwowałam. Obok mnie młoda kobieta też nerwowo mięła chusteczkę w dłoniach. Tylko dzieci były nieporuszone: dwaj kilkunastoletni chłopcy oglądali rozłożony na parapecie klaser ze znaczkami, a grupa ośmio- czy dziewięciolatków spokojnie umawiała się na mecz na szkolnym dziedzińcu.

W końcu Staś wyszedł z klasy. „Zdałem do czwartej”, powiedział zblazowanym tonem. Uściskałam go i ucałowałam, chociaż trochę się bronił. Pewnie ze względu na przyszłych kolegów.

Poszliśmy na lody. Po drodze wypytywałam go o egzamin. „Łatwizna. Pan nauczyciel kazał mi przeczytać wierszyk o wakacjach i opowiedzieć go własnymi słowami, a potem zrobić na tablicy kilka działań na ułamki. Zapytał też, czy gram na jakimś instrumencie. Powiedziałem, że trochę na fortepianie. Wtedy pani nauczycielka zaśpiewała kilka nut i kazała mi je powtórzyć. Potem jeszcze

raz. Wiesz, Zuziu, pochwaliła mnie. Tylko jednego nie wiedziałem. Zapytali mnie o Jana Śniadeckiego, a ja nigdy o nim nie słyszałem”.

Mój błąd. To patron szkoły. Kiedyś był nim cesarz Franciszek Józef, a od dwudziestego roku – Śniadecki.

### **6 lipca, piątek**

Anglia i Stany Zjednoczone uznały Tymczasowy Rząd Jedności. Wcześniej zrobiła to Francja. Co wobec tego znaczy sprzeciw Watykanu, Hiszpanii i Irlandii? Moje myśli są jak pustynia: jałowe, suche, bez nadziei na deszcz.

### **7 lipca, sobota**

Miałam koszmarne sen. Uciekałam ciemnym, wilgotnym korytarzem. Nagle wyrosła przede mną brama zabita deskami. Wyrываłam te deski gołymi rękami. Czułam, jak łamią mi się paznokcie i drzazgi wbijają się w dłonie. Tuż za mną czaiło się coś, co chciało mnie pożreć.

Obudziłam się spocona i drżąca ze strachu. Długo leżałam z otwartymi oczami. Noc powoli przechodziła w szarość świtu. Prawie zasypiałam, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że ten sen to ułomek wspomnienia odsuniętego gdzieś na dno pamięci.

Był wrzesień czterdziestego trzeciego roku. Wracałam ze Stasiem ze szkoły. Nagle jakiś krzyk na ulicy, zamieszanie. Ludzie zaczynają biec. Łapanka.

Chwytam Stasia mocniej za rękę i skręcam w boczną ulicę, potem w następną. To błąd. Za rogiem, na placu, stoi buda i kordon niemieckich żołnierzy. Cofam się i naciskam klamkę najbliższej bramy. Zamknięta. Następna też.

Zaułek jest pusty. Dobiegam do załomu muru i wtedy słyszę ciężki stuk żołnierskich butów. Przywieram do ściany i chowam Stasia pod połą płaszcz. Widać mu tylko nogi. Staram się wrosnąć w załom, stać się niewidzialna. Kroki są coraz bliżej. Staś coraz mocniej ściska moją rękę. Modlę się w duchu, by nie zaczął płakać. Wstrzymuję oddech.

Dwóch żołnierzy idzie środkiem uliczki. Mijają nas, tak jakbym miała czapkę niewidkę. Nagle słyszę cichy szmer. Spod nóg Stasia wypływa wąski strumyczek. Strużka moczu zlewa się z chodnika i płynie na ulicę. Jeden z żołnierzy odwraca głowę. Widzę to jak na zwolnionym filmie. Powoli, bardzo powoli zasłaniam sobą Stasia. Załom muru przestaje nas chronić. Wcale nie myślę, że jeśli żołnierz strzeli, to być może trafi tylko mnie. Działam instynktownie, jak samica chroniąca młode.

Nie widzę oczu tego żołnierza, kryją się w cieniu hełmu. Widzę młodzieńczą szczupłość jego policzków i gładkość szyi. Zamykam oczy.

Twardy żołnierski krok odbija się echem w zaułku. Niezakłócony ani na sekundę. Cichnie. Otwieram oczy. Uliczka jest pusta.

Nie odrywając pleców od muru, ruszam krokiem dostawnym, jakbym tańczyła krakowiaka. Nie

mogę liczyć na to, że następny spotkany żołnierz okaże się równie miłosierny.

Zrzuwany dom, brama zabita deskami. Przesuwam po nich ręką. Jedna lekko się porusza. Szarpie ją. Słyszę chrzęst rozrywanej znoszonej rękawiczki i czuję ostry ból, gdy drzazga wbija mi się w dłoń. To nic, bo deska puszcza. Schylam się i ciągnąc za sobą Stasia, niezdarnie przełamuję przez przeszkodę. Mam na tyle przytomności umysłu, że podnoszę kamień i zardzewiałym gwoździem mocuję deskę na miejscu. Stukot roznosi się w ciasnej uliczce.

Mroczna sień. Wilgotne cegły. Zapach pleśni i opuszczenia. Na małym podwórku, tuż nad wiszącym na jednym zawiasie skrzydłem drzwi, zwisają żelazne pręty urwanego balkonu. Boję się iść dalej. Dwa schodki prowadzą z sieni do drzwi na klatkę schodową, zamkniętych na klucz. Siadam na drugim schodku, biorę Stasia na kolana, okrywam go połą płaszcza, przytulam. Przez sukienkę czuję jego mokre spodnie. Szepczę mu do ucha: „Posiedzimy tu chwilę, a potem wrócimy do domu”.

„Nie powiesz nic babci?”

Nagle mam ochotę głośno się roześmiać. „Nie”.

Jeszcze kilka razy słyszeliśmy miarowy stuk żołnierskich butów, jakieś krzyki, strzały w oddali. Potem wszystko ucichło. Zdążyliśmy do domu przed godziną policyjną.

„Nienawiść jest ślepa i zaślepia”. Jestem tego najlepszym przykładem. Zapomniałam o tym żołnierzu, który odwrócił głowę, udając, że nas nie widzi. Zapomniałam o paczkach od Renate, które syciły nie tylko ciało, ale i spragnioną nadziei duszę, o Joachimie, który dotrzymał słowa i w sierpniu czterdziestego roku zapukał do naszych drzwi. Moje skamieniałe serce nie chce o tym pamiętać.

### **8 lipca, niedziela**

Jutro zaczynają się matury. A za tydzień wyjeżdżamy do Poronina na ponad miesiąc! Już nie mogę się doczekać.

### **9 lipca, poniedziałek**

Robię się przesadna jak starożytna Egipcjanka.

Wczoraj zdecydowałam się wyciągnąć radio ze schowka. W styczniu sowiecki komendant Krakowa kazał oddać nie tylko broń i amunicję, lecz także radiodbiorniki, maszyny do pisania, powielacze, których nie zdołali odebrać nam Niemcy. Utrzymał godzinę policyjną i wprowadził obowiązek uczestniczenia w pracach przy zakopywaniu rowów i innych robotach przy usuwaniu niemieckich zapór. Teraz niektóre zarządzenia okupacyjne – bo jak inaczej je nazwać? – przestały obowiązywać: w połowie maja zniesiono zaciemnienie i skrócono godzinę policyjną, a od początku lipca wolno mieć radio, trzeba je jednak zarejestrować. Odpisałam więc numer i markę i poszłam do rozgłośni na Wróblewskiego, by zgłosić aparat, no i zapłacić pięćdziesiąt złotych abonamentu za lipiec.

Wracałam do domu, cały czas zzymając się w duchu, że znów mnie oskubano i że tak będzie co

miesiąc. Pocięszałam się tylko tym, że wygodniej słuca się radia w fotelu niż na klęczkach albo na stojąco w schowku i że słucahanie Londynu musi mieć swoją cenę. Szkoda, że płaconą komunistom.

Zastanawiałam się, czy podpisana w piątek w Moskwie między Polską i ZSRR umowa repatriacyjna, o której mówił Londyn, a milczy Warszawa, sprawi, że Marynia wróci do domu. Czy zmuszono ją do przyjęcia sowieckiego obywatelstwa? Czy w ogóle jeszcze żyje? Co z jej rodziną?

Nagle się zorientowałam, że się zmierzcha. Zdziwiona podniosłam wzrok. Tarcza słoneczna do połowy była zasłonięta czarnym cieniem. Przeszły mnie ciarki. „Zły znak!” Zapomniałam, że dziś zaćmienie Słońca.

### ***10 lipca, wtorek***

Śniło mi się, że jestem w Różanach. Gdy otworzyłam oczy, ogarnął mnie taki żal, że zaczęłam płakać. Nie mogę pogodzić się z myślą, że ten świat został mi odebrany na zawsze. Tamten krajobraz, dom i ludzie – delikatni, uważni, kochający.

Pamięć jest darem czy przekleństwem?

Życie wymaga wysiłku, a ja już nie mam sił.

### ***11 lipca, środa***

Czytam „Tygodnik Powszechny”. Cóż to za ulga w dzisiejszych czasach zobaczyć artykuł o azaliach albo taki dopisek: „Redakcja nie podziela wszystkich poglądów autora. Uważamy, że mimo braku dystansu literatura dziś nie może pomijać tematów wojennych. Mimo tych zastrzeżeń drukujemy artykuł jako słuszny protest przeciwko przerostom realizmu i autentyzmu oraz jako trafne sformułowanie istotnego problemu”.

### ***12 lipca, czwartek***

Zięć pana Kornilłowicza wrócił z szabru. Zza ściany przez całą noc dobiegały odgłosy zabawy. Zakaz rozgrabiania majątków na Ziemiach Odzyskanych pozostaje na papierze. Schönwalde... Piękne, gościnne Schönwalde. Co z niego zostało?

### ***13 lipca, piątek***

Śniła mi się Odeta. Zły, koszmarny sen.

### ***14 lipca, sobota***

Obiecywałam sobie, że zaraz po rozdaniu świadectw maturalnych zrobię ostatnie zakupy i pranie, upiekę placek dla Izy, wyprasuję ubrania, spakuję walizkę. Zaplanowałam mnóstwo rzeczy, żeby nie zrobić tej jednej, jedynej. To jednak było silniejsze ode mnie.

Wsiadłam do dwójki i pojechałam na plac Inwalidów. Serce biło mi coraz mocniej i szłam coraz wolniej. Na placu Kazimierza Wielkiego musiałam na chwilę usiąść na ławce, bo zrobiło mi się słabo

i bałam się, że zemdleję.

Skreśliłam w Kościelną. Dom Odety poznałam od razu. Niewiele się zmienił od przed wojny. Tylko szyby w oknach nie lśnią tak jak dawniej i ogród jest zaniedbany. Przy furtce kilkanaście dzwonek. „Nowakowie dzwonić 3 razy”. „Lipka K.” „M.K. Lebowscy”. „Weigel”. Nie ma Odety Korsak ani Salomei Grosse, jej ciotki.

Nacisnęłam dzwonek podpisany „A. Trznadel dozorca”. Obciągnęłam żakiet i przybrałam surowy, urzędowy wyraz twarzy.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich chudy, łysiejący mężczyzna w przybrudzonej koszuli i połatanych spodniach. Zmierzył mnie wzrokiem, potem podszedł do furtki, szurając nogami w przydeptanych pantoflach.

„Pani do mnie?”

„Szukam obywatelki Korsak Odety albo jej ciotki Grosse”, powiedziałam bez żadnego „dzień dobry”, tonem milicjantki.

Dozorca się wyprostował.

„Tu takie nie mieszkają”.

„Na pewno?” Świdrowałam go wzrokiem.

„Na pewno, towarzyszko. Ja tu wszystkich znam. O każdym mogę coś powiedzieć. Taka na przykład Lipka Karolina...”

„Więc nie mieszkają. Ale może mieszkali?”, przerwałam mu.

„Ja tu jezdę od początku. Jak tylko Niemcy uciekli. Nie mieszkali”.

„I nikt taki tu nie przychodził?”

„Ja żem nie widział”.

„A jakieś listy?”

„Nic nie było”.

„Może ktoś ich szukał?”

„Towarzyszka pierwsza o nie pyta. Czy to...”

„Nie wasza sprawa”, ucięłam. Odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Rozpłakałam się dopiero za rogiem.

Szłam jak błędna. Ocknęłam się w parku Krakowskim, gdy pod nogi spadł mi suchy konar. Wiatr szarpał drzewami, niebo było ciemnogrnatowe. Kiedy doszłam do Koszarów Kościuszki, lunął deszcz. Wbiegłam do malutkiej pasmanterii. Stała tam już ciasno zbита gromadka ludzi uciekających tak jak ja przed burzą. Nagle gdzieś blisko uderzył piorun i zgasło światło. Wszyscy krzyknęliśmy jak na komendę. Mrok rozświetlały tylko błyskawice.

Gdy burza przeszła, wyszłam ze sklepu. Tramwaje stały, nie było prądu w całym mieście. Zanim



doszłam do domu, miałam przemoczone ubranie i wyczerpałam zapas łez.

Piszę, by uporządkować kłębiące się myśli. Kiedy słowa i czyny zastygną na papierze, oddalają się, przestają być moje, przestają mnie dotyczyć. Tak jakbym drogą dziwnej transfuzji przelała na kartkę ból i wstyd.

### ***Poronin, 18 lipca, środa***

Zapomniany już prawie stukot pociągu, przesiadka przy zburzonym moście na Rabie, znajome widoki za oknem, stacyjka, teraz bez czerwonych pelargonii, dorożka i w końcu macierzyńskie ramiona pani Rozalii. Jej szeroki uśmiech, grube złote kolczyki trzęsące się w uszach, chustka w czerwone róże, oczy jak wypłowiałe chabry, opalona na brąz okrągła twarz. Jestem w domu.

### ***23 lipca, poniedziałek***

Wczoraj po mszy usłyszałam, że ogłoszono amnestię, koniec stanu wojennego i że idą duże zmiany. Dziś długo z sobą walczyłam, w końcu udając, sama nie wiem przed kim, że chcę kupić widokówki, poszłam do wsi, do kiosku, i kupiłam „Dziennik”.

Na pierwszej stronie budzący nadzieję tytuł: *Wielkie zasadnicze przemiany w życiu państwowym Polski*. Wystarczyło jednak przeczytać początek mowy Bieruta, by przestać się łudzić: „Zgromadziliśmy się, aby zatwierdzić decyzje podjęte miesiąc temu w Moskwie...”.

O rządzie na uchodźstwie nowy premier powiedział w *exposé*, że „nie będzie już więcej Polski straszyć upiór sanacji w postaci panów Raczkiewiczów”. I dalej: „Rząd Jedności Narodowej z wielkim entuzjazmem przyjęty został przez cały naród. Fakt powstania tego rządu przeciął niesławny żywot »rządu« Arciszewskiego”, bo program „szkodliwej klikii »rządu« Arciszewskiego i Raczkiewicza streszczał się w wygodnym urzędowaniu się na emigracji”.

„Odrodzona Polska” nie życzy sobie powrotu z zagranicy „epigonów sanacji i faszyzmu”. Fundamentem państwa jest pakt przyjaźni z ZSRR. Polska zawarła układ handlowy z ZSRR i zapewne w związku z tym „przednówek zapowiada się ciężko”, mimo że „do akcji żniwnej mobilizujemy całe społeczeństwo”. W stosunku do tych, którzy „nie zabiorą się do uczciwej pracy dla państwa”, zostanie zastosowany „najbardziej twardy kurs”. Świętem narodowym staje się 22 lipca.

Dobre wiadomości: potwierdzenie zawarcia umowy repatriacyjnej i zgody ZSRR na powrót Polaków do domu, zapowiedź wyborów, zniesienia stanu wojennego i wyjątkowego oraz wydania dekretu o amnestii. „Kto dobrowolnie wyjdzie z lasu i złoży broń, nie będzie pociągany do odpowiedzialności”. Czy jednak można w to wierzyć?

Niemcy militarnie działali szybciej niż Rosjanie, politycznie jednak – znacznie wolniej. Na przykład, żeby zmienić nazwę ulicy Potockiego na Ostring, potrzebowali prawie czternastu miesięcy. Nieszczęsna ulica Potockiego, która 18 stycznia odzyskała swą nazwę, już 1 maja stała się ulicą Stalina.

## **24 lipca, wtorek**

Wczorajszy „Dziennik”, pocięty na ćwiartki, wisi na gwoździu w wygodce pani Rozalii.

W czasie wojny piłam czasem prawdziwą herbatę albo kawę, jadłam tort. Kilka razy, mimo wezwań do żałoby narodowej i w tajemnicy przed Babcią, byłam w kinie. Jednej rzeczy nie było przez te ponad pięć lat: gazet.

Pamiętam szelest gazety czytanej rano przez Ojca. Zapach farby drukarskiej, męskich perfum, porannej kawy, świeżego pieczywa.

Babcia też była namiętną czytelniczką prasy. Bojkotowała tylko „Czas”, odkąd w trzydziestym piątym przeniósł się do Warszawy.

Nie mieliśmy w domu żadnych oprawionych roczników. Przeczytane gazety kucharka paliła w piecu, a gdy założono gaz, wynosiła obwiązane sznurkiem na podwórze i kładła przy śmietniku. Tylko Babcia (a potem ja – za jej przykładem) czasem coś wycinała i chowała do wielkiego pudła. Zimą albo w deszczowe dni siadałam na szerokim parapecie w jej saloniku i wyciągałam z pudła wykroje sukien, przepisy, recenzje, wiersze, powieści w odcinkach.

Gdy w deszczową niedzielę 16 września dotarłam ze Stasiem i Janem do Krakowa, na stole w jadalni zobaczyłam „Ikaca”. Pamiętam to jak dziś. Na pierwszej stronie był wielki nagłówek: „Rząd polski już nie istnieje!” z podtytułem: „Także prezydent Mościcki w Czerniowcach. Opuszczono i porzucono nas!”. Nie trzeba było nadzwyczajnej przenikliwości, by wiedzieć, kto napisał zamieszczony obok wstępniak. Była w nim mowa o tym, że Niemcy też rozpaczali w osiemnastym roku, potem jednak zostali obdarowani wodzem, któremu nawet wrogowie nie śmiały odmówić geniuszu.

To była ostatnia gazeta, jaka w ciągu tych pięciu wojennych lat pojawiła się w naszym domu. Nie tylko „Krakauer Zeitung” był wykluczony, także „Goniec Krakowski”, o którym Babcia mówiła wyłącznie „Podogoniec”.

Teraz znów mamy gadzinówki. Jestem taka głupia! Powinnam była to wiedzieć już w lutym, gdy „Dziennik Polski” napisał, że w Katyniu polskich oficerów zamordowali Niemcy.

## **30 lipca, poniedziałek**

Leżałam kilka dni. Dopadła mnie „duszna choroba”. Poczciwa pani Rozalia zajęła się i mną, i Stasiem. Już prawie zapomniałam, jak to jest dostać rano herbatę do łóżka.

## **4 sierpnia, sobota**

Nazbierałam borówek na Galicowej Grapie i zrobiłam pierogi. Pani Rozalia bardzo chwaliła, Staś też.

## **5 sierpnia, niedziela**

Zapach bukowego dymu. Przypomniała mi się różańska wędzarnia. Małe wędzone serki, a do nich pieczone gruszki.

### **6 sierpnia, poniedziałek**

Poszłam ze Stasiem na Harendę. Pani Maria Kasprowiczowa oprowadzała po domu wycieczkę harcerzy. Staś patrzył na nich jak urzeczony.

Zatrzymałam się na chwilę przy oknie w saloniku. Na małym stole leżała otwarta *Księga ubogich*:

Rozmłowała się ma dusza  
W cichym szeleście drzew,  
Gdy koronami ich porusza  
Druh mój, przecichy wiew.

### **7 sierpnia, wtorek**

Staś pomagał przy grabieniu siana, a ja ruszyłam drogą wzdłuż potoku do Zakopanego. Środek drogi jest kamienisty i poryty koleinami, ale wydeptana tysiącami nóg ścieżka – gładka jak miejski chodnik. Szłam i starałam się przypomnieć sobie jakiś wiersz Kasprowicza. Tak się na tym skupiałam, że byłam jak głucha i ślepa. W pewnej chwili potknęłam się i o mało nie upadłam, pusty plecak podskoczył i zawdział mi się na głowę jak czapka. Dopiero wtedy spojrzałam przed siebie. Zobaczyłam łańcuch Tatr z dwuczubą piramidą Świnicy. I usłyszałam w duszy głos Ojca, który *Księgę ubogich* znał na pamięć:

Witajcie, kochane góry,  
O, witaj, droga ma rzeko!  
I oto znów jestem z wami,  
A byłem tak daleko!

Stałam i patrzyłam na góry, na ciemne pasma lasu, na daleki szpaler jesionów, na mozaikę pól, łąki z sianem suszącym się na ostrewkach, na błękitne niebo. Słuchałam szemrania i bulgotania Zakopianki. Jakby mi się nagle oczy i uszy otworzyły. Zachwyt niemal bolesny.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje”.

Zachciało mi się płakać – z nagłego szczęścia i poczucia wdzięczności. Że świat trwa, taki piękny, że żyję. Poczułam suchy zapach kurzu, żywiczną woń jodeł. Poczułam swoje ciało. I że moje serce nie umarło, że jest zdolne do zachwyty.

### **8 sierpnia, środa**

Kupiłam w antykwariacie wiersze Kasprowicza. Siedzę na ganku, patrzę na góry i na błyszczące w słońcu wody Zakopianki, jem poziomki ze śmietaną i czytam:

Nie ma tu nic szczególnego,  
Żadnych tu dziwów świata:

Fundament z skalnych odłamów,  
Z płazów świerkowych chata.

Nie ma tu nic szczególnego...  
Dzwon się odezwał z wieży,  
W czerwcowych omżach południa  
Łąka rozkwitła leży.

Pozbywa się moje serce –  
O ludzie, żyjący nadzieją! –  
Wszelakiej skazy, gdy widzę,  
Jak trawy śmiać się umieją.

### **17 sierpnia, piątek**

Staś zapytał przy śniadaniu: „Ale w przyszłe wakacje pojedziemy do Różan, prawda, Zuziu?”.  
Pokiwałam głową. Tak łatwiej skłamać.

W końcu będę musiała powiedzieć mu prawdę. Że nie ma powrotu.

Różany zostały rozparcelowane, dom ograbiony. Tak samo Zalesie. Państwo Gorzkowscy dostali dwa dni na wyprowadzkę, pozwolono im zabrać tylko trochę rzeczy osobistych i zabroniono osiedlać się bliżej niż trzydzieści kilometrów od Zalesia. Zaproponowałam im gościnę w Krakowie, zdecydowali się jednak wyjechać na Dolny Śląsk. Obiecałam, że będę dbać o grób Władka. To z nim najtrudniej było się rozstać pani Gorzkowskiej.

Właściciele rozparcelowanych majątków mają obiecaną pensję. Jak do tej pory nie słyszałam, by ktoś ją dostał. Adwokat, do którego się zwróciłam, poradził mi czekać na rozwój wypadków. Sądząc po tym, co się dzieje, miał rację. Gdybym dochodziła praw Stasia, mogłoby się okazać, że nie może mieszkać w Krakowie, bo to za blisko Różan.

Reforma! Raczej sowieckie „grab nagrabione”. Każdy chłop, który dostanie ziemię, musi za nią zapłacić – dziesięć procent od razu, a resztę w ratach przez dziesięć lat. Pieniądze bierze państwo.

Pani Rozalia nie wzięła „pańskiego”. Dla jej kryształowej duszy to byłoby złamanie siódmego przykazania. Tak samo nie zadeklarowała przynależności do *Goralenvolk*, choć jako volksdeutsch miałyby łatwiejsze życie i chociaż straszono, że ci, którzy nie mają góralskiej niebieskiej kenkarty z literą „G”, tylko polską, szarą, będą wywiezieni z Podhala.

### **Kraków, 19 sierpnia, niedziela**

Iza ma się znacznie lepiej. Trochę już wstaje. Nawet się uśmiecha. Przywiozłam jej z Poronina miód.

Gdy wypiliśmy herbatę, pani Morawska ze swoimi rodzicami poszła z wizytą do znajomych, a ja prześcieliłam łóżko Izie.

Iza ma pod poduszką kromkę suchego chleba. Nie je go, ale musi go mieć. Ułożyłam tę kromkę na

prześcieradle i strzepnęłam poduszkę.

„W obozie było dwóch gestapowców, którzy przychodzili, kiedy przyjeżdżały nowe transporty”, usłyszałam nagle za plecami.

Zamarłam w półobrocie, z poduszką w rękach. Iza siedziała na krześle wyprostowana jak struna. Patrzyła w dal. Lewy kącik ust drgał jej nerwowo.

„Gdy nagie, ogolone kobiety wychodziły z łaźni, wybierali kilka z najbardziej zdeformowanymi ciałami, kazali im tańczyć, śmiali się, robili zdjęcia. Nazywali to tańcem czarownic”.

Iza nigdy wcześniej nie mówiła o obozie. Przypominała mi w tym Stasia, który przez długie miesiące ani razu nie powiedział „mama”. Tylko przez sen.

Zrobiłam to, co robiłam, gdy Stasia dręczyły nocne koszmary. Podeszłam do Izy, przytuliłam jej głowę i głaskałam.

Pozwoliła mi się zaprowadzić do łóżka i położyć, ale nie puszczała mojej ręki. Musiałam iść razem z nią błotnistymi obozowymi uliczkami, po których snuł się tłusty, cuchnący dym z palonych w dołach trupów. Wejść do baraku, poczuć smród stłoczonych ciał. Szukać przemarzniętej brukwi w misce wodnistej zupy. Razem z nią żyć i umierać, i zmartwychwstawać.

### **20 sierpnia, poniedziałek**

Poszłam do III Mostu i pojechałam trójką za miasto, do Borku Fałęckiego. Prawie zaraz za pętlą zaczynają się łąki, które się ciągną do kamieniołomu w Zakrzówku i dalej. Doszłam aż do torów kolejki wąskotorowej wożącej kamień wapienny do fabryki Solvaya. Niektóre łąki były skoszone, inne stały w pełnym letnim rozkwicie. Ani śladu człowieka, tylko daleko dymiała cegielnia. Spłoszyłam stadko kuropatw, kilka bażantów i czajek. Nazbierałam dla Izy nawet nie bukiet, raczej snop polnych kwiatów.

### **21 sierpnia, wtorek**

Dziesięć dni temu zmarł Stefan Jaracz. Dowiedziałam się o tym dopiero po powrocie do Krakowa. W czterdziestym pierwszym roku aresztowało go Gestapo i został wywieziony do Oświęcimia. Był w obozie niecałe dwa miesiące – interweniowało tak wiele osobistości, że Niemcy musieli go wypuścić – ale to wystarczyło, by podkopać jego zdrowie.

Grał wielkiego księcia Konstantego w *Księżnej łowickiej*, Napoleona w *Panu Tadeuszu*, ale przede wszystkim suflera Konstantego Kruczka walczącego o swą żonę w filmie *Jego wielka miłość*. Przejście od potulności, strachu do desperackiej waleczności było pokazane w mistrzowski sposób: zaskakująco, nieszablonowo, z psychologiczną prawdą.

Zachłannie słucham radia, odcięta od wiadomości przez całe wakacje. Dużo o nowej broni – bombie atomowej, „wykorzystującej podstawową energię wszechświata”. Prezydent Truman obwieścił światu nadejście „nowej ery” i oświadczył, że Amerykanie zrzucili taką bombę „na wielką japońską

bazę wojskową o nazwie Hiroshima”. Tymczasem – nawet jeśli była tam baza – teraz już wiadomo, że jest to, a raczej było, zwykłe miasto. Czy naprawdę „Japonia rozumie tylko język armat i bomb”? Czy nazywanie tej śmiertelnej broni „triumfem nauki” jest cynizmem czy tylko głupotą? Hisroshimę długo okrywały gęste kłęby dymu i nic nie było wiadomo o skali zniszczeń. Teraz już wiemy: ten „triumf nauki” wywołuje trzęsienie ziemi, zmienia wszystko w ruiny i zabija każdą żywą istotę w promieniu trzech kilometrów. „Powinniśmy się modlić, by ta straszliwa broń została użyta do nakłonienia ludzkości do pokoju, a nie do obrócenia w perzynę całego globu”, powiedział Winston Churchill.

### **22 sierpnia, środa**

Pod naszą nieobecność do mieszkania państwa Fischerów wprowadzili się ich dalecy krewni. Upięłam szarlotkę, z jabłek przywiezionych od pani Rozalii, i poszłam do nich. Państwo Doliwowie wyglądają na miłych ludzi. To tak zwani bezeci – wysiedleni ziemianie. W terminologii komunistów król Jan bez Ziemi nazywałby się Jan Bezet. Ohydna jest ta skłonność do skrótów i posługiwanie się wyłącznie nazwiskami, tak jakby ludzie nie mieli imion.

Niestety, nic nie wiedzą o Maryni.

### **23 sierpnia, czwartek**

Chcę zapamiętać ten dzień. Gazeciarza z naręczem „Dziennika”, krzyczącego: „Alianci lądują w Japonii! Zamiast granic nienawiści i słabości mamy granice przyjaźni i siły!”. Drobną rączkę Stasia w mojej dłoni. Uchyłoną bramę. Stukot obcasów na posadzce w sieni. Drzwi na schody, z zakurzonymi kolorowymi szybkami. Znów stukot obcasów, teraz na marmurowych schodach. Szczęk klucza w zamku.

Otwieram drzwi i widzę na parkiecie zwykłą szaroniebieską kopertę – taką, w jakich przychodzą teraz listy urzędowe. Staś też ją zauważa, podbiega, podnosi, ogląda. „Tu nie ma adresu”, mówi zdziwiony.

Odkładam torebkę, jedną ręką zdejmuję kapelusz, drugą wyciągam po list. Nie mam żadnych przeczuć, mający mi tylko, że przecież listonosz nie chodzi po południu.

Jeszcze patrzę do lustra, przyglądam włosy, potem idąc do salonu, odwracam w rękę kopertę, tak jakbym nie dowierzała dziewięcioletnim oczom Stasia.

Koperta jest czysta i niezaklejona. Siadam na kanapie i otwieram ją. W środku jest sztywna kartka pocztowa. Patrzy z niej smutny pluszowy miś z kokardą zawiązaną na szyi, siedzący obok bukietu chryzantem, piłki i pudełka kredek. „*Herzlichen Glückwunsch zum Geburtstag*”.

Serce szybciej zaczyna mi bić.

Odwracam kartkę. Pismo Joachima.

Joachima! Naprawdę Joachima!

Mój adres. I słowa, na które czekam od chwili zakończenia wojny:

*Heide, 14.07.45*

*Zazulko, błagam, napisz. Wiem, że żyjesz. Czuję to. Przyjadę, gdy tylko będę mógł.  
Kocham Cię.*

*Joachim*

*Fr. Ilona Leber  
Heide, Blumenstrasse 7*

Pan Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Często jednak mi się wydaje, że woli wynagradzać. Jeśli zrobiłam coś dobrego w życiu, to teraz odbieram nagrodę. Joachim żyje.

Joachim żyje!

Nie pozwalałam sobie na myślenie o nim. Raz dziennie, przy wieczornej modlitwie, wymieniałam jego imię w długiej litanii imion innych przyjaciół, których porwał wicher wojny.

Traciłam nadzieję, zapominając, że wszystko ma swój czas: jest czas rodzenia i czas umierania, czas darcia i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas miłowania i czas nienawidzenia, czas wojny i czas pokoju.

„Rzucaj chleb twój na wody ciekące, bo po długim czasie najdziesz ji. Kto się na wiatr ogląda, nigdy siał nie będzie, a kto się przypatruje obłokom, nigdy żać nie będzie”.

## Cytowane utwory

Nie sposób wymienić wszystkich tekstów, które przeczytałam, pisząc tę książkę. Wymieniam więc jedynie te, które zacytowałam.

Szczególnie jestem wdzięczna autorom pamiętników, wspomnień i dzienników, bo dzięki nim poczułam emocje towarzyszące wydarzeniom opisywanym przez historyków.

Znakomitym źródłem informacji jest portal Wrota Małopolski i umieszczona na nim Małopolska Biblioteka Cyfrowa – to z niej pochodzą wklejone do tekstu wycinki z przedwojennej prasy.

Obwieszczenia wojenne i ulotki cytuję za piątym tomem *Dziejów Krakowa* Andrzeja Chwalby.

Laurence Bergreen, *Poza krawędź świata. Opowieść o Magellanie i jego przejmującym grozą rejsie dookoła Ziemi*, przeł. Jan Pyka, Poznań 2005

Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r., Warszawa 2000

Herodot, *Dzieje*, przeł. Seweryn Hammer, Warszawa 1959

Jan Kasprówic, *Księga ubogich*, Warszawa 1980

Tomasz Mann, *Buddenbrookowie. Dzieje upadku rodziny*, przeł. Ewa Librowiczowa, Wrocław 2005

Antonio Pigafetta, *Relacja z wyprawy Magellana dookoła świata*, przeł. Joanna Szymańska, Gdańsk 1992

Jan Potocki, *Podróż do Turcji i Egiptu*, przeł. Julian Ursyn Niemcewicz, Warszawa 1959

Henryk Sienkiewicz, *Listy z Afryki*, Warszawa 1947

Henryk Sienkiewicz, *W pustyni i w puszczy*, dziesiątki wydań

Julian Tuwim, *Lokomotywa*, Warszawa 1937

Melchior Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Warszawa 1936



# Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Bogna Ziembicka

Projekt okładki: Eliza Luty, Aleksandra Szmak

Fotografie na okładce: dziewczyna – © Jacek Wrześniński, Kraków w latach 30. XX w. –  
ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Ozdobnik w kształcie gałązki – © Jennifer Johnson / BlueCherry Graphics's /  
[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Opieka redakcyjna: Arletta Kacprzak

Redakcja tekstu: Joanna Mika-Orządała

Rysunki we wnętrzu książki: Michał Haduch

Korekta: Maria Armata / Wydawnictwo JAK,  
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

ISBN 978-83-751-5834-2

WYDAWNICTWO  
**otwarte**  
[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. [\(12\) 61 99 569](tel:126199569)  
Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki  
Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)